



Jill Barnett

Nowy początek

Jak to naprawdę jest? Mniejsza o konwencje i decyzje, które wszyscy wspólnie podejmujemy.

Jak to naprawdę jest?

Mike Nichols, *Inside the Actor's Studio*

TLR

CZEŚĆ PIERWSZA

San Francisco to obłąkane miasto - zamieszkane w większości przez zupełnie szalonych mężczyzn, których kobiety odznaczają się wyjątkową urodą.

Rudyard Kipling

1

March Randolph Cantrell otrzymała imię od pory roku, a właściwie miesiąca, marca, w którym przyszła na świat, i przeżyła całe życie w cudownym miejscu. Golden State, jak nazywają go Amerykanie - Złoty Stan - odciska swoje piętno w krwi i kościach ludzi, którzy się tam urodzili, przez co stają się inni, z natury uwrażliwieni na tę ziemię, ze wszystkimi jej tajemnicami i dziwactwami. Kalifornijczycy mają wrodzoną umiejętność instynktownego rozpoznawania koloru i bezruchu nieba, zapowiadającego trzęsienie ziemi, i nie podlegają niewidzialnemu podziałowi na długość/szerokość geograficzną, która odróżnia Północ od Południa. Rozumieją doskonale topografię duszy tych, którzy pierwszy haust powietrza zaczerpnęli wśród złotawego sitowia, złocistych wzgórz i złocistych mostów.

Kalifornijczyk może stanąć na łasze piachu, gdzie najgłębszy i największy ocean styka się z lądem, i wie, że więcej jest głodnych rekinów za nim niż przed nim.

Z urodzenia dostaje na własność kalifornijskie baśnie, mające disnejowski sznyt opowieści o Eldorado i o ojcu Junipero Serrze, który przemierzał kiedyś tę krainę w skórzanych sandałach, pobrudzonych brązową ziemią, gdzie niemal wszystko mogło rosnąć, i siał po drodze magiczne ziarna gorczycy.

Każdej wiosny żółte kwiatki gorczycy ojca Serry pokrywają zbocza wzgórz, pojawiają się wokół świeżo położonego asfaltu - mimo betonu i drewnianych ram - prawie niewyobrażalnie świetliste w kolorze, niczym złoto, i przypominają tym, którzy zwrócą na nie uwagę, że kiedyś było inaczej.

Marzec jest czasem nieprzewidywalnej pogody, a w Kalifornii to czas czterolistnych kwiatków gorczycy, o których się mówi, że przynoszą większe szczęście niż koniczyna i na pewno są od niej wytrzymalsze. Niezależnie od tego, jakie są warunki: niespodziewany śnieg i lód, pożar zarośli, upał i susza czy ulewne deszcze przetaczające się po zboczach wzgórz, wbrew wszelkim dopustom, jakie matka natura zsyła z nieba, każdego roku gorczyca odrasta od nowa.

W przypadku March Randolph Cantrell to, że urodziła się w Kalifornii, było tylko jednym z wielu określających ją faktów: była też kobietą, córką, artystką, żoną, matką, przyjaciółką, kobietą interesu, a teraz również babcią - to ostatnie brzmiało może zbyt leciwie, jak na kogoś urodzonego w czasie wyżu demograficznego, kto nadal nosił stringi i słuchał rockowej muzyki.

Dorastając na Zachodnim Wybrzeżu w latach pięćdziesiątych XX wieku, March i jej siostra May, która zawdzięczała imię majowi, były znane jako córki Randolpha o dziwnych, wiosennych imionach. W Connecticut bowiem, gdzie rodzina Randolphów wcześniej zapuściła głęboko korzenie, imiona takie jak March i May nadawano po prostu zgodnie z tradycją i uznawano za równie dobre, jak Birch czy Rebecca, i nikogo też nie

dziwiły w wypadku dziewcząt, których stryjeczna babka Hester powiedziała podczas jednego ze zjazdów rodzinnych: „Kalifornia to dobre miejsce do życia, jeśli przez przypadek ma się na imię Orange”.

Pewnego słonecznego dnia, kiedy March miała osiem lat, ktoś nazwał dziewczynki Randolphów Kalifornijkami. Z pawim piórem podkradzionym z wazonu matki, wetkniętym w koński ogon, March stała przed lustrem apteczki i malowała twarz w barwy wojenne niebieską i białą temperą, farbami, które zostały jej z wakacyjnej szkółki niedzielnej.

Przez kilka tygodni upalnego i dusznego sierpnia biegała z gumowym tomahawkiem zatkniętym za pasek bawełnianych szortów i do wszystkich mówiła nieudolnie w dialekcie indiańskim, począwszy od starych Murzynów, a na białych z Zachodu skończywszy.

Nocami, gdy świat nieruchomieje pogrążony w ciemności, a dziewczynki, leżąc w łóżkach, rozmyślają skrycie o głupiutkich jeszcze sympatiach i marzą o przyszłym życiu, kiedy już dorosną, ona nie fantazjowała na temat chłopca z sąsiedztwa, który dał się jej przejechać nowym rowerem ze zdjęciami baseballistów zatkniętymi między szprychy, pożyczył jej gumowy tomahawk i miał ulizane włosy. Ona marzyła o tym, żeby znaleźć się w środku jednej z historii oglądanych na niewielkim ekranie telewizora - z anteną przypominającą uszy królika (która czasem lepiej działała, jeśli włożyło się między nie kawałek folii aluminiowej).

Podczas gdy jej siostra, May, namiętnie oglądała filmy i serce biło jej żywiej na widok Taba Huntera i Jamesa Deana, March więcej wymagała od swoich telewizyjnych bohaterów i śniła o zakochaniu się w kimś takim jak Cochise, szlachetnym mężczyźnie o wielkich ideałach. To było w 1958 roku. Dziesięć lat później go poznała.

Rok po lecie miłości był czasem, kiedy młodzi marzyciele szybko tracili złudzenia. Bajeczne dziedzictwo The Haight nagle nabrało cech nienawiści. San Francisco, podobnie jak większość kraju, nie mogło otrząsnąć się z szoku i przerażenia wywołanych przekonaniem, że świat psuje się od środka.

Nadawane co wieczór wiadomości z Wietnamu były zbyt przygnębiające, żeby je oglądać, i zbyt ważne, żeby je pominąć. Śmierć, zniszczenie i liczba ofiar rosły z każdym dniem. W mroczny dzień na początku kwietnia odszedł Martin Luther King junior, stanowczo za wcześnie, a razem z nim jego marzenia. Teraz nastał czerwiec, minęło jedynie pół roku i zaledwie przed dziesięcioma dniami kolejna kula zamachowca przekreśliła w straszliwy sposób przyszłość Boba Kennedy'ego.

Tych dwóch mężczyzn, walczących o przemiany i dających nadzieję, zostało bezsensownie odebranych wchodzącemu w życie pokoleniu, które domagało się takich samych zmian gromkimi, skandującymi głosami i karmiło się nadzieją i wiarą, że może czegoś dokonać.

Nie, nie, nie pójdziemy.

W kawiarnianych pogawędkach, rozmowach w księgarniach North Beach i w undergroundowej prasie porównywano ostatnie wydarzenia z historycznymi czasami anarchii. Miejscy apostołowie z rogów ulic (którzy nie umykali w nirwanę po kwasie) grzmieli na establishment i wymachiwali pięściami, krzycząc o niesprawiedliwości wobec ludzi zabijanych tutaj i za oceanem.

Chcesz głosować na człowieka, który posyła cię na śmierć?

W kraju, gdzie wolność i bezpieczeństwo powinny być zagwarantowane, ktoś mordował narodowych bohaterów. Mimo czynionej wrzawy i wygłaszanych tyrad większość ludzi po prostu w milczeniu poddawała

się strachowi przenikającemu ich do kości, a młodzież z San Francisco chwyciła się każdej szansy wyrwania ze świata, nad którym do tego stopnia nie było już kontroli, że musiała to wykrzyknąć.

Ojciec March był tylko o jedno pokolenie starszy, a mimo to ogromna przepaść dzieliła ich ideały. Uczył matematyki i geografii, myślał logicznie, był konserwatywny, genialny i służył kiedyś w wojsku. Matka była gospodynią domową, która haftowała, grała w brydża i na organach w kościele i podawała obiad o godzinie szóstej wieczorem. March wychowywano w ścisłych ramach konwenansu i standardów, kształtowano niczym idealną zatyczkę do idealnie okrągłego otworu.

Jej siostra, May, wpasowała się perfekcyjnie w matrycę Randolphów. Nosiła pończochy i białe pantofle. To May wyjechała do Smith College, odległego prawie o pięć tysięcy kilometrów, i to ona została wybrana przez „Glamour” spośród grona studentek jako modelka do zdjęć, na których pozowała w spódniczce w szkocką kratę i kaszmirowym sweterku, z włosami precyzyjnie podciętymi i z uśmiechem pokazującym zęby równie olśniewające, jak klawiatura fortepianu, mimo że nie nosiła aparatu ortodontycznego.

Tymczasem March chodziła w apostołkach zakładanych na boscie stopy. Stale zapominała o zakładaniu aparatu na zęby i gubiła go tak często, że co najmniej trzy razy w roku musiała sprzątać sobie nowy. Zaraz po obronie dyplomu wyprowadziła się od rodziców i zamieszkała niedaleko Haight w pokoju wygospodarowanym na poddaszu jednego ze starych wiktoriańskich domów. Pracowała na część etatu w księgarni z kawiarnią i kontynuowała naukę w Art Institute - instytucie sztuki, gdzie uczono za darmo bez względu na płeć i gdzie z całą pewnością nie kultywowano tradycji ze Wschodniego Wybrzeża, o których May pisała w listach do domu.

Artyści z San Francisco używali krzykliwych, niedających się zignorować kolorów, które definiowały to miejsce i czasy. W instytucie, wśród bardzo wielu nietuzinkowych osób, March nie musiała w niczym przypominać własnej rodziny.

Bliska przyjaciółka z klasy grafiki tworzyła psychodeliczne plakaty, reklamujące lokalne występy rockowe w salach Fillmore, Winterland i Avalon. Druga projektowała dla modnych butików popularnych wśród miejscowych piosenkarzy rockowych ubrania z aksamitu, koronek i skór, swetry z frędzlami i blezery z naszywanymi koralikami. Niektóre zlecenia na zrobienie plakatu March dostawała dzięki koleżance z klasy grafiki, inne miała dzięki znajomościom, jakie szybko nawiązała, gdy stała się częścią sceny muzycznej San Francisco, odwiedzanej przez nią prawie we wszystkie weekendy.

Tamtego wieczoru w połowie czerwca w Fillmore panował półmrok, jak zwykle podczas przerwy między kolejnymi numerami. Zebrało się tam trzy razy więcej ludzi, niż pozwalały na to przepisy, bo wśród wykonawców byli Joplin i Santana. Kojący, słodkawy zapach haszyszu unosił się nad tłumem, otoczonym kłębamii narkotycznego dymu, a byle jak skręcone papierosy, podawane z ręki do ręki, jaśniały niczym czerwone świetliki wśród niewielkich grup stłoczonych ludzi.

Gdy jeden z przyjaciół ciągnął ją przez tę ciżbę, March zauważyła w niewielkiej odległości obcego mężczyznę stojącego samotnie, ubranego w marynarkę à la Nehru, wytarte džinsy i sandały. Miał gęste, ciemne włosy, sięgające niemal do ramion. I szlachetny profil. Nawet brak światła i krótko przycięta broda nie mogły ukryć jego mrocznego, poważnego wyrazu twarzy, typowego dla faceta, którego wszystkie dziewczyny zauważają, ale tylko najodważniejsze albo najgłupsze ośmielają się zaczepić. Po kilku sekundach muzyka rozległa się ponownie, a ona straciła go z oczu, nagle zasłoniętego przez solidnie naćpanych ludzi, cisnących się ku scenie.

O północy rozpoczął się w Fillmore pokaz świateł, rozchodzących się zza zespołu na scenie, wibrujących, jaskrawych i pulsujących w rytm zachrypniętego głosu Janis, śpiewającej w natchnieniu, po której przyszła kolej na hard rock w wykonaniu Big Brother i Holding Company. March tańczyła przy brzegu sceny w kole, bosa, bo sandały wetknęła w wielkie kieszenie długiej sukienki z aksamitu; ramiona trzymała uniesione wysoko nad głową, a dwanaście centymetrów przypadkowo dobranych bransoletek opadało z podzwanianiem ku jej łokciom.

Wolność dźwięczała w muzyce i słowach piosenek: nie zostało nic do stracenia i wydawało się to ostatnio bliższe prawdy niż kiedykolwiek. Jej rozpuszczone, długie włosy zwisały swobodnie, a pod ciężką sukienką z aksamitu nie miała na sobie nic - wolna, po zbyt wielu latach spędzonych w szkole, kiedy opinała ciało elastycznymi podwiązkami i pasami do pończoch.

Nawet jabłka w miedzianej misie na scenie Fillmore były za darmo do wzięcia, ale prawdopodobnie czymś je posmarowano, żeby jedzący poczuł się zupełnie wyzwolony.

Kiedy podniosła oczy, stał tuż przed nią, wyciągał do niej ręce, jakby znali się od zawsze. Ale ona nie przerwała tańca i zapytała jedynie, przekrzykując muzykę:

- Czego chcesz?

- Ciebie.

Nie miał oczu zamglonych narkotykami, jego zachowanie zdradzało zbytnią pewność siebie. Wpatrywał się w nią natarczywie. Zupełnie ją zaskoczył, nie wiedziała, jak zareagować, dlatego pokręciła głową i odwróciła się do niego tyłem, odcinając się zupełnie. A robiąc to, czuła się zaskakująco spokojna.

Wcześniej w sali zapchanej ludźmi, patrząc na niego, poczuła coś, czego nie potrafiła nazwać, a gdy zniknął w tłumie, ogarnął ją dziwny smutek. Kiedy pomyślała o tym trochę później, powiedziała sobie, że to była po prostu głupia chwila, jakby żywcem przeniesiona z Hollywood, z gatunku tych, które domagają się łzawej muzyczki, grającej w tle.

Minęła sekunda, może trochę więcej, zanim poczuła nad sobą jego oddech i ciepło jego ciała, gdy stanął obok. Faceci podchodzili do dziewczyn przez cały czas. Trzy, cztery, a nawet więcej razy w ciągu nocy ktoś próbował ją poderwać. Ale szukający wrażeń łatwo się poddawali, widząc nieodmiennie jej wahanie. W końcu w mieście nie można było przejść do następnej przecznicy, żeby nie widzieć napisu głoszącego „Kochaj, a nie zabijaj”. Miłość była wolna jak myśl, wolna jak mowa, równie wolna jak większość współczesnych dziewczyn.

Niemniej nie skierował się do innej dziewczyny, która dałaby mu to, czego chciał. Stał przy niej, choć nawet jej nie dotykał - i dobrze, bo mogłaby w jednej chwili zapalić się żywym ogniem.

Muzyka ucichła wraz z ostatnią głośną nutą zespołu. W pierwszym momencie ciszy pochylił się i wyszeptał jej do ucha:

- Jesteś oszustką.

Obróciła się twarzą do niego.

- Co?

- Widzę bosonogą dziewczynę tańczącą samotnie, ubraną w aksamitną sukienkę i ze wstążkami we włosach. Jeśli stanąłbym wystarczająco blisko, usłyszałbym, że kiedy się rusza, jej biżuteria podzwania niczym tamburyn. - Dotknął naszyjnika, który miała na sobie. - To przecież koraliki miłości.

Cofnęła się o krok, odsuwając od niego naszyjnik.

- Znam cię?

- Nie. Ale próbuję naprawić to niedopatrzenie.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Zacznijmy od tego, że nazwałeś mnie oszustką. Do tej pory nie znaleźliśmy się i niech tak zostanie, pogódźmy się z tym.

Wzruszył ramionami.

- Rozczarowujesz mnie, słoneczko.

- March. Mam na imię March.

- To oryginalne. - W jego głosie pobrzmiwało zaskoczenie. - Podoba mi się imię March.

- Matka byłaby wniebowzięta.

- To dobrze. Możesz zabrać mnie do domu i przedstawić mamie. Matki mnie uwielbiają. Moja własna może o mnie opowiadać godzinami.

- Nie mieszkam z rodzicami.

- To nawet lepiej. Gdzie mieszkasz?

- Nie mam zamiaru powiedzieć ci, gdzie mieszkam. - Roześmiała się. - Nawet nie wiem, jak się nazywasz.

- Jestem Michael Cantrell. Nie rozczarowuj mnie, słoneczko.

Słoneczko? Zignorowała fakt, że zwracał się tak do niej jakby w samoobronie.

- W porządku, Michael. Posłuchaj, nie znasz mnie, więc jak mogłabym cię rozczarować?

Nie odpowiedział od razu, ale wpatrywał się w nią badawczo, najwyraźniej ważąc słowa.

Wiedziała, że nie jest dla niego miła, i przyszła jej nawet do głowy okropna myśl, że następne słowo, które usłyszy, będzie brzmiało „żegnaj”. Mógł obrócić się na pięcie i wyjść, lecz była to ostatnia rzecz, jakiej w głębi ducha by po nim oczekiwała.

- Robisz na mnie wrażenie dziewczyny, która lubi chodzić w deszczu, która staje na falochronie z szeroko rozłożonymi ramionami i śmieje się, choć wokół szaleje burza. Dziewczyny, która śpiewa, nawet jeśli nie gra żadna muzyka. I cytuje wiersze. Je surowe ostrygi i pije uzo. Wyjątkowej dziewczyny, która bez trudu skoczy z samolotu albo prosto w moje ramiona. Kogoś, kto będzie mnie kochał tak długo i tak mocno, że rano nie będę mógł się podnieść.

Potrzebowała minuty, by pojąć znaczenie jego słów. Jego słów? Boże... jego słowa. Zupełnie inne od tych, których się spodziewała. Jej myślenie od zawsze karmiło się obrazami, jej artystyczna natura sprawiała, że życie najsilniej do niej przemawiało przez oczy. Wzrok nadawał życiu wymiar, głębię, kolor i wyrazistość. Rzeczy, które się widziało, na zawsze zapadały w pamięć w kolorze.

Tymczasem w jego słowach było więcej uczucia niż w jakimkolwiek doznaniem przez nią pierwszym wrażeniu, które mogłaby namalować w wyobraźni. W tym momencie dokładnie zrozumiała kolor słów.

To, co powiedział, było zupełnie inne od tego, co usłyszała od kogokolwiek. Aż do chwili, gdy stała przed tym właśnie facetem, nigdy by nie uwierzyła, że minuta rozmowy może wywołać w niej tak silne odczucia.

W myślach ponownie słyszała jego głos, gdy mówił o niej te rzeczy. Czy tym właśnie była? Wolnym duchem? A może jedynie chciał, by taka była.

Nieznajomy nagle stał się kimś zupełnie innym. Wpatrywał się w nią, jakby jej reakcja była czymś najważniejszym w jego życiu. Był śmiertelnie poważny, czekał trochę podenerwowany. Sposób, w jaki na nią patrzył, sprawiał, że czuła się zupełnie odsłonięta, wystawiona na widok w pełnym słońcu w środku dnia; łatwa do skrzywdzenia, jakby widział jej przeszłość i mógł spojrzeć w przyszłość; podniecona seksualnie, naga i zupełnie wyluzowana.

Muzyka ryknęła ponownie, głośna i wibrująca, tłum ścieśnił się i March poczuła na ramieniu twardą krawędź sceny. Od Michaela dzieliło ją zaledwie kilkanaście centymetrów - oddychali tym samym powietrzem - a ona czuła się jak balonik napełniony helem, który musiał być przywiązany do ziemi. Poezja tego, co do niej właśnie powiedział, obrazy, jakie to wywołało, jego uczciwość, to wszystko zasługiwało na więcej niż jej zwykłe cięte riposty i nonszalanckie komentarze.

Najwyraźniej była to jedna z brzemiennej w skutki chwil w jej życiu, gdy otwierały się przed nią nowe drzwi. Mogła przez nie przejść albo je minąć. Miała w sobie jednak dość pokory, by się zawahać. Jej siostra, May, nie zrozumiałaby tego i uciekałaby w przeciwną stronę. Przyjaciele zaś widzieliby w tym kolejną szansę. Ale czy naprawdę ktokolwiek inny miał znaczenie?

W tłumie blisko tysiąca osób na jedną krótką chwilę nagle było tylko ich dwoje. Michael Cantrell stał przed nią i prosił, by go kochała. Bez słowa wzięła go za rękę i wyszli.

2

Przez sześć miesięcy od tamtej nocy w Fillmore Mike Cantrell nie wyjawiał March sekretów swej duszy. W niektóre dni, bardziej niż w inne, łatwiej było wierzyć, że po prostu nie trafiała się odpowiednia chwila. Powtarzał sobie, że zamartwiała się o czynsz, kiedy w księgarni zlikwidowano jej zmianę, albo o trudny projekt przed ostatnim egzaminem, o kumpla ze szkoły, który nie miał natchnienia bez psychodelicznych narkotyków. Po co więc przysparzać jej więcej trosk?

A w momentach, gdy świetnie się bawili - teraz bardzo często - myślał, że nie może tego spieprzyć. Innym razem nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, które mógłby wypowiedzieć na głos. Śmieszne, bo z łatwością znajdował słowa usprawiedliwień, słowa, które stawały się dla niego wymówką.

Ukrywanie jednej namiętności, kiedy zżerała go druga, nie ułatwiało mu życia, bo to przypominało szamotaninę się między dwoma światami. Życie z nią było wspaniałe. Tak cudowne, że miał ochotę wspiąć się na szczyt góry i to wykrzyzczeć. Zadziwiająco! Słuszne!

To prawda, że March szybko stawała się jego najlepszą częścią. Nadal jednak nie miała pojęcia o tym, kim rzeczywiście był w ogromnej mierze, nie wiedziała nic o jego marzeniu. Niektóre rany są zbyt głębokie, by

miłość i zaufanie mogły je uleczyć, a kiedy Michael próbował wierzyć, że to możliwe, miał mętlik w głowie. W rodzinie tak łatwo i często nieświadomie ludzie najdotkliwiej kaleczą się nawzajem.

Don Cantrell, jego ojciec, był kierownikiem w cukrowni Spreckles - człowiek sukcesu, mówiący niewiele, za to wiele oczekujący. Mike i jego starszy brat, Brad, dorastali, jadając obiady jedynie z matką, oprócz niedziel, kiedy w jadalni ojciec siadał u szczytu stołu zastawionego porcelaną i zdominowanego przez pieczone żeberka, wędzoną szynkę albo udziec jagnięcy, z nożem w ręku, którym nieskutecznie próbował wyrzezać jakąś nić porozumienia z synami podczas jedyne w tygodniu, krępującego i zbyt formalnego posiłku. Rola ojca była jedyną, z którą sobie nie poradził.

Swój sukces zawdzięczał dumie Cantrellów, poganiany jakimś wrodzonym genem głodu, który zwalczał odziedziczoną przez niego skłonność do łagodności i zrozumienia. Sam doszedł do wszystkiego, jako syn rolnika i wnuk emigranta ze Szwajcarii, który przybył do Ameryki blisko przełomu wieków, bo chciał uchronić synów przed wcieleniem do wojska.

W poprzednim roku Brad podarł książeczkę wojskową, włożył do lodówki jej kawałki razem z kartą powołania do wojska i teraz był gdzieś w Kanadzie, o czym w rodzinie, a także wśród przyjaciół i wszystkich, którzy o tym wiedzieli, mówiło się szeptem. Fakt, że ich przodek przyjechał tu, uciekając przed poborem, zakrawał dla Mike'a na ironię, podobnie jak to, że jego ojciec pracował w firmie produkującej cukier.

Od kiedy Brad wyjechał, wszystko, czego Don Cantrell oczekiwał od obu synów, spadło na barki Mike'a. On zaś popełnił błąd, mówiąc ojcu o swoich marzeniach i o tym, co chciałby zrobić ze swoją przyszłością.

Ojciec śmiał się z tego do chwili, gdy zdał sobie sprawę, że Mike traktuje to bardzo serio. Don powiedział mu wtedy, że jest głupkiem, który musi dorosnąć i przestać myśleć, iż w życiu chodzi jedynie o zabawę i sprawy niemające znaczenia. Mike powinien wykazać zdrowy rozsądek i znaleźć zajęcie, dzięki któremu zarobi na uczciwe życie dla siebie i może też rodziny, jeśli kiedykolwiek stanie się na tyle odpowiedzialny, by pomyśleć o kimś innym, nie tylko o sobie.

Ponieważ najważniejszy człowiek w jego życiu nazwał go nieudacznikiem, chłopak nabrał przekonania, że tak samo będą myśleli wszyscy inni. Poszedł na studia, ponieważ świat tego oczekiwał, i tak samo jak inni nie chciał wlec tyłka do Dah Nang.

Jeden z jego kumpli zażartował kiedyś, że jeśli w dżungli byłoby prawie dwa metry śniegu, Mike zaciągnąłby się i złożył przysięgę. Żart był bardzo bliski prawdy. Mike czołgałby się przez dżunglę, przez pustynię, by dotrzeć do idealnego wzgórza, znaleźć idealne warunki i doświadczyć masy idealnego śniegu.

Już prawie od tygodnia śnieg padał w górach Sierra, co było znakiem, by poddać March próbie albo sprawdzić siebie samego, albo przekonać się, co razem tworzyli, dlatego z pewną nadzieją i udawaną odwagą wszedł do jej mieszkania o wpół do szóstej w sobotni rano, padł na łóżko i klepiąc ją po najładniejszej pupie, jaką widział, powiedział:

- Spakuj jakieś ciepłe rzeczy. Zabieram cię w góry.

Wlekli się autostradą międzystanową numer 80, ale dojechali nad jezioro Tahoe, gdy śnieg przestał padać i na kopule nieba nad górami pojawiły się błękitne łaty, a jezioro połyskiwało srebrzyście niczym kruszec wykopywany z ziemi przez potentatów kopalnianych w poprzednim wieku. Mike zjechał z głównej drogi,

okrążył jezioro i wkrótce zatrzymał się na parkingu w niewielkim ośrodku narciarskim na północnym brzegu. March obróciła się na fotelu.

- Co jest? Powiedziałaś, że bym nie brała nart. Och. Nie znoszę wypożyczonych.

- Nie będziemy jeździć na nartach.

- Bardziej od wypożyczonych nart nie znoszę niespodzianek.

- Nie, nieprawda. Nie znosisz sytuacji, kiedy nie wiesz, na czym polega niespodzianka.

- Chyba robię coś źle w naszym związku, bo mnie rozumiesz. Powinnam być tajemniczą kobietą, która szokuje. Enigmą. Trzymającą cię bez przerwy w napięciu. Prawdziwy paradoks. Chcę, żebyś widział we mnie wyśmienite wino, stuletnią szkocką whisky. Aksamitną i zagadkową. - Zmarszczyła czoło. - Zamiast tego stałam się nudna. Jak mleko.

- Lubię mleko, a ty nigdy nie będziesz nudna. Chodźmy.

Wyjął ich rzeczy z bagażnika, zarzucił sobie wielką torbę na ramię i niósł razem z resztą kłopotów. Wzięła od niego płócienny marynarski worek, a potem zacisnęła palce na jego dłoni i brnąc w śniegu, poszli razem.

W zupełnej ciszy świeżo spadłego śniegu szeleściła jedynie jedwabna tkanina, z której uszyto ich zimowe ubrania, gdy ocierali się o siebie. Powietrze było mroźne i krystalicznie czyste. Mike milczał, milion myśli kłębiło mu się w głowie, a wszystkie skupiały się wokół faktu, że teraz było już za późno, żeby się wycofać.

- Lepiej, żeby to było coś dobrego - odezwała się March po kilku minutach.

- Nie jest ci zimno?

- To zależy pod jakim względem. Nie będę wiedziała, dopóki nie zobaczę, dokąd mnie prowadzisz.

- To niespodzianka.

Tylko tyle potrafiła z niego wydobyć mimo zdeterminowanego wypytywania.

Zabrał ją do budynków naprawczych - trzech olbrzymich warsztatów z falistej blachy kompletnie zasypanych śniegiem. Usłyszeli warkot silnika pług śnieżnego, a zza rogu, dławiąc się i krztusząc, wyjechał wielki żółty spychacz, który zatrzymał się przed nimi.

Silnik zgasł, Rob Cantrell zeskoczył w puszysty śnieg. Ściągnął z głowy kominiarkę narciarską pokrytą kryształkami lodu. Jego kręcone włosy rozsypały się we wszystkie strony. Ruszył w ich kierunku w odpiętej kamizelce puchowej założonej na flanelową koszulę, ze skórzaną torbą z czerwonym plastikowym kubkiem, zawieszoną na pasku spodni.

- Mike! Cześć, kuzynie! Udało ci się. Świetnie.

- Rob. To jest March.

Rob wpatrywał się w nią dłużej, niż trwało zaczerpnięcie dwóch głębokich oddechów, i oświadczył:

- Chyba się zakochałem.

March roześmiała się, a Mike uderzył go w ramię.

- Odwal się. Ja pierwszy ją zobaczyłem.

- Zawsze byłeś szczęściarzem. Ale coś ci powiem, March. To najczarniejsza owca w rodzinie.

- Naprawdę? - Wsunęła rękę pod ramię Mike'a w taki sposób, że wyraziła tym gestem wszystko, zaoszczędzając mu słów. - Czarna owca? Miło słyszeć. Fatalnie bym się czuła, wiedząc, że rujnuję życie komuś zbyt porządnemu.

Jedno można na pewno powiedzieć o March: niełatwo zbić ją z tropu. Rzadko przegrywała słowne utarczki, a jeszcze rzadziej dawała się przegadać.

- Lubię ją - rzekł Rob, szybko dochodząc do siebie po pierwszym spotkaniu z March Randolph. - I chyba jednak się myliłem, tytuł najczarniejszej owcy przypada twojemu wielkiemu bratu Bradowi. Miałeś jakieś wieści od tego dekonownika?

- Wiem, że ostatnio jeździł autostopem po Kolumbii Brytyjskiej. Ale to było kilka miesięcy temu.

- A wujek Don?

- Palant, jak zawsze.

- To brat mojego ojca - powiedział Rob. - Te same geny. Ta sama odziedziczona osobowość. Bohater wojenny drzemiący w moim ojcu nadal nie może mi wybaczyć, że nie nadaję się do wojska. Wrzuć kłamoty do kabiny i włączcie na pokład. Ja pomogę March.

- Trzymaj łapy tak, żebym je widział - ostrzegł Mike.

Minuty mijały, gdy objeżdżali spychaczem podnóże góry, a tymczasem Rob opowiadał dziewczynie wszystkie głupiutkie historyjki, jakie tylko mógł sobie przypomnieć z czasów, gdy obaj z Mike'em byli dziećmi: o tym, jak ukradli landrynki na targu w okolicy, zostali złapani przez policję i odwiezieni radiowozem na sygnale do domu; o niedzieli, kiedy włali mleczko magnezjowe do maślanego ciasta babki, z którego słyęła; o tym, jak Mike głośno wrzeszczał, gdy dziadek odrąbał kurczakowi głowę, a potem bezgłowy ptak za nim biegł; o tym, jak łowili żółwie sępie i dali się zaskoczyć dziadkowemu bykowi medaliście, zwierzęciu, jak przysięgał Rob, wielkości Godzilli.

Mike dorzucił kilka okropnych historii o Robiem znęcającym się nad młodszą siostrą. W końcu March skonstatowała:

- Obaj nawet nie wiecie, jak bardzo jestem zadowolona, że nigdy nie miałam braci.

Spychacz skręcił ostro i bez trudu wtoczył się między drzewami na polanę, skąd prowadził stromy zjazd z wyciągiem linowym, z wejściem zagrodzonym łańcuchem i tabliczką z napisem „Nieczynne”. Kuzyn Mike'a zgasił silnik i zeskoczył na ziemię.

- Jesteśmy na miejscu, ślicznotko. Skacz w moje ramiona i uciekaj ze mną. Zostaw tego pokręconego matoła. Przysięgam, że będę cię rozpieszczęł.

- Tak samo, jak rozpieszczęłaś biedną siostrę, kiedy zamknęłaś ją w kufrze? - March zeskoczyła samodzielnie i klepnęła Roba w ramię. - Dzięki, ale nie skorzystam.

- Nie myśl, że jestem okropny. Płakała tylko przez godzinę. Cholera, minęło wiele dni, zanim znowu mogłem usiąść na tyłku. - Uniósł ręce w stronę kuzyna. - Daj mi chwilę. Odepnę łańcuch i uruchomię wyciąg. Potem zjazd należy do was.

Mike zrzucił bagaże.

- Wziąłem trzy deski. Zostajesz?

Rob odwrócił się, zrobił ku nim kilka kroków i się uśmiechnął.

- No jasne.

- Jakie deski? - March spojrziała ponad ramieniem Mike'a, który grzebał w rzeczach, wyciągnął gogle i założył rękawice narciarskie. Pochyliła się niżej. - Czy możesz mi powiedzieć, co będziemy teraz robić?

- Nie. - Odpiął suwak długiego pokrowca na skiboardy i wyjął z niego trzy ostatnie i najlepsze deski, które sam zrobił latem w garażu. Skiboardy, szerokie i przypominające kształtem deskorolki, ale bez rolek, miały z pasków zaczepy na buty, mogące utrzymać zwykłe skórzane botki, oraz ostre krawędzie, nad którymi Mike pracował tak długo, aż zaczęły przypominać metalowe krawędzie nart Rossignol.

- Mike? - zapytała March, marszcząc czoło.

Zarzucił sobie skiboard na ramię.

- Pokażemy ci. Obserwuj nas - rzekł. Kiedy zaczęła protestować, dodał: - Zostań tu, kobieto, i patrz.

Zasalutowała mu z ironiczną przesadą, a potem pokazała mu środkowy palec.

Wyciąg linowy sunął wolno jak żółw i wydawało się, że minie cała wieczność, zanim dotrą na górę zjazdu. Ale kiedy już się tam znaleźli i ustawili na szczycie, mając przed sobą szeroki pas białego puchu, jaśniejący oślepiająco w słońcu i czystym jak kryształ powietrzu, Mike poprawił gogle i spojrzął na Roba.

- Dziesięć dolców, że zjedziemy w dwudziestu ześlizgach i ty wywalisz się pierwszy.

- Stoi. - Rob naciągnął gogle na oczy i ruszył tuż za Mike'em.

Śnieg był idealny, nowy kształt deski sprawdził się i lepiej od nart nadawał się na głęboki sypki śnieg, który zasypywał ich ze wszystkich stron. Dla czegoś takiego warto było wracać w góry. Mike krzychał, nie mogąc zapanować nad podekscytowaniem, potrząsał pięściami, przecinając dwukrotnie trasę Roba, i pędził przed siebie w dół.

Nowa deska łatwiej skręcała, dobrze wchodziła w śnieg i pozwalała mu na większą kontrolę niż stary sprzęt. Ubiegłej wiosny na tych samych zboczach zjeżdżał tak często, że jazda wydawała mu się szybowaniem na chmurze, a deska stanowiła jakby naturalne przedłużenie jego ciała, unosiła się nad śniegiem, frunęła.

Wiele lat wcześniej przez krótki okres była w Disneylandzie atrakcja nazywana „Latającymi spodkami”. W ogromnym okrągłym pomieszczeniu w Tomorrowlandzie latały wielkie, płaskie gumowe spodki. Unosiły się kilka centymetrów nad ziemią i przemieszczały zgodnie z kierunkiem, w którym przechylił się pasażer. Mógł zrobić to wtedy, gdy miał wolną drogę. W przeciwnym razie wpadał na inny spodek, podobnie jak przy jeździe elektrycznym samochodziem w wesołym miasteczku.

Podczas wycieczki w tamto lato Mike i Brad spędzili pół dnia na wzajemnych pościgach spodkami, wpadali na siebie i odbijali się od ścian, naprawdę latali. To była największa atrakcja Disneylandu. Frajda oznaczona na bilecie literą E. Dzisiaj nie używa się tu takich biletów. Kiedy otworzono park rozrywki, sprzedawano książeczki z biletami na poszczególne atrakcje, mające swoje symbole literowe: A, B, C, D, E - E zarezerwowano dla największych hitów parku i tych książeczek było najmniej. Mike tak samo czuł się na tym zboczu, w tej chwili, na tej desce. Wszystko, co musiał robić, ograniczało się do pochylenia w kierunku, gdzie chciał frunąć. Jego najnowsza deska była taką atrakcją z biletem E.

Przeciął szerokość wzgórza, nonszalancko skręcił przy kuzynie i go wyminął. Rob usiłował zrobić taki sam manewr, ale się przewrócił.

- Dziesięć dolicz! - krzyknął Mike i pomknął w dół. Zahamował tuż przed March. Przez zaśnieżone gogle tylko fragmentarycznie widział jej uśmiechniętą twarz. Przesunął gogle wyżej i pocałował ją, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, po czym podniósł i obrócił się kilka razy.

- Boże... Chyba nie może być lepiej.

- O tak, może. Chcę być na tym zboczu z tobą. Chodźmy. - Wzięła drugą deskę i pobiegła przed nim w stronę wyciągu.

- March, zaczekaj!

Ale ona już stała na desce, przypięta do wyciągu, i jechała w górę.

Gdy znajdowała się mniej więcej sześć metrów wyżej, Mike krzyknął:

- Złaz stamtąd, najpierw zrobimy krótką jazdę próbną!

- Kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi!

- Daj spokój, March. Wracaj.

Popatrzyła w dół na niego, zamierzając najprawdopodobniej odszczeknąć mu się ponownie, ale straciła równowagę i wysliznęła się z liny, przeklinając.

- Powiem ci, co trzeba zrobić.

- Zawsze znajdzie się jakiś mężczyzna, który chce powiedzieć kobiecie, co powinna zrobić. - Przez chwilę wyglądała na poirytowaną.

- Nie mogę dopuścić, żebyś wróciła do domu ze złamaną nogą, słoneczko.

- Jeżdżę na nartach, od kiedy skończyłam trzy lata.

- To trochę się różni od jazdy na nartach. Bardziej przypomina deskorolkę. Jechałeś kiedykolwiek na deskorolce?

- Tak. - Ton, jakim to powiedziała, zdradzał, że March i deskorolka nie przepadały za sobą. Mimo to upierała się przy swoim. - No dalej, wielkoludzie. Oświeć mnie, co mam robić. Marnujemy czas.

- Czekam, aż mi opowiesz, co ci się przydarzyło na deskorolce.

- Śnieg jest znacznie miększy od betonu.

- Złamałaś sobie coś?

- Nic ważnego. - Odwróciła się i spojrzała w górę zbocza.

- Mamy cały dzień.

- Dobrze, już dobrze. Jestem praworęczna, a miałam gips jedynie na lewym nadgarstku. Przez sześć tygodni. Poradzę sobie. Naprawdę. Dam radę.

Odprężyła się i stała spokojnie na tyle długo, że zdążył jej wyjaśnić, jak skręcać i - co najważniejsze - że trzeba wbić pięty w śnieg, żeby się zatrzymać.

- W tym powinnaś być dobra - rzekł.

- Żartowniś. - Poklepała go po policzku.

- Pojadę pierwszy. Możesz zjechać za mną, ale dopiero jak będę na dole. Zgoda?

- Tak. Tak. Tak... no, dalej.

- Obserwuj mnie i nie zjeżdżaj, aż ci powiem. Rozumiesz?

- Tak, mistrzu.

Śmiejąc się, zjechał krótkim, bardziej płaskim odcinkiem zjazdu, zatrzymał się i obrócił do niej.

- Mogę już jechać, mistrzu? Proszę! Proszę!

- Któręś dnia napytasz sobie jęzorem niezłej biedy.

- To dla mnie nie pierwszozna! - zawołała do niego. - Spytaj mojego ojca. Chociaż w tym tygodniu się do mnie nie odzywa. - Zaczęła zjeżdżać.

Ku jego kompletnemu zaskoczeniu zrobiła trzy doskonale skręty - nawet ani razu się nie zachwiała - i zatrzymała się kilkadziesiąt centymetrów przed nim, uśmiechnięta i pewna siebie. Rob stał na szczycie zjazdu i głośno zagwizdał. W typowy dla siebie sposób March przesadnie się ukloniła, dotykając dłonią czoła niczym swamin. Pochyliła się jednak zbyt mocno, straciła równowagę i upadła twarzą w śnieżny puch.

Upłynęła minuta, zanim podniosła wzrok na Mike'a; z jej oblepionej śniegiem twarzy trudno było coś wyczytać, gdy zapytała stłumionym głosem:

- Teraz pozwolisz mi już wjechać na samą górę?

Pierwsze słowa, jakie Rob wypowiedział, gdy dotarli na szczyt wyciągiem, brzmiały:

- O rany. Ona ma to we krwi.

- Dlaczego wy, mężczyźni, mówicie o nas, jakby nas przy tym nie było?

- Przepraszam - rzekł Rob. - Ale, do diabła... kiedy sam próbowałem za pierwszym razem, szorowałem twarzą po śniegu aż na sam dół. Prawda, Mike? Krew leciała mi z nosa przez całą drogę. A tu? Żadnej krwi. Pokonała zbrocze tak, jakby robiła to całe życie.

Mike spodziewał się ciętej riposty, lecz March ich nie słuchała. Stała tuż nad krawędzią zjazdu i patrzyła w dół.

- Wiecie co, gdybym miała kijki - powiedziała w zamyśleniu - mogłabym naprawdę mocno się odepchnąć. Może trochę bym się przewietrzyła.

- Możesz się przewietrzyć. Skocz i tyle - zachęcił Rob. - O tak. - Podskoczył na podgiętych kolanach i już go nie było.

- Nie! - Mike sięgnął do niej ręką. - Nie rób tego.

Ale było za późno. March szybowała w powietrzu z deską tak ściśle przylegającą do piersi, że jej postać przypominała wielką, ciemną, ludzką pięść przeszywającą powietrze, a obszyty futrem kaptur jej kurtki furkotał za nią.

Mike wstrzymał oddech do chwili, gdy wylądowała na najbardziej stromym odcinku zbrocza. Deska wyskoczyła spod niej, a ona przekoziółkowała do przodu dobre trzy metry. Kiedy do niej dotarł, siedziała już z dłońmi położonymi na kolanach. Wszystko, co wtedy powiedziała po wypluciu śniegu z ust, ograniczyło się do:

- Potrzebne mi kijki.

- Nie, są niepotrzebne. To się nazywa równowaga - skwitował jej słowa i odjechał.

Przyłożyła dłonie do ust i krzyknęła za nim:

- To się nazywa nieuczciwa przewaga. Oszust!

Ponownie stanęła na desce i ruszyła z pełną prędkością, wrzeszcząc na Mike'a. Zatrzymał się na końcu zjazdu i obrócił, kiedy March, przysiadłszy nisko na desce, podjechała do niego.

Rzuciła się na Mike'a, oboje turlali się po śniegu. Słysząc było jej stłumiony śmiech do chwili, gdy znieruchomieli, cali w śniegu.

- Mam cię, mistrzu - powiedziała, podnosząc głowę.

- Nienawidzę niespodzianek - odparł, wypluwając śnieg.

- Nie, nieprawda. Nie znosisz sytuacji, kiedy nie wiesz, na czym polega niespodzianka.

- Bardzo śmieszne.

- Wiem - przytaknęła.

- Nie rozumiem. Surfowałaś kiedyś?

- Nie.

- A slalom na nartach wodnych?

- Kilka razy. Nie byłam w tym zbyt dobra. Dlaczego?

- Jakim cudem, do cholery, zjechałaś po całym zboczach, ani razu się nie wywalając?

- Talent, kochanie. Wrodzona umiejętność. Zdolność do błyskawicznego uczenia się. Nawet pracy nóg.

Ha! - Podniosła deskę. - Poza tym jestem kobietą. - Zaczęła śpiewać przebieg Marii Muldaur o rzeczach, które potrafią kobiety.

Stała nad nim, tańczyła, śpiewała i uśmiechała się tak, jakby świat do niej należał. Mike oparł ramiona na kolanach.

- A co ma do tego bycie kobietą?

- Stare rosyjskie przysłowie. Kobieta potrafi wszystko, mężczyzna może zająć się resztą. - Wyciągnęła przed siebie ręce. - Wstawaj, ślamazaro. Zrobimy to jeszcze raz.

Mike spodziewał się, że przez cały weekend będzie uczył March jazdy na desce, a tymczasem zajęło mu to tylko godzinę. Kiedy później o tym myślał, gdy jechali do chatki kuzyna w pobliżu Tahoe City, żeby zostawić tam rzeczy, podekscytowany dniem i March, zdał sobie sprawę, że nie powinien czuć się zaskoczony. Wszystko można było o niej powiedzieć, tylko nie to, że dawało się przewidzieć jej zachowanie. Jej przekonanie, że jest przeciętna, i marzenie o byciu kimś wyjątkowym uznał za wariactwo. Była lepsza od drogich win jego ojca, lepsza niż jakakolwiek stuletnia szkocka whisky.

Słoneczko. Ta pieszczotliwa nazwa pojawiła się w jego ustach tamtej nocy w Fillmore razem ze wszystkim, co myślał i czuł. Co w głowie, to na języku. Zupełnie się przed nią otworzył, powiedział dokładnie to, o co mu chodziło, i przez cały czas oczekiwał, że dziewczyna obróci się na pięcie i ucieknie. Ale oto proszę, była tu z nim, stała się najjaśniejszym elementem jego życia. Jego najszcześniejszym intuicyjnym wyborem.

Na obiad tego wieczoru, w towarzystwie kuzyna, mieli piwo z beczki i burgery z grubymi befsztykami przykrytymi krążkami cebuli; podawano to wszystko w czerwonych plastikowych koszyczkach w ulubionej knajpce Mike'a - położonej nad wodą w niewielkiej chacie, w której miejscowi tłoczyli się co wieczór - siedzieli tam na metalowych krzesłach, przy starym stole, niepasującym do reszty wyposażenia, stojącym przed ogromnym kominkiem, i jedli, a March wypytywała Mike'a o wszystko: jak robił deski i skąd brał na nie pomysły.

- Zaczęło się od szerszej narty, na której można było stać i zjeżdżać po zboczach, snurfera. Zanim jednak pierwszy raz ją zobaczyłem, przez wiele lat jeździłem na deskorolce. I surfowałem z Bradem w czasie wakacji w Santa Cruz.

- Któregoś roku wszyscy dostaliśmy od dziadka snurfery na Gwiazdkę - wtrącił Rob. - Dziadek opowiadał, że przypominały mu o czasach, kiedy sam był dzieckiem i zjeżdżał z gór na klepkach, z których robi się becзки, związanych razem sznurem od bielizny. - Rob kiwnął głową w stronę Mike'a. - Ten geniusz tutaj postanowił po jednym sezonie jeżdżenia na snurferze ulepszyć projekt.

- Miałem dość padania na twarz.

- Zawsze byłeś zbyt ambitnym dupkiem.

- Lepiej tak, niż być tylko dupkiem.

- Jesteś zazdrosny. Bo to mnie dziadek najbardziej lubił.

- Nie. Najbardziej to się martwił o ciebie. Z powodu testu na inteligencję, który zawałiłeś.

- Spadaj. - Rob się roześmiał, dopijając piwo.

On i Mike byli rówieśnikami, mieli podobne osobowości i ten sam wewnętrzny żar, obaj też musieli jakoś przetrwać w konserwatywnej rodzinie, rządzonej przez mężczyzn, którzy żądali od nich, by stali się swymi przeciwieństwami. Każdy z nich znajdował siłę w swym wewnętrznym ogniu, który wszyscy starali się zagasić.

- Na zajęciach praktyczno-technicznych musieliśmy przygotować jakiś projekt - opowiadał Mike. - Pomyślałem, że mogę połączyć zasadę budowy snurfera z czymś takim, jak deskorolka, deska do surfowania i narty. Tamta pierwsza deska do jazdy po śniegu była zrobiona z drewna, kawałka dywanu i aluminium.

- Człowieku... ależ pędziła. - Rob pokręcił głową. - Jeśli udało się na niej utrzymać i jakoś ją kontrolować, to na dole można było dostać mandat za przekroczenie szybkości.

- Zaczęliśmy się na nich ścigać. - Mike wyciągnął portfel, żeby zapłacić rachunek. - Nadal szukam odpowiedniego materiału na spód deski. Aluminiowe obicie nie jest dobre. Mimo wszystko jednak tymi deskami łatwiej sterować niż zeszlórocznymi. Ale musi istnieć coś lepszego.

Wyraz skupienia na twarzy March sprawił, że przez krótką, dotkliwą chwilę zwątpienia Mike zastanawiał się, czy ona myślała podobnie jak jego ojciec. Bał się, że zanudzał ją bezsensowną gadką o budowie snowboardów. Rob miał rację. Był pokręconym matolem.

March postukała w blat stołu.

- Pomyślałeś o tym materiale? O laminacie? Pamiętam, że ojciec kładł go w naszej kuchni. Czy nie laminuje się drewna?

Mike wymienił spojrzenia z Robem, który kiwał głową. To było takie proste.

- Co? - zapytała, patrząc to na jednego, to na drugiego. - Waszym zdaniem to nie jest dobry pomysł?

- Słoneczko... to doskonały pomysł.

Podczas zeskrobywania śniegu z samochodu March przekonywała Mike'a do wizyty w urzędzie patentowym. Już z powrotem w chacie, gdy tylko weszli do środka, obróciła się do niego, cofnęła i gestykułując, powiedziała:

- Myślę, że powinieneś zacząć sprzedawać swoje snowboardy, Mike.

Jej słowa sprawiły, że wszystko, co usłyszał od ojca, odeszło w niepamięć. March Randolph była najbystrzejszą dziewczyną, jaką znał, i wierzyła w niego. Aż do tej chwili bał się przyznać przed samym sobą, jak bardzo chciał być kimś w jej oczach.

Później, nocą, kiedy leżeli w ciemności spleceni nogami, March w zagięciu jego ramienia, wyznał jej, jak bardzo czuł się dumny, gdy zjechała ze zbocza. Że był zaskoczony. Zdumiony. I jego kuzyn się nie mylił. Miała to we krwi.

Ona zaś powiedziała mu, że go kocha, i milczała potem przez długi czas, choć nie spała i bawiła się włosami na jego piersi. Prawie zasypiał, gdy zapytała:

- Mike? Nie śpisz?

Popatrzył na nią. Coś w tonie jej głosu brzmiało niepokojąco.

- Nie. Dlaczego?

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Kiedy miałam około trzynastu lat... - Przerwała. - Może nie powinnam się do tego przyznawać. - Głos ją zdradził. Usiłowała zapanować nad śmiechem.

Mike przetoczył się najpierw na bok, a potem położył na niej, przyciskając ją do łóżka.

- Wyduś to z siebie.

- Ojciec kupił mi snurfera na Boże Narodzenie.

Po chwili milczenia to on zaczął się śmiać. I w tej samej chwili uświadomił sobie, że do końca życia chce pić wyłącznie mleko.

- Kochanie... Czy ty i Mike nie moglibyście wziąć normalnego ślubu? W kościele?

Słyszając te słowa, March zdała sobie sprawę, że Beatrice Randolph, jej przywiązana do tradycji, staroświecka matka, zapomniała już, że ślub powinien w zasadzie łączyć się z czymś romantycznym. Najwyraźniej rodzice nie potrafili zrozumieć wszechogarniającego, niczym nieskrępowanego uczucia, jakie towarzyszyło poślubieniu kochanego mężczyzny nie w kościelnych murach, ale na błoniach, pod otwartym błękitnym niebem, w otoczeniu cyprysowych drzew kołysanych wiatrem. Jak wzgórze w San Francisco mogłoby nie stanowić idealnej scenerii do ślubu, z królującym tam realizmem przyrody?

Od kiedy March wyprowadziła się z domu, nic się tam nie zmieniło. Rodzice nigdy tak naprawdę nie widzieli tego wzgórza - jedyne w swoim rodzaju miejsca na świecie - a przynajmniej nie tak, jak ona je widziała.

- To religijna ceremonia - powiedziała matka, stojąc w kuchni, dużym pomieszczeniu, gdzie jadali, z szafkami pomalowanymi na biało, miedzianymi rondlami zawieszonymi obok foremek do auszpików w kształcie ryb i klasycznych, biało-niebieskich talerzy, jakimi od kilkuset lat zdobiono ściany pokryte tapetami. - Nasz kościół jest przeuroczy. Wszyscy w całej parafii znają cię od dnia chrztu.

- Ale to nie ich ślub - odpowiedziała March po prostu. - Tylko mój. I Michaela. - W głębi serca nie chciała żadnych sidła zastawianych przez tradycję. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Odwiedzając dom rodziców, utwierdziła się jeszcze w postanowieniu, żeby ich ślub był przede wszystkim złożeniem przysięgi przez dwoje zakochanych.

- Ślub jest ważny dla panny młodej, kochanie, nie dla pana młodego - poprawiła ją matka.

- Przecież to także jego ślub. To nasze małżeństwo. Jest ważne dla nas obojga.

- Oczywiście, oczywiście.

- I weźmiemy go tylko raz, mamó.

- Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego swój jedyny ślub chcesz brać w lesie.

- Nie w lesie, tylko w parku. Mieszkasz tu przecież od tak dawna. Znasz miasto. Widok ze wzgórza jest wyjątkowo piękny. Kiedy stoi się na szczycie, widać ocean aż po zatokę i most, i kopułę nieba.

- March... Proszę... - Beatrice Randolph usiadła energicznie na krześle, co było nieomylnym znakiem jej niezadowolenia. Na blacie stołu leżały sterty magazynów dla nowożeńców i stare książki - poradniki etykiety, oprawione w kraciastą bawełnę, które matka wypożyczyła z pobliskiej biblioteki, razem z drukowanymi wzornikami zaproszeń zdobionych grawerunkami, na grubym kremowym papierze z welurową wkładką i tłoczeniami. Matka musiała przynieść je do domu i zadzwoniła do March, żeby przyszła, gdy tylko dowiedziała się o ślubie.

- Park jest bliżej niebios niż wnętrze jakiegoś dusznego kościoła - odparła dziewczyna.

- A wiatrzysko mało głowy nie urwie. Pomyśl o welonie. March pstryknęła palcami.

- Z tym nie będzie problemu, mamó. Nie będę miała żadnego welonu.

Beatrice oparła głowę na dłoniach i jęknęła.

- Ani białej koronkowej sukni z trenem.

- Powinnaś to przemyśleć. To będzie na dworze, March.

- Wiem.

- Mewy będą wszędzie robiły kupy - po długim milczeniu odezwała się matka.

- Och, mamó... - March wybuchnęła śmiechem. - Gdybyśmy byli Grekami, to uznalibyśmy to za dobry omen.

- Gdybyśmy byli Grekami, nadal mieszkałabyś w domu i nie spierałybyśmy się w tej chwili.

March usiadła naprzeciwko matki, wzięła ją za rękę i popatrzyła w oczy.

- Czy naprawdę spieramy się o mój ślub?

Beatrice przelknęła głośno ślinę, bez wątplenia czując się nieswojo, a potem w zamyśleniu spojrzała w dół na własne ręce. Paznokcie miała opiłowane w kształcie idealnego owalu, skórki zsunięte. Jak zawsze też pomalowała je czerwonym lakierem Coty. Nic nie szpeciło bladej skóry na dłoniach matki, nawet piegi. Miała cerę w kolorze kości słoniowej, jak każda naturalna rudowłosa kobieta. Od kiedy March sięgała pamięcią, słoczek z kremem nawilżającym, który pachniał dokładnie tak samo, jak wisienki do koktajli, zawsze stał przy zlewie. Ręce matki były czymś najdelikatniejszym w jej życiu.

Żrące rozpuszczalniki do farb i miejska, chlorowana woda zniszczyły dłonie March, sprawiały, że pękały jej i tak niemożliwie krótkie paznokcie. Również skórki przy paznokciach pękały i często krwawiły. Pierścionek zaręczynowy od Mike'a był jej zdaniem śliczny, naprawdę idealny: białe złoto i rząd niewielkich brylantów o bagietkowym szlifie wokół owalnego akwamarynu: kamienia przynoszącego jej szczęście. Samo patrzenie na niego wprost niewiarygodnie ją uszczęśliwiała. Ale ręce miała okropne, do czego się zresztą przyznawała.

Matka roześmiała się, wzięła dłoń March w swoje ręce i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w pierścionek. Wyraz jej twarzy zmieniał się powoli.

- Myślę, że w kościele może być duszno - powiedziała po minucie.

W tym momencie March wiedziała już, że zwyciężyła. Jej ślub odbędzie się dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała: majestatyczny widok i zielona trawa, latawce na niebie i setki dzwoneczków poruszanych wiatrem na drzewach. Jutro oprawione w kraciatą bawełnę książki wrócą do biblioteki, magazyny dla nowożeńców do poczekalni wuja dentysty, zaproszenia trafią do śmietnika albo do jakiejś teczki, gdzie będą czekały na jej siostrę May, co byłoby może nawet lepszym rozwiązaniem.

Beatrice ujęła jej drugą rękę o suchej, popękanej, brzydkiej skórze.

- Piękno jest wewnątrz twoich dłoni, nie na wierzchu, przelewa się na czysty papier albo blejtram. Masz twórcze ręce artystki.

Nawet w dniu, kiedy przepełniałby ją cynizm, uwagi March nie uszłyby duma w głosie matki.

To śmieszne, jak drobne, irytujące zdarzenia w jednej chwili przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie wobec szczyrych emocji. Jej konserwatywna rodzina, cała, ubierze się zgodnie z jej prośbą, będzie się wspinała po trawiastym zboczu i stała na wietrze znad Pacyfiku, żeby być świadkami chwili, w której March złoży najważniejszą w życiu przysięgę mężczyźnie, który ją kocha.

Wychowała się w tym domu. Zgodnie z nudną i jakże typową tradycją kuchnia była sercem ich mieszkania, tylko raz modernizowana, kiedy rodzice zdecydowali się na elektryczność jako główne źródło energii, podobnie jak wszyscy z podmiejskiego osiedla w ich sąsiedztwie.

W mieszkaniu na Haight March miała niewielką kuchnię ze starodawną kuchenką gazową, w której piekarnik zapala się zapałką, ale najpierw trzeba się mocno pochylić. Zawsze się bała, że gaz wybuchnie jej w twarz. Tego dnia przyszła do matki, żeby podzielić się z nią najświeższą wiadomością, w pełni przygotowana na taką samą reakcję.

- Chciałabym ci coś pokazać. - March położyła portfolio na stole i wyciągnęła pierwsze szkice i próby. - To moje ręcznie zaprojektowane zaproszenia na ślub. Każde jest trochę inne, widzisz? Żaden drukarz nie jest w stanie stworzyć dla nas czegoś takiego.

Matka brała zaproszenia po kolei, przyglądała się im, zanim rozłożyła wszystkie przed sobą. Papier, którego March użyła, miał postrzępione brzegi, był miękki i fakturowy, wypełniony ręcznie tuszem i piórem, jak dawne zwoje albo zapisy muzyczne ze średniowiecza. Ptaki, gwiazdy, nuty i płatki śniegu zostały namalowane dość dowolnie, niektóre miały uproszczoną formę. Na innych widać było maleńkie symbole kobiety i mężczyzny na przeciwległych szalkach wagi, na równym poziomie. Matka przyglądała się im dość długo.

- Są urocze i bardzo w twoim stylu.

- Popatrz też na te. - March przesunęła po stole dwa złożone na pół kartoniki, wstrzymała oddech i czekała.

Pastelowe kolory i przyjemny wzór zbiły matkę z tropu.

- Oba są bardzo tradycyjne. Pomyślałam, że będą ci się podobały. Widzisz kolory? Różowy albo niebieski. Będziemy musieli je rozesłać w październiku. Dziecko powinno przyjść na świat mniej więcej dziesiątego października.

Przez kilka sekund matka nie odezwała się słowem. A potem objęła głowę rękami i pokręciła nią.

- Och, Boże, March!

Tak więc ślub został szybko zaplanowany w renesansowym stylu, na świeżym powietrzu, w bujnie zielonym parku na wietrznym wzgórzu w San Francisco i odbył się w najlepszym możliwym dniu, dokładnie tak, jak March sobie wymarzyła. Wiatr uczestniczył w uroczystości, dzięki niemu jaskrawe, kolorowe latawce z jedwabiu szybowwały w powietrzu i dzwoniły dzwoneczki zawieszane na drzewach. Szarpał rękawami białej koszuli Mike'a i rozwiewał długie włosy młodej parze, jej ozdobione wiankiem z kwiatów i wstążek w cukierkowych barwach.

Wiatr wydymał haftowaną prostą sukienkę, uszytą z bawełny w kolorze sznurków do latawców i oblepiał nią jej ciało. W którąkolwiek powiał stronę, uwypuklał ledwie widoczne początki zmian w jej młodzieńczym i kiedyś beztruskim życiu - zaokrąglenie wywołane pierwszą ciążą - zapowiadając przyszłe macierzyństwo.

3

Mike pracował od jakiegoś czasu w cukrowni Spreckles, kiedy jego syn Scott przyszedł na świat po długim i mozolnym porodzie, dokładnie o trzeciej trzydzieści rano. March męczyła się ponad dwadzieścia cztery godziny i przez większość tego czasu zachowywała się w nietypowy dla siebie, nieracjonalny sposób, w jednej chwili zabraniając mężowi wejścia do pokoju, by w następnej wołać, żeby nigdy nie zostawiał jej samej.

W chwili gdy trzymał na rękach syna, wyglądającego jak mały czerwonoskóry człowieczek owinięty w kołderkę w niebiesko-białe pasy, Mike ledwie widział na oczy, był emocjonalnie wykończony, odrętwiały, ręce go bolały od ciągłego ściskania ich przez March, gdy siedział na brzegu jej łóżka, chciało mu się pić i jeść, ale najbardziej spać. Kiedy go o to poproszono, bez słowa policzył paluszki u rąk i nóg dziecka. Najpierw wyszło mu, że jest ich dziewiętnaście, potem że dwadzieścia dwa.

- Policz jeszcze raz, Mike - upierała się March.

- Posłuchaj. Ma jedną głowę. Moim zdaniem nie ma powodu do zmartwień. - Ale Mike się martwił. Nic nie miało już być dla nich takie jak wcześniej.

Dziecko stało się środkiem ich świata. Świata wszystkich. Mike wracał do mieszkania w Redwood City i natykał się na matkę albo teściową, które odwiedzały ich tak często, że odnosiło się wrażenie, jakby z nimi mieszkały. Obie kobiety dawały im rady, które często były ze sobą sprzeczne.

Jedną trzecią życia spędzał teraz na wojnie z bakteriami, gotując wszystko, co musiało mieć jakikolwiek kontakt z „dzieckiem”. (Przeczytał wszystkie książki o pielęgnacji niemowląt. March zarzucała mu nawet czasami, że niektórych nauczył się na pamięć).

Żeby gdziekolwiek pojechać, potrzebowali furgonetki, by pomieścić wszystko, co było potrzebne niemowlakowi. March zdecydowała się karmić piersią, co jednak wywoływało u niej frustrację i złe samopoczucie. Początkowo płakała niemal tak samo często, jak jej dziecko.

Z tym wszystkim jednak Mike umiał sobie poradzić. Tylko jedna, zupełnie inna rzecz go przerażała. Został ojcem, a znaczenie tego słowa go drażniło, stało się dla niego udręką i źródłem zwątpienia w samego siebie. Był odpowiedzialny za syna, za życie tego dziecka, jego przyszłość i szczęście.

Świat roił się od obcych, którzy z łatwością pochłonęliby jego dziecko w całości, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Życie, ludzie, odgryzają z nas wielkie kęsy. Mike'a przytłaczała ogromna, wyczerpująca odpowiedzialność za ochronę syna przed wszystkim, o czym wiedział, że czyha na jego dziecko, i bał się o nie jak jasna cholera.

W końcu, pewnej nocy, gdy chodził po pokoju z niemowlęciem na ręku, żeby March mogła się prześpać, obiecał synowi i całemu światu, ale przede wszystkim sobie: nigdy nie będzie trzymał się na dystans i zbyt wiele wymagał. Nigdy nie stanie pomiędzy dziećmi, tak jak jego ojciec często ustawiał się między nim i Bradem. Z pewnością nie będzie przychodził do domu raz w tygodniu, żeby rządzić, kroić mięso i oczekiwać, że te mizerne, atawistyczne chwile wystarczą, by synowie widzieli w nim ojca.

Tymczasem jednak Mike wstawał codziennie rano o piątej, podobnie jak jego ojciec przez wiele lat, i szedł do pracy, której nie znosił, bo pensja była dobra, a świadczenia socjalne nawet jeszcze lepsze. Miał rodzinę, więc robił to, czego od niego oczekiwano, wszystko, o czym wcześniej mówił mu Don Cantrell.

Wiadomość o drugiej ciąży March przyjęła bez zbyt wielkiego przerażenia. Scott nie miał jeszcze roku i szczerze mówiąc, była zbyt zmęczona, żeby skrzesać w sobie jakieś negatywne emocje. I tym razem zajście w ciążę stało się przypadkiem, podczas wyczerpującej nocy, gdy Scott miał zaledwie cztery miesiące.

Mike przyszedł do niej pewnej nocy, gdy była już w którymś miesiącu ciąży. (Znowu czytał najnowsze książki). Jedną z cech, które w nim zawsze uwielbiała, była umiejętność dostrzegania nawet śladowych możliwości w czymkolwiek, na co rzucał się z typowym dla Cantrella entuzjazmem.

A teraz jej ciąża stała się nagle jego obsesją. Każdego dnia oczekiwała, że Mike zacznie zwijać się z bólu, mając skurcze Braxtona-Hicksa. Tamtej nocy, po tym, jak gdzieś przeczytał, że płód w łonie kobiety wszystko słyszy, przyszedł do niej z genialnym pomysłem, by jak najwcześniej rozpocząć edukację ich dziecka.

- Skoro dziecko słyszy, pewnie może się uczyć, jak myślisz?

- Co ci chodzi po głowie?

- Nauczmy je liczyć.

- Świetnie. Będzie nam pomagało przy skurczach. Już słyszę, jak krzyczy z macicy: Raz! Dwa! Trzy! Oddech... Przyj!

- March. Mówię poważnie. Bo jeśli to prawda? Musimy spróbować.

Pstryknęła palcami.

- Mam pomysł. Nauczmy je algebry. Geometrii? Trygonometrii? Byłeś dobry w arytmetyce, prawda? Zawsze też możemy poprosić mojego ojca, żeby je uczył. Może już jako niemowlak będzie rozwiązywało równania wielomianowe za pomocą twierdzenia o pierwiastkach wymiernych i może nawet będzie rysowało siedem kontynentów.

Wbrew jej sarkazmowi i drwinom Mike pozostał niewzruszony. Nocami czytał do jej brzucha, co w sumie było fajne, bo często sięgał po klasyczne pozycje literatury, jak *Zew krwi*, *David Copperfield*, *Grona*

gniewu, dzięki czemu łatwiej zasypiała. Zresztą przez pierwsze trzy miesiące March mogła spać po dwadzieścia godzin na dobę bez żadnego czytania.

Uwielbiała, jak recytował wiersze. Niski głos Mike'a wypowiadający słowa poetów metafizycznych albo bitników, jak Cohen lub Ferlinghetti. To było cholernie podniecające. Tylko raz naprawdę się pokłócili, gdy Mike zdecydował się czytać jedną ze współczesnych powieści i z niewiadomych powodów wybrał *Dziecko Rosmary*.

Każdy dzień przynosił coś nowego. Mike postawił radio przy łóżku i łąpał na nim stacje z muzyką klasyczną, standardami, ścieżkami dźwiękowymi z filmów i Beatlesami. Na ośmiościeżkowym magnetofonie w samochodzie puszczał wszystko, od Bacha do Boba Dylana, od Smothers Brothers do *Hair*. Którejś nocy March obudziła się i zobaczyła, że Mike pochyla się nad jej wielkim brzuchem i liczy po hiszpańsku.

Mniej więcej na trzy tygodnie przed narodzinami Phillipa Mike spał, głośno chrapiąc, po lekcji hiszpańskiego, dwóch ariach Wagnera, Peterze, Paulu and Mary i mnożeniu przez siedem. March rozbudziła się zupełnie o wpół do trzeciej nad ranem, dziecko kopało ją jak oszalałe.

Ponieważ jej mąż był do pewnego stopnia odpowiedzialny za jej brak snu, pochyliła się i uderzyła go w ramię.

- Szybko, Mike. Obudź się.

- Co? - Usiadł, zdezorientowany. - Chodzi o dziecko? Nie ruszaj się. Dzwonię do lekarza.

- Nie... nie... Nie chodzi o dziecko. Chcę, żebyś wziął kątomierz, kochanie, i narysował mi na brzuchu trójkąt równoramienny, potem porozmawiamy o dzielnicy Castro, i chciałabym też pi, trzy i tysiąc czterysta szesnaście dziesięciotysięcznych wytatuowane o tutaj.

Mike jęknął i opadł na poduszkę.

- Bardzo śmieszne. Budzisz mnie, żeby sobie pożartować. - Przeciągnął się i ziewnął. - Znowu nie możesz spać, prawda? Która godzina? - Zerknął na zegarek i obrócił się twarzą do niej. - Teraz się ze mnie naśmiewasz, słoneczko, ale poczekamy, zobaczymy. Ten dzieciak będzie materiałem do Nagrody Nobla.

Wiele miesięcy potem, kiedy ich cudowny synek Phillip wypowiedział coś oprócz niemowlęcego gaworzenia (znacznie później niż Scott, który mówił za niego przez większość czasu, doprowadzając tym Mike'a do szału), było to słowo „mama”.

Przez dwa długie, śmieszne i wredne miesiące nazywał Mike'a „mama”. Dla March byłoby to jeszcze śmieszniejsze, gdyby mały nazywał go „mamacitą”.

W końcu ich potomek, potencjalny noblista, wymówił drugie słowo: „kupa”. Jego pierwsze zdanie? „Co za idiota!”, które wykrzyknął, gdy March zatrąbiła i pomachała sąsiadom. Tak, Mike wyedukował Phillipa. Ich pawłowowskie dziecko nauczyło się od ojca, że ilekroć naciska się klakson, krzyczy się „Co za idiota!”.

Mike zawsze robił swoje snowboardy w garażu rodziców. Na usilne nalegania March wystąpił do urzędu patentowego niedługo po tamtej zimie, kiedy pierwszy raz zabrał ją na deskę, i na długo przedtem, zanim się pobrali. Ale mając na głowie małżeństwo, rodzinę i pracę, nie zajmował się deskami od niepamiętnych - dla niego - czasów.

Po narodzinach Phillipa poszedł któregoś dnia do domu rodziców i przekonał się, że ojciec przeniósł wszystkie materiały i sprzęt do wyrobu desek do szopy, bo: „Masz teraz inne obowiązki. Już nie jesteś nastolatkiem”.

Z Donem Cantrellem nie dawało się dyskutować, więc za każdym razem, gdy March pytała Mike'a o deski, zbywał ją jakimś kłamstwem.

Pewnego wieczoru wrócił z pracy, której nienawidził, i potknął się o zabawki przy wejściu do mieszkania, gdzie pachniało sosem do spaghetti i zasypką dziecięcą. Rzucił krawat i sportową kurtkę na sofę w salonie, a potem ruszył do kuchni.

March powitała go z zimnym piwem w jednej dłoni, drugą machała, trzymając w niej list z Izby Handlowej.

- Mamy powód do świętowania. Przysłali patent.

Upił łyk piwa, usiadł i przeczytał list z mieszanymi uczuciami.

- Jest więcej nowin. Odstawiłam wcześniej Phillipa od piersi i znalazłam dzisiaj pracę.

To przyciągnęło jego uwagę. Odsunął od siebie piwo.

- Dlaczego? Przecież mam niezłą pensję. Nie musisz pracować.

- Tak. Ale powinnam pracować, nie tylko na siebie. Na ciebie też, Mike.

- Na mnie nie musisz. Wydawało mi się, że postanowiliśmy nie oddawać dzieci pod opiekę obcym ludziom.

- Nie ma takiej potrzeby. Mogę pracować w domu. Pamiętasz Dave'a Wilkersona z czasów, gdy jeszcze studiowałam w Instytucie Sztuki? Zadzwoił w zeszłym tygodniu. Uwierzyłbyś, że pracuje dla największej agencji reklamowej w mieście? Stone Morgan. Chcą zamówić u mnie parę grafik. Przez większość czasu będę mogła pracować w domu, ale oni mają też przedszkole - to firma prowadzona przez kobietę - więc jeśli zaistnieje potrzeba, żeby tam jechać, nie będzie problemu. Zarobię mniej niż ty, lecz zrównoważy to pełny pakiet socjalny, dzięki czemu wystarczy nam na wszystko.

Uklękła przed nim i położyła mu ręce na kolanach.

- Rzuć swoją pracę. Nienawidzisz tego, co robisz. Nie chcę, żeby to zabierało ci całą radość. Serce mi się kraje, gdy widzę, jak się męczysz, bo zrezygnowałeś z desek. Nie mogę cię zmusić, żebyśmy o nich rozmawiali. Usiłujesz to przede mną ukryć. Ale nie ukryjesz tego, że porzucenie marzeń powoli cię zabija. Rozmawiałam z twoją mamą. Wiem od niej, że ojciec przeniósł do szopy wszystkie deski i narzędzia już wiele miesięcy temu. Nigdy o tym nie wspomniałeś nawet słowem, Mike. A mieliśmy ze sobą rozmawiać. Nie musisz mi niczego oszczędzać.

- Nic mi nie jest. Tato miał rację. Uganianie się za mrzonkami praktycznie nie ma sensu ze względu na chłopców.

- Właśnie ze względu na chłopców ma więcej sensu. To ich przyszłość. Cięża, małżeństwo, dzieci to wszystko stało się dla nas przeszkodą na drodze do tego, czego pragniemy. A przecież dzieci są darem. Na pewno jednak nie są powodem, żebyśmy zmienili swoje życie w życie naszych rodziców. - Zaśmiała się krótko.

- Nie tylko ty się zmieniasz - zniżyła głos. - Przyznam ci się, że miesiąc temu kupiłam trzy wzorniki do haftowania.

- Ty? Haftowanie?

- Dobra gospodyni dom wesołym czyni. Jeśli zacznę grać w brydża, wszystko się dla mnie skończy.

Mike chciał wierzyć, że mogliby rzucić wszystko i lecieć na Księżyc. Marzył o takiej pracy, przy której nastawianie budzika byłoby przyjemnością, pracy, którą chciałby wykonywać długo po godzinach i szcycić się tak zarobionymi pieniędzmi. Ale był ojcem dwóch synków. Pogoń za marzeniami graniczyła z brakiem odpowiedzialności.

- Posłuchaj, kochanie - mówiła dalej March. - Moim zdaniem ten list to znak. Coś nam mówi. Wróćmy do miasta. Znajdźmy miejsce z odpowiednio dużą przestrzenią dla ciebie do pracy nad deskami. Cały dzień się nad tym zastanawiałam. Może jakiś magazyn albo mieszkanie nad warsztatem? Od gór dzielą nas tylko dwie godziny. Moglibyśmy jeździć w weekendy do ośrodków narciarskich i próbować sprzedawać twoje snowboardy. Na razie chłopcy są jeszcze mali, ale kiedy pójdą do szkoły, wtedy naprawdę będziemy uwiązani. Posłuchaj. Chętnie bym się założyła, że udałoby się nam załatwić jakiś pokaz przy wykorzystaniu lokalnych znajomości Roba. Może zdołalibyśmy kogoś nimi zainteresować przy okazji zawodów czy specjalnych zjazdów. Może Northstar? Ten ośrodek jest nowy. Potrzebny mu rozgłos. Mogłabym załatwić sponsorów reklamy. Może nawet udałoby mi się znaleźć dobrych sponsorów dzięki kontaktom w nowej pracy? To nasze pięć minut. Nasza szansa. - Wzięła go za rękę. - Możliwe, że jedyna. Czy naprawdę chcesz potem oglądać się za siebie i myśleć: gdybym tylko się zdecydował?

Mike miał świadomość, że żona dokładnie wiedziała, co mówić. Wiedziała, za który sznurek pociągnąć.

- Zrobimy to razem - powiedziała z pewnością siebie i jakby mimochodem. - Ty zajmiesz się deskami, a ja opracuję ich projekty graficzne.

W głębi duszy Mike staczał ze sobą walkę, rozdarty między tym, co musiał, a tym, co chciałby robić. Między tym, co było dobre, a tym, co złe. Czy to wszystko mogło być aż takie proste?

- Nic nie mówisz. Wiesz, że tego chcesz. Powiedz tak.

- Sam nie wiem, słoneczko.

- Powiedz tak. Co możemy stracić? Domu nie mamy ani żadnych zobowiązań finansowych. Jeśli nam się nie uda, to co jeszcze gorszego może nas spotkać? Zaczniemy od nowa. Ale przynajmniej otrzymasz szansę, żeby być szczęśliwym, choćby chwilowo.

- Szczęśliwym, kiedy ty będziesz zarabiała na rodzinę? Bardzo szybko podniosła się z podłogi, wsparła dłonie na biodrach i obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Od kiedy to jestem takim Panem Maczo, Który Musi Żywić Rodzinę? Zresztą jaka byłaby to różnica, gdybyś teraz kończył medycynę albo prawo, a ja musiałabym zarabiać? To bardzo małostkowe z twojej strony, Mike. Chcesz trzymać mnie uwiązaną w domu i znowu w ciąży?

- To niezły pomysł. Dobrze się bawiliśmy, robiąc tych dwóch.

- Obaj trafili się przez przypadek. - Złapała list i pomachała mu nim przed nosem. - A ty, naprawdę mądry i utalentowany człowiek z prawdziwą wizją przyszłości, rzeczywiście chcesz zignorować wyroki losu i najprawdopodobniej zrujnować naszą przyszłość?

- Przeznaczenie, cholera... Nie chcę rujnować nam życia.

- I nic takiego się nie stanie. Zawsze w ciebie wierzyłam. Tylko mi nie mów, że brak ci wiary we własne siły. - Przerwała i zbliżyła się do niego. - Zróbmy to.

Ze wszystkiego, co w owej chwili kłębiło mu się w głowie, najbardziej przerażająca wydawała się jej niezachwiana i ślepa wiara w niego. Dla niej ta cała sprawa nie była zabawą. Przez krótki moment Mike zastanawiał się, czy straci March, jeśli mu się nie uda, ale takie myślenie oznaczałoby, że on nie pokładał w niej równie niezachwianej wiary, z jaką ona ufała jemu.

Może dzięki jej wierze w niego mógłby odrzucić wszystkie defetystyczne frazesy, które kładł mu do głowy ojciec. Brak pewności siebie był jednak jego największą słabością, czymś gorszym od czegokolwiek, co usłyszał od ojca.

Miał wszystko w zasięgu ręki: marzenie, które mógłby zrealizować, otwarte drzwi - z zachętą, żeby przez nie przejść. Wszelkie możliwości rozbłyskiwały mu w umyśle niczym neonowe napisy. Zawody. Zjazdy skiboardowe. Sklepy sportowe. Poparcie. Olimpiady?

Niemal się roześmiał przy ostatniej ewentualności, nie potrafiłby nawet wypowiedzieć na głos tej mrzonki, dlatego wziął szklankę i uniósł piwo do góry.

- A co tam, do cholery... Zróbmy to.

4

W rok po tym, jak mistrz wyścigów na desce, Hank Knowles, pojawił się na sprzęcie Cantrella w nadawanej w całym kraju reklamie piwa, i dwadzieścia osiem miesięcy po tym, jak „Sports Illustrated”, „Good Morning America” i sieć Entertainment and Sports zdały relacje z pierwszych krajowych mistrzostw w jeździe na desce, March i Mike przeprowadzili się ze swego pierwszego domu w dzielnicy Marina do sporej rezydencji na Russian Hill, skąd mieli stuosiemdziesięciopniowy widok na San Francisco i zatokę. Oba domy były ogromną zmianą w porównaniu z popadającym w ruinę, pełnym przeciągów, trzypokojowym mieszkaniem nad magazynem przy Eleventh Street, ich pierwszym lokum w mieście, do którego wprowadzili się, kiedy Mike rzucił pracę w Spreckles.

W tamtej starej kamienicy, niedaleko bezkolizyjnego skrzyżowania autostrad w San Francisco, March uganiała się za dwoma małymi i bardzo żywiołowymi synkami, podczas gdy jej mąż pracował godzinami przy wyrobie skiboardów, które sprzedawał w pobliskich górach w czasie zimowych weekendów.

W mieszkaniu, gdzie w żaden sposób nie dawało się utrzymać porządku, bo wszystko się sypało, ona i Mike przygotowywali na zmianę obiady w piecyku, który przypalał brzegi każdej zapiekanki, na jaką z trudem zarabiali, i gdzie sprzeczali się o projekty graficzne, robione przez March wczesnym rankiem, kiedy na zewnątrz było jeszcze ciemno, oraz w czasie drzemki dzieci.

Patrząc z perspektywy czasu, mimo że tamte pokoje były w fatalnym stanie, to właśnie w nich rodzina Cantrellów odbiła się od dna i przeżyła tyle lat, że chłopcy przestali potrzebować drzemki, a oni przenieśli się do miejsca, gdzie piekarnik działał bez zarzutu, March zaś dozorowała jedynie pracę grafików zatrudnionych w Cantrell Sports Inc.

Skiboard przeszła metamorfozę w surfing na śniegu, a potem w snowboard, nową dyscyplinę sportu, która rozwijała się niemal równolegle na dwóch końcach Stanów Zjednoczonych - na Zachodnim Wybrzeżu dzięki Mike'owi i na Wschodnim Wybrzeżu dzięki Jake'owi Burtonowi. W obu widziano wizjonerów, połączonych fascynacją deskami i twórczą wyobraźnią, którzy razem z innymi entuzjastami surfingu i deskorolek promowali i rozwijali nowy sport, by w końcu ścigać się na zawodach w Kolorado, Vermont, nad jeziorem Tahoe i na Mt. Baker. Sieć Entertainment and Sports desperacko potrzebowała czegoś do wypełniania dwudziestoczterogodzinnej ramówki, dlatego zaczęła filmować zawody i wyścigi i nadawać je w kablówce.

Kiedy chłopcy Cantrellów mieli po dziewięć i dziesięć lat, parki snowboardowe stały się bardzo popularne w niektórych znanych ośrodkach narciarskich, a ich rodzina przeprowadziła się do Russian Hill jedynie z absurdalnego powodu, zwiększenia odpisów podatkowych.

Prawdą było jednak i to, że March pokochała ten dom od pierwszej chwili, gdy weszli do środka. Mieli szczęście, że mieszkali w tak romantycznym, pełnym wyrazu mieście, gdzie poszczególne domy stawały się znakami topograficznymi. Klasyczne stare domostwa, które wielokrotnie mijała, jadąc samochodem, zaczęły zakradać się do jej szalonych marzeń.

Niczym zapowiedź tego, co miało nadejść, przez całe lata March odczuwała dziwną radość, gdy stała na czerwonym świetle i po prostu patrzyła na jeden z tych domów. *Zamieszkanie w nim to ideal życia.*

Był to naprawdę piękny dom na słynnym rogu, w pobliżu najbardziej krętej ulicy świata, z widokiem obejmującym otulone mgłą mosty i światła miasta po srebrzącą się wodę i błękitną misę nieba. Obłożony kalifornijskim stiukiem w kolorze masła, z terakotowymi dachówkami i ciemnymi drewnianymi drzwiami i framugami okien przypominał domy stojące na wzgórzach na wybrzeżach Morza Śródziemnego i należał kiedyś do sławnej hiszpańskiej śpiewaczki operowej.

Niedługo po wprowadzeniu się March odnowiła główną sypialnię na piętrze, nadając jej soczysty czerwony kolor, bo przeczytała wystarczająco dużo o historii tego domu, by wiedzieć, że ten pokój wymagał barwy - barwy namiętności. W noc po pomalowaniu sypialni na czerwono March i Mike wypili sporą butelkę caberнета, słuchali *Carmen*, karmili się nawzajem owocami, importowanym serem i kochali się trzy razy na trzystuletnim dywanie z jedwabiu.

W jakiś czas potem March zaczęła mieć poranne nudności i chrapała głośno już o siódmej wieczorem. Były to oznaki, które знаła aż nazbyt dobrze z poprzednich ciąży. Dziewięć miesięcy i trzy dni później urodziła się Molly, ku początkowej radości i późniejszemu rozczarowaniu jej dwóch starszych braci, Scotta i Phillipa.

Przy pierwszym spojrzeniu na nią Mike się roześmiał - był to ich intymny żart - bo córeczka miała rude, prawie czerwone włosy. Od tamtego dnia zawsze kojarzyła się im z czerwienią, kolorem intensywnych uczuć. Częściej niż rzadziej Molly żyła tak, jakby chciała udowodnić słuszność tego skojarzenia.

Weszła do rodziny niczym trzęsienie ziemi i wstrząsnęła nią, tak bardzo bowiem różniła się od Scotta i Phillipa. March umiała czytać w buziach chłopców, wiedziała, kiedy coś było nie tak, dostrzegała zbliżające się problemy, wiedzioma nieomylnym instynktem matki.

Jednak w odróżnieniu od chłopców Molly nie trzymała się kurczowo matki nawet jako niemowlę. Fascynował ją świat zewnętrzny. Począwszy od pierwszego widzianego motyla, a skończywszy na tłumie na Union Square w Boże Narodzenie, wierzyła, że cały wielki świat należy do niej.

March wychowała się w rodzinie, w której były trzy kobiety i jeden mężczyzna, jej ojciec, Molly zaś znalazła się w rodzinie mężczyzn, w której była jedynie kolejną kobietą. Zamiast jednak połączyć kobiece siły, zawsze znajdowały się po przeciwnych stronach, niczym rycerze biorący udział w turnieju, gotowi wysadzić przeciwnika z siodła.

Podczas gdy siła March i jej panowanie nad całością były osią, wokół której kręciła się cała rodzina, Molly stała się księżniczką z niesłychaną umiejętnością naginania woli innych do własnych celów i sprawiania, że wszyscy wchodzili w role jej lokajów.

March i kobiety jej podobne należały do pokolenia, które miało się między dwiema kulturowymi postawami kobiet - wychowane na grzeczne dziewczynki, na podobieństwo własnych matek, z czasem zaczęły się głośno dopominać o niezależność i prawa jednostki w społeczeństwie, zdominowanym przez ponury system patriarchalny mimo jego okrzykanego liberalizmu i wolności.

Większość kobiet w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych musiała mieć faceta jako pomocnika we wszystkich sprawach finansowych. Na początku małżeństwa, kiedy March zadzwoniła do banku, żeby załatwić kartę kredytową, nikt nie chciał z nią rozmawiać, choć zarabiała znacznie więcej od męża i płaciła rachunki. Urzędnik musiał rozmawiać z panem Cantrellem.

Jej córka Molly urodziła się już jednak w świecie mężczyzn zmienionych przez kobiety takie jak March. Niemal z pierwszym zachłyśnięciem się postfeministycznym powietrzem instynktownie wiedziała, jak funkcjonować w teraźniejszości, która nie miała prawie nic wspólnego z zasadami rządzącymi rzeczywistością March.

Matka i córka mogły wyglądać przez to same okno i widzieć zupełnie inną scenę. Matkowanie Molly przypominało rodzaj wyszukiwania postaci na obrazku, na którym umieszczono setki rozpraszających elementów. Co za ironia losu: March, która tak bardzo pragnęła córki, zamiast niej urodziła diwę.

- Byłaś bardzo trudnym dzieckiem. Ma to po tobie, kochanie. Zawsze uważaliśmy z ojcem, że twoje imię jest wybrane idealnie. March, a jak to w marcu, pogoda jest nieprzewidywalna. - Tylko tyle powiedziała jej Beatrice.

- Tato bez przerwy to powtarzał. Śmieszne, bo w ogóle nie czuję się nieprzewidywalna. - March była wyczerpana. - Molly i ja to całkowite przeciwieństwa. Moja córka w niczym mnie nie przypomina.

- Ale będzie - dodała matka.

Mike postrzegał ją w klarowniejszy sposób, typowy dla mężczyzn widzących wszystko w czarno-białych barwach, podczas gdy kobiety patrzyły na nią niczym na dezorientującą mieszaninę intensywnych kolorów.

- Jesteś i zawsze byłaś niezależną kobietą, która nigdy nie bała się powiedzieć światu, co myśli. Popatrz, jesteś silna i twoje emocje też są silne. Dlaczego, na Boga, chcesz, żeby twoja córka była choćby trochę inna?

March milczała przez dłuższy czas, wiedziała bowiem, że miał rację.

- Bo gdyby była choć trochę mniej krnąbrna, moje życie stałoby się łatwiejsze.

- A w naszym małżeństwie byłoby spokojniej, gdybyś ty spróbowała być taka.

- Przecież wiesz, że uwielbiasz się ze mną kłócić. Twoje życie staje się wtedy ciekawsze, nabiera barw.

- Popatrz więc na to w ten sam sposób, słoneczko. Nasza mała ruda Molly jest kolorem twoich dni. Nigdy nie będziesz się przy niej nudzić. Czytałem kiedyś w samolocie o tym, jak my, rodzice, popełniamy błędy, doszukując się w dzieciach nas samych. Zdaniem autora psychologa nasza wiara w to, że jeśli uda się nam dopatrzeć naszych cech w dzieciach, to dowiemy się, na jakiej zasadzie pracują ich umysły, jest naturalna, narcystyczna i konieczna. Ale udowodniono naukowo, że cechy genetyczne przeskakują o kilka pokoleń. Dlatego nasi rodzice nie mieli o nas pojęcia, podobnie jak my nic nie wiemy o naszych pociechach.

- Bóg nie mógłby być tak okrutny. - March opadła na klubowy fotel i przycisnęła do piersi poduszkę, którą z niego podniosła. - A matka natura nie zrobiłaby czegoś takiego drugiej kobiecie.

- Kobiety są najsurowsze dla innych kobiet. Sama tak powiedziałaś. Macierzyństwo jest emocjonalnym ekstremum dla kobiety...

W tym momencie marzyła, żeby się zamknął. To był mężczyzna, który nie potrafił dobrać butów, koszuli i krawata, który regularnie gubił pilota, za to w dziwny, magiczny niemal sposób zawsze znajdował jej kluczyki do samochodu i w nieoczekiwanych chwilach cytował coś z jakiegoś nowego poradnika o różnicach pomiędzy kobietami i mężczyznami... i to on mówił jej o macierzyństwie? Gdyby choć jedno z ich dzieci urodziło się przez jego penisa...

- ...Płeć męska lub żeńska są nam narzucane przez losowy układ chromosomów, ale prawdę mówiąc, sami decydujemy o zostaniu rodzicami. To fascynujące. Nasze wybory stają się naszymi największymi, najtrudniejszymi do przeżycia błędami. W zasadzie najważniejsze u tego naukowca było jedno: nigdy nie uda się nam wynagrodzić tego dzieciom. - Mike zdjął krawat i powiesił na klamce szafy, choć wieszak na krawaty miał przed nosem, zrzucił buty z nóg obok łóżka i odszedł od nich.

Gdyby ich nie podniosła, potknęłyby się o nie w środku nocy, idąc do łazienki.

Cisnął koszulą przez całą garderobę do kosza z brudną bielizną, ale chybił. Potem obrócił się do March z rękami przy pasku.

- Mike?

- Co? - Klamra paska uderzyła o drzwi łazienki, gdy wieszał go na klamce.

- Uważam, że powinieneś zacząć czytać literaturę piękną. - Rzuciła w niego poduszkę.

W miesiącu ukazania się zdjęcia Mike'a na okładce „Business Week” z podpisem „To tylko wydaje się łatwe”, („to” odnosiło się do wylansowania jazdy po śniegu na desce), Mickey, ich czwarte dziecko, który próbował zjechać po schodach samochodem Transformerem, miał założone siedemnaście szwów na czole. Za tym wypadkiem stali Scott i Phillip, przyłapani w rogu podestu schodów prowadzących na piętro wyżej, gdzie szeptem przysięgali sobie nawzajem, że nie opowiedzą ojcu o tym, co zrobili.

Mike wychowywał się ze starszym bratem i świetnie rozumiał relacje między rodzeństwem. Brad robił z niego głupka wystarczająco wiele razy, żeby dobrze zapamiętał wszystkie siniaki, podpuchy i świństwa. Złośliwe wyglupy między nim i Bradem były częścią zwykłego rodzinnego życia.

Jednakże to reakcja ojca nadała ich braterskim psikusom niszczycielski wymiar. Za każdym razem, gdy Brad nad nim triumfował, Mike widział, że wychodzi na coraz większego głupka w oczach ojca. Czasami najmroczniejsze z odziedziczonych cech dochodziły w nich do głosu i zadawali sobie częściej psychiczne niż fizyczne rany.

Wraz z upływem lat jego własne dzieci sprawiały, że życie stawało się dla niego pełniejsze, choć były się o pieniądze z „Monopolu”, największy kawałek ciasta, o to, kto będzie siedział pośrodku, czyja sypialnia jest lepsza i często zdarzało się tak, że Scott i Phillip tak się zacietrzewiali w kłótni, iż nie zauważali Molly, która wślizgiwała się skrycie i zabierała to, co było jej potrzebne, gdy bracia nie patrzyli.

Zdarzało się jednak, że czasem dobierali się też do niej, jak wtedy, gdy uczyli ją strzelania palcami w drugą stronę albo nakładli jej mrówek do łóżka. Jednak dla Mike'a Molly była motylem, który zdawał się rozświetlać zwykle rzeczy w jego świecie, nadając im walor wyjątkowości. Jej osobowość potrafiła wszystko, co nieoczekiwane, uczynić elementem codzienności.

- Tato, wiesz skąd jest tęcza?

- Z Irlandii? - pytał.

- Nie, głuptasie.

- To sprawka krasnoludków?

Chichotała tak, jak to potrafią tylko małe dziewczynki, wydając z siebie proste dźwięki, które sprawiały mu niesłychaną przyjemność.

- To światło jest rozszczepiane w kroplach wody - powiedziała. - A ponieważ krople wody są okrągłe, załamują światło. Tęcza jest tak naprawdę pełnym kołem kolorowego światła, ale stojąc na ziemi, nie możesz zobaczyć jego drugiej połowy.

- Gdzie można znaleźć samородki złota? - pytał, drażniąc się z nią. Ale wiedział, że prawdziwy samородek złota idzie obok niego, ma długie rude włosy zaplecione w warkoczyki i jest dziewczynką, która pstryka palcami w drugą stronę, potrafi objaśniać naukowe fakty i dorównuje swoim braciom, bo nasypała im do bokserów proszku powodującego swędzenie - w odwecie za mrówki - i bez przerwy przypominała mu, jaką cudowną rzeczą jest wyobraźnia.

Tego dnia, kiedy opowiadała mu o tęczy, szli do Alioto's, żeby kupić ostrygi. Mike przystanął na sekundę.

- Popatrz na to, placuszk. - Wskazał na piórko białej mewy leżące na ziemi. - Czy wiesz, co to jest?

Pochyliła się i podniosła je.

- To jest piórko.

- To także wiadomość. Białe piórko jest prezentem od kogoś, kto cię kocha. Od kogoś w niebie. Gdy byłem mniej więcej w twoim wieku, niedługo potem jak dziadziś, mój dziadek, a twój pradziadek zmarł, zacząłem znajdować białe piórka w butach, w zeszytach, zatknięte za rączkę roweru. Pewnego dnia babcia zobaczyła, że podnoszę jedno z nich, i to właśnie ona powiedziała mi, że są od niego. Dowody na to, że za mną tęsknił, jak wyjaśniała.

Nie powiedział jednak córce, patrzącej na niego do góry szeroko otwartymi oczami i zaciekawionej idealnie białym piórkiem, że ojciec z kolei kazał mu zapomnieć o tych bredniach. Dziadek nie żył, a piórko zgubiła po prostu zwykła mewa.

Dzięki własnym dzieciom - patrzeniu na to, jak rosną, na chłopców, którzy robią sobie wzajemnie śmieszne, choć okrutne kawały, na córkę z rozbudzoną wyobraźnią, opowiadającą historyjki, i Mickeya, który

niczego się nie bał i porywał się na wszystko tylko dlatego, że naśladował braci - Mike zrozumiał, co stracił jego ojciec.

On sam bardzo wcześnie podjął decyzję, jakim chciałby być ojcem: tatą, który zachowuje spokój, wykorzystuje karty przetargowe, który rezygnuje ze swoich zasad, żeby być sprawiedliwym wobec wszystkich dzieci, na ile będzie to możliwe.

Starsi chłopcy dostali takie same rowery w to samo Boże Narodzenie. Każde dziecko zawsze otrzymywało tyle samo prezentów, jak reszta, zresztą kupionych nawet za taką samą sumę pieniędzy - stosował tę regułę aż do czasu, gdy najstarsi chłopcy stali się nastolatkami, wtedy dołączył do tego aspekt etyki i zaczął wymagać, by Scott i Phillip zasłużyli na prawo skorzystania z samochodu lub łodzi.

Ale przez większość ich życia był ojcem, który dzielił ciasto na równe kawałki, zanim dotknął się do niego ktokolwiek inny. W odróżnieniu od March, która, od czasu gdy dzieci były jeszcze małe, pozwalała, by walczyły ze sobą o lepsze kąski albo - ułatwiając sobie sprawę - wybierała zwycięzcę, podając jakiś wydumany powód, z czym chłopcy zawsze się godzili bez cienia żalu.

Potem zjawił się Mickey, najmłodszy i nazwany jego imieniem, który dorastał, usiłując znaleźć własne miejsce między silnymi osobowościami Cantrellów. W jakiś sposób, niedostępny dla Mike'a, zbliżył się do matki. Siostra, Molly, traktowała go w połowie jak domowe zwierzątko i w połowie jak irytującego młodszego brata, który, gdy była nastolatką, za każdym razem, kiedy przychodził jakiś chłopak, żeby zabrać ją na randkę, recytował przez okno kretyńskie rymowanki o całowaniu. Drażniła się z nim para braci starszych od niego o ponad dziesięć lat, których uwielbiał i przez cały czas usiłował dotrzymać im kroku.

Żeby mieć równe szanse na placu zabaw, gdzie średnia celności strzałów rodzeństwa wynosiła 9,75, Mickey musiał trafiać z dokładnością 10,00. Nauczył się ignorować ostrzeżenia, rezygnować z namysłu i tłumić strach, powtarzając sobie jak zaklęcie: „masz to zrobić i koniec”. Zjeżdżanie na desce za braćmi najtrudniejszymi trasami sprawiło, że niczego się nie bał, jeszcze zanim zaczął chodzić do szkoły, dzięki czemu stał się w końcu chojrakiem, Cantrellem, który chciał znaleźć się w centrum zainteresowania. Na niemal wszystkich filmach wideo z życia rodziny wyczyny Mickeya zajmują najwięcej czasu.

Jako najmłodszy z rodzeństwa musiał bardzo się starać, by wywalczyć sobie własną pozycję w rodzinie. Zadanie niełatwe, gdy ma się siostrę taką jak Molly i starszych, żywiołowych braci, którzy nauczyli go, że przyciągnie ich uwagę jedynie wtedy, gdy będzie łamał wszelkie zasady.

Nagle okazało się, że Mike nie potrafi wyrównywać szans najmłodszego dziecka na placu zabaw. Mickey spędził więcej czasu na pogotowiu niż pozostała trójka razem wzięta, wyrzucono go z przedszkola, stracił rok nauki, ale potem przeskoczył od razu do trzeciej klasy. W podstawówce był jedynym uczniem, którego nazwisko figurowało wśród najlepiej uczących się dzieci, a którego jednocześnie zawieszono za to, że udało mu się wśliznąć do administracji szkoły i zmienić ustawienia systemu dzwonek, odzywających się po jego wizycie co dziesięć minut. Znajdowanie się w centrum uwagi było ważne dla Mickeya, niezależnie od tego, czy z powodów godnych pochwały, czy nagany.

Mike nigdy nie chciał być ojcem, który budzi strach w dzieciach, ale Mickey wystawiał jego zasady na najcięższe próby. Nie istniał poradnik dla rodziców lub rozprawa z dziecięcą psychologią, które pomogłyby mu

przygotować się do wychowywania najmłodszego syna lub choćby zrozumieć niespodzianki szykowane przez niego, czyhające za każdym rogiem.

5

March dała Molly swój stary aparat fotograficzny - brownie, gdy córka miała zaledwie dziesięć lat. Kupiła jej naprawdę dobry aparat na trzydziestopięciomilimetrowe filmy, kiedy dziewczynka chodziła do gimnazjum i wybierała się z klasą na wycieczkę do Waszyngtonu. Gdy zdała do liceum, Mike zbudował jej ciemnię w tylnej części jednego z garaży. Molly prowadziła fotograficzną kronikę rodziny Cantrellów zarówno w kolorze, jak i na czarno-biało.

Pewnego niedzielnego popołudnia, po futbolowym meczu Forty Niners, Molly wyciągnęła z domu Mike'a i March, tłumacząc, że w związku z jakimś szkolnym projektem fotograficznym musi zrobić rodzinny portret.

Na początku października w prawie całej Kalifornii panowało babie lato i nierzadko temperatura w mieście sięgała dwudziestu czterech stopni o godzinie czwartej po południu, a następujący później zachód słońca zabarwiał niebo na czerwono i purpurowo. Było właśnie tak ciepło, gdy Molly uparła się, żeby jechać przez miasto na wzgórze, gdzie March i Mike wzięli ślub. Zużyła kilka rolek filmów, fotografując ich tam na wszelkie możliwe sposoby.

Zdarzały się chwile tamtego popołudnia, kiedy siedząc na skale albo opierając się o poskręcany cyprys, March podnosiła wzrok i widziała w oczach Mike'a specyficzny błysk. Mąż ścisnął ją za ramię.

- Wydaje mi się, że tu, gdzie stoimy, May rzuciła w Roba singapurskim slingiem.

Zaczęła się śmiać i popsuła ujęcie.

- Mamo! Nie mogę zrobić dobrego zdjęcia, bo jesteś pochylona.

- Przepraszam. To ojciec sprawia kłopoty.

- Tato... proszę.

- OK, placuszku. - Mike skłonił ku żonie głowę i powiedział: - Nadal widzę twoją matkę, jak ogania się od pszczoł wielkim słonkowym kapeluszem.

March usiłowała ponownie stłumić śmiech, ale bezskutecznie, bo przypomniała sobie widok własnej matki uderzającej ojca Mike'a w tył tysej głowy.

- Twój ojciec wyglądał na zupełnie zdezorientowanego, kiedy się obejrzał i zobaczył, że to ona. Strasznie jej współczułam, gdy tak stała zażenowana. Po prostu okropnie bała się pszczoł.

- Po tym, jak Beatrice nieźle go zdzieliła, w pierwszej chwili zacząłem się zastanawiać, czy udałoby się posmarować mu miodem całą głowę. Pomyślałem, że twoja matka mogłaby nawet odegrać się na nim za wszystkie draństwa, jakie mi zrobił.

March spojrzała na niego i poklepała go po rękę.

- Wiem. Ale on pewnie nie wiedział, że można postępować inaczej.

- Ha-lo! Ziemia do rodziców. - Molly stanęła przed nimi, wyraźnie niezadowolona. - Możecie z łaski swojej zwrócić na mnie uwagę? Chcę, żebyście popatrzeli w obiektyw, zanim stracę idealne światło.

Mike spojrział na nią.

- Musisz przestać się wygłupiać, słoneczko. Słyszałaś, co powiedziała twoja córka. Mamy patrzeć w obiektyw, zanim straci idealne światło.

March szturchnęła go pod żebro.

Molly wróciła na swoje miejsce, mamrocząc pod nosem:

- Tylko mam kłopoty z wami dwojgiem.

Mike spojrział na żonę.

- Sprawiamy kłopoty.

- To dobrze - wyszeptwała.

Tak więc spędzili niedzielę na wzgórzu, uśmiechając się do obiektywu aparatu fotograficznego, Mike dźgał ją palcem w pośladek albo popychał. Denerwowali własną córkę, gdy śmiali się za głośno. Później, ilekroć March prosiła, żeby Molly pokazała jej zdjęcia, ta zawsze była zbyt zajęta czymś innym. W końcu pokazała im jedną czy dwie raczej słabe odbitki. Zdaniem matki, Molly stać było na znacznie lepsze ujęcia. Kiedy March powiedziała o tym głośno, dziewczyna wyjaśniła, że najlepsze oddała nauczycielowi, i obiecała, że zrobi więcej odbitek, jak tylko znajdzie na to czas.

Tamtego roku spędzili Boże Narodzenie w domu nad jeziorem Tahoe. W bożonarodzeniowy ranek March znalazła pod drzewkiem najwspanialszy prezent, z którym nic nie mogło się równać. Zdjęcie, które Molly zrobiła jej i Mike'owi, było zadziwiające. Córka uchwyciła całą miłość i radość życia, jakie z nich emanowały, gdy patrzyli na siebie - w najszcześniejszym momencie dla każdego z nich, bo mieli siebie nawzajem - i zaklęła na wieczność na celuloidowym filmie.

6

March zaczęła życie jako pani Cantrellowa na wzgórzu w San Francisco, a po niemal trzydziestu czterech latach, już jako matka czwórki dzieci, nadal była na tym wzniesieniu. Choć jej pokolenie śpiewało kiedyś o dźwiękach ciszy, ona kochała odgłosy miasta: białe poranki, gdy nad zatoką niosło się tęskne zawodzenie buczków mgielnych, a głęboka woda i powietrze gęste od wilgoci potęgowały każdy dźwięk, i nawet szeptanie nie było wtedy tak naprawdę sekretne.

W południe rozlegał się gwar rozmów w delikatesach na rogu podczas krótkiej przerwy na lunch, ludzie zamawiali kanapki z salami i serem w chlebie pieczonym na zakwasie (musztarda z Dijon i pepperocini, bez pikli). Miejskie tramwaje regularnie telepały się alejami po torach, ruch na autostradach w godzinach szczytu brzmiał jak bzyczenie odległego roju pszczół. Klaksony samochodów, głosy, hamulce pneumatyczne, niedaleki, choć odległy dzwonek tramwaju linowego na Leavenworth i Hyde i stłumiony warkot silników przy zmianie biegów na niższy przed stromym podjazdem były jedynie pojedynczymi przerywnikami w ciągu dnia, wypełnionego ciągłymi odgłosami życia, które otaczało March.

Dla niej to miejsce, gdzie nauczyła dzieci jeździć na rowerze przy wtórze dzwonek tramwajowych i aplauzu turystów, gdzie krzyki mew stanowiły tak samo integralną część nieba, jak tlen wdychany przez nią z powietrzem, stało się opoką o niesamowitej mocy.

Miejski zgiełk wydawał się najgłośniejszy na starym brukowanym dziedzińcu w samym sercu ich domu. Mike nazywał go Krainą March - jej oazą, tu w ciepłe poranki piła kawę otoczona zielenią i wielkimi kamiennymi donicami, w których kwitły kwiaty o kolorze słońca zachodzącego jesienią. Kilka dzwonek jeszcze z ich ślubu wisiało na kolumnach dziedzińca i podzwaniało czasami w październikowym wietrze.

March podniosła wzrok znad zlewu w kuchni, kiedy usłyszała płacz wnuka. Szesnastomiesięczny Tyler był na dworze i usiłował wdrapać się na dwumetrowy ceglany mur, bardzo niezadowolony z tego, że mu się nie udaje. Od razu odstawiała durszlak, wytarła dłonie w poję bluzki i wyszła przezszklonymi drzwiami.

- Hej tam, kochanie. Co tutaj robisz, i to sam? Uciekasz?

Wzięła go na ręce i weszła do środka. Minutę później stanęła w pokoju telewizyjnym, trzymając Tylera na biodrze. Minęło dobre półtorej minuty meczu Forty Niner w niedzielne popołudnie, zanim którykolwiek z mężczyzn ją zauważył.

- Chyba coś zgubiłeś, Scott.

Najstarszy syn spojrzał na nią, a potem szybko przeniósł wzrok w róg pokoju, gdzie na powierzchni mniej więcej półtora metra kwadratowego leżały porzucone zabawki w kolorach tęczy.

- Tata! - krzyknął Tyler.

Wnuk March miał doskonale wycucie chwili.

Scott wstał i szybko podszedł do niej.

- Cholera, mam, przepraszam. - Wziął od niej syna. - Nic ci nie jest, kolego?

- Tata! - Tyler głaskał ojca po policzkach. Mężczyzna jęknął.

- Co on ma na buzi i rękach?

- Ziemię. Próbował wspiąć się na mur na dziedzińcu. - Sięgnęła do pudełka z mokrymi chusteczkami dla niemowląt.

- Jedno zagranie - mamrotał Scott. - Spuściłem go z oka tylko na jedno zagranie. - Wytarł syna, a potem własną twarz. - W zeszłym tygodniu spadł z sedesu, choć go pilnowałem. Renee mnie zabije.

- No to masz szczęście, że wyszła z Molly i Keely - powiedziała March.

Najstarszy syn spojrzał na nią ponad główką Tylera, gęsto pokrytą kopyą jego ciemnych loków, i uśmiechnął się do matki, wiedząc, że nic nie powie jego żonie.

Przez sekundę, czas potrzebny na jedno uderzenie serca, zobaczyła zamiast niego Mike'a, który stał w innym miejscu i czasie, trzymał Scotta i posyłał jej taki sam uśmiech. Z powodu takich chwil nie chciałaby mieć znowu dwudziestu pięciu lat. Przyszłość zawsze była niewiadoma, nie dawało się jej kontrolować - rozpościerała się równie nieprzejrzysta, jak poranna mgła nad horyzontem. Za to przeszłość była czymś znanym i wracała bez przerwy w wyjątkowych chwilach czułości, dających March satysfakcję z wyborów dokonanych w życiu.

Patrzenie wstecz było najlepszą metodą, pozwalającą zrozumieć przeznaczenie, w które zawsze wierzyła, bo przecież życie z jego wszelkimi komplikacjami nie mogło być wynikiem zupełnego przypadku. Musiał

istnieć gdzieś plan istoty wyższej, jakaś księga, podobnie jak na jednym z odcinków *Strefy mroku*, gdzie powiedziano, kto, dlaczego i gdzie istnieje.

- Tyler jest w połowie małpą. Ma to po tobie, wielki bracie. - Phillip odstawił piwo i wziął garść chipsów. - Zawsze byłeś żywym, włochatym dowodem na to, że Darwin miał rację.

- Wkurzasz się, bo mam włosy.

- Ja też mam włosy. Widzisz? - Młodszy z braci pochylił się i pogładził swoją ogoloną, ciemną głowę. - Keely to uwielbia. Kobiety szaleją za mężczyznami, którzy mają tyle pewności siebie, żeby ogolić sobie głowę. Pomyśl o Willisie... Pomyśl o Agassim...

- Pomyśl o Minni-Mem - dokończył Scott.

Mike postawił na stole pudełko pszennych krakersów, wyprostował się i przeciągnął.

- Pamiętasz, jak Scott zniknął, słoneczko? Ty też lubiłeś się wspinać - zwrócił się do syna. - Szukaliśmy cię prawie godzinę. Matka odchodziła od zmysłów, płakała jak bóbr, przekonana, że wyszedłeś jakoś na ulicę i zostałeś porwany. W końcu znaleźliśmy cię siedzącego na belce pod sufitem, skąd się nam przyglądałeś.

- Ucieszyłam się, że nic ci się nie stało - powiedziała March.

- Jak się domyślam, to oznacza, że nie mam co liczyć na trochę współczucia od żadnego z was dwojga.

- Zemsta bywa słodka - rzekł Mike.

- Widzisz? - odezwał się Phil ze śmiechem. - Powtarzam ci to cały czas. To ja jestem idealnym synem.

To dlatego mnie najbardziej kochają.

Scott spojrział na Tylera.

- Chcesz iść do wujka Phila? - zapytał.

- Tak! (Ulubione słowo Tylera).

Posadził syna na kolanach swego brata, sam opadł na fotel i wziął piwo.

- Tatuś jest mądrzejszy od wujka Phila, prawda?

- Tak!

Upił długi łyk.

- I tatuś jest znacznie przystojniejszy od wujka Phila, prawda?

- Tak!

Phil pokręcił jedynie głową i obrócił się do Scotta, który dodał:

- Wujek Phil ma wielgachne, paskudne, odstające uszy, prawda?

- Tak!

Phillip uśmiechnął się w typowy dla siebie sposób, trochę złośliwie, tak samo jak wtedy, gdy jako dziecko mijał „Start”, zgarniał dwieście dolarów i stawał się właścicielem Broadwayu z jednym hotelem. Zerknął na brata, wziął Tylera pod paszki i trzymając go przed Scottem, powiedział:

- Twój tatuś lubi przebierać się w sukienki mamusi, prawda?

- Tak! - Zawołał Tyler, jak doskonały przykład Pawłowowskiego warunkowania.

- Pójdę po kojec dla małego - odezwał się Mike ze śmiechem.

- Jest w pralni - poinstruowała go March. Przechodząc obok niej, klepnął ją w pośladek.

- Wiem.

W trzecią niedzielę każdego miesiąca, jak tego dnia, March gotowała dla całego klanu Cantrellów, dzieci, żon i wnucząt. Przez większą część roku spotykali się w domu w mieście, oprócz sezonu zimowego, kiedy prawie wszystkie weekendy spędzali w domu nad Tahoe. Wiele lat wcześniej w firmie Cantrellów zaczęto skracać tydzień pracy do trzech dni w czasie sezonu snowboardowego, żeby wszyscy pracownicy mogli nacieszyć się śniegiem w górach Sierra. Dłużej i trochę ciężiej pracowali pod koniec lata i na początku jesieni, szykując się do nowego sezonu, ale gdy uruchamiano wyciągi, przynajmniej przez jeden tydzień w miesiącu cała firma pracowała jedynie przez trzy dni i miała cztery dni wolnego.

Już pod koniec jesieni ostatni tydzień był pełnym szaleństwem, bo Mike pracował po czternaście godzin na dobę, Mickey zaczął naukę w ostatniej klasie i czekało go podjęcie decyzji, gdzie chciałby studiować, a March przewodniczyła aukcji charytatywnej, odbywającej się w połowie października - wszystko tuż przed sezonem.

Choć nadal była bardzo związana z rodzinnym interesem, nie spędzała już w firmie tyle czasu co kiedyś. Zamiast przesiadywać na zebraniach zarządu, a w nadchodzącym tygodniu takie spotkanie miało się odbyć, zatrudniła dobrych fachowców, którzy odpowiadali za graficzną stronę wyrobów. Wzory na nadchodzący sezon zostały zatwierdzone wiele miesięcy wcześniej, dzięki czemu miała teraz czas dla siebie, czas na pracę dobroczynną, dla wnuków i nawet na kurs kulinarny dla smakoszy, prowadzony przez jednego z najlepszych szefów kuchni w mieście.

Tego wieczoru menu nie było zbyt wyrafinowane, po prostu dania, które jej rodzina lubiła przy takich okazjach: sałatka, gorący chleb, lasagne plus cokolwiek czekoladowego i lepkiego od cukru na deser.

March suszyła właśnie sałatę w wirówce, kiedy usłyszała szczebiot wnuczki, Mirandy, zanim doszedł ją odgłos zamykania automatycznych drzwi garażu.

- Bab! Bab! Zobacz, co dla ciebie zrobiłam! - Miranda biegła przez dziedziniec, a za nią szły synowe: Renee i Keely, a na końcu jej córka Molly.

W kuchni nagle zapanował chaos, wszystkie mówiły jednocześnie, stawiały na kuchennym blacie torby z zakupami, a March niespodziewanie trzymała w rękach świeżą bagietkę od Boudina i dwie butelki chianti. Wnuczka skakała obok niej i ciągnęła ją za bluzkę, usiłując zrelacjonować jej wszystko, co robiły przez ostatnie trzy godziny.

- Myślę, że kupiliśmy wszystko z listy - powiedziała Renee. - Popatrzmy... Masz wino. Dałam ci bułkę.
- Rozejrzała się. - Czyżbyśmy zapomnieli o czosnku?

- Nie. Wkładałam go do koszyka. Musi gdzieś być. O, znalazłam. - Keely wręczyła go teściowej.

- Nie mogłyśmy znaleźć dziewięciowarstwowego ciasta, więc wzięłyśmy czekoladowo-bananowe od Henshawa. - Renee zamknęła drzwi lodówki. - Mały nie rozrabiał?

- Wszystko jest w porządku.

- Neiman ma cudne zamszowe kurtki, mamó. Musisz sobie taką kupić. I spójrz na buty Keely - odezwała się Molly. - Za takie buty można zabić.

March zerknęła na Molly.

- Coś ty zrobiła z włosami?

Zapanowała głucha cisza. Słowa wymknęły się jej z ust, zanim o nich pomyślała.

- Zrobiłam sobie pasemka w zeszłym tygodniu, mam. - Molly buntowniczo potrząsnęła głową. Jej ciemnorude włosy, kiedyś gładkie i wspaniałe, sterczały we wszystkich możliwych kierunkach. Keely spojrziała na zegarek.

- Dwie minuty - powiedziała do Molly i Renee. - Mam u was lunch.

March miała wrażenie, że kuchnia stała się izolatką, a ona była w niej zamknięta. Dziewczyny założyły się o jej reakcję, co samo w sobie było śmieszne. Powinna się roześmiać, ale za bardzo ją to zabolowało.

- Ładnie wyglądają - skłamała, myśląc, że córka wygląda, jakby wpadła pod kosiarkę. - Dobrze jest coś zmienić.

Przez kilka sekund żadna z nich się nie odezwała, więc March otworzyła szufladę i wyjęła z niej folię, którą wolałaby zjeść, niż stać tak bez ruchu w wymownej grobowej ciszy, świadczącej o przepaści pokoleniowej między kobietami.

Miranda podeszła do babci ukradkiem i pociągnęła ją za bluzkę.

- Zrobiłam to dla ciebie na zajęciach praktycznych, bab. To karmnik dla ptaków. Popatrz, popatrz.

Przez krótką chwilę March żałowała, że Molly nie ma znowu sześciu lat, kiedy relacje między nimi dwiema były znacznie prostsze. Przykucnęła, żeby jej oczy znalazły się na wysokości buzi córki Scotta. Karmnik dla ptaków, który trzymała, był spory, zrobiony z dzbanka na mleko, nieudolnie ozdobionego listkami z jedwabiu i cekinami.

- Ach... Naprawdę sama go zrobiłaś? Miranda pokiwała głową.

- No to musimy go napełnić.

Z tyłu karmnika był napis „Bab” wylepiony cekinami. W obcym nowym świecie zredukowanym do inicjałów J-Lo i DCW, „babcia” stała się po prostu „bab”.

- Tak naprawdę nie wszystko - przyznała się dziewczynka cicho. - Pani Burke pomogła mi z cekinami. - Spojrzała na March, szukając u niej aprobaty. - Ale liście zrobiłam sama.

- Wiesz, liście najbardziej mi się podobają.

Cała twarz Mirandy pojaśniała. March mogła dodać otuchy wnuczce, nie bojąc się, że jej słowa otworzą stare rany albo zadadzą nowe. Zastanawiała się, czy Molly założyłaby się o to, co ona powie do Mirandy. W którymś momencie ich życia, jako matki i córki, stały się prawdziwymi antagonistkami.

- Chodź ze mną. Pomożesz mi znaleźć dobre miejsce dla tego najpiękniejszego karmnika na świecie.

Trzymetrowy fikus, który posadziła, gdy sięgał jej zaledwie do kolan, dominował teraz w jednym z rogów dziedzińca. Na pomalowanych belkach i listwach wisały tam inne karmniki o najróżniejszych rozmiarach i kształtach razem ze starymi dzwoneczkami ze ślubu. Zawiesiła dzieło Mirandy na jednej z gałęzi fikusa.

- Co o tym myślisz?

- Idealnie, idealne miejsce, bab. March zeszła z donicy i odsunęła się.

- To chyba będzie mój ulubiony prezent ze wszystkich, które dostałam.

Miranda przytuliła się do niej i stały tak przez chwilę, otoczone polifonicznymi odgłosami miasta, po-brzękiwaniem dzwoneczków trącanych wiatrem, szeptem bryzy owiewającej dziedzińiec, śmiechem młodych kobiet, dochodzącym przez lekko uchylone drzwi, pokrzykiwaniem jednego z jej synów, oglądającego mecz w

pokoju na tyłach domu. Przez bawełniane spodnie March czuła trzepot serduszka wnuczki, przylepionej do jej uda.

- Patrz! Patrz! - Miranda oderwała się od niej i podskakując, pokazywała kolibra, który odfrunął od ogromnej fuksji w wiszącej doniczce i skierował się prosto do otworu karmnika. - Sprawdził się! Pójdę, powiem o tym tacie!

Wnuczka, sama niby koliberek, wbiegła do domu. Zaraz potem March usłyszała dzwonek telefonu.

Mike schodził w pełnym napięcia milczeniu za najmłodszym synem frontowymi schodami wydziału do spraw nieletnich w komendzie policji San Francisco. Mickey i jego przyjaciele zostali tam przywiezieni za kradzież z pobliskiej mleczarni miejscowej ikony, pomalowanej w jaskrawe kolory rzeźby uśmiechniętej krowy, którą potem zawiesili na maszcie na dziedzińcu liceum. Wszystko dlatego, że durny Mickey Cantrell i jego błazeńscy kumple pomyśleli, że fajnie będzie zaskoczyć innych uczniów w poniedziałek rano.

Mickey zatrzymał się na dole. Ponieważ nie bardzo wiedział, dokąd iść, był zmuszony zaczekać. Stał tyłem do ojca, z rękami w kieszeniach ciemnej bluzy z kapturem, ozdobionej nowym sloganem reklamowym „Głowa do góry! Koniec nudy na śniegu!” i logo firmy Cantrellów.

- Samochód jest tam - powiedział Mike, kierując się do zaparkowanego auta. Któregoś dnia będą się z tego śmieli, ale teraz, w ciasnym wnętrzu niemieckiego sportowego wozu Mike'a, nie było miejsca na rodzinne dykteryjki. Mickey musi zrozumieć, że aresztowanie przez policję nie jest czymś zabawnym. Nie spojrzał ojcu w oczy od chwili, gdy ten wszedł do pokoju zatrzymań, i w trakcie załatwiania zwolnienia przyjął postawę typową dla chłopaka, który wpakował się w kłopoty, mamrocząc i wyjękując odpowiedzi na pytania. A tak naprawdę, to za fasadą zachowania „w ogóle się tym nie przejmuję” jego nieznający strachu syn o mało nie narobił w majtki z przerażenia.

Mike nie zapalał silnika. Zadzwoił do March z komórki, poinformował ją, że są w drodze do domu, a potem położył ręce na kierownicy, ciągle szukając słów, które mógłby powiedzieć upartemu jak osioł nastolat-kowi, żeby zrobić na nim wrażenie bez uciekania się do krzyków, żeby nie upodobnić się do własnego ojca. Zrobił dwa głębokie oddechy i zdobył się jedynie na:

- O czym, do cholery, wtedy myślałeś?

- To był dowcip. Nawet by nas nie złapali, gdyby Gabe przestawił samochód, tak jak mu radziliśmy.

- Ta rozmowa nie dotyczy złapania. Mówimy o robieniu czegoś głupiego. Naprawdę głupiego. - Mike zapuścił silnik i ruszył w kierunku domu. - Gdzie się podział twój rozsądek?

- W porządku... przepraszam.

W głosie chłopaka nie było jednak śladu przeprosin, co naprawdę wkurzyło Mike'a.

- Wyjeżdżasz na studia za niecały rok. Taki kretyński wygłup jak ten może uniemożliwić ci dostanie się na uczelnię, którą sobie wybierzesz. Masz bardzo dobre stopnie, a twoje wyniki egzaminów są zdumiewające, nikt takich nie miał w naszej rodzinie. Możesz się dostać do którejś z najlepszych uczelni w kraju. I z tego jesteśmy bardzo dumni, synu. Żeby mieć takie oceny, musiałeś ciężko pracować. A teraz chcesz to zmarnować tylko dlatego, żeby kilku twoich kumpli miało ubaw?

Mickey wpatrywał się w okno.

- Wierz mi. To nie jest tego warte. Wykształcenie to twoja przyszłość. - Niezależnie od tego, jak bardzo się starał, by brzmiało to inaczej, w tym, co właśnie powiedział, słychać było echo słów Dona Cantrella.

Po kilku kilometrach przedłużającego się milczenia Mickey odezwał się cicho:

- Może wykształcenie to nie jest moja przyszłość.

- Co to niby ma znaczyć?

- Zastanawiałem się... Może wcale nie chcę studiować. To przyciągnęło uwagę Mike'a.

- Od kiedy?

- Nie chcę być lekarzem, więc po co mi dyplom? Cały czas słyszę, że bardzo niewielu osobom udaje się znaleźć pracę zgodnie z ich wykształceniem. Po co mam się wysilać, żeby zrobić dyplom, który do niczego mi się nie przyda?

- To nie wchodzi w grę. Będziesz studiował. - Mike nacisnął guzik otwierający drzwi garażu i zjechał na podjazd. Znowu jego ojciec. *Cześć, Don.*

- Pomyślałem, że chciałbym przerzucić się na zawodową jazdę na desce.

Mike zgasił silnik i unióś ręce do góry.

- Mowy nie ma. - Był na siebie wściekły. Jeszcze bardziej wściekły na Mickeya. Wściekły, że szło to w złą stronę.

- Myślisz, że nie jestem wystarczająco dobry - odparował syn wysokim ze złości głosem. - Ale jestem. Jeżdżę lepiej niż ktokolwiek z rodziny. Tylko dlatego, że jesteś waśniakiem, który to wymyślił, uważasz, że możesz mnie sądzić? To jakieś pieprzone brednie.

Mike zrobił głęboki wdech, potem następny i powiedział spokojnie:

- Pieprzone brednie, kolego, to mrzonka, że nie pójdziesz na studia.

- Twoim zdaniem nie znalazłbym sponsorów na zawody? - To było wyraźne wyzwanie.

Mike roześmiał się. Dźwięk był głośny i irytujący w niewielkim sportowym samochodzie.

- Wiem, że pozyskałbyś sponsorów - zniżył głos, nadając mu ton spokoju. - Niezła podpucha. Myślałeś, że się wkurzę i powiem, iż mogę sprawić, aby nikt z branży nie zechciał cię sponsorować. Ale nawet gdybym mógł tego dokonać, to ja nie postępuję w ten sposób.

- Nie możesz mnie zmusić, żebym poszedł do szkoły.

- A ty nie możesz mnie zmusić, żebym się o to z tobą kłócił. Tu nie ma miejsca na dyskusje. Razem z matką tak cię wychowaliśmy, żebyś umiał samodzielnie podejmować decyzje. Jesteś cholernie mądrym dzieckiem. Czasem za mądrym, przez co sam sobie szkodzisz. Wiesz, co powinienesz zrobić. Wyklócanie się ze mną nie zmienia faktu, że na tym świecie potrzebne ci wykształcenie. Da ci podstawy i wiedzę do dokonywania ważnych wyborów.

Mike obrócił się na fotelu i popatrzył Mickeyowi prosto w oczy, żeby nie było wątpliwości, iż naprawdę tak uważa.

- Tak, dopisało nam szczęście. Interes dobrze prosperuje, ale firma nie powstała z dnia na dzień. Razem z matką tyraliśmy jak woły. Nie wejdiesz do tego interesu tylko dlatego, że jesteś moim synem i bratem Scotta i Phila.

- W każde wakacje pracuję w fabryce i magazynach, od kiedy skończyłem trzynaście lat.

Raptem od czterech lat, Mike miał ochotę powiedzieć, lecz się powstrzymał.

- I taką pracę chcesz wykonywać przez następne czterdzieści albo pięćdziesiąt lat? Nie wystarczy ci samo nazwisko. Będziesz potrzebował czegoś więcej, żeby dostać dobrą posadę bez szkoły i doświadczenia.

- Doświadczenie mogę zdobyć jako zawodnik.

- I twoim zdaniem nauka to ciężka praca? - Mike roześmiał się i pokręcił głową. - Wściekaj się, ile chcesz. Próbuje klócić się ze mną o studia, żeby odwrócić uwagę od sedna sprawy, przez którą siedzimy teraz w samochodzie i rozmawiamy. Jesteśmy tu, bo zostałeś aresztowany z powodu czystej głupoty i wdepnąłeś w gówno po uszy. Czas na zapłatę, kolego. Żadnej jazdy samochodem, aż zobaczę jakąś dużą zmianę. - Mike sięgnął do osłony przeciwsłonecznej nad szybą i guzikiem zamknął drzwi garażu, a potem wysiadł z samochodu. Stali naprzeciwko i patrzyli na siebie ponad dachem porsche, kiedy drzwi garażu wolno się opuszczały.

- A jak niby mam się dostać na treningi? - zapytał Mike głosem bliskim skowytu. - Jak mam dojeżdżać do szkoły?

- Mieszkamy w wielkim mieście z komunikacją miejską. Korzystaj z tramwajów. Poproś przyjaciół o pomoc. Mama albo ja będziemy cię podrzucać w miarę naszych możliwości. Możesz chodzić piechotą. Jeździć rowerem. Niemniej za swoją idiotyczną decyzję będziesz musiał zapłacić sporym ograniczeniem swobody. Zrozumiałeś?

- Taaa. Świetnie. Zrozumiałem. - Mickey ruszył w stronę drzwi, ale Mike zdążył jeszcze usłyszeć, jak wymamrotał: - Palant...

- Przestańcie, chłopcy - powiedziała March na wpół niezadowolona, na wpół roześmiana.

Scott i Phillip wpadli do kuchni i rzucali drewnianym młynkiem do pieprzu niczym piłką, najpierw nad jej głową, a potem wyciągali do niej ręce z młynkiem, by zaraz je cofnąć, gdy chciała go zabrać, biegali wokół granitowego blatu, wykorzystując go jako zaporę, dzięki której March nie mogła ich złapać.

- Och, mam. - Phillip rzucił młynek Scottowi i pobiegł wokół blatu. - Co się stało? Kiedyś byłaś szybsza.

- Starzeje się.

- Scott! - March zatrzymała się w miejscu, wsparłszy się pod boki. - Oddaj mi młynek.

- Nie.

- Bo powiem Renee, że pozwoliłeś Tylerowi najeść się ziemi.

- Nie wierz jej, wielki bracie. Mama nigdy nie łamie danego słowa. Tutaj. - Phillip stanął za nią, wyprostowany na całe swoje metr osiemdziesiąt pięć, ogolona głowa błyszczała mu od świateł we wnękach sufitu. Wymachiwał długimi ramionami niczym napastnik podczas meczu.

March szturchnęła go łokciem w zębra.

- Aj! Ma... - Zaczął machać żółtą ściereczką do naczyń. - To faul.

- Ty bałwanie. To chyba raczej mnie ktoś potraktował nie fair, gdy poprosiłam, żebyś podał mi pieprz.

- To właśnie powiedziałeś? Myśleliśmy, że chodziło ci o podanie pieprzu jak w futbolu.

- Kłamanie nigdy nie było twoją mocną stroną. - Wyjęła niewielki słoiczek z pieprzem z szuflady, gdzie trzymała przyprawy. - Możecie zatrzymać swoją zabawkę, chłopcy. Mam, czego potrzebuję. - Potrząsnęła kilka razy słoiczkiem z pieprzem nad sałatką Cezara bardzo energicznie, a potem podniosła wzrok w chwili, gdy

Mickey wyszedł z garażu i ruszył w stronę kuchni z opuszczoną głową. Wyglądał na ponurego, złego i gnębiomego poczuciem winy. Żołądek się jej zacisnął.

Mike wszedł zaraz za nim i zatrzymał się w drzwiach kuchni. Jedno szybkie spojrzenie i skinięcie głową powiedziało jej, że z policją wszystko w porządku.

Objęła Mickeya za szyję i pocałowała w policzek.

- Hej. Ciężki dzień.

- NO...

- Dobra robota, debilu - odezwał się Phillip, a potem obrócił do Scotta. - Tylko popatrz. Dał się aresztować w firmowej bluzie. Jak następnym razem zechcesz zrobić coś głupiego, to się ubierz w Burtona.

- Phillip! - rzuciła ostrzegawczo March.

- Żartowałem. Próbowałem go trochę rozładować. Mały wygląda, jakby zaraz miał się rozplakać.

Mickey obrócił się na pięcie, zrobił się bardzo czerwony na twarzy i szyi, oczy nadal miał wilgotne, i przeszył brata groźnym spojrzeniem.

- Dobrze, że włożyłem coś z logo SkiStar, Phil, bo i tak wszyscy mówią, że twój wkład w firmę jest gówniany.

Przez zdumiewająco długie sekundy w pokoju panowała martwa cisza, niewypowiedziane zostało właśnie powiedziane i rodzina nagle pękła na połowę. Dwaj synowie March wyglądali niczym wściekłe psy, gotowe rzucić się sobie do gardeł.

Scott chwycił Phillipa za prawe ramię z zaciśniętą pięścią i odciągnął go do tyłu.

- Nie rób tego - rzekł.

Mickey zaczął się posuwać w kierunku brata.

- Wy dwaj, wystarczy - odezwał się Mike, wchodząc między nich.

March nie mogła się poruszyć. Tak, SkiStar jako filia rodzinnej firmy przynosiła straty od trzech lat, lecz istniała też od dawna respektowana przez wszystkich w rodzinie zasada, że o interesach rozmawia się jedynie w biurze i w sali zarządu. Mickey mógł mieć siedemnaście lat, ale dobrze ją znał.

W rodzinnym interesie należało jasno odgraniczyć życie prywatne od zysków i strat, zwłaszcza gdy w firmie pracowali stanowczy, obdarzeni silną wolą Cantrellowie. Wszyscy byli tu ściśle ze sobą związani, a każdy z nich ryzykował swój majątek, gdy ponosili straty albo mieli zyski, wszyscy zależeli od jej przyszłości.

- Stół jest nakryty, mamó. - Renee weszła z Tylerem, oddała go Scottowi i zastygła, rozglądając się wokół. - Co się dzieje?

March podała jej sałatkę.

- Postaw ją na stole, kochanie, zbierz resztę dziewczyn i zacznijcie jeść.

Renee wyszła, ale najpierw posłała Scottowi pytające spojrzenie.

- Daj spokój, Phil. Bierz żonę i chodźmy jeść.

Mickey stał pośrodku pokoju, sam na własnym polu bitwy, po próbie wywołania wojny, której nikt inny nie chciał. Był zdezorientowany, zły, zakłopotany, pełen emocji typowych dla młodego mężczyzny, które musiał rozładować.

- Idź umyć ręce, Mickey - odezwał się Mike, nawet nie zdając sobie sprawy, że powiedział to takim tonem, jakby syn miał znowu dziesięć lat.

Chłopak spojrział na niego ponuro, odwrócił się i ruszył w głąb domu.

- Nie jestem głodny.

Mike chciał iść za nim, ale March położyła mu rękę na ramieniu.

- Niech idzie. Musi przemyśleć sobie to i owo i wylizać rany. - Przez szerokie łukowate drzwi kuchni widziała, jak jej najmłodszy syn wchodzi po schodach.

- Próbuje się kłócić z każdym, kto mu podejdzie pod rękę - powiedziała. - Udało mu się?

- Niewiele brakowało. Tak czy owak, nie dałem się. I nazwał mnie palantem. Za to Phil niemal dał się sprowokować.

- Mickey się zawstydził. Nie potrafi utrzymać emocji na wodzy.

- No to lepiej będzie dla niego, jak się tego jak najszybciej nauczy, bo inaczej pokażę mu, jakim naprawdę potrafię być palantem.

- Daj spokój, Mike. Nie tak załatwiasz sprawy.

- Ma zakaz prowadzenia samochodu. Nie będzie mu wolno jeździć, dopóki nie zmieni postawy.

March zauważyła łzy połyskujące w oczach najmłodszego syna. W takich chwilach uświadamiała sobie bez cienia wątpliwości, że nie chciałyby mieć znowu siedemnastu lat. Wzięła brytfankę z lasagne.

- Chodź. Zjemy coś.

7

Cztery godziny później Mike zapalił światło w piwniczce z winem, wygospodarowanej we wnętrzu dwupiętrowego domu, wziął ze stojaka butelkę, o którą mu chodziło, i wrócił na górę do sypialni. W rogu, przy sofie, blisko oryginalnego kominka z łupków, obok którego stały szafy biblioteczne z mahoniem, miał własny barek. Przez lata dzieci zadbały, by miał w nim najlepsze utensylia do wina, bo kupowały mu je na wszystkie urodziny, Dzień Ojca i Boże Narodzenie.

Nalewał właśnie czerwone wino z karafki Baccarat z wygrawerowanymi na niej jego inicjałami do pękających kieliszków na wysokich nóżkach, kiedy March wyszła z łazienki, świeżo po prysznicu, z włosami jeszcze wilgotnymi, bez makijażu, ale z kremem na skórze, ubrana w coś czarnego, koronkowego i bardzo skąpego oraz pasujące do kompletu niepozorne majteczki.

Miał wrażenie, jakby całe wieki temu, a może to było wczoraj, zobaczył ją po raz pierwszy tańczącą do muzyki wystarczająco głośniejszej, by pękła droga karafka, którą trzymał w ręku, w błyskach psychodelicznych światła lat sześćdziesiątych, uwydatniających każdy ruch jej niesamowitego ciała.

Był nieokrzesany, coś jakby w połowie niedokończony, podobnie jak wszyscy młodzi mężczyźni w pewnym momencie życia, w sumie dzieciak w latach sześćdziesiątych, ciągle tłamszony i targany ciemnymi siłami niepewności dojrzewania, z wolnym sercem i toną obciążeń, i brawurą na tyle dużą, że przesłaniała smutny fakt zabicia w nim przez ojca najmniejszych nawet przejawów wiary w siebie.

Ocaliła go tamtej nocy złota dziewczyna ze Złotego Stanu, słoneczko, zdumiewająca i tańcząca w szybko zmieniających się sekwencjach kolorowych świateł. Zawojowała jego serce i stała się kobietą, która uwierzyła, że mógł dokonać wszystkiego, stworzyła z nim rodzinę i przywróciła dumę, miała też zamiar się z nim zestarzeć, ciągle jako jedna jedyna, najpiękniejsza istota w jego szczęśliwym życiu.

Wzięła od niego kieliszek wina, który jej podał, i usiadła na sofie przy kominku, oparła się o nią wygodnie plecami, z długimi nogami na siedzisku, podkulonymi w kolanach. Złotoskóra w świetle ognia, w czarnych koronkach, poklepała sofę obok siebie.

- Chodź i usiądź.

Postawił karafkę na niewielkim stoliku, podczas gdy March upiła łyk wina. Zmarszczyła się lekko, patrząc na kieliszek, potem spojrzała na męża nadal ze zmarszczonym czołem i przeniosła wzrok na butelkę stojącą na barze.

- Czy to opus? Z jakiej okazji?

- Z okazji naprawdę paskudnego dnia. - Usiadł i objął ją ramieniem, a później dodał: - I tych majteczek.

W oddali rozległ się klakson samochodu. Na pobliskim wzgórzu ciężarówka zmieniła biegi. Ale to były jedyne otaczające ich odgłosy po dniu wypełnionym wrzawą meczu futbolowego, sprzeczką synów, marudzeniem sennego wnuka i szczebiotem wnuczki, uwielbianej przez dziadka, choć potrafiła zagadać człowieka na śmierć, paplaniem całej rodziny jednocześnie, gorzkimi słowami i kłótnią zaczęta przez najmłodszego syna, którego puste miejsce przy stole mówiło więcej, niż potrafiłyby wyrazić surowe słowa.

W tym momencie cholernie przyjemnie było siedzieć obok March, w kompletnym milczeniu, nie czując żadnego przymusu, żeby się odezwać. Jedną z cech małżeństwa trwającego ponad trzydzieści trzy lata jest to, że można pograżać się w ciszy na długie chwile bez wrażenia, iż trzeba ją czymś wypełnić.

- W tym roku na naszą rocznicę... To trzydzieści cztery lata, prawda?

- Trzydzieści pięć.

- Czy to jedna z tych ważnych rocznic? March zaczęła się śmiać.

- Co?

- No wiesz, dziesiąta, dwudziesta piąta, trzydziesta... rocznice, które dotyczą jakichś irracjonalnych, określonych liczb, te, o których trzeba pamiętać, bo w przeciwnym razie czekają człowieka poważne kłopoty. Czy trzydziesta piąta jest ważna?

- Każda rocznica jest ważna, głupi wariacie - powiedziała. - Nigdy nie zapomniałeś o naszej rocznicy.

- To prawda. To o twoich urodzinach bez przerwy zapominam. Ile lat minęło, zanim dotarło do mnie, że wypadają w lipcu?

- Około pięciu. Ale ja nie przywiązuję do tego wagi. Przez tamte lata czuję się zresztą jak rozbójnik z powodu dwóch prezentów urodzinowych. Prezenty z przeprosinami były rzeczywiście wspaniałe. Znowu powinieneś o nich zapomnieć, bo chciałabym bransoletkę od Cartiera.

- Jaką znowu bransoletkę?

- Tę, do której robię bardzo wyraźne aluzje od dobrych pięciu lat.

- Ach, tak. Czekam na odpowiednią chwilę, żeby cię zaskoczyć.

- Nie znoszę niespodzianek.

- Nie, nieprawda. Nie znosisz sytuacji, kiedy nie wiesz, na czym polega niespodzianka. - Położył głowę na oparciu i zrobił głęboki wdech, zapatrzony w sufit, luźne myśli o firmie kołatały mu się po głowie w związku z tym, co Mickey wytknął Phillipowi.

Po kilku minutach wypowiedział na głos to, co leżało mu na sercu:

- Zastanawiam się czy kupowanie SkiStar było dobrym posunięciem.

- Nie przejmuj się tym, co mówił Mickey. Ma dopiero siedemnaście lat. Wydaje mu się, że zjadł wszystkie rozumy. Był zawstydzony i wściekły, bo Phillip zwrócił uwagę wszystkich na to, że był bliski płaczu, a najpewniej jeszcze bardziej był zły na samego siebie.

- Na mnie też się wkurzył za szlaban na jazdę samochodem. - Mike dolał sobie wina. - Ale muszę mu przyznać rację. Jest o czym rozmawiać.

- Wiem, że SkiStar boryka się z trudnościami. Ale ta firma była na skraju upadku, kiedy ją kupowałeś. Nikt nie postawi upadającej firmy na nogi z dnia na dzień.

- Trzy lata z nadstatkiem to nie jest z dnia na dzień. Właściwie nie ma zamówień na nową linię. Scott głośno narzeka z powodu pieniędzy ładowanych w filię Phillipa. - Mike przerwał, zagapiony w ciemny kolor wina. - Któregoś dnia Scott wspomniał mimochodem, że Philowi zawsze wszystko uchodzi płazem. Skarżył się, że jako starszy brat musi przecierać szlaki i jest najmocniej kopany w tyłek.

- To nieprawda i wiesz o tym.

- Jego zdaniem to prawda.

- Dzieci zawsze są zdania, że rujnujemy im życie. Oni dwaj działają zupełnie inaczej. Scott wszystko analizuje, musi dokładnie przemyśleć każdy szczegół. Jest metodyczny. Nie lubi ryzyka. Phillip podejmuje decyzje ot tak. Bez zastanowienia, niemal od razu decyduje, które ryzyko jest warte podjęcia, i rzuca się z głową w dół albo rezygnuje. Szybko myśli. Tak jak ty.

- Ale nie obrywa za wpadki i mówi dokładnie to, co myśli, podobnie jak ktoś, kogo znam.

March się roześmiała.

- Jedna z moich niewielu zalet.

- Wiem, że Scott jest sfrustrowany, i rozumiem to - powiedział Mike. - SkiStar wyciąga od cholery pieniędzy od zarządu i nie przynosi żadnych zysków. - Przerwał. - Czasami zastanawiam się, czy nie chcemy ożywić trupa.

- To przez Phillipa? Czy on wszystko pieprzy?

- Nie. Powiedział mi dziś wieczorem, że ma pewien plan, który chce przedstawić zarządowi w środę. Wiem, że daje z siebie wszystko. Niemniej Scott nie jest z tego zadowolony. Wydaje mi się, że wsparcie finansowe i ciągłe straty zaczynają być przyczyną tarć między nimi dwoma, a dokładnie tego chciałem uniknąć, kiedy kupowałem SkiStar.

- Zawsze za bardzo się starałeś, żeby wszystko było sprawiedliwie i po równo dla każdego z nich. Wiem, dlaczego to robisz, i kocham cię za to, ale to bracia. Będą ze sobą rywalizowali. To zupełnie naturalne. Popatrz na nich na stoku. Przypomnij sobie, jak zawsze walczyli o naszą uwagę. Sami muszą wypracować dla siebie własny status w życiu i firmie. Każdy z nich musi znaleźć sobie własne miejsce. I nawet gdybyś bardzo chciał, nie zdołasz stworzyć dla nich doskonałego świata.

- Cóż, to dobrze, bo wcale tego nie próbowałem. Rzeczy są dalekie od doskonałości.
- Nie rób sobie z tego powodu wyrzutów. Wysłuchaj jedynie tego, co Phillip ma do powiedzenia.
- Cokolwiek to jest, będzie kosztowało pieniądze, a to na pewno nie spodoba się Scottowi.
- Tym gorzej dla Scotta. Ale nie dopuść do sytuacji, w której będziesz musiał stanąć między nimi, pamiętaj, że twój ojciec postępował jak kretyn, jeśli chodzi o ciebie i Brada. To twoja firma, Mike. Ty podejmujesz decyzje. Ja będę cię wspierała, a chłopcom pozostanie tylko pogodzić się z tym, co zdecydujesz.

Mike odstawił pusty kieliszek.

- Czy Mickey wspominał ci coś o zawodowej jeździe na desce?

March znów się roześmiała.

- Od skończenia drugiej klasy o niczym innym nie mówi. I zawsze czeka na moją reakcję, kiedy to powie.

- No to jasno dałem mu do zrozumienia, co o tym myślę.

- Ja nie - powiedziała z naciskiem. - Wiesz, w czym tkwi problem?

- Oświeć mnie. Teraz lepiej ode mnie się z nim dogadujesz.

- Nie jest pewny, co chciałby robić, i szuka łatwego rozwiązania. Dzieci w dzisiejszych czasach żyją pod ogromną presją, a na dodatek są bardziej niedojrzałe i mniej przygotowane do wybrania własnej przyszłości, niż my byliśmy w ich wieku. Mają o wiele więcej możliwości. Zbliża się czas wyboru studiów. Prawda jest taka, że Mickey boi się odrzucenia papierów tam, gdzie rzeczywiście chciałby pójść. Pragnie brylować w rodzinie, to dla niego ważne. Spójrz na Scotta i Phila. Nasz najmłodszy syn boi się, że będzie chciał zbyt dużo i czeka go rozczarowanie. Albo, co gorsza, boi się, że ciebie zawiedzie.

- Nie obchodzi mnie, do której uczelni pójdzie, do cholery, byle zdobył przyzwoite wykształcenie. - Mike napił się jeszcze wina i dodał: - Ale obchodzi mnie, czy zostanie skazany za przestępstwo w czasie nadchodzących dziewięciu miesięcy.

March się uśmiechnęła.

- Wiem, że jako matka powinnam się zamartwiać tym, co dzisiaj się stało. - Przerwała na chwilę. - Ale, Mike, naprawdę... fioletowa krowa? - Zaczęła chichotać.

- Kiedy Mickey siedział razem ze swoimi nienormalnymi kumplami w pokoju zatrzymań, nawet policjanci się z tego naśmiewali. To wszystko twoja wina. Po tobie ma skłonność do wyskoków, słoneczko. - Puścił do niej oko i odprężył się.

Wkrótce wszelkie problemy, które nękały go jeszcze kilka minut wcześniej, przestały wydawać się takie trudne. Z nikim nie zamieniłby się miejscami. Miał żonę, przy której mógł głośno mówić o wszystkim, co go gnębiło, a March umiała sprawić, że pozbywał się czarnych myśli. Wyjął jej kieliszek z ręki i postawił go na stoliku.

- Myślę, że nadeszła pora, żeby porozmawiać o czymś innym.

- O czym?

- O czymś znacznie ważniejszym. - Pochylił się ku niej. - Przysuń się i zróbmy wreszcie coś z tymi majtkami.

Środowy poranek był słoneczny, przyjemny i spokojny, bez żadnych dramatycznych lokalnych wydarzeń, bez strajków kierowców ciężarówek, bez korków na ulicach albo problemów z mostami. Można było przyglądać się horyzontowi od północy ku wschodowi i zobaczyć Marin, Angel Island i szarozielone podnóża gór przy East Bay. Woda w zatoce była krystaliczna i tajemnicza, jak panoramiczny obraz z filmu Petera Jacksona, o brzegach nakrapianych złotem wschodzącego słońca. Miasto, jego ulice, publiczny transport i chodnikiapełniały się zgodnie z ciągłą rutyną, obowiązującą w środku tygodnia.

March nachyliła się i położyła dłoń na kolanie męża, gdy zmieniał biegi w sportowym aucie.

- Dopiero piętnaście po ósmej. Mamy czas. Pojedź Eleventh Street.

Mike szybko skręcił w prawo i w kilka minut później znaleźli się przed dawnym mieszkaniem. Wielka kamienica z cegły zajmowała prawie całą, porośniętą chwastami komunalną posesję, z jednej strony miała niewielką stację benzynową bez automatycznych dystrybutorów, sklep z oponami i hiszpański targ, a to wszystko przy betonowych szarych słupach wspierających autostradę.

Dach kamienicy był płaski, z połamanymi czarnymi rynnami na rogach, ale niektóre, jaśniejsze partie tynku wyglądały na nowe, wymieniono też staroświeckie okna podnoszone do góry. Przez długi czas, jako pozostałość jeszcze z szalonych lat sześćdziesiątych, widniały na budynku ogromna pacyfka i wielkie niebieskie oko, namalowane na południowej ścianie.

- Pomalowali cegły.

- Oko zniknęło. Tyle że nikt nie zajął się dachem. - Mike umilkł na chwilę. - Rany... słyszysz ten hałas z autostrady?

- Słyszę.

- Nie pamiętam, żeby był taki głośny.

- Bo nie... a może jednak. Chłopcy byli tacy mali. Nie potrafili być cicho dłużej niż dwie minuty, a ty przez większość czasu pracowałeś na dole w warsztacie.

- Ty za to grałaś muzykę cholernie głośno. - Mike roześmiał się do niej. - Słyszałem ją mimo szlifierki. Basy były tak podbite, że trociny na podłodze podrygiwały. Nawet sąsiedzi handlarze na to narzekali.

- Muszę ci powiedzieć, że chłopcy uwielbiali moją głośną muzykę.

- To szczęście, że nasze dzieci nie mają problemów ze słuchem. - Pochylił się nad kierownicą i przyglądał staremu miejscu. - Przy dzisiejszych cenach nieruchomości trochę mnie dziwi, że ta kamienica jeszcze stoi i nikt jej na nic nie przebudował. Wygląda tak samo jak kiedyś: mieszkanie nad magazynem.

- Cieszę się, że nic tu się nie zmieniło, to dowód naszej wspólnej historii. - Milczała przez chwilę. - Może zakradlibyśmy się tu którejś nocy i namalowali napis „Muzeum Cantrellów” na ścianie z boku.

- Rozumiem. No to mamy dowód. Mickey i jego fioletowa krowa to wszystko twoja wina. - Położył rękę na jej nodze. - Nigdy nie przypuszczałem, że pod maską artystki grafika ukrywa się graffi-ciara.

- Uwielbiam, kiedy zaczynasz zdanie od „Nigdy nie przypuszczałem”. Nadal jestem zagadkowa. - Spojrzała na profil Mike'a, gdy prowadził, a potem zapatrzyła się w okno. Była zupełnie spokojna o to, że jej głuputki sekret jest bezpieczny, bo on nic nie wiedział o tym, że zawsze, jak kretyńka, przejeżdżała obok ich starego mieszkania, gdy tylko była sama i akurat znalazła się w pobliżu albo po drodze do pracy. Dawne lokum

mieściło się jedynie kilka przecznic w bok, a ona niezmiennie usprawiedliwiała się myślą, że przypomnienie sobie, skąd się było, nie zaszkodzi temu, dokąd się zmierza.

Biura zarządu firmy Cantrell Sports Inc. zajmowały pięć pięter w Sutter Building, w wielkim kanionie monolitów ze szkła i stali przy Montgomery Street, w centrum dzielnicy finansowej. Wyszli z windy do westybulu udekorowanego śmiałymi grafikami, które March zaprojektowała, umeblowanego prostymi, europejskimi w stylu meblami, kupionymi u ekskluzywnego importera. Wisiały tam też wielkie, powiększone zdjęcia ostatnich desek Cantrella na najróżniejszym śniegu i w powietrzu oraz najnowsze slogany reklamowe.

Mike skierował się do swojego gabinetu, a March, która nie pracowała oficjalnie w biurze od kilku miesięcy, spędziła trochę czasu na wizytach w poszczególnych działach, najdłużej zatrzymując się na piętrze, gdzie zajmowano się grafiką i sztuką, witała się, pytała o rodziny, dzieci i rodziców.

O wpół do dziesiątej weszła do pokoju zarządu, mijając koszyk z łakociami - piramidą croissantów, z których każdy miał pięćset kalorii, i wyborem różnych duńskich ciastek z owocami, wzięła jednak tylko jogurt zero tłuszczu i czarną kawę.

Dołączyli do niej wysocy, szczupli i wysportowani synowie, chłopcy, których wychowała na ekologicznej żywności dla niemowląt, przygotowanej własnoręcznie w blenderze, których karmiła piersią, choć to bolało, a potem dawała im ekologiczne pełne mleko, konieczne dla ich rosnących kości. Przez lata dostawali zdrowe, dobrze zaplanowane i zrównoważone posiłki.

Każdy z nich wziął pączki, croissanty i duńskie ciastka - wszystko w liczbie mnogiej - ułożone wysoko na niewielkich białych talerzykach, a oprócz tego kawę ze śmietanką, sok i mleko. Phillip, mający trzydzieści dwa lata, dodatkowo skusił się na butelkę czekoladowego mleka.

Scott, zanim usiadł, pochłonął dwa pączki, wypił mleko i zabierał się do croissanta z masłem, kiedy podniósł na nią wzrok.

- Co?

- Czy w samym cieście nie ma dość masła dla ciebie?

- Nie. Podaj mi dżem, dobrze? - Wykrzywił usta w uśmiechu.

- To, że żaden z was nie ma na sobie ani grama tłuszczu, jest dla mnie dowodem, że Bóg jest mężczyzną - powiedziała.

Phillip usiadł naprzeciwko niej.

- Jasne, że to mężczyzna. To dlatego my władamy światem. O, tak!

- Przestań się puszyć, synu, i spróbuj nie zapominać, że to kobiety was rodzą. - Zjadła trochę jogurtu i wycelowała w niego łyżeczką. - Krawat nie pasuje do reszty.

Zmarszczył czoło i spojrzał w dół na ubranie.

- Właśnie, że pasuje.

- Znowu masz zły krawat, Phil. - Jego żona, Keely, weszła i nalala sobie kawy. - Nie wolno mi wychodzić przed tobą.

- Powinnaś mu przyczepiać karteczki na ubraniach - odezwał się Scott. - Mama tak robiła przez całe liceum. Na studiach wyglądał ohydnie. Fioletowe koszule. Brązowe spodnie. Czerwone bluzy.

Daltonista - synowa powiedziała to do March bezgłośnie nad łysą głową Phillipa. Gdy patrzyło się na Keely, trudno było uwierzyć, że tyle przeszła nie dalej jak przed rokiem, kiedy po dwóch latach starania się o dziecko przytrafiła się jej ciąża pozamaciczna, przez którą wylądowała w szpitalu, gdzie usunięto jej jeden jajnik i jajowód, a jej mąż przeżywał wtedy piekło. Nie było łatwo żadnemu z nich, ale teraz Keely czuła się już dobrze, a March wiedziała, że synowa nadal marzy o dziecku. Znowu próbowali, lecz bez powodzenia. March ucałowała ją.

- Nie wiedziałam, że przyjdiesz dzisiaj.

- Będzie pokazywała propozycję nowej reklamy SkiStar - wyjaśnił Phil, a potem spojrzał na żonę. - Przynieś mi drugie mleko, kochanie, dobrze? Czekoladowe.

- Tylko, jeśli obiecasz, że je wylejesz na ten krawat - odparowała. Ona i Phillip definitywnie pasowali do siebie.

Kiedy Molly skończyła studia na uniwersytecie w Los Angeles z wyróżnieniem i bardzo dobrze się zapowiadała, jedna z największych agencji reklamowych w San Francisco zatrudniła ją jako fotografikę reklamowego - była to ta sama firma, dla której March pracowała jako grafik wiele lat wcześniej. Wtedy też Molly poznała i od razu zaprzyjaźniła się z Keely Robinson, wysoką blondynką, bardzo bystrą młodszą konsultantką do spraw reklamy. Nie minęło wiele czasu i Molly zabawiła się w swatanie swego nieuleczalnie wesołkowatego brata, beznadziejnie trwającego w starokawalerstwie, z nową przyjaciółką. Reszta należy do historii rodziny Cantrellów.

Już po kilku minutach zebrał się cały zarząd i w ponad godzinę omówiono wszystkie codzienne zagadnienia, zanim Phillip przedstawił sprawozdanie o stratach i coraz gorszej pozycji SkiStar w branży, by przejść potem do pomysłów Keely, która podjęła wątek i rozdała obecnym teczki z materiałami.

- Sprawdzonym i najlepszym narzędziem promocyjnym, używanym do poprawienia pozycji w przemyśle sportowym i zwiększenia sprzedaży, jest wykorzystanie wizerunku kogoś sławnego. Statystyki i ujęte procentowo historyczne dane o rozwoju i zysku, niektóre przedstawione jako kolorowe wykresy, znajdziecie w teczkach. Zaczynają się na stronie czwartej.

Podawane przez nią fakty i samo opracowanie robiły duże wrażenie, ale to nikogo nie zaskoczyło. Nie spodzianką były natomiast metody promocyjne i cele SkiStar, które wyglądały zbyt różowo, żeby mogły być prawdziwe, jeśli firma miała podążać szlakiem wyznaczanym przez historię reklamy. Scott zamknął swoją teczkę.

- Przecież postanowiliśmy już jednoznacznie, że wykorzystywanie celebrytów jest zbyt drogie i ryzykowne... kiedy? Dwa lata temu?

- Ryzyko wynikało z listy nazwisk, nad którymi się wtedy zastanawialiśmy - odpowiedział Phil.

- A co za różnica?

- Jedno nazwisko. - Keely popatrzyła na Phillipa, który do niej mrugnął.

- Jakie?

- Spider Olsen.

Olsen był jedynym człowiekiem w branży, którego nazwisko mogło tchnąć wiarę we wszystkich zebranych w pokoju. I March wiedziała dlaczego. Spider Olsen. Zerknęła na Mike'a. Jej mąż nie odezwał się słowem. Znała ten wyraz jego twarzy: zamyślony, będący żywą ilustracją powiedzenia „poczekamy - zobaczymy”.

Najsłynniejszy sprawozdawca zajmujący się sportami zimowymi od prawie dwudziestu lat, który pracował dla ABC, NBC i ESPN, Spider Olsen, był znakiem firmowym, jedynym amerykańskim narciarzem, który zdobył trzy olimpijskie złote medale w narciarstwie zjazdowym i dwa takie same za slalom. Jego nazwisko stało się z czasem synonimem narciarstwa Stanów Zjednoczonych.

Pięciokrotny mistrz świata, Olsen, odrzucał wszystkie oferty reklamowania czegokolwiek od chwili, gdy przestał czynnie uprawiać sport przed prawie dwudziestu laty. Niemniej stacje telewizyjne proponowały mu relacjonowanie wszystkich olimpiad zimowych, mistrzostw świata i w końcu zaczął pracować jako telewizyjny komentator sportów zimowych.

Wysoki blondyn, napastliwy i inteligentny, o głębokim, charakterystycznym głosie, był często wymieniany w nagłówkach gazet; żonaty i rozwiedziony z łyżwiarką, potem z aktorką, która grała w tasiemcowym sitcomie nagrodzonym Emmy, i ostatnio rozwiedziony z wnuczką wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Kiedy March spotkała go po raz pierwszy, nie pomyliła się w jego ocenie. Spider Olsen był kundlem. Ucieleśnieniem kłopotów.

- Na jakiej podstawie przypuszczasz, że możemy pozyskać Olsena? - zapytał Scott, śmiejąc się cicho z tego pomysłu. - Nikomu się to nie udało. Od lat odrzuca wszystkie takie propozycje.

- Zdobył swoje medale na nartach SkiStar - odparła Keely.

- W latach osiemdziesiątych.

- Lubi tatę - dodał Phillip.

- Tak, racja - powiedział Scott. - I pewnie polubi miliony dolarów rocznie, które jego zdaniem będziemy mu wypłacali.

Phil spojrział na Mike'a.

- Nie wiedziałem, że go znasz, tato, dopóki Keely mnie z nim nie poznała. Wspomniał, że zna cię sprzed wielu lat.

- Znam Olsena - odezwał się Mike płaskim głosem pozbawionym emocji.

- Wszystkie nasze rozmowy wskazują na to, że jest otwarty na reklamę SkiStar... zwłaszcza teraz, gdy firma należy do Cantrell Sports - podsumowała Keely.

Mike roześmiał się, kręcąc lekko głową, i pogłaskał się po policzkach.

Z tego, co March wiedziała, kontakty jej męża z komentatorem ograniczyły się do wymierzenia Olsenowi ciosu w szczękę w barze w Calgary.

Nikogo nie trzeba było przekonywać. Lansowanie SkiStar przez Olsena to właśnie to, czego ta firma potrzebowała. Żadna z siedzących przy stole osób nie miała wątpliwości co do siły oddziaływania Spidera Olsena. Jawił się jako deska ratunku. March obiecała już wcześniej Mike'owi, że w tej sprawie będzie trzymała jego stronę. Jej cwana jak diabli synowa świetnie orientowała się w atrakcyjności marchewki, która teraz przed nimi dyndała. Phillip zerkał na ojca co kilka sekund, pukał długopisem o podłokietnik fotela z typowym dla siebie zniecierpliwieniem i czekał, żeby Mike coś powiedział. Scott zaś milczał i niezbyt skupiał się na tym, co

mówiła Keely, choć co jakiś czas patrzył na nią i lekko się uśmiechał. March wiedziała, że martwią go pieniądze, które firma będzie musiała wyłożyć na kontrakt z Olsenem, pieniądze pochodzące bezpośrednio z zysków Cantrell Sports, czyli działki Scotta.

Mike oparł się o fotel, najwyraźniej podjąwszy decyzję.

- W porządku - rzekł. Spojrzał na Keely i Phila. - Załatwione. Zaczynamy negocjacje.

8

Licznik zepsuł się po stu osiemdziesięciu dziewięciu tysiącach kilometrów, a przedni zderzak trzymał się jedynie dzięki zwykłemu wieszakowi na ubrania i połowie rolki taśmy izolacyjnej. Słone powietrze i sól na drogach, działające na lakier przez lata, zmieniły jego kolor na ponury odcień szarości betonu, a poplamione wewnątrz pachniało wyschniętym sokiem jabłkowym, arrarutowymi herbatnikami i kłótnią.

Między San Francisco i jeziorem Tahoe, na wijącej się autostradzie numer 50, rodziła się historia Cantrell Sports Inc. w śmierdzącym, zniszczonym samochodzie Chevell Malibu.

W tamtych wczesnych latach Mike zarabiał na życie, sprzedając swoje pierwsze deski w weekendy i święta z bagażnika chevroleta kombi na parkingu poniżej Heavenly Valley, w czasach gdy nadal istniał T-bar na oślej łączce, a nazwanie pierwszej deski „Konopie” pomogło mu przyciągnąć uwagę większości narciarzy.

W tej chwili była to jednak zamierzchła przeszłość, a samochodem z wypożyczalni, który parkował przy kasynie Stateline, był luksusowy SUV z elektronicznym dozownikiem odświeżacza powietrza, GPS-em i satelitarnym radiem. Za kasynem, w górach, szybkie wyciągi z sześciuosobowymi siedziskami wiozły narciarzy i snowboardzistów na szczyt Heavenly, a w żargonie boardzistów wyrażenie „palić tłuszczocha” nie odnosiło się już do miękkich narkotyków.

Z wysokich okien penthouse'u w ekskluzywnym kasynie, z którego korzystała stacja ESPN po przyjęciach wydawanych z okazji zawodów, roztaczał się wspaniały widok na panoramę Heavenly, całą w niebieskościach. Ciemne zwały śniegu odgarniętego przez pługi otaczały teren parkingu, ocienione krzeselka zwisały na linach niczym nietoperze, a strome, nieskazitelnie gładkie zbocza zabarwiły się na niebiesko od lutowego wieczornego nieba, na którym każda gwiazda pobłyskującą nad górami Sierra robiła wrażenie zbliżających się przednich świateł, blado-srebrny, zimowy księżyc zaś wznosił się nad nieprzyjaznymi, czarnymi szlakami.

Ten wieczór wydawał się oddalony o całe wieki od tamtych dni, gdy Mike sprzedawał deski z zardzewiałego combi, był młodym żonkosiem, ojcem dwóch małych chłopców, których narodziny dzieliło piętnaście miesięcy, i który żył z March za niewielkie pieniądze zarobione na mrzonkach, absolutnie pewny możliwości, jakie kryła w sobie nowa dziedzina sportu.

Mike pamiętał, jak pewnej sobotniej nocy stał przed Stateline w samym środku zimy, śmierdzącego starego chevroleta zaparkował gdzieś przy jeziorze, kiedy nie sprzedał nawet jednej deski. Ulice i niebo wyłaniały się z mroku dzięki jasnym światłom hoteli-kasyn - Harrah's, Harvey's i starego Sahara.

Z miejsca, gdzie docierało rześiste oświetlenie kasyn, nie było widać gwiazd nad Heavenly, jedynie całe piętra jasnych okien hotelowych pokoi i punktowe światła w panoramicznych oknach restauracji nad nimi. Za

każdym razem, gdy otwierały się automatyczne drzwi, słychać było dysharmonijne podzwanianie automatów do gry, przerywające chwile zimowej ciszy, podobnie jak to działo się i teraz, gdy stało się w nocy na wolnym powietrzu, nawet jeśli oprócz marzeń nie miało się nic, co można byłoby postawić. W tamtych czasach Mike nie ryzykował grania zarobionymi pieniędzmi. Pewny był jedynie własnych ideałów, a nie kontraktu reklamowego ze słynnym narciarzem, który kierował się w życiu zupełnie innymi wartościami.

Kiedy ponownie spotkał się z Olsenem, kilka miesięcy po decyzji zarządu o próbie lansowania marki przy pomocy celebryty, śmiali się obaj z wydarzeń w Calgary, gdzie komentarze byłego narciarza o snowboardingu i pijackie zaloty do March sprawiły, że Mike stracił panowanie nad sobą i go znokautował.

Nadal jednak różnili się kompletnie.

March zapytała kiedyś Mike'a, gdy zaczęli się spotykać, czy wierzy w przeznaczenie i los. Jedną z rzeczy odróżniających ją od innych dziewczyn, które znał, było to, że pytała go o sprawy, nad którymi nigdy się nie zastanawiał.

Przyjmował, że marzenia i plany człowieka jako jednostki często pozostają w sferze tajemnicy przed innymi. Mężczyźni działają popychani ideałami. Kobiety o ideałach rozmawiają. Odpowiedział jej wtedy, że każdy człowiek ma coś w rodzaju konspektu życia. Niemniej nigdy nie uważał, żeby jego przyszłość pozostawała w całości w czyichś rękach. Gdzieś w głębi ducha wiedział, że sam musi kształtować własne życie.

Pewnej ponurej nocy dawno temu, gdy stał na granicy Kalifornii z Nevadą, prawdopodobnie po raz pierwszy naprawdę zrozumiał, że może być kowalem własnego losu, choć był on wielką niewiadomą, bo miał March u swego boku.

Czymś, co między innymi zapamiętał z dni, kiedy ledwo wiązał koniec z końcem, a sprawy układały się fatalnie, było odkrycie, że jego życie niesło ze sobą niejasne poczucie straconego czasu. Bez słowa zostawił pracę w Spreckles. Miał co prawda rodzinę, ale to March dawała mu pełne wsparcie. Zawsze przy nim stała, dzięki czemu mógł podjąć ryzyko, bo nie chciał umrzeć i żałować w ostatniej chwili życia, że czegoś nie zrobił.

Dlatego Mike nie nosił w sobie pretensji do świata, jakie jego zdaniem żywił Olsen, jeśli w ogóle ten człowiek miał jakikolwiek kościec moralny. Teraz, tego wieczoru, patrząc w dół z sali bardzo drogiego kasyna Stateline, gdzie odbywało się przyjęcie zorganizowane przez ESPN, Mike czuł się odcięty od tamtych dawnych lat, jakby przydarzyły się komuś innemu.

Gwar w zbyt nobliwym, zbyt zatłoczonym i zbyt dusznym apartamencie narastał i stawał się irytujący od piskliwego głosu młodych kobiet, śmiejących się stanowczo za głośno, podczas gdy inne tańczyły same, prowokująco, by przyciągnąć uwagę zawodników, celebrytów i Spidera Olsena, który był jednym z tych mężczyzn, obdarzonych dziwnym magnetyzmem, działającym na niedojrzałe, potrzebujące pieniędzy dziewczyny.

Olsen, wyglądający niemal na karła przy wielkim marmurowym kominku, stał po drugiej stronie pokoju otoczony kobietami dwa razy młodszymi od niego. Mike zwrócił uwagę na piegowatą rudowłosą dziewczynę, wyglądającą na dwadzieścia kilka lat, prawie równolatkę jego córki Molly, i chętnie udzieliłby jej ojcowskiej rady, żeby zmykała do domu i trzymała się z dala od Olsena.

Idealny mężczyzna do promowania SkiStar miał prawie czterdzieści dziewięć lat i był ludzkim odpowiednikiem kocura. Spider Olsen należał do rodzaju mężczyzn, którzy surowo traktowali kobiety.

Niemniej dla Mike'a najważniejsze były deski i narty, a nie miłosne życie celebryty. W teczce miał to, po co przyszedł: podpisaną z nim umowę promocyjną. Na następne trzy lata Olsen i SkiStars stawali się jednym. Godziny marznięcia na mrozie, gdy na tej samej ulicy przed kasynem stał z pustymi kieszeniami, należały do zamierchłej przeszłości.

Mike odwrócił się od okna, zastanawiając się, co jeszcze tu robił. Bo załatwił już wszystko, co było konieczne.

Wcześniej, po zawodach komentowanych przez Olsena, zszedł z gór, spakował rzeczy i zamknął dom w Tahoe. Teraz musiał złapać samolot. Jeszcze tego wieczoru chciał wrócić do domu. Stanie przy oknie i patrzenie na świat swojej przeszłości w niewielkim tylko stopniu pomagało mu zabić czas w pokoju, w którym nie chciał być.

Szybki rzut oka na zegarek i ruszył przez heffnerowski tłum fanek narciarzy, czując się niekomfortowo, gdy podążyło za nim zbyt wiele, zbyt wygłodzonych spojrzeń zbyt młodych kobiet.

- Mike. - Olsen uścisnął mu rękę.

- Muszę się dostać na lotnisko.

- Podtrzymuję moją ofertę. Zostań do jutra, rano zabierze cię odrzutowiec telewizji. Będzie leciał w miarę wcześnie.

Mike pokręcił głową.

- Mickey ma jutro mecz. Poza tym obiecałem March, że wrócę wczoraj. I tak już przeciągnąłem pobyt. - Olsen posłał mu spojrzenie, które obaj zrozumieli, dlatego Mike klepnął go po ramieniu. - Z odpowiednią kobietą małżeństwo się sprawdza. - Pochylił się niżej i dodał: - Ale mogę ci zagwarantować, że w tym pokoju nie ma odpowiedniej kobiety.

- Prawdopodobnie masz rację. - Olsen się roześmiał. - Tyle że lepiej się tu bawię niż w którymkolwiek z moich małżeństw, więc jakoś to przecierpię.

Dwadzieścia minut później Mike jechał ostrymi, stuosiemdziesięciostopniowymi zakrętami Kingsbury Grade, skrótem, który miał doprowadzić go do równin Gardenville, dzięki czemu zaoszczędziłby dwadzieścia minut z drogi na lotnisko w Reno. Pokonał jeden z zakrętów, gdy niespodziewanie siadło zasilanie w samochodzie. Brak prądu. Brak świateł. Nic.

Tracąc panowanie nad samochodem i bez wspomaganie kierownicy, szamocząc się, wszedł w zakręt, zatrzymał, wrzucił luz, a potem przekręcił kluczyk. Nie zadziałał, więc podniósł maskę. Ale nawet pod nią nie działało światło.

Sięgnął do środka i nacisnął przycisk wzywania pomocy na GPS na głównej konsoli i czekał. Żadnego dzwonka, żadnej odpowiedzi, żadnego monotonnego głosu, domagającego się podania godziny seansu filmowego i zarezerwowania stolika w restauracji. Zaklął pod nosem - na zewnątrz panował siarczysty mróz - założył kurtkę, oparł się o karoserię, wyciągnął komórkę i z niecierpliwością oczekiwał na sygnał. Na niebieskim wyświetlaczu pojawił się napis: „Brak zasięgu”.

Przy nikłym świetle księżycy na drodze panowały egipskie ciemności. Nad głową miał bezkresną kopułę nocnego nieba i przypominające zęby piły zarysy sosen widoczne na tle pokrytych śniegiem gór Sierra. W

dolinie poniżej pobłyskiwały niewielkie światełka rozrzuconych przypadkowo farm, oddalonych o długi marsz w zimnie, przez który spóźniłby się na samolot.

Jak na dzień, który zaczął się od rozwiązania problemów SkiStar, sprawy przybierały gwałtownie fatalny bieg. Ostatnia informacja o temperaturze na zewnątrz pokazywana w martwym teraz samochodzie mówiła o minus dwudziestu dwóch stopniach. Żeby zdążyć na samolot, Mike nie mógł marnować czasu, dlatego złapał torbę z tylnego siedzenia i zaczął schodzić z góry, sprawdzając co kilka minut, czy komórka ma wreszcie zasięg.

Za nim rozległy się w oddali muzyka i warkot silnika, dochodzące z drogi. Mike odwrócił się akurat w chwili, gdy padły na niego światła przednich reflektorów wylaniające się zza zakrętu. Stał na szosie i zaczął machać ramionami. Prawie tonowa półciężarówka gwałtownie skręciła i pomknęła dalej. Muzyka country rozlegała się z zamkniętej szoferki.

- Nie zatrzymuj się, dupku, no pewnie, po co... - wymamrotał Mike. - Odmrozę tu sobie tyłek.

Niespodziewany błysk czerwonych świateł rozjarzył się na drodze. Pobiegnął w ich kierunku. Przyciemniona szyba od strony kierowcy opuściła się z cichym szmerem.

Siedzący w środku mężczyzna miał na głowie drogi kowbojski kapelusz. W poświacie deski rozdzielczej wyglądał na typowego, schludnego kowboja przywodzącego na myśl Tima McGrawa i był trochę starszy od Scotta, może dobiegał już czterdziestki. Gdy kierowca sięgnął, by ściszyć radio, Mike zauważył ciemny zarys futerału na gitarę na siedzeniu pasażera, siano na podłodze i sfatygowaną skórzaną walizkę z wystającymi z niej kartkami papieru nutowego.

- Mniej więcej dwa kilometry stąd zepsuł mi się samochód - powiedział Mike. - Próbuję złapać samolot z Reno.

- Widziałem ten wóz. - Miękki południowy akcent pobrzmiwał w niskim głosie kierowcy. Kliknęły zamki w drzwiczkach. - Wskakuj. - Przesunął gitarę i walizkę na tył szoferki.

- Jestem bardzo wdzięczny. - Uścisnęli sobie ręce. - Nazywam się Mike Cantrell.

- Rio Paxton.

Mike przypomniał sobie to nazwisko sprzed wielu lat, kiedy Rio Paxton został wybrany piosenkarzem country roku, najmłodszym w historii, i jego piosenki bez przerwy puszczano w radiu. Chodziły słuchy, że potem się wypalił, odwoływał koncerty i zaczął zachowywać po wariacku, bo sława uderzyła mu do głowy. Rio Paxton i Olsen mogliby porównać notatki z lekcji na temat, jak spieprzyć sobie życie.

Paxton musiał się zorientować, że Mike go rozpoznał.

- Tak. To ja. Cudowne dziecko. Wypaliłem się całkiem szybko i bardzo publicznie. Nadal nie pamiętam roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego.

- W osiemdziesiątym dziewiątym urodził się mój syn. I też ma skłonności do ognia. Właśnie rzucił bombę, że nie chce iść na studia, bo woli zostać zawodowym snowboardzistą.

- Cantrell? - Rio przerwał, a potem popatrzył na niego z zaciekawieniem. - Jak snowboardy Cantrella.

- Dokładnie.

- Twój syn jest w tym dobry?

- Aha.

- Osiemdziesiąt dziewięć? Wtedy miałem rok albo dwa więcej. Zatrzymaj go w szkole i z dala od reflektorów.

- Próbuje. Jednak trudno się rozmawia z upartym nastolatkiem, który nie ma żadnego doświadczenia.

- Wszystko wie najlepiej. Czy nie tak, jak my kiedyś?

Po kilku minutach prowadzili już swobodną męską rozmowę - o silnikach samochodowych (koniach mechanicznych) i przemyśle muzycznym, hodowlach koni niedaleko Sparks. Rozmowa wypełniła im czas na prostej asfaltowej szosie prowadzącej do Reno.

Lotnisko znajdowało się na południowym obrzeżu miasta, zbudowane na nizinym pustkowiu rozległych terenów porośniętych krzakami. Miało łatwy dojazd, było wygodne i stworzone do podróży, które sprawiały, że Mike po pięćdziesiątce tęsknił za znacznie prostszym życiem, w miejscu niepodobnym do gwarne San Francisco, i chętnie zrezygnowałby ze skomplikowanego stylu życia, jaki sam wypracował dla siebie i swojej rodziny. Ludzkie marzenia mogą się zmieniać.

Półciężarówka podjechała do krawężnika. Nie widać tu było ani taksówek, limuzyn ani ludzi stojących w kolejkach, którzy blokowałiby chodniki, i wózków zapełnionych bagażami, a sama jazda z lotniska do miasta też nie trwała tu w nieskończoność.

Mike wziął wizytówkę Rio.

- Jestem bardzo wdzięczny. Wyślę ci nowy sprzęt do jazdy.

- Nie musisz tego robić.

- Wiem, ale chcę. - Mike wziął torbę z siedzenia. - Dzięki jeszcze raz, stary. - Uścisnął dłoń Rio. - Nie zdążyłbym na ten samolot.

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc.

Mike zatrzasnął drzwiczki półciężarówki i miał więcej czasu, niż potrzebował, by zająć się wynajętym z agencji samochodem i bez pośpiechu wejść na lotnisko. Nie musiał biec przez automatyczne, szklane drzwi.

Za nim rozległ się niespodziewany warkot potężnego silnika forda i półciężarówka odjechała ze słuchionym, odległym głosem Jerry'ego Jeffa Walkera śpiewającego *Up Against the Wall You Redneck Mother*.

CZEŚĆ DRUGA

Kiedys myślałem, że starzenie się dotyczy próżności - ale tak naprawdę chodzi o tracenie ludzi, których się kocha.

Joyce Carol Oates

Marzec

I jak mam sobie radzić, gdy ogarnia trwoga przed opętaniem człowieka przez diabła i Boga?
Ja, obcy i złęczony w świecie, który nie przeze mnie został stworzony.*

A.E. Housman

* przeł. Krzysztof Ołtak

9

Była druga nad ranem, kiedy obudziło mnie natarczywe dzwonicie do drzwi, a strona łóżka Mike'a nadal świeciła pustką. Zatelefonował co prawda wcześniej i uprzedził mnie, że wróci do domu, najwyraźniej jednak bardzo późno. „March - powiedział - niedługo przyjadę, ale miałem piekielnie ciężki dzień... dobry i zły”.

Kiedy wyjeżdżał, nabrałam nawyku zamykania na łańcuch drzwi kuchennych, co doprowadzało go do szaleństwa. Zwlokłam się z łóżka i w tej samej chwili telefon zaczął dzwonić. Pomyślałam, że stracił cierpliwość i żeby mnie obudzić, zadzwonił z telefonu komórkowego.

Ignorując telefon, wyszłam zaspana z pokoju i zesłam po schodach, mamrocząc pod nosem coś o wadach mężczyzn, a zwłaszcza mężów. Miał przecież własne cholerne klucze. Gdzie tym razem je zostawił?

Oba dzwonki - telefonu i przy drzwiach - nie przestawały terkotać.

- Już idę!

Otworzyłam drzwi na oścież, co nie było zbyt mądrym posunięciem w przypadku kobiety, która pozamykała cały dom niczym Fort Knox. W chwili gdy uświadomiłam sobie, że jest druga nad ranem, drzwi były już otwarte, a ja patrzyłam na policjanta w ciemnym mundurze, który wyglądał, jakby stał na baczność, wysoki i wyprostowany, oświetlony żółtą matową żarówką, którą Mike wymienił w poprzednią niedzielę.

- Ktoś jest w domu - powiedział do zestawu głośnomówiącego zatkniętego w ucho i w tej samej chwili telefon przestał dzwonić.

Było wilgotno i zimno, a ja miałam na sobie jedynie podkoszulkę na ramiączka i ściągane tasiemką spodnie od pidżamy, dlatego objęłam się ramionami.

Policjant spojrział mi w oczy, był poważny i spięty.

- Pani Cantrell? Żona Michaela Cantrella?

Niczym zasnuwająca wszystko gęsta mgła, wypełniła mnie dziwna pustka, zaczynająca się od miejsca, gdzie moje serce właśnie zamarło. Miałam wrażenie, jakbym oglądała z zewnątrz tę scenę, rozgrywającą się przede mną, a to, co się działo, uderzyło mnie z taką klarownością, że potrzebowałam chwili, by dobrać głos.

- Czy Mike żyje?

- Przykro mi.

Jego spojrzenie i całe zachowanie uznałam za nieporadną mieszaninę zrozumienia i współczucia, ale dopiero w późniejszych miesiącach. Ludzie nie wiedzą, co powiedzieć wdowie, zwłaszcza gdy jest się osobą, która ma jej zakomunikować, że właśnie stała się jedną z nich.

Mike Cantrell nie żył, bo znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Zaledwie kilka kilometrów od domu kierowca jadący pod prąd jedną z wielu jednokierunkowych ulic w San Francisco zabił mojego męża, poślubionego trzydzieści cztery lata wcześniej, i ojca czwórki naszych dzieci.

Myśli kłębiły mi się w głowie, dochodząc do granic ironii. Przeleciał bezpiecznie całą drogę do domu. Nie jechał swoim porsche, przez co najprawdopodobniej zginął, bo nie chciał zaparkować go na lotnisku, gdzie ludzie objęli drzwiczki i wgniatali zderzaki. Jechał sedanem, ciężkim, drogim niemieckim wozem, zrobionym z hartowanej stali, z poduszkami powietrznymi i silnikiem, który osiągał pełną prędkość na autostradach. Mocny silnik i poduszki powietrzne służyły przecież chronieniu kierowcy.

Przez całe dorosłe życie jeździł w dużym ruchu ulicznym, wśród mgieł, latami prowadził starego chevroleta w górach, gdzie drogi są zaśnieżone i śliskie, czasami pokryte śmiertelnie niebezpieczną gołoledzią. Latał wszelkimi rodzajami samolotów po całym świecie. A jednokierunkowa ulica, zaledwie jedną przecznicę od domu, byłaby miejscem, gdzie zakończył swoje wspaniałe, cudowne życie?

„Miałem piekielnie ciężki dzień...”

Cały mój świat zmienił się w czasie jednej sekundy. Na pewno słyszeliście takie powiedzenie, może nawet sami je powtarzacie, nie mając do końca pojęcia, jak jest przerażająco prawdziwe. Życie zmieniło się za sprawą kilku słów... z których oba brzmiały tak tanio. „Przykro mi”. Policjantowi było przykro. Nie mogłam zrobić nic, poza staniem przed tym biednym, współczującym mi wysłannikiem śmierci, gdy fatum wymierzyło mi cios prosto w twarz.

Nie byłam w stanie płakać, bo wszystkie ludzkie uczucia kłębiły się we mnie jednocześnie. Obróciłam się i zobaczyłam, że Mickey stoi na schodach, w powyciąganej pidżamie zwisającej mu z bioder, i patrzy z ciekawioną, włosy sterczą mu na wszystkie strony jak wtedy, gdy miał trzy lata.

Jak powiedzieć własnym dzieciom, że najważniejsza dla nich osoba nie żyje?

Dowiedziałam się, jak to zrobić: stoi się w skorupie zimnego spokoju niczym zombi i mówi słowa, których w ogóle nie miało się na myśli, i patrzy się, jak coś pięknego, wrodzonego u dzieci, wyparowuje na twoich oczach. A to był dopiero początek jednego z najgorszych okresów życia: radzenia sobie ze śmiercią.

Odrętwienie zaczęło mnie opuszczać po tygodniu od pogrzebu Mike'a, kiedy po raz pierwszy wyszłam z domu i ukryłam się w parku, gdzie się pobraliśmy. Miałam po prostu dość wszystkich, którzy chcieli być przy mnie, nawet najlepszych przyjaciółek, patrzących na mnie, podobnie jak reszta, jak na fiolkę nitrogliceryny.

Dziękuję Bogu za dzieci. Bo z ich powodu nie wolno mi było zniknąć. Nie mogłam zmienić się w amebę albo odjechać w siną dal i nigdy nie wrócić. Rodzina musi pozostać rodziną, cokolwiek ją spotka.

Dzień po dniu obserwowaliśmy się nawzajem, obchodziliśmy dookoła jak zbite psy o przestraszonym i nieufnym spojrzeniu, jakiego wcześniej nigdy nie było w naszych oczach. W jakiś sposób potrzebowaliśmy rozpaczliwie znaleźć między sobą coś innego niż dzielony ból albo zupełny i przejmujący strach. Chodziliśmy wokół siebie na palcach, niezdarni i broczący w ciszy krwią, aż więcej znaczenia nabierały chwile, gdy nic nie mówiliśmy, niż to, co zostało rzeczywiście wypowiedziane.

Poddałam się impulsowi chwili i uciekałam z domu, by znaleźć się daleko od przyjaciół dzwoniących, żeby sprawdzić, jak się czuję; od firmy, którą żył mój mąż; od formularzy podatkowych, które należało wypełnić; od rachunków do zapłacenia; od prozaicznych codziennych obowiązków, które wykonywałam, choć w środku wszystko we mnie krzyczało: Dość! Dość! Dość! Świat się zatrzymał. Mój świat się zatrzymał.

Tak więc usiadłam na surowym odludziu, wysoko na wspaniałym wzgórzu w moim ukochanym, pełnym kontrastów mieście, otoczonym zatokami, nad którymi poprzierzucano mosty, i cudownym Oceanem Spokojnym, będącym jednocześnie wielką błękitną barierą i otwartym oknem na świat. Nie bez powodu śpiewano o nim piosenki. I wierzę, że uciekałam do tego właśnie miejsca, bo chciałam odnaleźć własne serce.

Powyginany cyprys o włóknistej korze miałam za plecami, a zimny wiatr znad wody owiewał mi twarz. Na wiosnę było jeszcze za wcześnie. Na grządkach nie kwitły bujnie aksamitne fiołki, spod trawy nie wychynęły jeszcze mlecze ani jaskrawożółte pączki gorczycy. Ale dzień był pogodny, kalifornijski, o błękitnym niebie i lazurowej wodzie, z wiatrem wiejącym od Pacyfiku, łagodnie wdzierającym się do zatok i ku białym szczytom... przypominającym bezy lub bitą śmietaną.

Język książek kucharskich. *Nie przesadz z biciem*. Ostatnio właśnie to robiłam, odruchowo bijąc się pięścią po nodze, gdy zbyt długo siedziałam nieruchomo. Molly zwróciła mi na to uwagę, patrząc na mnie w taki sposób, że zaczęłam wątpić, czy rzeczywiście udaje mi się realizować wspaniały plan, zgodnie z którym miałam nie dawać dzieciom powodów do zmartwień. Jeszcze jako dziecko moja córka umiała skoncentrować się na prawie niewidocznych elementach krajobrazu: sowie siedzącej na najwyższym drzewie; całej muszelce pieśniakowca leżącej na stercie połamanych skorup; satelicie wyglądającym jak gwiazda, poruszającym się po nocnym niebie nad górami Sierra. Bardzo wcześnie zorientowałam się, że Molly została stworzona do trzymania w rękach aparatu fotograficznego.

Powiedziała mi kiedyś, że w *Buffy, postrachu wampirów* zrobiono trzysta sześćdziesiąt cztery błędy - przypuszczam, że obejrzała wszystkie odcinki i wypatrzyła je co do jednego. Wygrywała zazwyczaj rodzinne konkursy „kto znajdzie najwięcej wpadek w jakimś filmie”, będące tradycyjną grą Cantrellów, co sporo mówi o tym, jakie filmy oglądaliśmy. Swoje umiejętności odziedziczyła po Mike'u, który był takim maniakiem filmowym, że chodził i gwizdał przez większą część dnia, gdy na DVD wypuszczono *Gwiezdne wojny*, i dodawał do tego głośny łoskot, gdy szturmowiec przez przypadek uderzał go w głowę przy wejściu do domu.

To, że George Lucas potrafił śmiać się z własnych błędów, wprawiało Mike'a w doskonały humor - sam potrafił śmiać się z siebie - ale w rodzinie kłownów Molly traktowała wszystko zbyt poważnie. Tylko ona dozukiwała się czegoś znacznie głębiej od reszty z nas. Lubię myśleć o sobie jako bystrej kobiecie. Ale mój umysł nie podąża łatwo za tokiem myślenia mojej córki. Często ścierałyśmy się ze sobą i ku mojej ogromnej frustracji nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że zbliża się awantura.

W poprzednią niedzielę rozmawiała z Phillipem, kiedy wydawało się im, że ich nie słyszę w pokoju obok. Jestem matką - to jasne, że wyszłam z niego i słuchałam.

- Dlaczego? - odezwała się Molly.

- Co dlaczego?

- Ile razy tato jeździł tamtą ulicą? Dlaczego wtedy? Dlaczego on? Nie zadajesz sobie pytania dlaczego?

- Nie, krasnalu. I nie chcę wiedzieć więcej niż to, czego dowiedzieliśmy się do tej pory. Jechał do domu. Jakaś ciężarówka z przyczepą, skręcając, złożyła się jak scyzoryk, a inny samochód musiał wjechać w pierwszą lepszą ulicę, żeby na nią nie wpaść, i to przesądziło o śmierci ojca. - Phil przerwał na chwilę, głos trochę mu się obniżył. - Nie można powtarzać w nieskończoność tego, co już się wydarzyło.

- Ja muszę.

- No cóż, ja nie. - Philip był wyraźnie podenerwowany.

- Muszę znaleźć w tym jakiś sens. Jakiś powód.

- W śmierci nie ma żadnego sensu. W życiu prawdopodobnie też - odpowiedział, a ja nienawidziłam gorczy, którą usłyszałam w głosie syna. Zostawił Molly samą i poszedł do żony. Miałam nadzieję, że Keely dała mu to, czego potrzebował w tamtej chwili.

Oparłam się plecami o ścianę i czekałam, usiłując zdecydować, czy dam radę tam wejść. Nawet gdy nie byłam słaba i pogrążona w rozpacz, nigdy łatwo nie przychodziło mi stawić czoło Molly lub z nią porozmawiać. Tamtego dnia byłam roztrzęsiona, dlatego stchórzyłam i nie poszłam do niej. Przesiedziała w swoim pokoju całe wieki. Myślę teraz, że popełniłam błąd, zostawiając ją wtedy samą, bo choć spróbowałam później z nią porozmawiać - zanim odeszła i kiedy ja czułam się bardziej pozbierana - nie chciała ze mną mówić o ojcu. Otaczał ją ciemny szal przynębienia. Obsesowo i szybko zmieniała temat, a ja potem nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że z powodu własnej słabości zaprzepaściłam jedyną dla nas obu okazję wspólnego oplakiwania Mike'a.

W nocy, gdy Mike zginął, policjant powiedział mi, że umarł w ułamku sekundy, wyświechtane słowa, które miały dać mi jakąś pociechę. *Umarł w ułamku sekundy*. Naszym dzieciom nigdy nie powtórzyłam tych słów, niezależnie od tego, czy były prawdziwe, czy nie. Obrazy, które ze sobą niosły, były okrutniejsze niż sama wiadomość.

A teraz, dzisiaj, na wzgórzu, jakich odpowiedzi szukałam? Skubałam palcami trawę, patrzyłam z parku na wodę w oddali i zastanawiałam się, po co tu przyszłam, dlaczego tak naprawdę tutaj przybiegłam?

Ponieważ był to zwykły dzień tygodnia (wtorek? środa? - wszystko jedno), w zatoce naliczyłam tylko tyle łodzi, ile jest palców u mojej prawej ręki, na której przez ponad trzydzieści lat nosiłam ślubną obrączkę, która nie miała już drugiej do pary. „Teraz” nie miało znaczenia. Ze wzgórza roztaczał się panoramiczny, niczym nieprzesłaniany widok, ale ja nie potrafiłam dostrzec stamtąd żadnej przyszłości.

Jedno wiedziałam na pewno: właśnie przeżyłam półtora tygodnia, które zmieniło bieg mojego życia i nawet w jednym z moich ulubionych miejsc na świecie nie mogłam się ukryć. Niezależnie do tego, jak bardzo się wysilałam, nadal prawie nic mnie nie obchodziło, więc ostatecznie podniosłam się. Owiał mnie wiatr, zimny i wilgotniejszy niż ostatnim razem, kiedy tu przyszłam. A potem ten sam wiatr wiał mi w plecy, popychał do domu, bo rzeczywiście na wzgórzu nie znalazłam miejsca, gdzie mogłabym się schować.

Minęło dużo czasu, zanim moja skóra odzyskała zmysł dotyku, a jeszcze więcej dni, zanim poczułam smak czy zapach czegokolwiek. Mogłam jeść cytrynę, zupełnie się przy tym nie krzywiąc, trzymać rozwścieczonego skunksa na rękach albo otwierać lodówkę bez czucia śladu zapachu, że coś w niej się psuło. W końcu dla mnie było to bez różnicy.

Dni mijały, a ja niewiele z nich pamiętałam. Dzieci musiały mi wszystko powtarzać po kilka razy. Przyglądałam się im badawczo, żeby odwrócić uwagę od własnej żaloby i iść naprzód w otoczeniu pozorów normalnego życia. Przeżywałam każdy dzień, każdą godzinę, każdą minutę niczym postać z jakiejś sztuki napisanej sympatycznym atramentem.

To wszystko mnie nie dotyczyło. To nie było rzeczywiste.

Ale prawda była taka: to jest moja nowa rzeczywistość. Michael David Cantrell umarł i jeszcze długo potem ja też chciałam nie żyć.

10

Kiedy mijające dni przechodziły w tygodnie, okazało się, że podnoszę na duchu innych, którzy dzwoniли, przyjaciół Mike'a jego brata. Zadziwiająco łatwo weszłam w rolę pocieszycielki, biorąc na siebie próbę ułatwienia im pogodzenia się ze stratą. To śmieszne, bo całkiem nieźle sobie radziłam z ich telefonami, z pytaniem, jak się czuję, zaczynaliśmy wtedy rozmowę o tym, co Mike dla nich znaczył, mogli powiedzieć mi coś, czym chcieli się podzielić, a jakaś część mnie chciała prawdopodobnie tego słuchać. Nie przestawałam odbierać telefonów.

W końcu jednak żegnałam się z nimi, odkładałam słuchawkę i ponownie czułam się zagubiona, otoczona chmurą smutku, która zdawała się unosić nade mną. Wtedy też drobne przejawy normalnego życia zaczęły z powrotem pojawiać się w tych ponurych dniach.

Czasami rozłączałam się, wsiadałam do samochodu i jechałam na zakupy. Ale kupowałam jedynie drogie, skórzane torebki. Usiłując pocieszyć ludzi, którzy kochali Mike'a, musiałam uciekać, robić coś niewymagającego myślenia, jak zakupy, bo wtedy przez jakiś czas mogłam ignorować posępne miejsce, gdzie próbowałam żyć normalnie, kiedy nic już nie miało być normalne. Prawdę powiedziawszy, wierzyłam, że znajdę dla siebie coś, co przyniesie mi radość.

Ludzie, którzy znali Mike'a, pracowali z nim i darzyli go szacunkiem, planowali zorganizować ceremonię upamiętnienia podczas najważniejszych dorocznych zawodów w Heavenly Valley. Jego współpracownicy i cała branża sportów zimowych pragnęli zrobić coś dla Michaela Cantrella. To dlatego znalazłam się przed East Peak Lodge nad Tahoe w mroźne piątkowe popołudnie na początku lutego. Nikt z nas nie był nad jeziorem od dnia śmierci Mike'a.

Tradycyjnie nasza rodzina spędzała zimowe weekendy na południowym brzegu. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego przestaliśmy tam przyjeżdżać. Zanim pojawiła się ta sprawa, w ogóle o tym nie rozmawialiśmy. Każdy wiedział swoje. Może wszyscy baliśmy się napomykania o Tahoe. Ale w naszej świadomości ciągle tłukła się myśl, że dzieci i ja powinniśmy coś zrobić dla Mike'a. Dlatego przy okazji zawodów snowboardo-

wych wypad na weekend wydawał się idealnym czasem dla rodziny, by także w zaciszu domowym uczcić życie Mike'a.

Miałam przed sobą górę śniegu i lodu, z ostrymi ciemnymi szczytami, rozcinającymi czyste, choć blaknące granatowe niebo, wskazujące mi moje miejsce, jako zbyt małej i niekonsekwentnej na tym wielkim świecie, który nagle stał się dla mnie obcy. Stałam przed perspektywą mozolnego i trudnego wchodzenia w życie, które mnie czekało, pierwszej wyprawy od dziesięcioleci bez męża u boku.

Nie znałam drogi przed sobą, a to, co niewiadome, zawsze jest zdradliwe i przytłaczające. Autentyczny i przerażający strach przejmował mnie do szpiku kości. Mike przestał już być dla mnie opoką. Żeby ukryć ten strach, musiałam zasłaniać twarz kruchą maską normalności. Można by pomyśleć, że stałam się cieniutkim kryształem, który niewłaściwie dotknięty lub poruszony odpowiednią nutą rozpadnie się na milion kawałeczków.

Sport zawsze stanowił ważną część naszego życia, ale dziś nie budzi we mnie emocji ani ekscytacji. Choć nadal bardzo go lubię. Mike uwielbiał snowboard. A ostatni raz wszyscy jeździliśmy na desce jeszcze podczas minionych wakacji i Mike był wtedy z nami.

Racjonalnie powtarzałam sobie, że stałam już dokładnie w tym miejscu i zjeżdżałam na dece z tej samej góry, którą widziałam przed sobą, tyle razy w ciągu minionych lat, czasami z dziećmi, czasem z wnukami trzymanymi w ramionach. Tym razem niosłam drewnianą skrzynkę, zawierającą wszystko, co zostało po moim mężu.

Drewniana skrzynka. Roześmiałam się, bo wybór drewna jako materiału na urnę był z rodzaju, jaki Mike uznałby na pewno za cholernie śmieszny. W ponurych dniach po jego śmierci ja i dzieci musieliśmy chodzić do zakładu pogrzebowego (obowiązek spoczywający na rodzinie, choć tak naprawdę powinien być wypełniany przez kogokolwiek, byle nie rodzinę). Wysoki mężczyzna w białej, szeleszczącej koszuli, ciemnym garniturze i nieciekawym krawacie pasującym do reszty zapoznał nas ze wszystkimi szczegółami, a potem położył przed nami kilka oprawionych w plastik albumów i głębokim, łagodnym głosem poprosił, żebyśmy wybrali urnę na prochy. Zostawił nas samych na czas podjęcia decyzji, a kiedy drzwi zatrzasnęły się za nim z głośnym kliknięciem, w pokoju zaległa głucha cisza, trzymająca nas jak w pułapce, rodzinę, w której zwykle nikomu usta się nie zamykały, w której wszyscy bez przerwy ze sobą rozmawiali.

Nikt z nas nie chciał tam być. Sprawialiśmy wrażenie, jakbyśmy zbiorowo zapomnieli o oddychaniu. Potem Phillip obrócił się na krześle i podniósł zdjęcie mężczyzny i kobiety stojące na biurku. Przyglądał mu się przez kilka sekund i uniósł je wyżej.

- Spójrzcie na to. Zauważyliście, że on wygląda jak Lurch? Pozostali dwaj chłopcy cicho się zaśmiali.
- Phillip! - upomniałam syna.
- Cholera, mamó. Ile on ma? Prawie dwa metry?
- A jeśli cię teraz słyszy? - odezwałam się przyciszonym głosem.
- Zostawił nas samych. Jeśli mnie słyszy, to nie powinien podsłuchiwać.
- Ale z ciebie dupek, Phil - ofuknęła go Molly. - To nie jest dobry czas na twoje głupie dowcipy. Prze stań denerwować mamę. Proszę.

Ale ja się nie zdenerwowałam. Zdałam sobie sprawę, że właśnie w tej chwili potrzebuję żartów Phila. Zrozumiałam, że wszyscy rozpaczliwie potrzebowaliśmy śmiechu, bo tylko na te kilka głupiutkich sekund ból trochę by złagodniał.

- Masz. - Podałam Philowi jeden z albumów. - Przydaj się na coś i przejrzyj to.

Pochyliliśmy się wszyscy nad grubymi albumami, Scott, Molly i ja nad jednym, Phil i Mickey nad drugim. Przekładaliśmy plastikowe strony, nie mając pojęcia, czego na nich szukamy.

- Tu jest jedna z psem na pokrywce - rzekł Mickey, najwyraźniej zdumiony.

- Oglądasz dział z urnami dla zwierząt, kretynie - ostudził go Phil. - Dlatego właśnie zaczyna się oglądanie od początku, a nie od końca. Jakim cudem dostałeś takie wysokie stopnie na egzaminach?

Wyraz twarzy Mickeya był bezcenny.

- Mają urny dla psów?

- I kotów, i ptaków, i koni. - Phil przerzucał końcowe strony albumu. - Hej, popatrzcie tylko na rozmiary urn dla koni.

Mickey zmarszczył czoło pochylony nad jedną ze stron.

- Na dole napisali, że można do każdej urny dodać pozytywkę. Jest nawet lista piosenek. A tu jest cały dział pod tytułem „motocykle”.

- Żartujesz sobie?

Mickey podniósł na mnie wzrok, skrzepowany i zatroskany, a potem powiedział:

- Pomińmy to.

- Nie. Czekaj. Muszę je zobaczyć. - Phillip przerzucił strony i mamrotał coś o bakach z paliwem i pomarańczowych płomieniach.

- Przekładaj kartki, Scott - odezwałam się, bardzo nieusatysfakcjonowana wyborem propozycji w naszym albumie. Przypominało to patrzenie na wykonane z brązu figurynki Hummel.

- Przepraszam, mamó. Te aniołki z brązu są wyjątkowo paskudne. Są tu ich całe strony. - Scott popatrzył na mnie. - Myślisz, że naprawdę aż tyle ich sprzedają? Kto je kupuje? Tu jest nawet anioł trzymający amerykańską flagę.

Phillip pochylił się nad nim.

- Spójrz na następnego. Anioł trzyma sztandar konfederatów. Równie dobrze mógłby mieć biały kaptur.

Oparłam głowę na dłoniach i jęknęłam.

- Dobry Boże...

- Widzicie? Zdenerwowaliście mamę - powiedziała Molly cierpko.

- Płaczesz, mamó? - Phil pochylił się w moją stronę.

- No pewnie, że płacze. - Siostra spojrzała na Phila z pogardą. - Gadziny z was i tyle.

Scott objął mnie ramieniem.

- Mamó?

Usiłowałam zapanować nad sobą, ale chciało mi się śmiać, bałam się jednak, że kiedy zacznę, będzie to atak niekontrolowanej i sprzecznej z moją naturą hysterii. Bałam się, że to jeszcze bardziej wytrąci Molly z

równowagi. Zdecydowałam siłą woli, że nie wybuchnę śmiechem lub płaczem, zrobiłam głęboki wdech i popatrzyłam na nią.

- Nic mi nie jest.

- Tu jest jedna, która wygląda dokładnie tak samo, jak nasza lampa w pokoju telewizyjnym - rzekł Mickey z ożywieniem, obracając albumem, żebyśmy też mogli ją zobaczyć.

- Weźmy tę, mamó - odezwał się Phil, dokonując wyboru. - Jest lepsza od anioła z flagą. Założymy na nią jakiś fikuśny abażur i będziemy trzymali tatę przed wielkim ekranem.

Scott wybuchnął śmiechem.

- Wtedy nie przegapi żadnego meczu.

- A może udałoby się dokupić do tego taki miękki skórzany pokrowiec na pilota. Wiecie, jedną z tych rzeczy, jakie sprzedają wysyłkowo w magazynach na pokładach samolotów? Pilot ciągle tacie ginął.

Mój mąż był znany z tego, że zamawiał gadżety z magazynów linii lotniczych, jak turystyczne żelazko, pudełko na CD zamocowane do osłony nad przednią szybą, cyfrowe dyktafony, a nawet kontakt do światła, który je włącza i wyłącza, kiedy klaszcze się w ręce.

- Może dodamy przełącznik, żeby ją zapalać i gasić.

Zakryłam usta dłońmi. Musiałam się jakoś powstrzymać. Nawet w najtrudniejszych momentach żarty synów zawsze mnie rozśmieszały.

- Nienawidzę was wszystkich - powiedziała Molly, skupiając się na albumie i przekładając kartki ze zbyt poważną miną, podczas gdy synowie robili miny do siebie nawzajem i komentowali urny w kształcie toreb na kije golfowe, samolotów i silników pociągów.

- Och, mój Boże!... - Zatrzasnęła album i odwróciła się.

- Molly - zagadnęłam, kładąc jej rękę na ramieniu. Trzęsła się cała.

Scott pochylił się ku nam.

- O co chodzi?

- Pokaż mi to, krasnalu - rzekł Philip.

- Ta. - Molly otworzyła album. Profil Elvisa był wyryty na różowawym alabastrze, a jego włosy i obrys twarzy pomalowano błyszczącą czarną farbą.

Phil popatrzył na nas z poważną miną.

- Chcecie się założyć, że to rekwizyt z *W getcie*?

Nie załapaliśmy dowcipu, a sądząc po wyrazie twarzy dyrektora zakładu pogrzebowego, który właśnie wszedł, można było pomyśleć, że wziął nas za pomyłonych bezbożników, kompletnie niczego nieszanujących.

Ostatecznie Mike skończył w lakierowanej na wysoki połysk skrzynce z różanego drewna z okazałym żyłkowaniem na pokrywie, przypominającym rzeki czasu i życia. Była idealna.

Głaszczę ją teraz ręką i dociskam trochę mocniej do piersi. Za mną dzieci zbiły się w gromadkę u podnóża stoku, ubrane do zjazdu, rozkładały sprzęt, przypinały deski. Obróciłam się przodem do góry i pochyliłam nad skrzynką.

- Wiem, że tego chciałeś, kochany. I zrobimy to dla ciebie. Wiesz, że muszę się z tobą rozstać. Ale, błagam, nie wiń mnie, jeśli nie przyjdzie mi to łatwo.

- Hej, mamó. Dobrze się czujesz? - Scott podjechał do mnie na desce.

- Mówiłam do siebie, to wszystko.

- Rob jest już w drodze. Czekał, żeby zjazd opustoszał. Zamknął go piętnaście minut temu.

- To dobrze. W takim razie nie musimy już dłużej czekać. - Było mroźno, ale sama nie wiedziałam, czy trzęsę się z zimna, czy z powodu stanu mojego umysłu.

- A oto i on - powiedział Scott. - Pojadę po resztę.

Obejrzałam się i zobaczyłam Roba zeskakującego z wyciągu i podjeżdżającego do mnie na desce. Był teraz wiceprezesem i dyrektorem do spraw eksploatacji Heavenly Valley, wysoko zaszedł od czasów, gdy prowadził wyciąg linowy na niewielkim terenie do zjazdów między Truckee i Tahoe City.

Kiedy to zleciało? Patrząc, jak zbliża się do mnie, marzyłam, by cofnąć się w czasie do pierwszego dnia na stoku, gdy wszyscy byliśmy młodzi, wolni i wierzyliśmy w niemożliwe.

Jego szopa czarnych włosów niczym u Abby'ego Hoffmana była teraz krótko przycięta, twarz miał ogorzałą i pomarszczoną od pogody, ale uśmiech pozostał ten sam. Kiedy Rob Cantrell zwracał na kogoś uwagę, człowiek natychmiast wiedział, że ma do czynienia z porządnym facetem.

- Hej, ślicznotko. - Uściskał mnie serdecznie, a potem odsunął od siebie i przyjrzał mi się. - Dobrze się czujesz?

- Tak. Bardzo ci za to dziękuję.

- Dla Mike'a i dla ciebie zrobiłbym wszystko. Wiesz o tym.

- Jak choćby to, że wpuszczasz nas na górę i pozwalasz na robienie czegoś kompletnie niezgodnego z prawem?

- Niezgodnego z prawem? O czym ty mówisz? - Roześmiał się, ramiona nadal trzymał na moich barkach. - Czy mogłabyś zrobić coś, co byłoby łamaniem prawa? Poza tym, złotko, jeśli w mojej historii prawo walczy z moralnym ludzkim obowiązkiem, to człowiek zawsze zwycięża. I nic nie wiem o żadnym łamaniu prawa. Po godzinach często otwieramy zjazd, wynajmowany przez prywatne osoby. - Cofnął się, by dołączyć do Scotta, Phila, Mickeya i Molly. - Pojedziecie wyciągiem na górę. Mogę otworzyć boczną trasę, ale o tej porze dnia niewiele widać i wszystko jest prawdopodobnie oblodzone z tej strony wzgórza. Decyzja należy do was.

- Boczna trasa nie będzie potrzebna - odparłam i spojrzałam na Scotta, który skinął głową.

- Zostaniemy na głównym stoku - zapewnił Roba, a potem zwrócił się do mnie. - Ty i Molly pojedziecie z Philem, a Mickey i ja usiądziemy na następnych krzesełkach. Zgadzasz się, pętaku? - Scott poklepał Mickeya po głowie niczym szczeniaka. Było to coś, czego Mickey zwykle nie znosił, lecz tego dnia po prostu odepchnął brata ze śmiechem.

Nie uszło mojej uwagi, że najmłodszy chłopiec zżył się bardziej ze starszymi braćmi i znacznie rzadziej wszczynął z nimi bójkę, częściej też ignorował ich zaczepki. Czasami jednak Mickey był zbyt cichy. Jak my wszyscy.

- No dalej, dzieciaki. Spotkamy się na szczycie! - krzyknęłam ponad ramieniem, gdy szliśmy do wyciągu, odpinając tylne wiązania i przykucając potem przed kolejnymi krzesełkami, na które siadaliśmy. Pojechaliśmy w górę.

Z krzeselka widziałam otwarty horyzont, ogromną przestrzeń ciągnącą się kilometrami. Nasz dom był gdzieś tam, lecz stanowczo za daleko dla zasięgu ludzkiego oka. Słońce chyliło się ku zachodowi i obrysowało na pomarańczowo krawędź ziemi w dali, a krańce nieba zaczęły przybierać jaskrawe kolory. Za nami jezioro stało się ogromnym szklanym morzem świeżej błękitnej wody, otoczonym zimnymi szczytami gór, przybierającymi odcienie fioletu w gasnącym świetle, a przed nami - nieopisanie groźny, oślepiająco biały śnieg i strome zjazdy. Zrobiło się zimniej, ale nie było wiatru. Czułam, że Molly drży, dlatego położyłam rękę na jej udzie.

My, którzyśmy zawsze mieli tyle do powiedzenia o wszystkim i o niczym, nie odzywaliśmy się słowem przez kilka minut, zajęci wspólnym patrzeniem na nasze oddechy, zmieniające się w parę w zimnym powietrzu, w miarę jak podążaliśmy wyciągiem na górę... A potem Phillip zanucił:

- W getcie...

Zaśmiałam się. Zanim zdążyłam mu powiedzieć, że jest okropny, Molly zaczęła śpiewać o zimnym poranku w Chicago. Dołączyłam do niej i śpiewaliśmy, ile sił w płucach, głośno, brzydko i najczęściej fałszując, usiłując a to przekrzyczeć się nawzajem, a to śpiewać chórem. Wkrótce usłyszałam niski głos Scotta, w innej tonacji, brzmiący zupełnie jak głos jego ojca pod prysznicem, i Mickeya, drącego się równie głośno jak my wszyscy, i tak jak wszyscy szlachtującego melodię, zapominającego słów i śmiejącego się co chwila.

Myślę, że śpiewaliśmy z nadzieją, iż powietrze nad nami poniesie w jakiś sposób nasze głosy wyżej, niż sięga niebo, jeszcze bardziej wibrujące niż górskie echo. Mimo czystej głupoty tego, co robiliśmy, przepelniała mnie dziwna radość. W tej chwili nie potrzebowaliśmy okazywać siły, kryć się za fasadą konwenansów albo zachowywać się rozsądnie. Był to jeden z momentów „a kogo to obchodzi?”, tak uwielbianych przez Mike'a.

Mniej więcej na wysokości trzech tysięcy metrów, gdzie po obu stronach platformy wyciągu rozciągała się niebieska siatka nad stromą, śmiertelnie głęboką przepaścią, zsunęliśmy się z krzesełek, deski ponownie znalazły się na pokrytej lodem ziemi, a my nadal śpiewaliśmy piosenkę, której słów tak naprawdę nie znaliśmy, choć głosy nam zachrypiły i przycichły. Mimo wszystko ciągle się śmiejąc, przypięliśmy deski i okrążyliśmy się nawzajem wśród płaskich i ostatnich dźwięków, a uśmiechy, które niedawno nagle zniknęły z naszych twarzy, znowu wykrzywiały nam usta.

Wiem, że kończąc życie, kiedy będę już tylko jedną nogą na tym padole, przypomnę sobie tę chwilę niczym niezmaconej radości, gdy stałam z dziećmi na wysokiej górze, dzielącej dwa stany. Mając tę scenę wrytą w pamięci, czułam, jak zanika wewnętrzne rozbitcie, które nie opuszczało mnie od wielu dni, i zaczyna mnie ogarniać dziwne uczucie spokoju.

Scott przykucnął i wyciągnął z plecaka butelkę ulubionego wina Mike'a, wyprostował się i otworzył ją, a potem powiedział:

- Za tatę. - Upił łyk i puścił butelkę w obieg.

- Dałam ci papierowe kubki - przypomniała Molly. - Gdzie je masz?

- Zostawiłem w samochodzie. Jesteśmy rodziną, do cholery. Mamy te same wszy.

- Wszy? Boże, Scott... Ile ty masz lat? - zapytała z sarkazmem.

- Mam sześć lat. A ona wyśmiewa się ze mnie. - Spojrzał na brata. - A ty jaką masz wymówkę, Phil?

- Uszkodzenie mózgu. Za często mnie biłeś w dzieciństwie, a raz tak mi przywaliłeś w głowę, że musieli mi założyć szwy. - Phil podał butelkę Molly. - Trzymaj. Nie mam żadnych zaraźliwych chorób. Chcesz nam coś powiedzieć, karzełku?

Przewróciła oczami i pokręciła głową, rezygnując z droczenia się z braćmi, uniosła butelkę do góry. A kiedy to robiła, spoważniała, wszystkie emocje miała wypisane na twarzy. Moja córka fotografka chodziła teraz z ciągle zaczerwienionymi oczami, ponieważ straciła ojca.

- Za tatę.

Ponownie zamilkliśmy, gdy skończyła, i wtedy zauważyłam, że Mickey, jakby zakłopotany, stoi poza naszym kręgiem.

- Chodź do nas, kochanie. - Rozłożyłam ramiona. Podeszedł bliżej. Objęłam go w wąskiej talii i podałam mu butelkę. - Masz. Już dobrze.

- Tylko nie pluj do butelki, mały - ostrzegł Phil. - To nie butelka oranżady.

- Pocałuj mnie gdzieś - odszczeknął mu się Mickey. - Za tatę. - Pociągnął długi łyk wina. Kiedy opuścił butelkę, miał łzy w oczach i rumieniec na policzkach. Jako siedemnastolatek nie zdążył jeszcze wyrobić sobie smaku, choć pozwalaliśmy mu już pić wino w świąteczne obiady. Zwykle zostawiał większość w kieliszku i Mike kończył je za niego.

- Nie zmarnuję tego wina - mówił. - Po co mu nalewałaś?

- Bo nie powinien czuć się wykluczony.

- Ale on nie pije wina!

- Ty je wypijesz. Poza tym mało mnie to obchodzi. Nie pozwolę, żeby czuł się wyłączony z rodziny. Jesteś ojcem. Powinieneś się cieszyć, że mały nie pije.

- Ta logika zupełnie mnie nie przekonuje. Gdyby to było piwo, wyłopałby wszystko do końca.

Najwyraźniej zupełnie wtedy zapomniał, że w 1968 roku sam pił piwo prosto z butelki.

Dokończyliśmy wino, Phillip dalej stroił żarty, żeby się nie rozczulić i nie stracić kontroli nad sobą na naszych oczach. Miał jednak dwie czy trzy trudne sekundy, kiedy wznosił toast za „tatkę”, dlatego wzięłam go za rękę, podczas gdy pozostałe dzieci odwróciły się albo spuściły wzrok. Widok cierpiącego Phila miał w sobie coś, co uderzyło każdego z nas bardzo mocno. Może dlatego, że był Cantrellem, który bardzo się starał, żeby nie okazywać tego, co naprawdę czuje.

Wyciągnęłam drewnianą skrzynkę w stronę Scotta.

- Trzymaj. Otwórzmy ją.

Wszyscy zapatrziliśmy się w wieko zamkniętej skrzynki.

- Jak ją otworzymy?

Phil usunął korek z korkociągu i podał go bratu.

Gdy patrzyłam, jak Scott łamie plombę, najwyraźniej coś we mnie pękło. Postronny obserwator uznałby może śmianie się z urny z Elvisem i posługiwanie się korkociągiem do otworzenia skrzynki z prochami za coś okropnego, występnego i obraźliwego. Ale Mike miał najczarniejsze poczucie humoru. Musiał takie mieć, bo przecież dorastał, mając kogoś takiego jak Don Cantrell za ojca. Właśnie ten czarny humor był dla nas najcen-

niejszą spuścizną po Mike'u, więc w jakiś sposób to, co robiliśmy, i nasz śmiech z tego obrazoburstwa wydawały się jak najbardziej na miejscu.

Wszyscy zajrzeliśmy do otwartej już skrzynki, skrępowani, ale też niezdrowo ciekawi. Była to drewniana skrzynka wypełniona brązowawoszarym popiołem, wyglądającym niemal jak piasek.

- Czas to zrobić - powiedziałam, odwracając się, nagle ogarnięta mieszanymi uczuciami.

Podeszliśmy do początku zjazdu. Scott podał mi Mike'a.

- Ty pierwsza, mamó.

Dotknęłam drobnego popiołu i zamknęłam oczy. *Nie chcę się z tobą rozstać... Nie chcę się z tobą rozstać...* Łzy zaczęły piec mnie w gardle, czułam straszliwie silną miłość, szacunek i potrzebę obecności tego człowieka, narastające gdzieś w głębi serca. Pochyliłam się po prostu nad krawędzią zjazdu i skoczyłam do przodu, podciągając kolana do piersi, tak samo jak zrobiłam za pierwszym razem dawno, dawno temu. Trzymałam skrzynkę za sobą, gdy unosiłam się w powietrzu.

Południowy brzeg jeziora Tahoe to dziwne i urokliwe miejsce, gdzie panuje swoisty rozgardiasz. Nic nie może oszpecić wspaniałości jeziora ani monumentalności gór Sierra na tle bezkresnego nieba. Tam właśnie natura odsłania swe największe piękno.

Serial telewizyjny *Bonanza* częściowo kręcono na północnym brzegu Tahoe. Na ponad dwadzieścia pięć lat stara scenografia z Ponderosą, miasteczkiem z Dzikiego Zachodu i odtworzonymi domami na ranchach, stała się celem wycieczek turystów, aż do czasu, gdy wartość ziemi wzrosła na tyle, że opłacało się zbudować ją na nowo.

Kiedy dzieci były małe, za cenę biletu oglądało się przedstawienie w wozie felczera, szło na spacer po kopalni Hossa, można też było kupić czarny kapelusz z nabijaną srebrem wstążką, dokładną kopię kapelusza Małego Joe. Przeczytałam wtedy gdzieś, że początkowo serial został stworzony przez RCA, żeby zwiększyć sprzedaż telewizorów w latach pięćdziesiątych i ostatecznie stał się jednym z najdłuższych seriali w historii telewizji. Ale teraz już go nie ma, nie istnieje dla całych pokoleń, które nigdy nie słyszały o Cartwrightach.

Naszą rodzinę łączy z tym jeziorem ważna, niemal wrodzona więź i kupiliśmy tam trochę ziemi, bo Tahoe tak naprawdę stało się naszym drugim domem - w tym miejscu Mike sprzedał swoje pierwsze deski na parkingu na długo przedtem, zanim snowboarding w ogóle miał nazwę - i uwielbialiśmy tam przyjeżdżać.

Budynek stojący na prywatnej działce w lesie, na zboczu, z widokiem na północno-zachodnią część jeziora i otaczające go góry Sierra, ukryty jest przed wzrokiem ciekawskich i idealnie wtapia się w krajobraz. Nie sposób go zauważyć, dopóki nie skręci się z Kingsbury Grade w prywatną drogę, porośniętą po obu stronach majestatycznymi modrzewiami amerykańskimi. Nasz dom jest w stylu górskiej chaty, zbudowaliśmy go z wtórnie użytego drewna, szkła i kamieni. Ma jedno piętro, wewnątrz cztery kamienne kominki, a w dużym pokoju zwisający z belkowanego sufitu szeroki prawie na dwa metry, kuty z żelaza żyrandol, ocalony ze starego domku myśliwskiego jednego z potentatów wydobycia srebra - oraz sypialnie i świetnie wyposażone, energooszczędne łazienki dla każdego z nas.

Kiedy Mike kupił SkiStar, firma potrzebowała mocnego wsparcia, bo po restrukturyzacji balansowała na krawędzi bankructwa, więc, żeby przydać jej rozgłosu, poświęciliśmy naszą prywatność i zdjęcia z domu w Tahoe znalazły się na stronach zimowego wydania „Architectural Digest”. Pamiętam, jak otworzyłam ten ma-

gazyn i zobaczyłam ogromne, błyszczące zdjęcie naszego dużego pokoju, siebie siedzącą na jednym z foteli i Mike'a stojącego za mną, z ręką położoną na moim ramieniu. Tamtego dnia, podczas sesji zdjęciowej wszędzie widać było fotografów i ich pomocników, światłomierze i ekrany odbijające światło, a spece od makijażu nakładli mi tyle tynku na twarz, że gdy się uśmiechałam, twarz mi pękała w wielu miejscach.

Nasz dom w górach jest i zawsze był dla nas rajem. Dlatego nie potrafiłam stłumić w sobie przymusu wykupienia magazynu tam, gdzie mogłam go dostać. Nigdy nie powiedziałam o tym Mike'owi, ale w dniu ukazania się „Architectural Digest” wykupiłam wszystkie egzemplarze w okolicy i wyrzuciłam je do pojemnika na makulaturę. (Teraz żałuję, że ich sobie nie zostawiałam).

Prawdę mówiąc, nie nadaję się jednak na osobę publiczną i nigdy nie chciałam znaleźć się w świetle reflektorów. Tkwiąca we mnie artystka woli spokój domowego zacisza i odcięta od świata pracownię na poddaszu.

Moja przyjaciółka, Ellie, nazwała mnie z tego powodu idiotką.

- Pomyśl o nagłośnieniu. To idealne rozwiązanie dla promowania firmy.

I o to właśnie mi chodzi. W moim rozumieniu nagłośnienie nie jest słowem o pozytywnym wydźwięku. Ale trzeba pamiętać, że Ellie to Bridella Crocker Hutchenson, z dobrej rodziny, bardzo ambitna i inteligentna, która przez lata umacniała swoją pozycję jednej z gwiazd życia towarzyskiego San Francisco, do czego wykorzystywała artystyczne umiejętności.

W sobotę rano wstałam wcześniej i usmażyłam naleśniki z mąki gryczanej dla dzieciaków, które pochłonęły śniadanie i pobiegly na górę, żeby oglądać odbywające się tego dnia zjazdy eliminacyjne. Renee została w domu ze śpiącymi jeszcze maluchami. Niedługo po wyjściu dzieci zeszła na dół Miranda we flanelowej koszuli nocnej i kapciach w kształcie króliczków.

- Czy tatuś już wyszedł? - zapytała.

- Przed chwilą, groszku.

- Tyler ciągle śpi, a mama znowu źle się czuje.

Kiedy Renee przyjechała poprzedniego dnia, twarz miała poszarzałą i wymizerowaną, siedziała milcząca przy obiedzie i poszła do łóżka zaraz po dzieciach. Posadziłam zatem Mirandę przy stole z naleśnikiem w kształcie Myszki Miki na talerzu, miseczką jagód, żeby zrobiła myszce buzię, i butelką syropu klonowego, a sama poszłam na górę. Rodzina Scotta zajmowała pokoje w północnej części domu. Zapukałam cicho do drzwi i otworzyłam je.

- Renee?

Łóżko było puste, pościel odrzucona na bok. Usłyszałam, że wymiotuje w łazience. Wyszła z niej, kiedy zdążyłam już przysiąść na łóżku.

- No cóż - powiedziałam. - Twój wygląd mówi mi wszystko, co chciałam wiedzieć. Przyszłam, żeby spytać, czy nie miałabyś ochoty na herbatę ziołową i grzanek albo może na piwo imbirowe i krakersy. Przyjmuję, że wolisz piwo imbirowe i krakersy.

Twarz miała bladą w odcieniu szarości, widok nieobcy każdej kobiecie, która była w ciąży.

- Och, Boże, mamoo... Nie tknę niczego. Tym razem czuję się okropnie. A to dopiero początek - żaliła się płacząco.

Chciałam poznać datę rozwiązania, ale postanowiłam nie naciskać. Rola babki otworzyła przede mną kolejny, nowy wymiar życia. Nowe wnuczę. Szczęście powoli rozpierało mnie od środka. Musiałam stłumić w sobie chęć odtańczenia jiga.

Szczęście, jakie to dziwne uczucie.

W tej chwili oddałabym wszystko za trzymanie na rękach noworodka. Dzieci to przyszłość i miłość, i życie, a ja ostatnio żyłam w cieniu śmierci. Jakaś ukryta część mnie miała ochotę krzyknąć o tym nowym szczęściu ze szczytu góry, lecz biedna Renee nie była w stanie cieszyć się ze mną, a tym bardziej obwieszczać tej radości całemu światu.

- Przy chłopcach miałam poranne nudności od początku każdej ciąży. Całymi miesiącami nie mogłam umyć porządnie zębów, bo gdy tylko do ust włożyłam głębiej szczoteczkę, od razu zbierało mi się na wymioty.

- Wstałam. - Współczuję ci, że musisz przez to przechodzić. Ale jestem taka szczęśliwa, że będę mieć kolejnego wnuka.

- Pokój wiruje. - Opadła ciężko na łóżko i przytuliła poduszkę do piersi, a potem jęknęła: - W tej chwili wcale mi się nie podoba to, że jestem w ciąży.

Przejdzie jej. Moja synowa przypominająca laleczkę z porcelany była zachwycająco piękna w czasie dwóch poprzednich ciąży. Poszłam do łazienki i wróciłam z zimnym kompresem na czoło.

- Och... wielkie dzięki. - Zasłoniła oczy ramieniem i leżała. - Pośpię sobie jeszcze chwilę. - Jej głos cichł. - A potem obudzę Tylera.

- Nie. Zostaniesz tutaj. Ja dzisiaj zajmę się dziećmi. Wybierzemy się w góry. Będziesz miała cały dom dla siebie. Zdrzemnij się teraz.

Byłam gotowa do wyjścia, gdy Renee się odezwała:

- Mamo? Nie mów nic Keely, dobrze? W zeszłym tygodniu tak bardzo się zmartwiła, kiedy zaczął się jej okres.

- Nic jej nie powiem.

Phil i Keely znowu starali się mieć dziecko.

- Wiem, że w końcu i tak się dowie, ale nie chcę jej dokładać, kiedy jest w dołku. Rozumiesz mnie, prawda?

- Rozumiem, że nie chcesz robić jej przykrości, ale moim zdaniem taktyka obchodzenia się z nią jak z jajkiem prowadzi donikąd.

- Próbuja już od tak dawna. Naprawdę ta sytuacja to dla niej ogromny stres.

- Może Scott powinien powiedzieć Philowi i to on przekazałby jej tę wiadomość.

- Tak, chyba tak, ale błagam, nie w ten weekend. Ten weekend jest dla Mike'a. Jutro lepiej się poczuje. Chcę być razem z rodziną.

Spędziłam ten dzień na niższych stokach góry z wnukami. Trzymałam Tylera na rękach, bo był jeszcze za mały na zakładanie deski. Miranda ubrała się w różową kurtkę Pepto Bismal i spodnie narciarskie. Na wełnianą czapkę uszankę z białymi puchatymi pomponami założyła lustrzane gogle i jeździła na desce „Miranda”, którą zaprojektowałam w kolorach różowym i fioletowym, z żółtymi strzelającymi gwiazdami i jej ulubionymi białymi króliczkami o długich uszach, jeżdżącymi na deskach.

Na lunch zjedliśmy parówki w cieście kukurydzianym i frytki. Późnym popołudniem wróciliśmy do domu. Dzieciaki prawie już zasypiały, gotowe do drzemki, a mnie się marzyło pół godziny w saunie przy łaźnicy, potem długa gorąca kąpiel, kieliszek wina i wieczór z książką przed kominkiem z buzującym ogniem.

Zamiast tego jednak wieczór zajęły mi dzieci, które prawdopodobnie musiały rozładować napięcie. Renee znowu była dawną sobą, trochę rozdrażnioną długim przebywaniem w zamkniętym pomieszczeniu, dlatego zgodziłam się iść z nimi do restauracji na obiad. Mickey chciał zostać w domu z maluchami. Miał mocno nadzarpnięte ego, bo Miranda pokonała go w jednej z najnowszych gier na Xboksie.

Po zjedzeniu steków w restauracji kasyna rozdzieliliśmy się. Podczas gdy reszta poszła oglądać występy albo grać w kości, ja stałam przed ekskluzywnym butikiem hotelowym i oglądałam przez szybę czerwoną torebkę od Balenciagi. Ponieważ sklep był zamknięty, wylądowałam przy stoliku do gry w oczko z pięciodolarowymi stawkami, gdzie nikt nie palił papierosów. Za mną rozlegało się ciągle zawodzenie automatów ze „Skarbem Azteków”. Wolałam głośne dzwonki i terkot kręcących się bębnow starych jednoręcznych bandytów. Nowe cyfrowe maszyny mówiły do ciebie: wrzeszczały jak pawie i śpiewały piosenki surferów.

Kiedy rozpoczęło się przedstawienie, usłyszałam jakiegoś kowboja śpiewającego piosenkę o Teksasie, popularną wiele lat wcześniej. Czubkiem buta zaczęłam wystukiwać rytm do taktu o podstawkę do nóg wysokiego stołka. Siedziałam i traciłam czas, czym się w ogóle nie przejmowałam, wygrywając kilkaset dolarów od krupierki, która się we mnie zakochała, bo jako napiwek dawałam jej połowę wygranej.

Obserwowanie jej reakcji i szefa tej części kasyna, wgapiającego się w rosnący przed nią stos żetonów, dawało mi silniejszy dreszczyk emocji niż rozbijanie banku. Tak naprawdę nie znoszę gry w oczko. Około godziny dwudziestej trzeciej sączyłam gimleta i dostałam dwa asy, gdy krupierka zastygła w bezruchu. Poczułam, że ktoś za mną stoi, a potem dłonie na ramionach, co było typowym sposobem Phillipa na zwrócenie mojej uwagi. Już dawno byłam gotowa na powrót do domu. Odstawiłam drinka, obróciłam się i znalazłam się twarzą w twarz ze Spiderem Olsenem.

Olimpiada w Calgary w 1988 roku była pierwsza, na jaką pojechaliśmy. Oglądanie przez całe życie igrzysk w telewizji nie przygotowało mnie na to, jak naprawdę odbywa się ta impreza. Kamery telewizyjne i transmisje satelitarne zapewniały obraz z poszczególnych miejsc, więc siedziało się po prostu w domu z miską popcornu na kolanach i oglądało rywalizację najlepszych na świecie sportowców. Zepsuło mnie to, bo przebieg ich zmagania trafiał bezpośrednio do mojego salonu. Nie miałam zielonego pojęcia o rzeczywistej logistyce, ogromnych odległościach pomiędzy miejscami, gdzie odbywały się poszczególne zawody, koszmarze dojazdów, indywidualnym planowaniu i godzinach marnowanych na przedostanie się z jednego miejsca rozgrywania poszczególnych konkurencji na drugie.

Jeśli ja byłam sfrustrowana, to Mike przeżywał to sto razy gorzej. Przechodziliśmy prawdziwe piekło, nic dziwnego, że wszyscy próbowali rozładować się wieczorami w barach olimpijskiej wioski. Mike i ja nadal czuliśmy się wystarczająco młodzi, żeby balować do późnej nocy, interes się kręcił, jazda na desce błyskawicznie zyskiwała popularność, mieliśmy zatem powody do świętowania. Choć dla niektórych snowboarding nadal pozostawał „nielegalną” dyscypliną sportu, wielu w końcu przyjęło do wiadomości jego istnienie i zaczęło popierać. Czasami, kiedy byliśmy z Mike'em sami i wypiliśmy trochę za dużo, rozmawialiśmy o naszych marzeniach - o tym, że może kiedyś snowboarding stanie się dyscypliną olimpijską.

Wieczorem i nocą w barach kłębiły się dzikie tłumy, międzynarodowa mieszanina imprezowiczów świętujących, pijących i tańczących - głównie line-dancing, jako że puszczano przeboje country. Można by pomyśleć, że jest się w Teksasie, a nie w Kanadzie.

Nie jestem w typie Spidera Olsena. Spider dobiegał wtedy trzydziestki, a ja nie. Tamtej nocy zaczął mnie dwa razy, a Mike, żartując, powiedział mu, żeby spróbował szczęścia na innym zjeździe. Spider nie przedstawiał pić. Po jakimś czasie bar zapełnił się hałaśliwymi Włochami, którzy już nieźle się wstawili. Złoty medalista Alberto Tomba okazał się cudowny, ale był młody i ego miał równie przerośnięte jak Olsen. W knajpie zrobiło się nieprzyjemnie. Zawsze uważałam, że Mike i Spider złapali się za łby dlatego, że ten ostatni źle znośli porażki, albo dlatego, że fani Tomby przytarli mu nosa. Jeszcze przed olimpiadą miał gorszy wynik od Włocha na mistrzostwach świata. Niemniej wkładanie rąk do tylnych kieszeni moich dżinsów, gdy mój mąż stał odwrócony tyłem, nie było mądrym posunięciem. Odepchnęłam go, lecz Mike zdążył to zobaczyć i powalił Spidera na ziemię. Wtedy ostatni raz widziałam się z Olsenem, aż do pogrzebu Mike'a. A tego dnia z kolei prawie nie pamiętam, bo przeżyłam go w stanie podobnym do zombi i tylko dlatego, że musiałam.

- March - odezwał się Spider. - Szukałem cię.

- Z powodu? - wymknęło mi się.

Roześmiał się i puścił oko do krupierki, która oniemiała na widok gwiazdy sportu i telewizji. Miał umiejętność nawiązywania kontaktu wzrokowego, dla mnie jednak zawsze było to zbyt krępujące i nachalne. Nie miałam bowiem pewności, czy ma ochotę na rozmowę, czy oczekiwał czegoś więcej, w czym pomagał mu nordycki wygląd i reputacja: chlubna bądź niechlubna, zależy, jak oceniało się jego styl życia.

Na mnie, jako kobiecie w określonym wieku, mężczyźni umawiający się z dziewczynami o połowę od nich młodszymi, nie robili wrażenia.

- To znaczy, skąd mogłeś wiedzieć, że tu będę, nie wspominając o tym, żeby mnie szukać?

- Zostałem wysłany z misją - wyjaśnił konfidencjonalnie i zaczął machać do kogoś ręką, wskazując nią na czubek mojej głowy.

Spojrzałam na kasyno i postanowiłam zamordować własnego syna. Phil i Keely szli w moją stronę.

- Hej, mamó! Zobacz, na kogo wpadliśmy.

- Chcieliśmy cię znaleźć, bo nastąpiła zmiana planów - powiedziała Keely. - Mamy stolik, więc wszyscy możemy obejrzeć następne przedstawienie.

Syn i synowa byli ożywieni, uśmiechali się i najwyraźniej doskonale bawili. Wróciłam na chwilę myślami do Renee tego ranka, kiedy prawie mnie błagała, żebym nie mówiła im o jej ciąży. Kocham moje dzieci i chcę, żeby miały życie łatwiejsze od mojego. Potrzebna im była noc w lokalu. Wiedziałam też, że nie wysiedzę na przedstawieniu.

- Bawcie się dobrze. - Celowo zaraz potem obróciłam się do Spidera. - Wnuki mnie dzisiaj wykończyły.

- Wnuki potrafią być bardzo niesforne - rzekł naturalnym tonem. - Sam mam dwójkę.

- Idźcie wszyscy - powiedziałam. - Wrócę taksówką do domu.

- Żadną taksówką - wtrącił Spider. - Ja cię odwiozę.

- To byłoby wspaniale - ucieszył się Phil.

- Nie. - Położyłam dłoń na ramieniu Olsena. - Naprawdę. Idź na przedstawienie. - Obróciłam się i przesunęłam stertę żetonów w stronę krupierki, mówiąc, że chcę wymienić je na gotówkę.

- Oglądałem wcześniejszy występ. Odwiozę cię do domu. Nalegam. Wóz mam na parkingu. Ten raz mogę być taksówkarzem, a twoje towarzystwo będzie dla mnie wystarczającą zapłatą.

Świetnie. Ładny sposób przypomnienia mi, że łączy nas ważny interes, nad którym Phil i Keely ciężko pracowali i który był im bardzo potrzebny. Co Mike poświęcił dla tej umowy? Zrobiło mi się niedobrze i nagle zabrakło mi sił, by dalej się spierać. Chciałam jedynie wrócić do domu.

Pięć minut później siedziałam w wielkim srebrnym SUV-ie, który pachniał cytrynowym odświeżaczem powietrza, i jechaliśmy krętą drogą, oddalając się od kasyna.

- Miałem ukryty powód, żeby odwieźć cię do domu. Chciałbym mianowicie o czymś z tobą porozmawiać.

- W porządku - odparłam. Fakt, że chciał o czymś ze mną pomówić, budził we mnie mieszane uczucia. Czy chodziło o dobry interes, zły interes, czy jeszcze inny interes?

- Nie jestem pewny, jak na to zareagujesz i czy w ogóle będziesz miała ochotę o tym dyskutować.

- Zaryzykuj - zachęciłam go. - Skręć w prawo, w następny prywatny zjazd. To niedaleko. Zaraz za słupkiem kilometrowym.

- Pamiętam - rzekł. Skręcił w naszą prywatną drogę i kierował samochód w górę wzniesienia. - Spędziliśmy z Mike'em jakiś czas w tym domu z dala od prawników. Kiedy tu byliśmy ostatni raz, całkiem sporo rozmawialiśmy. - Zerknął na mnie, żeby sprawdzić, jak na to zareaguję.

Mój mąż spędził ze Spiderem cały weekend tuż przed śmiercią.

- Naprawdę lubiłem Mike'a. Był równym gościem. Wiem, że w Calgary się wygłupiłem. Zachowałem się jak palant i chciałbym cię teraz za to przeprosić. Powiedziałem Mike'owi, że zasłużyłem, żeby mnie wtedy uderzył. Sam bym się wałnął - dodał, śmiejąc się zupełnie niewesoło, gdy podjeżdżał pod dom i zahamował. Obrócił się w fotelu, ramię trzymał na oparciu. - Przepraszam, March. Chciałbym, żebyś mi tamto wybaczyła.

Nie wiem, czego się po nim spodziewałam, ale mówił z prawdziwą szczerością w głosie i czułam, że zaczynałam go akceptować, a wcale nie miałam na to ochoty. Jego prostolinijność mnie niepokoiła, co wiele mówi o tym, jak wtedy myślałam i jak oceniałam ludzi. Tak naprawdę nie znałam przecież tego człowieka, nie potrzebowałam też jego przeprosin za coś sprzed tak wielu lat.

- Wybaczam ci, Spider. Naprawdę. - Sięgnęłam do klamki.

- Zaczekaj. Przeprosiny swoją drogą, ale nie o tym chciałem z tobą rozmawiać. Mike wspomniał mi, że pokłócił się z waszym najmłodszym synem o jego pójście na studia.

- Tak. Były pewne problemy z Mickeyem, sądzę, że to już skończone.

- Tak myślisz? Dlaczego?

- Bardzo dużo uczy się. Ma doskonałe stopnie w szkole. Podejrzewam, że ma wyrzuty sumienia, bo za nim Mike umarł, nie najlepiej się między nimi układało.

- Mickey odszukał mnie dzisiaj na górze. Chciał ze mną pogadać o zawodowym sporcie. Mówił, że potrzebna mu moja rada, bo własna rodzina zupełnie tego nie rozumie. Uważa, że mam większe doświadczenie, i

prawdopodobnie myśli, że mało mnie obchodzi, czy on pójdzie na studia. No i oglądam zawodników snowboardowych na zawodach. Jutro mam się z nim spotkać. Najpierw jednak chciałem porozmawiać z tobą.

Świat mi się zawalił, jedna myśl goniła drugą. Usiłowałam wszystko sobie przypomnieć, lecz nic z tego, co pamiętałam, nie wskazywało, by Mickey rzeczywiście chciał zrezygnować z dalszej nauki, zwłaszcza że wiedział, jak Mike tego pragnął. Odpowiedzi z uczelni, do których złożył papiery, miały przyjść już za parę tygodni. Nie mogłam spokojnie się nad tym zastanowić, czułam się zupełnie wytrącona z równowagi i było zimno, prawie siedem stopni mrozu na zewnątrz.

- Marznę. Wejdz ze mną. Pogadamy w środku. Ruszył za mną po schodach.

- Czy Mickey jest w domu?

- To duży dom. Prawdopodobnie jest już w łóżku. Planował, że wyruszy w góry wcześniej rano.

- To ze mną chciał się rano spotkać - powiedział Spider. - I lepiej, żeby nie zobaczył, że z tobą rozmawiam, March.

Miał rację. Korytarze na piętrze otaczały duży pokój, przez który trzeba było przejść, żeby się dostać na górę. Wsunęłam klucz do zamka, ale nie otworzyłam drzwi.

- Główne skrzydło budynku ma salon, gdzie można spokojnie porozmawiać. On tam nie przychodzi. - Otworzyłam po cichu drzwi. - Skręć w lewo. W pokoju jest bar z lodówką. Rozgość się, a ja przyjdę za kilka minut.

Rzuciłam torebkę i klucze na stolik, zsunęłam buty i poszłam na górę sprawdzić, jak się mają maluchy, i zajrzeć do Mickeya. Nogi miałam ciężkie, mięśnie napięte. Nie wiedziałam, czy z powodu jeżdżenia na desce przez cały dzień, czy z powodu rozczarowania. Bałam się, a nie było Mike'a, do którego mogłabym się zwrócić. Zawsze omawialiśmy nasze decyzje i uzgadnialiśmy, jak postępować z dziećmi. Zażartował kiedyś, że jeśli zrujnujemy im życie, to wspólnym wysiłkiem. A teraz sama musiałam zatroszczyć się o Mickeya i jego przyszłość. Należało sprowadzić go na właściwą ścieżkę. Mój strach stał się prawie namacalny. Stałam, czując się kompletnie zagubiona we własnym domu.

Dobry Boże, Mike, dlaczego? Jak mam sobie dać z tym radę sama?

Na górze maluchy spokojnie spały, Tyler w swoim kojcu, a Miranda w łóżeczku w kształcie bobsleja, otoczona pluszowymi królikami, misiami i kotkami, i bardzo realistycznie wyglądającym collie, którego nazywała Haroldem. Zatrzymałam się na chwilę, zanim zamknęłam drzwi. Niedługo przybędzie nam tu nowe dziecko. I wtedy pomyślałam o Keely, zastanawiając się, kiedy jej powiedzą. Była silną dziewczyną, Phillip ją kochał. Zachodzenie w ciążę przychodziło mi bez trudu, więc mogłam jedynie posłużyć się wyobraźnią, żeby znaleźć się w położeniu synowej. Niemniej wiedziałam, jak to jest, gdy bardzo się czegoś pragnie i wie jednocześnie, że nie można tego mieć.

Idąc w kierunku pokoju Mickeya, postanowiłam, że zabiorę Keely na lunch i zakupy albo do spa i spędzimy ten czas tylko we dwie. Nasłuchiwałam przy drzwiach syna i powoli obróciłam gałkę. W środku było ciemno, ale w rogu paliła się na czerwono lampka z lawy. Panował tu zaduch typowy dla pokoju nastolatka. Już sam zapach jego butów sprawił, mimo odległości trzech metrów, że łzy napłynęły mi do oczu. Kiedy wychowa się choć jednego chłopaka, nigdy nie płacze się potem przy krojeniu cebuli.

Patrzyłam, jak spał, cicho chrapiąc z ramionami nad głową, i wyglądał tak, jakby cały świat w ogóle go nie obchodził. Nadal uważałam, że po prostu bał się studiów i być może powinnam doradzić mu, żeby wybrał uczelnię niedaleko domu. Ale to Mike uświadomił mi, że Mickey niczego w życiu nie unikał. Dlaczego studia miałyby go przerażać? Może Scottowi i Philowi udałoby się jakoś go przekonać.

Co ja wyrabiałam? Kiedy stałam się taka słaba? Tak niepewna siebie? Nigdy nie obchodziłam się z synami jak ze śmierdzącym jajem. Molly to inna historia, ale nie chłopcy. Mickey miał dopiero siedemnaście lat i zawsze byliśmy bardzo blisko. Powinnam zagrać z nim kartą poczucia winy - w końcu czy nie jest to as w rękawie każdej matki?

Z wieloma pytaniami, na które szukałam odpowiedzi, wyszłam z jego pokoju i dołączyłam do Spidera, który jak się okazało, włączył gaz na kominku i siedział na sofie, popijając gazowaną wodę z zielonej butelki.

- Mickey śpi jak suseł. - Zaparzyłam dla siebie zieloną herbatę, korzystając z automatu z wrzącą wodą, i usiadłam na fotelu naprzeciwko Olsena. Bawiąc się sznurkiem od saszetki z herbatą, podciągnęłam kolana do góry. Objęłam kubek obiema dłońmi. Nie bardzo wiedziałam, co mu powiedzieć, lecz jakaś część mnie chciała go błagać, żeby tak wystraszył Mickeya, iżby z krzykiem uciekł od niego i na zawsze porzucił myśl o zawodowym uprawianiu sportu. W końcu przyznałam się do tego:

- To bardzo niezręczna sytuacja.

- Dlaczego? Przecież nie gryzę.

- Ale ja, tak. - Jakoś samo mi się to wypsnęło. Niewyparzony język zawsze był moim problemem, choć Mike'owi to nie przeszkadzało. Przekomarzaliśmy się tak przez całe lata. Nie mogłam spojrzeć Spiderowi w oczy, dlatego oparłam głowę na dłoniach i jęknęłam: - Przepraszam.

Roześmiał się i posłał mi jedno ze swoich szczerych spojrzeń, którym nie do końca ufałam.

- Jeśli chcesz, żeby Mickey trzymał się z dala od zawodowego sportu - rzekł - mogę odmalować mu jasny obraz, taki, jaki jest naprawdę. Chłopak uwierzy, jeśli pogada też z Sethem albo z kimś innym, kto zajmuje się sportem od dłuższego czasu. Mógłby porozmawiać z zawodnikami, z kimś bardziej w jego wieku. Upiłam łyk herbaty.

- Pominiesz sławę, dreszcz emocji i rzesze fanek?

- I pieniądze. - Uśmiechnął się lekko. - Podejrzewam, że te argumenty nie pomogłyby twojej sprawie z chłopakiem w jego wieku.

- Nie, nie pomogłyby. Mickey powinien dokończyć naukę. Jeszcze nie dorósł na tyle, żeby poradzić sobie z życiem tego rodzaju, nie wspominając o znalezieniu tam swojego miejsca i, szczerze mówiąc, do tego trzeba mieć wrodzone predyspozycje, neodparte pragnienie sławy i zwycięstw, jeśli chce się odnieść sukces w zawodowym uprawianiu sportu. Mickey uwielbia wygrywać, a dzięki próbom dotrzymania kroku starszym braciom wyrósł na niewiarygodnie odważnego chłopca. Powinieneś go zobaczyć na stoku albo „rampie”. Jest zadziwiający. Kiedy był jeszcze mały, Mike mówił, że dłużej przebywa w powietrzu niż na śniegu. - Przerwałam na chwilę, a potem dodałam: - Ale nie rozumie, jakie będzie miał problemy z powodu nazwiska, które nosi.

- Zwrócę mu na to uwagę, powiem, że moim zdaniem nazwisko mu nie pomoże ani nie przysporzy przyjaciół, niezależnie od tego, jak będzie wspaniała czy tak dobry w tym, co robi.

- Poradzenie sobie z taką presją, tak niedługo po utracie ojca... sama nie wiem. - Byłam straszliwie nie-
pewna, co robić, dlatego postanowiłam zaufać Spiderowi i pozwolić sobie pomóc. - Mam naprawdę złe prze-
czucia, jeśli chodzi o niego i sport zawodowy, a zawsze mogłam polegać na własnej intuicji. Dlatego proszę,
żebyś go zniechęcił. Ktoś musi to zrobić.

- W porządku. - Spider dopił wodę do końca i wstał. - Powiniennem już iść.

Pochyliłam się do przodu, żeby odstawić kubek z herbatą na stolik. Olsen stał obok mojego fotela, go-
towy pomóc mi wstać. Urodziłam się w pokoleniu, które pamięta, jak dżentelmen okazuje szacunek. Zbyt wiele
młodych kobiet nigdy tego nie oczekuje i nawet nie wie, że istnieją takie gesty. Aż do dnia śmierci mój ojciec
wstawał, gdy kobieta odchodziła od stołu. A i teraz, w nowym tysiącleciu, nie znoszę, kiedy mężczyzna zamy-
ka mi drzwi przed nosem albo odpycha mnie łokciem, żeby wsiąść do taksówki, albo pierwszy przechodzi
przez drzwi, że nie wspomnę o facetach startujących do wózków w sklepach spożywczych. Zawsze zastana-
wiam się wtedy, kto ich wychował... Wilki?

Szczerze mówiąc, ponieważ poprawka do konstytucji o równouprawnieniu nie przeszła, biorę od życia,
ile się da, w tym staroświeckie przejawy męskiej kurtuazji. Odruchowo ujęłam dłoń Spidera - Mike zawsze
pomagał mi wstawać - i znalazłam się o kilka centymetrów od niego, na trochę niepewnych nogach po długim
siedzeniu. Wolną ręką złapał mnie za ramię, a ja chwyciłam go za bark.

- Mamo! - Molly stała w drzwiach. - Co się tu dzieje?

11

Roześmiałam się w głos na widok komicznego wyrazu twarzy mojej zszokowanej córki, ale Spider się
nie śmiał. Jego opalona twarz poróżowiła odrobinę i szybko odsunął się ode mnie. Przez głowę przemknęła mi
myśl, że przez niego wyglądaliśmy dwuznacznie, i nagle zaczęłam mieć wątpliwości dotyczące motywów jego
obecności. Bardzo spokojnie powiedziałam:

- Molly, to Spider Olsen. Spider, to moja córka, Molly.

- Poznaliśmy się już - odparła szybko, rumieniąc się tak bardzo, że jej skóra przybrała niemal odcień jej
włosów, które znowu nosiła długie, opadające na ramiona miękkimi, bursztynowymi falami. Nawet w powypy-
chanych flanelowych spodniach od pidżamy i w wyblakłej podkoszulce UCLA moja córka była śliczna. W rękę
trzymała kieliszek z czerwonym winem. Najwyraźniej wróciła do domu przede mną i właśnie zeszała z piętra.

- Mam zamiar go obfotografować - wyjaśniła niezbyt przyjaźnie. - Do reklam SkiStar.

- To dobrze. Wszystko zostanie w rodzinie. - Mój żart nie rozładował jednak napięcia. A można było
pomyśleć, że przez te wszystkie lata czegoś się jednak nauczyłam... - Twój brat zmusił biednego Spidera, żeby
odwiózł mnie z kasyna do domu, bo wszyscy zostali jeszcze na ostatnim występie. Właśnie wychodził, więc
możemy razem odprowadzić go do drzwi. - Wzięłam ją pod rękę, którą nadal trzymała opartą na biodrze. Pa-
trzyła na niego wzrokiem, który mówił, że nie ma tu dla niego miejsca. Tak naprawdę nie mogłam się na nią za
to gniewać. Przez cały weekend besztala braci za igranie z moimi uczuciami. I nagle moja zapalczywa córka
stała obok mnie niczym mały piesek, jeżący się i próbujący mnie chronić, choć nie było przed kim.

Odprowadzenie Spidera do drzwi odbyło się bez żadnych dodatkowych wydarzeń, lecz na wszelki wypadek nie puszczałam ramienia Molly - w końcu przez lata biła się z braćmi. Zatrzasnęła drzwi trochę mocniej, niż należało, zanim odsunęła się ode mnie.

- Powinnaś trzymać się od niego z daleka, mamó.

- A co twoim zdaniem tu się działo?

- Wiem, na co wyglądało. - Upiła trochę wina, postawiła kieliszek na stoliku i zaczęła wchodzić po schodach na górę, nie spojrzawszy na mnie. - Kładę się do łóżka. Jutro mamy ciężki dzień. Będą czcili pamięć taty, na wypadek gdybyś zapomniała.

Stałam jak wryta około minuty, wpatrując się w miejsce, skąd córka rzuciła mi ostatnią uwagę na odchodnym, i dopiero po tym czasie byłam w stanie wziąć jej wino i je dopić. Wytrącona z równowagi zaniósłam kieliszek do kuchni, wstawiłam go do zmywarki, ale zaraz zmieniłam zdanie i napełniłam go z butelki, którą Molly zostawiła otwartą na blacie. Jedno spojrzenie na nalepkę, gdy je zakorkowywałam, wystarczyło, żebym musiała stłumić w sobie ochotę uduszenia własnej córki, silniejszą nawet niż kilka sekund wcześniej.

Myślicie, że dając dzieciom wszystko, co najlepsze, pomagacie im... ha! Dostajecie naiwnych milusińskich i w imię rodzicielskich uczuć zmieniacie je w potwory, które oczekują tylko najlepszego, w ogóle tego nie doceniając. Miała dwadzieścia trzy lata i otworzyła dla siebie butelkę z winem za dwieście pięćdziesiąt dolarów?

Wtedy też zdałam sobie sprawę, że myślałam zupełnie tak samo, kiedy pouczyłam o tym Mike'a, w głupich chwilach, gdy denerwował się, iż Mickey nie tknął wina podczas świątecznego obiadu.

„A ty zarzucałaś mi, że jestem zbyt surowy wobec Mickeya w tej samej sprawie”.

Słyszałam jego głos równie wyraźnie, jakby stał obok mnie. Zaciśnęłam palce na brzegu kuchennego blatu, aż kostki mi pobielewały, spuściłam głowę i wpatrywałam się w podłogę. Potem z butelką w jednej dłoni i kieliszkiem w drugiej uciekłam do swojego pokoju. Nie miałam zamiaru marnować tego wina, bo jak mawiają - lepiej odchorować, niż ma się zmarnować.

Ostre poranne słońce, świecące na wysokości trzech tysięcy metrów, nie miało znaczenia, bo oślepiła mnie ból głowy. Oczywiście myślałam o Mickeyu, który prawie nic nie powiedział, od kiedy dołączył do nas mniej więcej pół godziny wcześniej, stał teraz o dziesięć metrów ode mnie i rozmawiał z jednym z zawodowych snowboardzistów. Przeszedł mnie zimny dreszcz, który nie miał nic wspólnego z pogodą, i mogłam jedynie mieć nadzieję, że Spider zniechęcił mego syna.

Spodziewałam się, że Molly będzie wobec mnie chłodna, ale ona zachowywała się tak, jakby nic między nami nie zaszło poprzedniej nocy, za co byłam jej ogromnie wdzięczna.

Wszyscy Cantrellowie: ja, córka i synowie, ich żony i dzieci, Rob i dwa pokolenia jego rodziny, zebrali się na szczycie góry, deski Cantrella leżały na śniegu, gdy czekaliśmy, by razem zjechać główną trasą, którą wyrównano i zamknięto dla szerokiej publiczności na czas trwania uroczystości finałowych.

Przed nami wystartowały najślawniejsze nazwiska snowboardingu i branży sportów zimowych, razem z międzynarodowymi i olimpijskimi mistrzami, ze wszystkich konkurencji freestylowych, wioząc ogromne flagi z logo firmy Cantrell, a za nimi zjeżdżała rodzina, trzymająca w rękach pęki napełnionych helem, kolorowych balonów, które potem miały wzbić się w niebo.

Od tego dnia, pierwsze coroczne, najbardziej prestiżowe spotkania snowboardowe będą znane jako otwarte światowe zawody o memoriał Mike'a Cantrella. Kiedy odebrałam telefon z wiadomością, że wszyscy w przemyśle snowboardingowym chcieli to zrobić dla Mike'a, rozpląkałam się. Nie do telefonu, ale tuż po odłożeniu słuchawki. Płakałam w samotności.

Ważne było dla mnie udawanie, że nie umieram w środku. Ważne było dla mnie pokazywanie innym, że jestem silna. Niczego bardziej nie znosiłam niż własnego obrazu jako chlipiącej wdowy, która nie potrafi wziąć się w garść. Proces kreowania samej siebie od nowa dopiero się dla mnie zaczął.

Ktoś zagwizdał, a my posłusznie przypięliśmy deski i wzięliśmy pęki baloników. Scott miał zwieźć ze sobą Tylera i przekładał go sobie teraz z jednego ramienia na drugie, żeby zabezpieczyć jakoś balony, a tymczasem jego synek chichotał i sięgał do nich, gdy objęły się o głowę ojca.

Jedna z dziewcząt zajmujących się balonikami usiłowała dać Philowi więcej niż jeden pęk, a on, śmiejąc się, powiedział:

- Nie, dziękuję. - Objął ramieniem barki Keely i obrócił się z nią do nas. - Hej, czy któreś z was słyszało wiadomość o tym, że jakiś facet w Oregonie przywiązał pęk balonów o wytrzymałej powierzchni do leżaka i wznosił się prawie na czterdzieści pięć metrów?

- Tyler, przestań walić mnie po głowie. - Scott chwycił syna za rękę i spojrzał na Phila. - Zgrywasz się.

- Słowo daję, że nie. Facet miał GPS, wiatromierz, kamerę wideo, a jako balast wykorzystał ciężkie pojemniki z wodą. Odkręcał kraniki przy pojemnikach z wodą albo wypuszczał hel z balonów, żeby wznieść się wyżej albo obniżyć. Najwyraźniej próbował już wcześniej latać balonami z helem, ale gdy wypuścił nieco gazu z kilku balonów, żeby dostosować wysokość, zaczął spadać jak kamień i musiał skorzystać ze spadochronu.

Kiedy moi starsi synowie rozmawiali, spojrzałam w górę i przez krótką, zabawną chwilę zastanawiałam się, czy zdołałabym zebrać wszystkie balony znajdujące się na tym szczycie i polecieć prosto do nieba.

- Gdzie jest Renee? - Scott rozglądał się po naszej grupie.

- Nie wiem - odparła Molly, również jej szukając. - Była tu przed chwilą.

- Mama znowu jest chora - wyjaśniła Miranda i pokazała ręką na warsztat za wyciągiem. - Jest za budynkiem i zwraca śniadanie. Tak samo robiła cały czas, gdy nosiła Tylera. Będziemy mieli nowego dzidziusia, tato? Nowego dzidziusia? Mama powiedziała, że później o tym ze mną porozmawia. Teraz chciałabym mieć siostrę. Maleńka dziewczynka byłaby idealnie idealna.

Molly popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, które mówiły, „Och, nie!...” Aż do tej chwili nie wiedziałam, że ona też została dopuszczona do sekretu. Była bardzo blisko z Keely. I to, że Scott i Renee uznali, iż muszą na razie zatrzymać tę cudowną nowinę w tajemnicy, było dla niej trudne, a Phil ani Keely na pewno nie poparliby takiej postawy, zwłaszcza po niedawnej stracie. Nagle znaleźliśmy się w jednej z tych sytuacji, jakie przytrafiają się podczas spotkań rodzinnych, kiedy nie bardzo wiadomo, co powiedzieć.

Ja jednak wiedziałam, że Keely bez wątpienia cierpiała w duszy. Krew odpłynęła jej z twarzy. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w szopę. Phillip opuścił ramię i obrócił się do Scotta.

- Renee jest znowu w ciąży? - zapytał.

Słowo „znowu” powiedziało więcej niż jakiegokolwiek inne i miałam tylko nadzieję, że nikt oprócz mnie nie zwrócił na nie uwagi. Scott jednakowoż wyglądał na zupełnie zbitego z tropu. Z poczuciem winy w oczach zerknął na mnie, jakby szukając pomocy, a potem spojrzął na Keely i brata. Zrezygnowany, skinął głową.

- To wspaniale, wielki bracie. - Phillip był szczerze uradowany i podszedł, żeby uścisnąć mu rękę, ale mając Tylera i baloniki, musiał ograniczyć się do klepnięcia Scotta po ramieniu.

- Sprawdź, co z Renee - odezwała się Keely pośpiesznie, głosem wyższym niż zwykle, i ruszyła w stronę szopy, zanim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać. Phillip patrzył zamyślony, jak zjeżdżała po niewielkiej pochyłości.

- Ja też pojedę. - Zaczęłam wchodzić na deskę i niemal ruszyłam, gdy Phil złapał mnie za ramię.

- Nie. Zostań tutaj, mammo.

- Mam inne zdanie w tej sprawie - odpowiedziałam. Wpatrywałam się w Keely opartą o warsztat, najwyraźniej rozmawiając z Renee, której nadal nie było widać.

- W porządku - rzekł Phil. - Pomóżmy Renee. Ona potrzebuje pomocy. Powinna wiedzieć, że wiemy.

Z całą ostrością uświadomiłam sobie, że próba oszczędzania Keely okazała się złym pomysłem. Nie mogłam jednak winić Scotta ani Renee. Każdy z nas instynktownie nie chciał ranić Keely, lecz ukrywanie przed nią tej wiadomości, przez co dowiedziała się o niej w taki sposób, było nie fair.

Mogłam się jedynie domyślać, o czym będzie później rozmawiała z Philem. Bo mimo strojenia żartów, paplaniny i wygłupów ten chłopak o wrażliwym i wielkim sercu był z moich synów najłagodniejszy i najbardziej uczuciowy. Jak nikt inny z naszej rodziny potrafił dostosować się do moich nastrojów i na pewno lepiej je rozpoznawał od Mike'a.

Wybierając chwilę najgorszą z możliwych, jeden z organizatorów dmuchnął ponownie w przekłety gwizdek i ogłosił, że mamy zjeżdżać z góry za innymi. Do tego czasu obydwie moje synowe już do nas dołączyły. Renee nadal była szara na twarzy.

- Przepraszam - powiedziała, zupełnie bez potrzeby.

- Dasz radę? - zapytał Scott, zanim ja zdążyłam to zrobić.

- Renee - wtrąciłam. - Nie musisz zjeżdżać z tej góry.

- Ale chcę, mammo. Już dobrze się czuję. Naprawdę dobrze. Niech mi ktoś poda balony. Nie pochoruję się znowu. - Roześmiała się niemądrze. - Nic mi nie zostało w brzuchu.

- Oprócz dziecka - wtrąciła Miranda wesoło, ciągnąc matkę za kurtkę. - Chcę dziewczynkę, mamusiu. Jeden głupi brat mi wystarczy.

- O rany, święte słowa - poparła ją Molly. - Ja jestem dotknięta plagą głupich braci. Podobnie jak ciocia Keely. Daj rękę, pączusiu. Zjedziesz z nami ze wzgórza, a my pokażemy ci parę psikusów, jakie nam płatali, żebyś była na nie przygotowana, jak Tyler urośnie.

Wśród morza wełnianych czapek spostrzegłam Mickeya, który wyrwał się ze stadka dziewcząt trzymających baloniki i brnął teraz po śniegu w ciężkich butach. Miał największe stopy wśród mężczyzn Cantrellów, rozmiar czterdzieści siedem, a mierzył przy tym już prawie metr dziewięćdziesiąt.

- To miło, że udało ci się w końcu oderwać od tych śnieżnych króliczków, Casanovo - powiedział Phil, drażniąc się z nim.

- Zazdrościsz, starcze?

- Nie muszę. Mam najcudowniejszą kobietę na tej górze - odpowiedział Phillip i pogłaskał Keely po pupie.

Po spojrzeniu pełnym wdzięczności, które mu posłała, domyśliłam się, że wszystko między nimi będzie dobrze. Phil robi to, co powinien zrobić, żeby wszystko dobrze się dla niej ułożyło.

- Tu jest mój ulubiony śnieżny króliczek. - Mickey złapał mnie w objęcia, kładąc brodę na czubku mojej głowy, tak samo, jak to robił jego ojciec. - Dobrze się czujesz? - zapytał cicho.

- Teraz już tak - powiedziałam.

Przez tę jedną chwilę pozwalałam, by obejmował mnie tyczkowatymi ramionami identycznie, jak to Mike miał w zwyczaju, a ja przytuliłam policzek do jego ramienia, zadowolona. Usiłowałam przy tym nie dopuścić, by mnie udusił, i nie żartować głupio z momentu rozczulenia najmłodszego syna. *Błagam, idź na studia. Błagam, nie bądź idiotą. Proszę... proszę... proszę.*

Wypuściliśmy balony w powietrze. Bez żadnego ustalonego planu, jak to zrobić. Wszyscy nagle zatrzymaliśmy się w pół kroku, złączyliśmy ramionami, tworząc łańcuch Cantrellów, i patrzyliśmy, jak wielkie, jaskrawokolorowe balony wznoszą się coraz wyżej i wyżej. Tłum poniżej nas, ludzie stojący za olinowaniem, odgradzającym zjazd, wiwatowali, gwizdali i bili brawo, gdy balony we wszystkich kolorach tęczy przesłoniły niebo.

Jedno z moich ulubionych zdań z filmu Nory Ephron *Masz wiadomość* pada, gdy grana przez Meg Ryan bohaterka mówi do Toma Hanksa, że jej zdaniem stokrotki to kwiaty radości. Tak, to prosta prawda: są na tym świecie rzeczy, które samym swym istnieniem przynoszą radość. W króciutkim momencie olśnienia zdałam sobie sprawę, że te balony sprawiają radość podobnie jak stokrotki Meg Ryan. A ponieważ Mike istniał zarówno w moim życiu, jak i na tym wielkim, zagmatwanym i niemożliwym do wytrzymania świecie, ja czułam się dzięki temu szczęśliwa przez tyle lat, że nie umiałabym ich zliczyć.

Oficjalna zmiana nazwy zawodów została podana z boksu sprawozdawcy sieci telewizyjnej tuż po naszym dotarciu na dół. Przez kilka krótkich minut byliśmy jeszcze wszyscy razem. Zbliżał się jednak czas rozpoczęcia zawodów. Moja rodzina rozproszyła się w tłumie. Spozrzęłam Spidera Olsena, więc podeszłam do niego.

- Jak ci poszło z Mickeyem? - zapytałam.

- Pogadaliśmy. Pozwoliłem mu zadawać pytania. Ale wczoraj w nocy, po wyjściu od ciebie, zadzwoniłem do Setha i kilku innych i wyjaśniłem, czego się po nich spodziewam. Spotkali się z nami dziś rano. Poradziłem Mickeyowi, żeby porozmawiał z każdym z nas, bo wtedy jego decyzja będzie miała solidne podstawy. Myślę, że nie musisz się już martwić. Żaden z nas nie przedstawił mu obrazu sławy i łatwego chleba, o jakich Mickey marzył. Chłopcy mówili szczerze. Przypuszczam, że chłopak odszedł przekonany, iż połowa z nich chce się wycofać z zawodowego uprawiania sportu. Na odchodnym powiedział mi jeszcze, że nie chciałby zawieść ojca.

Radość wypełniła mnie niczym ciepło wewnętrznego światła. Wszystko miało się dobrze ułożyć. Mickey nie będzie sprawiał problemów. Mój najmłodszy syn jako najbystrzejszy z całej gromadki był stworzony do studiowania, dobre stopnie i nauka nazbyt łatwo mu przychodziły. Przy takich ocenach, wysokiej średniej z

egzaminów oraz informacjach o udziale w zajęciach pozalekcyjnych i pracach społecznych podanie Mickeya powinno skutecznie zarekomendować go na jednej z trzech wybranych przez niego najlepszych uczelni, poza tym mój syn nie miał już żadnych konfliktów z policją.

- Dziękuję. - Zarzuciłam Spiderowi ramiona na szyję i mocno uściśnęłam.

Śmiejąc się z ulgą, odsunęłam się, ale on zatrzymał moje dłonie w swoich rękach.

- Z przyjemnością to zrobiłem. Dla ciebie i Mike'a. To był świetny facet. - Spider przerwał na chwilę i zaraz dodał: - Najbardziej żałuję tego, że Mike nie skorzystał z mojej propozycji tamtej nocy i nie poleciał następnego dnia odrzutowcem telewizji, lecz on śpieszył się do domu.

Stałam, czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Słowa Olsena zapadły głęboko we mnie, raniąc boleśniej, niż mogłabym się tego spodziewać. Krwawiłam w środku. Ciągłe trzymał mnie za ręce, ale byłam w szoku, nie potrafiłam ich cofnąć, tak jak nie mogłam uwierzyć w to, co mi właśnie powiedział. Najbardziej żałował?

Znajomy błysk rudych włosów znalazł się w polu mojego widzenia i Molly wsunęła się między nas, uwalniając mi dłonie. Miałam wrażenie, jakbym poparzyła sobie skórę na rękach, kiedy na nie patrzyłam.

- Scott cię szuka, mamó - oznajmiła ostrym tonem.

Nie poruszyłam się.

- Mamó!

Podniosłam na nią wzrok, zmarszczyłam czoło. Co powiedziała? To, czego najbardziej żałował, nadal rozlegało się echem w mojej głowie i nie słyszałam niemal nic innego.

- Scott. Stoi przy trybunie. - Molly obróciła się na pięcie, najwyraźniej mnie odsyłając, ale zdążyłam jeszcze spostrzec wyraz jej twarzy. Była to zaciętość, którą znałam aż nazbyt dobrze i widziałam nie dawniej jak ubiegłej nocy.

Odrzutowiec telewizji? Następnego dnia?

- Chciałabym z tobą porozmawiać - zwróciła się do Spidera, biorąc go za ramię i odciągając ze sobą. Zadbala jednak, żebym usłyszała jej następne słowa: - Powinieneś trzymać się z dala od mojej matki.

- Chwila... Zaczekaj. - Uniósł ręce do góry. - Źle to wszystko zrozumiałaś.

- Mamó!

Obróciłam się powoli, słysząc głos Scotta. Machał do mnie i przeciskał się przez tłum w kierunku lin zawieszonych po bokach, a potem pod nimi przeszedł.

- Wiem, że mieliśmy jechać do domu dopiero wieczorem, ale Renee znowu źle się czuje i myślę, że powinniśmy wrócić już teraz. Mickey chce zostać na całą imprezę i Phil też.

- W porządku - rzekłam bezbarwnie.

- Potrzebna mi pomoc przy dzieciakach.

Scott był zwykle bardzo spokojnym i roztroptym chłopcem. Bardzo rzadko przesadzał z reakcjami i nie pozwalał, żeby emocje brały nad nim górę, lecz w jego głosie wyczułam stres.

- Pojadę z wami już teraz, to oczywiste. - Obróciłam się na chwilę i zobaczyłam, że Molly i Spider nadal rozmawiają z ożywieniem. Intuicja podpowiadała mi, że powinnam zabrać od niego córkę. To, co mi powiedział, było niewybaczalne. - Może Molly chciałaby z nami jechać.

Scott pokręcił głową.

- Ona też zamierza zostać do późna.

Ledwie mogłam się powstrzymać od tego, żeby podejść do nich i odciągnąć Molly. A jeśli jej również to powiedział? Zrobiłam zdecydowany krok w stronę córki, ale Scott mnie powstrzymał.

- Zostaw ją w spokoju, mamó. Spider Olsen ma ogromne doświadczenie w radzeniu sobie z narwanymi dwudziestoczerolatkami. Musimy jechać. Zaraz.

Poszłam więc za synem, lecz w myślach prześladowało mnie jedno: gdyby Mike został. Gdyby tylko zdecydował się lecieć tamtym odrzutowcem. Gdyby...

12

Przyznałam się do porażki i wstałam z łóżka. Przestałam sypiać w nocy. Zdarzały się co prawda dni, które mogłam przespać w całości. Bóg mi świadkiem, że wiedziałam, dlaczego tak się dzieje, chodziłam przecież na zajęcia z psychologii, jednak zrozumienie konsekwencji traumy nie pomagało mi w przezwycięzeniu lęku przed zaśnięciem. Bardzo realistyczne sny wypełniały mi śpiący umysł i budziłam się potem przerażona w środku nocy. Wcześniej nic takiego mi się nie przydarzało. Prawdę powiedziawszy, przez całe życie bardzo rzadko miewałam sny, a w każdym razie niewiele z nich pamiętałam. Teraz mózg bawił się ze mną w niegodziwe gierki.

Leżąc w łóżku, śniłam te okrutne koszmary i budziłam się, wiedząc, że śmierć Mike'a była jedynie złym snem, a on w rzeczywistości spał obok mnie albo wychodził z łazienki owinięty ręcznikiem i śmiał się do mnie. Te chwile złudzenia wydawały się tak prawdziwe, że czasami zaraz po przebudzeniu nie potrafiłam zatrzymać trzepotania serca, które chciało wyskoczyć mi z piersi. Innym razem budziłam się zapłakana.

Zamiast więc wiercić się na łóżku, wynajdywałam sobie jakieś zajęcia. Kilka kilometrów dalej znajdował się market otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę i dwudziestoczerogodzinny Starbucks dla zmotoryzowanych. Kupowanie artykułów spożywczych w otoczeniu gigantycznych palet z ekologicznymi zupami i karmą dla psów nie było takie złe i zaczęłam coraz częściej mieć ochotę na venti caramel inocchiato o wpół do czwartej nad ranem.

Dom zawsze był wielki, ale teraz wydawał się pusty i podobny do pieczary. Dlatego robiłam porządki przez cały czas, choć zatrudniałam firmę do sprzątania, która przyjeżdżała dwa razy w tygodniu.

Dziś była rozbudzona środa, którą wolałam od kłopotliwego wtorku czy gorączkowego piątku. (Nadałam nazwy każdej bezsennej nocy tygodnia, teraz, gdy lepiej się czułam i wiedziałam, jaki jest w danej chwili dzień tygodnia).

Około czwartej nad ranem skończyłam odkurzanie, opróżniłam worek na kurz, wyniosłam śmieci, zrobiłam dwa prania i umyłam blaty w kuchni. Uzbrojona w puszkę z płynem na bazie olejku cytrynowego do czyszczenia mebli chodziłam z pokoju do pokoju i polerowałam sprzęty, ścierałam kurz z lamp i drewnianych części schodów oraz spod komody w stylu Ludwika XIV w holu. Wyczyściłam ślubne srebra, których rzadko używałam, serwis do herbaty mojej babki i poprawiłam rolki papieru toaletowego w trzech łazienkach na dole,

tak żeby rozwijały się od dołu. Dzięki temu, kiedy urywało się papier od prawej do lewej, pękał na perforacji i nie rozwijał się na podłogę. Chyba że ktoś był leworęczny jak Scott i Molly.

Te zajęcia nie były ważne dla nikogo oprócz mnie, ale stanowiły dowód, że nadal jakoś funkcjonuję, choć na przedziwnym poziomie „poprawnego rozwijania papieru toaletowego w czasie zaparcia stolca”.

Czasami, gdy patrzyłam na zegarek, przekonywałam się, że czas wlecze się niemiłosiernie. Urodziłam się z idealnie wyregulowanym wewnętrznym zegarem. Wyglądając przez okno lub patrząc w niebo, wiedziałam instynktownie, która jest godzina. Teraz mieszkalam w ciele, dla którego czas przestał mieć znaczenie, a moje instynkty przestały działać.

Szafa Mike'a po drugiej stronie pokoju stała pusta, nie licząc trzech koszul, które najpierw zaginęły w pralni, później zostały znalezione i przywiezione miesiąc po jego śmierci. Gdyby nie one, w moim świecie nie byłoby ani jednej sztuki jego ubrania. Można byłoby zajrzeć do szafy i nawet nie wiedzieć, że Mike w ogóle istniał. Ta myśl niemal mnie zabiła - uświadomiłam sobie, że odszedł na zawsze i wielu ludzi już nigdy go nie pozna. W dniu, kiedy przywieziono te koszule z pralni, odpakowałam paczkę i wbiegłam na piętro, trzymając je przyciśnięte do piersi. Schowałam je w naszej garderobie, jak człowiek ocalały z katastrofy lotniczej chowa batoniki przed pozostałymi, którzy przeżyli.

Dzieci wzięły to, co chciały z rzeczy Mike'a: Scott buty, Phil kilka krawatów, Mickey skórzaną kurtkę, a Molly parę niebieskich podkoszulków, które Mike najbardziej lubił. Byłam na to wszystko kompletnie obojętna. Wszyscy z taką niecierpliwością chcieli usunąć z mojego widoku jego ubrania, jakby zawartość szafy Mike'a stanowiła większe zagrożenie od jazdy pod prąd jednokierunkową ulicą.

Z jakiegoś powodu w te pierwsze dni i tygodnie myślałam jedynie w kategoriach wymiany: Jeśli pozwolę im, żeby mi pomagali, w końcu przestaną. Poddaj się, bo oni muszą coś zrobić. Zresztą, jakie to ma znaczenie? Może wtedy wszyscy przestaną pytać mnie, czego potrzebuję.

Pozwoliłam zatem moim przyjaciołom i rodzinie, mającym jak najlepsze intencje, usunąć z domu ślady po Mike'u w imię zdrowego rozsądku i mojego dobra, choć potem straszliwie tego żałowałam. Straciłam jednak w tamtym czasie zupełnie zdolność do mówienia „nie” i czułam się obezwładniona wewnątrz własną bezradnością, która zdawała się potęgować, im bardziej pozwalałam innym mówić mi, co powinnam robić.

Wiedziałam jednak, że dla własnego zdrowia psychicznego muszę znaleźć w sobie odwagę do odebrania innym kontroli nade mną, mimo że chcieli przecież dla mnie jak najlepiej i sama im ją dałam. Musiałam znaleźć rozwiązanie najpomyślniejsze dla mnie. Stałam wobec zadania, które przypominało podróż w nieznane.

W naszej sypialni, gdzie duże łóżko było idealnie zasłane, na szafkach nocnych stały chińskie lampki, pościel uszyto z adamaszku, gdzie były te same poszewki na jaśki, ta sama sofa w paski przy kominku i skórzany fotel Mike'a obok mojego - starego klubowego fotela, należącego wcześniej do teściowej, który kazałam na nowo obić - zdałam sobie sprawę, że większość mojego życia upłynęło analogicznie do życia Mike'a. Przeżyłam z nim więcej lat niż bez niego.

Nie dalej jak poprzedniej nocy czytałam książkę, która leży teraz otwarta na fotelu. Na okładce jest kobieta w ciemnej sukience, ze sznurem pereł, ale choćby mnie kroili, nie potrafię przypomnieć sobie, o czym jest ta powieść. To co się działo, kiedy ją czytałam, najbardziej mnie niepokoiło.

Przewracając stronę, od niechcienia podniosłam wzrok i zobaczyłam Mike'a w otwartych drzwiach, tak jak wcześniej tysiące razy. Natychmiast się wyprostowałam, bałam się oddychać. W tej jednej chwili, gdy serce mi zamarło, naprawdę myślałam, że on nadal żyje. Jak sparaliżowana nie byłam w stanie ani się poruszyć, ani oddychać czy choćby mrugnąć powieką z powodu nagłej, intensywnej, prawie namacalnej, ogromnej radości, która mnie przepełniała... aż do chwili, gdy rzeczywistość upomniała się o mnie. Żyłam w koszmarze, nie budząc się z niego. A mówiąc o umyśle, który płata nam figle...

Dobry Boże w niebiesiech, czy w nie dość żalnym stanie się znajdowałam? Czułam się kompletnie rozbita, pogrążona w emocjach i myślach, których nie mogłam ani powstrzymać, ani kontrolować. Moje życie zaczęło się toczyć w innym wymiarze niż ten, w którym były fotele, sofa, łóżko, wszystkie te sprzęty jakby należały do świata kogoś innego.

Niezależnie od tego, jak długo wpatrywałam się w jedno miejsce, nic tam nie było oprócz przysłowiowej pustki. Niczym postać z jakiejś bajki, stojąca nad kociołkiem i powtarzająca zaklęcia w poszukiwaniu magicznego kielicha lub pierścienia, próbowałam sprowadzić Mike'a z powrotem. Zapalałam światło. Gasila światło. Z dbałością o każdy szczegół ustawiałam się ponownie w tej samej pozycji, trzymając książkę tak jak poprzednio, i podnosiłam wzrok. I tak raz za razem. Przed sobą miałam jednak tylko drzwi, niezmienione i puste.

Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że zobaczenie Mike'a jest niemożliwe, ale to, co widziałam, było tak wyrazistym obrazem. Miał na sobie ulubioną niebieską sportową bluzę z rękawami podciągniętymi nad łokcie, ciemne włoski kręciły mu się nad blizną na przedramieniu po dawnej kontuzji na desce. Czy człowiek ma halucynacje w kolorze? Bo nie można wyobrazić sobie tak realistycznego i ostrego obrazu.

Ludzkie pożądanie to silne uczucie. Kiedy chce się czegoś tak mocno, być może mózg jest niemal w stanie sprawić, by to się stało. Niemal. Czy widziałam go w innym miejscu, w pół drogi od tego życia i wracającego do mnie? Zawsze miałam niezachwianą wiarę. Chciałam wierzyć w istnienie nieba, w to, że Mike jest bezpieczny i czeka na mnie, ale teraz miałam ogromną pretensję do Boga. Przestaliśmy ze sobą rozmawiać.

Niezależnie od tego, jak bardzo chciałam przywołać, wyśnić lub wymarzyć powrót Mike'a do mnie, jego po prostu nie było. Kiedy cień drzewa rzucany na okno wędrował po dywanie, otrzymałam racjonalną odpowiedź. To, co widziałam, było jedynie cieniem drzewa rosnącego za oknem. To był tylko cień.

Próbowałam więc zasypiać przy zaciągniętych zasłonach, ale i tak się budziłam. Ostatecznie nie było w domu ani jednego mebla, który nie zostałby wypolerowany i nie błyszczał nieskazitelnie. Odstawiłam środek do czyszczenia mebli, moje panaceum na męczące chwile słabości, i rozsunałam zasłony.

Rozglądając się po pokoju, nie potrafiłam otrząsnąć się z dziwnego uczucia, że jestem kimś obcym w tym jedynym pomieszczeniu, z którym dotychczas czułam się najbardziej związana. Zmieniłam ustawienie budzika na szafce nocnej, tak żeby łatwiej było sprawdzić godzinę z różnych miejsc w pokoju (sama przetestowałam wszystkie możliwe kąty), potem poprawiłam kabel bursztynowej lampy tak, że kiedy się na nią patrzyło, trzeba się było dobrze przyjrzeć, żeby go w ogóle zauważyć.

Przypomniały mi się M&M'sy Jacka Nickolsona wsypane kolorami do oddzielnych słoików w filmie *Lepiej być nie może*. Zastanawiałam się, czy żaloba może wywołać zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne. Odgar-

nęłam włosy z twarzy - kiedy ostatni raz je myłam? - i poczułam lekki zapach olejku cytrynowego w powietrzu, który skojarzył mi się z energią kinetyczną, która mogłaby zginać łyżeczki.

Jak na kogoś, kto nie odczuwał niczego przez całe tygodnie, byłam aż nadto świadoma włosów na własnych ramionach i na karku. Usiadłam ciężko na łóżku, objęłam się rękami, patrzyłam dookoła i czułam się zagubiona, a potem drapałam się paznokciami po przedramionach, bo swędziała mnie skóra.

Czy to naprawdę było możliwe? Gdyby tu był, niewykluczone, że mógłby ze mną porozmawiać, jak w *Duchu i pani Muir* albo *Topperze*.

- Mike?

Nic.

- Mike? Jeśli tam jesteś, daj mi jakiś znak.

Nie zobaczyłam unoszących się obrazów, żadne łańcuchy nie podzwaniały ani nie pojawiła się zjawa mojego męża.

Takie rzeczy dzieją się wyłącznie na filmach, w książkach i telewizji, są wytworem czyjejs wybujałej wyobraźni. W głębi ducha wierzyłam, że osoby piszące podobne historie straciły kogoś bardzo bliskiego. Dlatego tak rozpaczliwie pragnie się drugiej szansy.

Na wschodzie nad horyzontem pojawiły się pierwsze promienie słońca, w skrzynce z kwiatami zawieszanej na żelaznej balustradzie pyszniły się niecierpki, których płatki miały takie same łososiowe, fioletowe i neonoworóżowe odcienie, jak krawędzie nieba o świcie. Usłyszałam wyłączenie budzika Mike'a, dochodzące z głębi korytarza, i odgłos lejącej się wody w jego prysznicu.

Przez lata o tej porze rano, kiedy miasto jeszcze trwało w bezruchu, siedziałam na łóżku, piłam kawę, którą Mike mi przynosił, czytałam gazetę albo książkę, bo były to moje chwile wyciszenia, zanim wstałam i szykowałam śniadanie, jeśli on nie zrobił go wcześniej. Teraz oddałabym wszystko za odrobinę chaosu i gwaru, za głos Mike'a ćwiczącego na elektrycznej bieżni lub biorącego prysznic. Śpiewał okropnie.

Roześmiałam się, myśląc o tym ostatnim, zabrzmiało to bowiem dla mnie równie dziwnie, jak mówienie w obcym języku. Oczy wypełniły mi się łzami, gardło zacisnęło. Lustro wiszące na ścianie pokazywało moje blade odbicie, którego prawie nie rozpoznawałam. Przez większość czasu skórę miałam bez koloru, jakby wypłowiała przez płacz. Położyłam się, żeby uciec od tego, co zobaczyłam, i znowu się rozplakałam. Sięgnęłam po pudełko z cholernymi jednorazowymi chusteczkami, które nadal miało bożonarodzeniowe złote nadruki.

I wtedy spostrzegłam, że zniknęło nasze zdjęcie. Stało tu jeszcze poprzedniej nocy. Pamiętam, że patrzyłam na nie, kładąc się do łóżka. Przez lata spoglądałam na tę fotografię przed zgaszeniem światła.

Może zrzuciłam ją zeszłej nocy, gdy wierząc się w pościeli, usiłowałam zasnąć i - co przyznaję ze smutkiem - przywołać obraz zmarłego męża. Przetoczyłam się po łóżku i spojrzałam na podłogę za szafką nocną. Nic tam nie było.

Potem zwiesiłam się z brzegu łóżka, podciągnęłam falbanę od narzuty i zobaczyłam jedynie zapomniany sprzęt do ćwiczeń, który wymagał odkurzenia. Zsunęłam się na podłogę, położyłam policzkiem na wełnianym dywanie i zajrzałam głębiej pod łóżko oraz za nie, otworzyłam drzwiczki szafki nocnej, lecz szybko je zatrzasnęłam, zanim wypadły upchnięte tam stare magazyny „Ophra” i „Coastal Living”.

Zmieniłam się z czasem w śmieciarę, która niczego nie wyrzuca. I tak zbyt wiele zostało wyrzucone w imię zdrowego rozsądku.

Choć z ogromną niechęcią, ale muszę się przyznać, że robiłam dziwne rzeczy podczas snu. Kiedyś obudziłam się w wannie i z ręką na sercu wyznaję, że nie pamiętałam, jakim cudem znalazłam się w wodzie, innym razem stałam nocą w spiżarni, jakbym przygotowywała się do ugotowania czegoś.

Co noc spałam pośrodku naszego podwójnego łóżka, bo jego strony nie miały już znaczenia. Budziłam się czasami i wydawało mi się, że jestem zupełnie gdzieś indziej - śpię w równoległym wszechświecie, gdzie Mike nadal żyje i śmieje się do mnie, i mówi mi, że to wszystko było jakąś straszną pomyłką.

Podniosłam się z podłogi i wyciągnęłam szufladę nocnej szafki. Fotografia leżała odwrócona tyłem obok kremu do rąk. Kiedy ją tam włożyłam? Po co? Budzę się w wannie, stoję zdezorientowana w spiżarni, chowam zdjęcia? Traciłam rozum. Wdowom się to przydarza.

Postawiłam fotografię na miejsce między lampką i budzikiem i, nie oglądając się za siebie, poszłam do łazienki. Buty Mike'a nie stały w rogu. Jego ubrania nie leżały w nieładzie na podłodze obok kosza na brudną bieliznę. Żaden mokry ręcznik nie walał się pod nogami, rzucony beztrudno na podłogę, a w powietrzu nie unosił się zapach kremu do golenia, nie zobaczyłam też Mike'a szczoteczki do zębów zatkniętej z boku umywalki. Jego pasek nie wisiał na klamce drzwi. Ale na Boga, to zdjęcie zostanie tam, gdzie jest jego miejsce.

We wtorkowe popołudnie w połowie lutego otworzyłam drzwi i odebrałam kilogram belgijskich czekoladek i ogromny bukiet wspaniałych, czerwonych jak krew róż południowoamerykańskich, wielkich jak pieść, ułożonych w niesłychanie drogim kryształowym wazonie oraz notkę od mojego zmarłego męża.

Dla mojej jedynej Walentynki

Zawsze kochający

Mike

Osunęłam się na marmurowe schody prowadzące do salonu, obejmując wazon, gdy uderzający do głowy zapach czerwonych róż rozchodził się wokół mnie. Pudełko czekoladek leżało niepewnie na moich kolanach. Powinnam wtedy od razu zadzwonić do kwiaciarni i odwołać stałe zamówienie, złożone przez Mike'a. Zamiast tego jednak zjadłam wszystkie czekoladki, jedną po drugiej.

Kilka tygodni później, w moje urodziny nadeszło pudełko od Cartiera z Union Square, którego odbiór musiałam pokwitować. W środku była zapakowana bransoletka z głową pantery wysadzana brylantami, o której mówiłam Mike'owi od tak dawna. Kiedy ją zamówił? Żałuję, że nigdy nie poznam tej daty, kiedy myślał o mnie, w odróżnieniu bowiem od bilecika z kwiaciarni zwykle stałe zamówienie - tym razem dołączona kartka była napisana odręcznie.

Teraz nie możesz mi zarzucić, że nigdy nie słucham... Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, słoneczko.

Z wyrazami miłości,

Mike

Około piątej któregoś popołudnia byłam w kuchni zajęta przygotowaniem obiadu, kiedy Phillip wszedł tylnymi drzwiami. Zerknęłam na niego przez ramię.

- Nie wiedziałam, że przyjdiesz.

Zamknął drzwi i obrócił się. W rękach trzymał brązową papierową torbę ze sklepu spożywczego. Spojrzał na mnie tylko raz i zatrzymał się. Wyglądał na załamane.

- Mamo...

Co znowu się wydarzyło? Upuściłam nóż, stanęłam twarzą do syna, przytrzymując się kuchennego blatu z granitu. Żołądek mi się skurczył.

- Stało się coś złego?

- Ty płaczesz.

Zapadło między nami milczenie, zanim zrozumiałam, odetchnęłam z ulgą i roześmiałam się.

- Kroję cebulę. Zobacz.

Odsunęłam się od blatu i otarłam oczy przedramieniem. Twarz miałam wilgotną, prawdopodobnie zaczerwienioną i pobrudzoną. W każdym razie na pewno musiałam wyglądać fatalnie. Szuflady z kosmetykami do makijażu nie otwierałam od ponad tygodnia. Miałam na sobie stare dżinsy i bluzę, a rankiem tego dnia związałam włosy w koński ogon w żalostnej próbie zadbania o siebie. Gdyby ktoś pochylił się nade mną zbyt blisko, poczułby ode mnie zapachy ostatnio używanych „perfum” - domestosu albo olejku cytrynowego do mebli... a w tej chwili: siekanej cebuli.

Teraz to on się roześmiał, odprężony, i postawił torbę z zakupami na blacie.

- Keely ma dzisiaj obiad w interesach, więc postanowiłem zdać się na los szczęścia. Pomyślałem, że może ty mogłabyś mnie nakarmić.

- Chciałeś powiedzieć, że to twoja kolej sprawdzenia, co się dzieje u matki pogrążonej w żałobie. - Odwróciłam się z powrotem do blatu.

- To też - przyznał zupełnie niezbity z tropu. - Gdzie jest punk?

- Mickey miał jakieś zawody po szkole i ćwiczenia. Będzie w domu później.

- To dobrze. - Phil podszedł do lodówki i wyjął karton z mlekiem. - Odwiezie mnie potem do domu.

- A co to? Nie masz samochodu? Spojrzał na mnie.

- Wypiłem kilka drinków po pracy, więc przyjechałem tramwajem.

- Możesz wziąć porsche, jeśli chcesz.

- Mickey mnie odwiezie - rzekł od niechcienia i napił się mleka z kartonu.

Nie odezwałam się słowem w sprawie mleka. Mówienie chłopcom o używaniu szklanki nie przyniosło mi nic dobrego przez te wszystkie lata, a teraz nie chciałam tracić na to czasu, niemniej coś w jego głosie mnie zaniepokoiło. Poprzedni weekend Mickey spędził z Philem i wrócił do domu bardzo wyciszony, a dawno go takim nie widziałam. Pomyślałam, że może do czegoś doszło między nimi, ale nie chciał o tym ze mną rozmawiać.

- Spróbuj nie naciskać na brata, dobrze?

- Co? Ja?

- To udawanie niewiniątka nie sprawdzało się, kiedy byliście dziećmi, więc teraz tym bardziej nie zadziała.

- Cholerka, mam, czasami po prostu tak łatwo go podejść.

- Cóż, teraz życie nie jest łatwe dla nikogo z nas. On potrzebuje raczej, żebyś go wysłuchał, podtrzymał na duchu, a nie żebyś się z nim drażnił.

Zadzwoiła komórka Phila. Otworzył klapkę telefonu.

- Cześć, kochanie. - Napięcie zaczęło malować się na jego twarzy, w miarę jak słuchał. - Tak mi przykro. - Głos zdradzał zdenerwowanie, a zwykle trochę zgarbione plecy stały się proste jak struna. - Nie wiem, dlaczego to takie trudne. Wiem. - Przerwał na chwilę i uważnie słuchał. - Wiem... Pogadamy o tym wieczorem. - Zamknął klapkę telefonu i schował go do kieszeni. - To wszystko nie jest takie proste - powiedział cicho. - Byłbym znacznie szczęśliwszy w tej chwili, gdyby nikt mnie nie potrzebował.

Jeśli ktoś wołał kiedyś o pomoc, to właśnie Phil i właśnie teraz. Wyjęłam ręce z miski z mielonym mięsem i umyłam je. Oparłam się o blat, gdy je wycierałam w ścierkę do talerzy.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Kolejny fałszywy alarm na froncie ciężowym. - Od dawna w jego głosie nie słyszałam takiej goryczy. - Ona płacze, a ja już nie wiem, co mówić. Pyta mnie bez przerwy, dlaczego to takie trudne, choć ma być przecież najbardziej naturalną rzeczą na świecie, ja z kolei nie mogę nic zrobić poza cichym przeproszeniem jej. Wiem, że chciałaby usłyszeć ode mnie znacznie więcej, ale nie mam nic nowego do powiedzenia, nic, co nie byłoby już mówione od zbyt wielu miesięcy. - Stał przodem do mnie, rozkładając ramiona, sfrustrowany, z zarumienioną twarzą. - Brakuje mi słów, żeby rozwiać jej rozczarowanie, żeby podnieść ją na duchu, a za każdym razem, kiedy płacze z tego powodu, czuję się jeszcze bardziej nie na miejscu.

Phillip usiadł przy kuchennym stole, opierając czoło o wewnętrzne strony dłoni, zanim słowa popłynęły niczym fala powodzi:

- Czuję jedynie porażkę i chyba powoli zaczynam mieć dość. Może dlatego nie potrafię już znaleźć słów, żeby ją uspokoić, mam. Wiem, że powinienem coś mówić, ale to mnie przerasta. Z powodu sytuacji SkiStar muszę się wykazywać w pracy i przed Scottem i staram się jak mogę dla taty, bo on tak we mnie wierzył, a przed Keely muszę się jeszcze wykazywać w sypialni. Moje życie zaczyna przypominać przedstawienie.

Stałam za nim i masowałam mu napięte barki, czekając, aż wyrzuci z siebie to wszystko.

- Nie jestem już nawet pewny, czy rzeczywiście jeszcze chcę mieć dzieci. - Zamknął oczy i oparł głowę o moje dłonie.

Phillip był dorosłym mężczyzną, który mógł być już ojcem, a mimo to patrzyłam na niego i widziałam syna w każdym wieku, niczym konglomerat istnień - wszystkie rodzaje cierpienia, jakie zadawano mu przez lata, znoszenie podłogi innych dzieci, bójkę ze starszym bratem, rozczarowania, przegranie drużyny tenisowej, złamane serce, stratę dziadków i dotkliwe konsekwencje takich samych głupich błędów, jakie wszyscy popełniamy.

Pogłaskałam go po czole, a on otworzył oczy, wpatrywał się we mnie i oczekiwał ode mnie odpowiedzi, których nie mogłam mu dać, bo nie pomogłabym mu, opowiadając się w tej sprawie po którejkolwiek ze stron. Wychowaliśmy dzieci tak, by myślały za siebie, więc myślenie za niego na niewiele by się zdało w tej chwili.

- Jesteś sfrustrowany i obolały - powiedziałam. - Trudno określić, czego naprawdę chcesz, kiedy jesteś pod taką presją. Jedno wiem na pewno. Nigdy nie ukrywałeś, że chciałbyś mieć całą furgonetkę dzieci. Ale nawet jeśli zmienisz zdanie w którymś momencie, uważam, że mówienie o tym żonie w tej chwili nie jest najlepszym pomysłem, zwłaszcza że to, co czujesz, to prawdopodobnie presja.

- Wiem - rzekł z rezygnacją. Usiadłam obok niego i wzięłam go za rękę.

- Jeszcze nie tak dawno siedzieliście przy tym samym stole i opowiadaliście, jak spieszno wam założyć rodzinę. Oboje byliście tacy podekscytowani.

- A potem zaczęło się źle dziać. Bałem się, że ją stracę - wyznał Phil. Jego głos nadal łamał się od emocji, mimo że minął rok.

- Rozumiem. Strach to zupełnie naturalna reakcja po tym, co oboje przeszliście.

- Ale ona chce mieć dziecko. Jest tak, jakby to się stało jej obsesją, jakby musiała tym coś udowodnić. Nie wiem, co się z nami dzieje.

- Lekarz zapewnił ją, że jest teraz w dobrej formie, a wiem to od niej, i że możecie liczyć na normalne zapłodnienie.

- Tyle że to może znowu się zdarzyć.

- No to będziesz sobie z tym radził, jeśli do tego dojdzie. Jeżeli problem ciąży miałby was rozdzielić, to powinieneś chyba zwrócić się o pomoc do specjalisty, zanim oboje załamiacie się pod ciężarem presji i powiecie coś, czego tak naprawdę nie myślicie.

Milczał przez długi czas.

- Nie powinienem obarczać cię jeszcze i tym - odezwał się w końcu.

- Byłabym bardzo niezadowolona, gdybyś przestał przychodzić i opowiadać mi o swoich problemach, Phil. Jestem tu, żeby cię wysłuchać. Czyżbyś nie rozumiał, jak bardzo się cieszę z tego, że myślisz o mnie jak o osobie, do której zawsze możesz przyjść, kiedy musisz coś z siebie wyrzucić? Jestem tu, tak samo jak byłam kiedyś. Nie znoszę, gdy traktuje się mnie jak kogoś, kto w każdej chwili może się rozpaść na milion kawałków. Jak do tej pory jeszcze się nie rozpadłam.

- Życie nie jest teraz łatwe dla nikogo z nas - przyznał. - I nie pomyliłaś się, odgadując powód mojej wizyty. Wszyscy postanowiliśmy, że będziemy wpadali do ciebie na zmianę. - Urwał na moment, sprawiając wrażenie zatroskanego, a potem pokręcił głową. - To, co robimy, wygląda na okropną arogancję. Scott, Molly, Mickey i ja... wydaje się nam, że możemy wypełnić ci życie samą naszą obecnością.

- Nie wiem, co bym ze sobą robiła, gdybym was nie miała. Choć zdarzają się dni... - Drażniłam się z nim. - Szczerze? Że nie bardzo wiem, co z wami robić, i nie wiem też, co bym bez was zrobiła, i kocham każde z was, nawet jeśli macie jakiś irytujący i głupawy plan opiekania się mną.

- Cholerka, mamusiu, musimy przecież mieć coś do roboty.

Kiedy nazywał mnie „mamusią”, to on z kolei drażnił się ze mną.

- Jesteśmy twoimi dziećmi. Nam się wydaje, że możemy się łądować w twoje codzienne życie, żeby potem móc się kłócić, kto najbardziej spieprzył sprawę.

Roześmiałam się. Była to pewnie jedna z najprawdziwszych rzeczy, jakie powiedział przez ostatnie pięć minut. W naszej rodzinie albo żartowaliśmy, albo kłóciliśmy się z byle powodu.

- Hej... czy to radio gra na górze? I co to za dźwięki dochodzą z pokoju telewizyjnego? Ile razy w ciągu roku obsztorcowywałeś nas za zostawianie włączonego stereo albo telewizora?

Uniosłam rękę.

- Przyznaję się do winy. Tu mnie masz. - Nie powiedziałam mu, że potrzebuję dźwięków wokół siebie, bo zupełna, niczym niezmacona cisza sprawiała, że miałam ochotę krzyżeć. Odgłosy dochodzące z elektrycznych urządzeń stały się moimi nowymi kompanami. - Po prostu zapomniałam je wyłączyć - okłamałam go.

Najwyraźniej ostatnio kłamstwa bardzo łatwo mi przychodzą. Wszyscy teraz kłamaliśmy. Lepiej łąać niż żyć w bolesnym milczeniu, jeśli nie z czymś gorszym, wywołanym prawdą.

Taty już nie ma. Co mam teraz robić? Rozklejam się zupełnie. Wydaje mi się, że twój ojciec jest duchem.

Każde z nas wolało ukrywać prawdę zamiast nazbyt dokładnie i wnikliwie analizować fakt, że próbujemy utrzymać się na powierzchni, choć w rzeczywistości toniemy. W jakiś sposób jednak udawało się nam nie stanowić wzajemnie zagrożenia dla naszych nadwątlnych teraz dusz.

Phil wpatrywał się we mnie, jakby dzięki samemu patrzeniu mógł poznać prawdę, i przez sekundę wydawało mi się, że każe mi ją wyznać, dlatego przyznałam się:

- Jestem strasznie roztrzępana. W zeszłym miesiącu wysłałam czek za rachunek z elektrowni do firmy telefonicznej. Rachunek za telefon zapłaciłam Visie, a o spłacie American Express zupełnie zapomniałam. Spodziewam się, że nic mi nie zostało na karcie kredytowej, ale guzik mnie to obchodzi.

- Jeśli chcesz, to mogę płacić za ciebie rachunki.

- Nie! - rzuciłam głośno i zaraz tego pożałowałam, gdy zobaczyłam twarz syna. Jego propozycja była odruchowa. Za to, że był troskliwy i chciał mi pomóc, nie powinnam na niego krzyżeć.

Co doprowadziło mnie do takiego stanu, że czułam potrzebę bronienia się przed własnymi dziećmi, które próbowały mnie chronić?

- Przepraszam. Dziękuję za tę pomoc, poradzę sobie z rachunkami. Nie chcę, żebyś się mną opiekował. Zależy mi na tym, żeby wszystko było normalne... Chcę się czuć normalnie - dodałam cichnym głosem. Pragnęłam cofnąć się w czasie i ponownie przeżywać dorosłe lata i małżeństwo z Mike'em, ale nie mogłam powiedzieć tego głośno, bo wiedziałam, że dzieci mają własne smutki.

Minutnik przy piecyku zabrzączał.

- Co jest na obiad? - zapytał Phil, najwyraźniej zmieniając temat.

- Pieczeń rzymska. Pokarm bogów. Tylko dla smakoszy. - Napełniłam mięsem brytfankę, posmarowałam je keczupem, posypałam suchą musztardą i polałam sosem z brązowego cukru. Wstawiłam je do piecyka razem z ziemniakami skropionymi oliwą z czosnkiem.

- Przygotowujesz ulubione danie Mickeya - zauważył Phil.

- Gdybym wiedziała, że przyjdiesz, zrobiłabym spaghetti i klopsiki.

- Moje ulubione.

- Twoje ulubione. - Uśmiechnęłam się do niego.

- Co się z nim dzieje?

- Myślę, że boi się wybrać uczelnię zbyt daleko od domu. - Umyłam ręce i wytarłam je w ręcznik. - Porozmawiasz z nim, kiedy będzie cię odwoził do domu? Wolałabym, żeby wybrał taką szkołę, którą naprawdę chce, a nie tę, która jest najbliżej.

- Nie składał papierów do Stanford?

- Jest na liście oczekujących.

- W porządku. Pogadam z nim. - Spojrzał na mnie mądrymi oczami. - Powiedz mi coś.

- Co?

- Dobrze sypiasz?

Dotknęłam twarzy dłońmi, a potem włosów, wysuwających się spod gumki.

- Fatalnie wyglądam, prawda?

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Nic mi nie będzie - odparłam, pewna, że już nigdy nie będę się dobrze czuła.

Postawił torbę ze sklepu przede mną.

- Przyniosłem ci prezent.

- Co to takiego? - Zajrzałam do środka i zobaczyłam cztery ogromne puszkę płynu do mebli z olejkiem cytrynowym. Wyraz twarzy Phila był na wpół wyrozumiały, na wpół sardoniczny. Wybuchnęłam śmiechem.

- Nie chciałem, żeby ci go zabrakło. W środku nocy - rzekł bez emocji. - Wiesz, kiedy tak mocno śpisz.

Poza kilkoma wpadkami, bardzo starałam się ukrywać przed dziećmi mój głęboki smutek. Przestałam robić zakupy spożywcze w środku nocy i zachowywałam się bardzo ostrożnie, gdy szłam na kawę w porze, gdy większość mieszkańców miasta spała w ciepłych łóżkach. W żadnym wypadku nie włączałam już odkurzacza o czwartej nad ranem, bo w przeciwnym razie mój najmłodszy syn - kłapiący dziobem - powiedziałby o tym pozostałym, jak robił to wcześniej.

Chciałam wierzyć, że staję się Cudowną Wdową, kiedy tylko dzieci są blisko mnie. Byłam pewna, że pokazuję im, jak wspaniale idę naprzód i daję sobie radę bez ich ojca.

Pokaz to odpowiednie słowo. Wszystko na pokaz. Pochodzę z pokolenia, które wierzyło, że matki są silne. Matki kształtowały przyszłość. Ale nie stałam się dokładnym wzorem idealnej matki z lat pięćdziesiątych XX wieku. Rola matki była dla mnie ważna i z pewnością identyfikowałam się z nią przez lata, bo traktowałam ją bardzo serio. Dzieci stanowiły równoprawną część mojego życia. Całe lata uczyłam się zachowania równowagi pomiędzy dziećmi i mężem. Teraz tej równowagi mi zabrakło.

Od śmierci Mike'a bardzo się przykładałam do tego, żeby normalnie spędzać z nimi czas, tak jak to dzieje się teraz. Nigdy nie widziały mnie popłakującej w łóżku. Nie widziały moich zaczerwienionych, opuchniętych oczu, gdy budziłam się o trzeciej nad ranem, i były w pracy lub we własnych domach albo szkole, gdy ja siedziałam na stosie pomiętych chusteczek higienicznych.

Ale już następnego ranka przeżyłam mrozącą krew w żyłach chwilę, kiedy zobaczyłam Mike'a w naszej sypialni. Dwukrotne przeżycie czegoś podobnego było ciężką próbą dla mojego zdrowego rozsądku i udawanej siły, zwłaszcza że byłam na to zupełnie nieprzygotowana.

Tym razem wychodziłam z łazienki zupełnie mokra, owinięta ręcznikiem i wydało mi się, że widzę go idącego przez pokój do garderoby. Krzyknęłam jego imię... jakby krzyk mógł go zatrzymać. Ręcznik wysunął mi się z rąk. Stałam ciągle mokra i naga.

Ale jego tam nie było. Znowu cień drzewa zza okna przesunął się po dywanie, a ja przysięgłam sobie, że każę ściąć to przeklęte drzewo, zanim zupełnie oszaleję. Tak się tym zdenerwowałam, że włożyłam jedną z koszul Mike'a i zapięłam ją na wszystkie guziki, zupełnie tak samo, jak robiłam zaraz po naszym ślubie. Może wydawało mi się, że jeśli będę miała na sobie coś z jego rzeczy, to lepiej się poczuję. Ale po prostu tkwiłam w miejscu do chwili, gdy dłonie przestałam mieć zaciśnięte w pięści i oddech mi się wyrównał.

Jest taka samotność, która pojawia się wraz ze stratą, osamotnienie, które ogarnia człowieka i sprawia, że ma się wrażenie dryfowania przez czas niczym balonik napełniony helem, bez nikogo, kto trzymałby sznurki.

Przez lata byłam w domu sama, ponieważ Mike zawsze pracował w ciągu tygodnia. Teraz jednak dom stał się całym moim światem i był pusty, nawet kiedy przebywali w nim ludzie. To odczucie opuszczenia przeniknęło mnie do kości i nigdy nie odstępowało, choć wcale tego nie chciałam. Pragnęłam czegoś wręcz przeciwnego niż to wszystko, co czułam. Chciałam się śmiać. Chciałam śpiewać. Chciałam żyć.

Zawsze grałam muzykę zbyt głośno i nie dlatego, żeby zagłuszyć samotność. Wiedziałam, że przesadzam z głośnością, ale byłam dzieckiem lat sześćdziesiątych, które lubiło czuć w sobie muzykę, zatracić się w niej, dlatego w domu przez większość dnia wieża stereo była nastawiona na lokalną rockową stację radiową.

Właśnie zachrypnięty głos Micka Jaggera śpiewał o cieniach, więc nastawiłam radio jeszcze głośniej, aż kolumny zaczęły pulsować, a ja nie mogłam ustać w miejscu. Śpiewałam na całe gardło o cieniach i tańczyłam przed oszklonymi drzwiami, jakbym chciała egzorcyzmować ducha Mike'a, nawiedzające mnie jego cienie. Bardzo blisko za oknem rosło to głupie, cholerne drzewo, które usiłowało doprowadzić mnie do obłędu. Kręciłam się w kółko, trzymając ramiona w powietrzu i śpiewając. Wirowałam po całym pokoju, aż zakręciło mi się w głowie.

Piosenka się skończyła i stanęłam, na miękkich nogach przeszłam kilka kroków i opadłam na łóżko, ochrypla, na wpół się śmiejąc, na wpół płacząc. Zwinęłam się w kłębek wokół pudełka z chusteczkami, kiedy mój szloch w końcu ściszył się do chlipania, wywołanego uzalaniem się nad sobą.

- Mamo? Właśnie wzięłam klucze do Tahoe. W ten weekend mam sesję zdjęciową i...

Usiadłam, przerażona, ale było za późno, żeby ukryć cokolwiek. Tkwiłam pośród setek zużytych chusteczek higienicznych, miałam na sobie koszulę Mike'a, ciągle pociągałam nosem i usiłowałam złapać oddech.

Molly stała w drzwiach sypialni. Córka jeszcze nigdy nie patrzyła na mnie w taki sposób.

- Molly - wydukałam jej imię. - Kochanie...

Odwróciła się i uciekła ode mnie, jakbym była ucieleśnieniem diabła. Och, Boże, co ja narobiłam? Zanim dotarłam do końca schodów, usłyszałam trzaśnięcie frontowych drzwi. Na zewnątrz z werandy zobaczy-

łam, jak Molly cofa samochód zbyt szybko i skręca, gdy zaczęłam do niej biec, ale przyspieszyła, mając akurat zielone światło, i zniknęła za rogiem.

Tramwaj przejechał z hurgotem. Ktoś głośno zagwizdał. Zatrąbił klakson, a ja stałam na chodniku przy najbardziej krętej ulicy świata, ubrana jedynie w koszulę Mike'a, i powtarzałam sobie, że w oczach mojej córki nie zobaczyłam nienawiści.

14

Raz po raz wydzwaniałam do Molly, ale nikt nie podnosił słuchawki, a kiedy zatelefonowałam do Stone Morgan, dowiedziałam się, że wyjechała na sesję zdjęciową w góry i nie wróci aż do początku następnego tygodnia. Jechanie za nią nie wchodziło w grę i jak zwykle nie bardzo miałam ochotę na kłótnię. Szczerze mówiąc, bałam się tego, co mogłaby mi powiedzieć po tym, jak na mnie spojrzała. Kiedy chodziło o wyjaśnienie czegoś z moją córką, okazywałam się tchórzem.

Postanowiłam, że muszę robić coś jeszcze oprócz poddawania się halucynacjom, kupowania torebek (w tym tygodniu kupiłam już dwie od Gucciego) i użalania się nad sobą, chciałam się czymś zająć i czułam, że jestem w stanie podjąć takie wyzwanie. Tworzenie pozorów prowadzenia normalnego życia, na ile to możliwe, było moim jedynym celem.

Nie uprzedzając nikogo, weszłam do siedziby Cantrell Sports po raz pierwszy od tygodnia, w którym straciłam Mike'a, i natychmiast zauważyłam spojrzenia pełne współczucia i bezradności, których tak nienawidzę. Wszyscy w firmie go kochali i nie mieli pojęcia, co mi powiedzieć. Jeden ze sławnych filozofów napisał kiedyś, że życie nie istnieje bez śmierci i bez tego momentu życia, w którym nie może być śmierci. Ale prawda o śmierci jest taka: nikt nie wie, co powiedzieć.

Nie ma bowiem nic takiego, co można by powiedzieć poza tym, co usłyszałam od jednej z mądrych przyjaciółek, która ostrzegła mnie, że ludzie będą mi mówili najgłupsze rzeczy. Choć w pierwszej chwili zdziwiły mnie te słowa, całkiem szybko przekonałam się, że miała rację. Ulegając przymusowi powiedzenia czegoś kojącego albo przyjścia z pomocą, ludzie mówią dokładnie to, czego mówić nie powinni.

Może zwykła znajomość rzeczy - że będę musiała stawić czoło spojrzeniom i kondolencjom - była jednym z powodów, dla których nikogo nie uprzedziłam o swojej wizycie. Do biura przyjechałam prosto z domu. Staralam się trzymać w karchach. O ósmej rano wkroczyłam do środka niczym primadonna i od razu poszłam do pracy w dziale graficznym. Poleciłam kierownikom i asystentom, żeby ustalili godzinę zebrania po południu, zanim poprosiłam o pokazanie mi ostatecznych projektów graficznych na nadchodzący sezon. Wywołałam lekkie zamieszanie, lecz dzięki temu wszyscy skupili się na pracy, a nie na tym, co powiedzieć.

Liczba folderów z projektami w komputerze była ogromna. Najwyraźniej dlatego, że choć podczas mojej nieobecności każdy miał swobodę działania, to nikt nie chciał podjąć ostatecznej decyzji. Skutkiem tego projekty były niespójne i mieliśmy wszystkiego po trochu. Mimo to nowe pomysły dotyczące zimowej linii desek i nart musiały być dopracowane i gotowe przed końcem kwietnia.

Kilka lat wcześniej podjęliśmy z Mike'em decyzję o zachowaniu działu graficznego w takiej formie, w jakiej był - jako wydzielonej komórki, zajmującej się całym asortymentem: deskami i nartami, a także firmowymi ubraniami, która szybko się powiększała. Przez większość ranka oglądałam na ekranie wstępne projekty graficzne; zanim przygotowałam stos próbnych wydruków, wypłam kawę i czarnym flamastrem postawiłam krzyżyki na słabszych propozycjach.

Ponieważ miałam spore zaległości, musiałam bezwzględnie i od razu odrzucić prawie osiemdziesiąt procent projektów. Zrobiłam potem notatki do dyskusji o zmianach kolorów i koniecznych poprawkach w rysunkach na popołudniowe spotkanie z projektantami, na którym mieliśmy wybrać najlepsze pomysły.

Przed prawdziwym problemem stanęłam, gdy wróciłam do komputera i otworzyłam folder z grafikami SkiStar. W moim odczuciu były anachroniczne i nie miały w sobie nic z dynamiki, jakiej domagali się dzisiejsi entuzjaści sportów zimowych i młodzież. Postanowiłam nieodwołalnie odesłać wszystkich grafików z powrotem do pracowni. Wyjątek stanowił oddzielny folder, w którym znalazłam dwa kompletnie zdumiewające projekty do nowej serii „Spider O” - supernowoczesnych nart alpejskich, i naprawdę niesamowite logo: jaskrawo-pomarańczowe „O” obramowane na srebrzystoszaro z wystylizowanym czarnym pajakiem w środku.

- O rany... - wymamrotałam i wzięłam słuchawkę telefonu. - Phillip. Logo do serii „Spider” jest niesamowite.

- Mama? Co ty tu robisz?

- Pracuję. Czyli to samo, co robię od trzydziestu lat.

- Zaraz tam będę. - Rozłączył się.

Wpatrywałam się w słuchawkę trzymaną w rękę, a potem szybko zadzwoniłam do kierownika graficznego SkiStar, oświadczając, że chciałabym zobaczyć więcej prac artysty, który zaprojektował logo „Spidera O”.

- Jakiego „Spidera O”?

- Znalazłam go w pliku o nazwie Olsen. W moim komputerze. Prześlę ci go e-mailem.

- Zajmę się tym - rzekł i rozłączył się w chwili, gdy w drzwiach pojawił się Phil.

- Moim zdaniem nie powinno cię tu być - powiedział mój syn. - Nie musisz tego robić, mamó. Poradźmy sobie.

- Siadaj, proszę. Sądząc po projektach na wasz następny sezon, które właśnie obejrzałam, naprawdę powinnam tu być. - Pchnęłam próbne wydruki SkiStar przez blat biurka. - Te są beznadziejne.

Zgodził się ze mną.

- Ale nowa seria „Spider O” jest doskonała. Zwłaszcza logo. Ktokolwiek to zrobił, ma najlepsze oko. Czegoś równie dobrego nie widziałam od bardzo dawna. Chcę, żeby to logo było na końcach każdej narty z tej serii. Widzisz, jak się wydłuża na powierzchni narty? Idealnie. Nie masz chyba innego zdania, prawda?

- Nie, w tym wypadku nie podważę twojej opinii. Ale właśnie przypomniałaś mi, że jestem daltonistą. - Roześmiał się, ja jednak czułam, że nadal coś go gnębi. - O ile pamiętam, Spider ma zagwarantowane w umowie, że musi zaakceptować projekt - dodał Phil jakby w roztrągnięciu.

- Och, na pewno się zgodzi. Możesz mi wierzyć. Nie jest ślepy. Te grafiki są dokładnie tym, czego potrzebujemy. To jak dzień do nocy wobec reszty, która bardzo przypomina stare wzory SkiStar sprzed dobrych

dziesięciu lat. Do desek chcę podbitych kolorów, chcę mieć przynajmniej dwa modele z jakimiś ciemnymi komiksowymi rysunkami i zupełnie inną kombinacją barw. Kiedy je wypuścimy na rynek podczas nowej kampanii marketingowej, chcę mieć pewność, że to twoje narty jako pierwsze przyciągną oczy klienta. Mam zamiar zlecić grafikom zrobienie wszystkiego od początku, z wyjątkiem serii „Spider O”.

Phil spojrzął na zegarek.

- Już prawie południe. Wymkniemy się stąd. Mogłabyś zjeść lunch ze mną i Scottem. On nie wie, że przyszedłeś, dobrze mówię?

- Nie powiedziałam mu. Pewnie chciałby mnie od tego odwieść, podobnie jak ty - wytknęłam synowi i podeszłam do niego. Phil miał na tyle przyzwoitości, że przynajmniej wyglądał na zawstydzonego. - Chodź, zrobimy mu niespodziankę.

Po drodze do Scotta minęliśmy gabinet Mike'a. Jakaś część mnie podpowiadała, że najstarszy syn powinien już się tam przenieść, ale wolałam to przemilczeć. Stał we własnym gabinecie z nogą postawioną na krzesło i czyścił but. Obok niego dostrzegłam drewnianą skrzyneczkę na pastę i szczotki do czyszczenia butów, należąca do jego ojca. Zatrzymałam się, bo tak bardzo przypominał mi w tej chwili Mike'a. Phil jest wyższy i smuklejszy, a Mickey okazał się najwyższy z nich wszystkich i nadal rósł, ale najstarszy syn i jego ojciec mają ten sam rozmiar butów, taką samą budowę ciała, podobnie jak wzrost i wagę.

Nie mają. Mieli. Oprócz innych rzeczy śmierć zmienia też formy czasowników na przeszłe.

- Zobacz, co kot przywłókł - powiedział Phil, kiedy wszedł, mijając mnie i rozsiadając się w fotelu.

- Mama? A co ty tu robisz?

Jakim cudem stałam się nagle taką pariaską? Byłam jedną z osób, które stworzyły tę firmę. Miałam wszelkie prawo, żeby tu być.

- Odpowiem ci tak samo jak twojemu bratu. Ja tu pracuję.

- Myślisz, że naprawdę powinnaś tu przychodzić? - Scott zapytał ostrożnie.

- I przepracowałam cały ranek. - Phil włączył się do tej wymiany zdań, zanim zdążyłam coś powiedzieć. - Wydaje mi się, że powinniśmy ją wprowadzić i wziąć na lunch. Przy okazji, ty płacisz.

- Projekty graficzne muszą zostać ustalone. Przestańcie się o mnie martwić. Obaj. Naprawdę powinnam tu być. - Przerwałam, siadając za biurkiem Scotta. Przez sekundę widziałam Mike'a używającego przez lata tej samej szczotki do butów, a potem obraz Scotta, gdy miał sześć lat. - Pamiętam, jak ojciec dawał ci dziesięć centów za wyczyszczenie jego butów. Uważałeś go wtedy za wszechmocnego.

Odłożył szczotkę z końskiego włosia.

- Kilka lat temu dałem mu do wiwatu za to, że zmuszał mnie, dziecko, do ciężkiej pracy. I za bycie takim sknerą. - Zaśmiał się cicho. - Cholera... za dziesięć centów nie można było kupić nawet paczki gumy do żucia.

- Nie chodziło o pieniądze, może raczej o oszczędzanie. Wasz tata nie chciał być taki, jak jego własny ojciec, dlatego ten codzienny rytuał był czasem tworzenia więzi, tylko między tobą i ojcem. Pragnął, żebyś czuł, jak bardzo jesteś dla niego kimś szczególnym.

- Potrzebujemy świadomości, że dla kogoś jesteśmy szczególni. I dlatego przeżywaliśmy traumę, bo ty, mamo, nigdy nie wybrałaś swojego ulubieńca - ironizował Phil.

- Tak, wiem. Byłam okrutną, niedobłą matką.

- A ty byłeś jedynie przygłupim, małym czyścibutem, wielki bracie.

- Nigdy tego nie zrozumiesz, sraluchu, bo nawet nie potrafisz nosić takich butów.

- Po ślubie przestałem chodzić w adidasach. Scott się roześmiał.

- Bo cię żona zmusiła.

- Prawdę mówiąc, jakie dziecko chciałoby czyścić buty? - rzekł Phil, okazując typowe dla siebie, raczej niewielkie zainteresowanie tym problemem, podobnie jak przez wszystkie minione lata. On i Mike mieli chwile wyłącznie dla siebie przy myciu samochodu.

- Takie, które nie jest daltonistą - odpowiedział Scott. - Gdy masz na sobie różową koszulę, czerwony krawat i brązowe spodnie, Phil, przy spotkaniu z tobą każdy musi ponownie wyostrzyć wzrok, zanim odważy się spojrzeć na twoje wykoślawione buty.

Phillip położył wielką stopę na biurku Scotta.

- Spójrz na nie. Mam brązowe buty. Nie są wykoślawione i pasują do spodni.

Scott wyciągnął szufladę, wyjął z niej klucze, a ja położyłam mu dłoń na ręku, żeby jej nie zamykał.

- Czy to portfel ojca?

Syn jakby pobladł na twarzy. Pamiętałam, że Scott zabrał rzeczy Mike'a, kiedy poszedł do kostnicy.

- Trzymam go tutaj, bo chciałem pociąć jego karty kredytowe. I ciągle o tym zapominam - wyjaśnił, z całą pewnością mijając się z prawdą. Podał mi go.

Ze środka patrzyła na mnie twarz Mike'a z holograficznego kalifornijskiego prawa jazdy.

- Podaj mi nożyczki, Scott, to potniemy je teraz. - Gdy wyjmowałam karty kredytowe, zza prawa jazdy wyleciała studolarówka, którą Mike zawsze tam trzymał. W samym portfelu były też inne banknoty razem z odcinkiem karty pokładowej na lot do Reno i wizytówka jakiejś farmy ze Sparks w Nevadzie. Znalazłam też złożoną na pół karteczkę samoprzylepną, żółty paragon i rachunek zapłacenia kartą kredytową. Rozłożyłam karteczkę i zobaczyłam listę napisaną ręką Mike'a:

baterie wiertło

ćwierćcalowa listwa

2 cm gwoździe

latarka kieszonkowa

Paragon był z Ming w Chinatown, z datą na tydzień przed wyjazdem Mike'a do Tahoe. Zauważyłam też niewielką zieloną karteczkę zatknietą za kieszonkę portfela. Była to wróżba z chińskiego ciasteczka, napisano na niej:

Zyskasz podziw swoich rówieśników

Zapadło chwilowe milczenie, a potem wybuchnęłam śmiechem.

- Popatrzcie na to.

Znając jego poczucie humoru, było jasne, dlaczego Mike zatrzymał tę wróżbę. Chłopcy objęli mnie ramionami i zdrowo się pośmialiśmy.

Nauczyłam się czegoś ważnego o śmierci. Trzeba pamiętać, kim i jaka była ta osoba dla ciebie i dla innych, i kultywować jej unikatowość w tym zwariowanym, wypełnionym bólem świecie. Co zaskakujące, nadal

można czerpać radość z ich istnienia, mimo że odeszli, i może ta radość przynosiła ze sobą spokój. Podałam portfel Scottowi.

- Możesz go zatrzymać.

- Sam nie wiem, mam... - Urwał na chwilę, a potem uświadomił sobie, że naprawdę go chce, więc dodał: - Jesteś pewna?

- Jestem pewna.

Phil puścił do mnie oko. Oboje wiedzieliśmy, dlaczego Scott trzymał portfel ojca w biurku.

- Jestem głodny. Chodźmy coś zjeść - odezwał się mój średni syn i zaczął ciągnąć mnie w stronę drzwi.

- Zaczekaj. Dokąd pójdziemy? - Zatrzymałam się w korytarzu.

Phil spojrział na Scotta i dokładnie w tym samym czasie obaj moi synowie powiedzieli:

- Mam ochotę na chińszczyznę.

Ni stąd, ni zowąd przepastny smutek rąbnął mnie jak obuchem, kiedy byłam w markecie Cummings i stałam przy regale z krakersami. Jak żółte pudełko pszennych krakersów może zwalić z nóg? W jednej chwili całkiem dobrze się czułam, by w następnej płakać tak mocno, że nie mogłam złapać tchu.

Jakaś kobieta zatrzymała się przy mnie, sięgnęła ponad wózkiem i podała mi chusteczkę higieniczną. Wzięłam ją od niej, a gdy zapytała, czy potrzebuję pomocy, pokręciłam głową i uniosłam dłoń, niezdolna do wypowiedzenia słów: „Nie, dziękuję. To bardzo miło z pani strony... ale proszę odejść i dać mi się wypłakać”. Kobieta odwróciła się, niestety zdążyłam jeszcze zauważyć jej spojrzenie, to, w którym jest litość i zmieszanie, i „gdybym tylko mogła jakoś pomóc”. Spojrzenie na „biedaczkę”.

Płakałam bardzo długo, mój żal miał tektoniczną głębokość i wstrząsał mną niczym siedmiostopniowe trzęsienie ziemi tylko dlatego, że Mike potrafił opróżnić pudełko pszennych krakersów za jednym posiedzeniem.

Niektórzy z pracowników sklepu przystawali obok półki z okazją tygodnia „Dziesięć za dziesięć dolarów” i mówili coś cicho w odległości pięciu, sześciu metrów. Dwie kobiety zaczęły wjeżdżać w moją alejkę, spojrzały na mnie szlochającą jak wariatka i zawróciły wózkami. To mogłoby być zabawne, gdybym tylko umiała przestać płakać.

Młoda matka dzielnie wmaszerowała w alejkę z małym chłopcem i młodszym dzieckiem, posadzonym w sklepowym wózku. Brała pudełka z płatkami śniadaniowymi i owsianymi z półek po przeciwnej stronie i wrzucała je do wózka najszybciej, jak mogła, starając się nie patrzeć na mnie.

- Dlaczego ta pani płacze, mamusiu? - zapytał chłopczyk o ciemnych włosach. Wyglądał, jakby nosił najbanalniejsze imię na świecie.

- Bądź cicho, Michael - skarciła go.

Dźwięk, jaki z siebie wydałam, był z rodzaju, jakie towarzyszą ciosowi w brzuch. Miał na imię Michael.

Jego mała rączka pociągnęła mnie za brzeg bluzki w taki sam sposób, jak robili to moi chłopcy, kiedy chcieli zwrócić na siebie moją uwagę.

- Dlaczego pani płacze? Pani też zabrakło owocowych płatków śniadaniowych z dziurką?

Niemal się roześmiałam, lecz zabrzmiało to jak stłumiony szloch. Spojrzałam na umordowaną młodą matkę, ubraną w źle zapiętą bluzkę (miała na niej ślady po palcach umorusanych galaretką i nie uprasowała jej), najwyraźniej zażenowaną, podobnie jak ja. W dojmującej ciszy spróbowałam przywołać uśmiech na zaczerwienioną, rozpaloną twarz, a potem skinęłam głową do małego Michaela.

Kiedy matka zabrała pośpiesznie obie pociechy, mniejsze dziecko zaczęło płakać, a chłopczyk nie przestawał oglądać się z niepokojem przez ramię.

Złapałam dwa wielkie pudełka owocowych płatków śniadaniowych, trzymałam je w rękach tak, żeby je widział, i wrzuciłam do koszyka.

Nie skończyły mi się owocowe płatki śniadaniowe z dziurką. Sama byłam jak owocowe płatki śniadaniowe z dziurką.

Powlokłam się w końcu do niewielkiej toalety za wahadłowymi szarymi drzwiami na tyłach działu warzywnego. Obmyłam twarz zimną wodą, wydmuchiwałam czerwony nos, aż poczułam zapach sosnowego preparatu do mycia łazienek. Jak długo tam stałam?

Ktoś zapukał do drzwi. Szybko przejrzałam zawartość torebki.

Z ciemnymi okularami na nosie poszłam do kasy. Starsza kobieta odliczała właśnie bilon na zapłacenie rachunku, a następna klientka przede mną wybrała sobie ten moment na rozmowę z kasjerką o ekologicznie hodowanych melonach. W końcu przerwała i wypisała czek, nie śpiesząc się przy zapisywaniu czeku w rejestrze na końcu książeczki czekowej i sprawdzając wysokość wypisanej sumy.

Czy dzisiaj wszyscy nie używają kart debetowych? Wstukuje się PIN i zakupy są zapłacone.

Zamiast więc wyjść stamtąd jak najszybciej, czego rozpaczliwie potrzebowałam, utknęłam w pułapce, upokorzona własnym brakiem samokontroli, zawstydzona i zażenowana. Usiłowałam ignorować rzucane mi ukradkiem spojrzenia. Najwyraźniej wszyscy wcześniej mnie widzieli. Czulałam się wystawiona na widok publiczny jak oszustka przyłapaną na oczach całego świata i miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Okulary przeciwsłoneczne nie wystarczały. Zdaje się, że powinnam wrócić do robienia zakupów spożywczych o trzeciej nad ranem.

Już na zewnątrz zatrzasnęłam drzwiczki samochodu, zapięłam pas, ale nie ruszałam z miejsca. Zamknęłam oczy i oparłam głowę o zagłówek. Kim była ta zagubiona kobieta, która żyła w mojej skórze? Dokąd zmierzałam? Jak miałabym dotrzeć dokądkolwiek w życiu bez Mike'a? Siedziałam z odchyloną głową i bezużytecznym umysłem, w którym nie znalazłam odpowiedzi. Potrzebowałam jakichś wskazówek, jakiejś mapy, czy ja wiem, pokazującej, jak mam iść dalej przez życie.

Przy północno-zachodnim rogu Union Square jest ogromna wielopiętrowa księgarnia, całkiem niedaleko. Skierowałam się prosto do niej, nie zatrzymując się nawet na chwilę, by popatrzeć na torebki. Gdy znalazłam się w księgarni, wsiadłam do windy i pojechałam do działu literatury faktu, do regałów z poradnikami, ulubionego miejsca Mike'a, gdzie ciągnęły się półki z radami dla takich biednych bab jak ja, z książkami pokazującymi, jak zrozumieć i radzić sobie z życiem, z własnym wnętrzem i ludźmi, którzy mnie otaczali.

Biedne babsko, biedactwo, biedna pani, biedna wdowa. Wdowa bez płatków z dziurką. Musiałam sobie pomóc za wszelką cenę.

Kłękając przy dziale z poradnikami dla osób w żałobie i przepatrując tytuły, nie zapomniałam, że kiedy poznałam Mike'a, pracowałam w księgarni. Otworzyłam kilka książek, siedząc już po turecku na podłodze, i zaczęłam je kartkować, zatrzymując się na wyfluszczonych tytułach rozdziałów.

Pogódź się ze stratą. Przyjmij do wiadomości istnienie śmierci. Zrozum śmierć.

Zrozumieć śmierć? Co za pieprzone bzdury! Rzuciłam książkę przez ramię i otworzyłam następną. Miałam zrozumieć, że mężczyzna, którego kochałam przez większość życia, został zmiażdżony na śmierć w samochodzie?

Gdzieś tam, w tym molochu drukowanego słowa, na jednej z długich półek z setkami książek, w których zawarto idiotyczne rady i którym nadano fatalne tytuły, jak *Rozsądek w żałobie*, *Utrata na zawsze*, musiało być to, czego potrzebowałam... coś łatwiejszego, bardziej współczesnego. Coś jak... *Śmierć dla idiotów*.

Siedziałam na zbyt twardej sofie w pokoju telewizyjnym, gdzie było niemal zupełnie ciemno, przez co czytanie stawało się niemożliwe, a na trzech książkach o żałobie leżących na podłodze obok już zbierał się kurz. Wokół mnie na ścianach wisiały oprawione plakaty ulubionych filmów Mike'a. *Szczęki*. *Ojciec chrzestny*. *Czas apokalipsy*. *Star Trek*. *Ostatni Mohikanin*.

Ostatni Mohikanin. Przez trzydzieści pięć lat kochałam mężczyznę, który nigdy nie wstydził się swojej romantycznej natury. Po obejrzeniu tego filmu miesiącami puszczał ścieżkę dźwiękową w samochodzie. Włożyłam sobie do ust garść krakersów.

Boso z nogami na sofie, z pogniecionym pudełkiem pszennych krakersów przyciśniętym do piersi, siedziałam, patrząc we włączony telewizor, ubrana w czerwony dres ze sloganem reklamowym Cantrell Sports sprzed dziesięciu lat, gdy przyszła mi do głowy myśl, że mogłabym w nim spać. Powąchałam się pod pachami. Talk. Może mimo wszystko zmieniłam dzisiaj ubranie. Z paznokci u nóg zlaźił mi lakier. Poruszyłam stopami, rozczapierzając palce. Paznokciec na paluchu, pomalowany kiedyś na kolor o nazwie „Nigdy więcej w Kansas”, miał pozostałość lakieru w kształcie - przyglądałam mu się przez minutę - stanu Idaho.

Na zawsze już będę córką nauczyciela matematyki i geografii. Ojciec byłby dumny, że nadal, po pięćdziesiątce, potrafię zidentyfikować każdy stan po jego obrysie.

Odchyliłam do tyłu głowę i zapatrzyłam się na zielony wklęsły sufit. Idaho. Stan Klejnotów. Stolica? Boise. Najwyższy szczyt? Góra Borah. Najniższy punkt? Rzeka Snake. Lokalizacja najgłębszego wąwozu w Ameryce Północnej: Hell's Canyon.

Jestem tam teraz.

Żucie kolejnej garści pszennych krakersów poprawiło mi samopoczucie. Bezmyślne jedzenie przypominało bezmyślne życie, bezmyślną egzystencję. Cienka folia w pudełku pękła. Kiedy przestali używać pergaminu? Nagle poczułam się starsza od świata.

Tymczasem na ekranie telewizora jakiś mężczyzna szedł przez nieskazitelnie czystą fabrykę z nierdzewnej stali. Nastąpiło zbliżenie na taśmę, z której orzeszki arachidowe spadały do mrocznej kadzi ze skarmelizowanym cukrem, a ja ponownie poczułam się głodna.

Pięć pudełek pszennych krakersów w trzy dni. Wpatrzona w ciemne zakamarki pudełka numer sześć głośno przełknęłam ślinę, myśląc, że masło orzechowe z miodem (ostatnio trzymałam łyżeczkę obok słoika)

doskonale będzie się nadawało do ich maczania i może jeszcze tylko łyk tequili Herradura jako ukoronowanie posiłku.

Ale wtedy musiałabym się podnieść, wyciągnąć z barku po drugiej stronie pokoju srebrno-brązową butelkę tequili, znaleźć deskę do krojenia, limonkę i sól...

Stanowczo za dużo zachodu. Poza tym czy picie w samotności nie jest uważane za niebezpieczne?

Dlatego zapamiętałam się w oglądaniu popołudniowych programów telewizyjnych, żyłam w wielkim, prostokątnym ekranie HDTV (z rodzaju tych, na których przy pełnym obrazie wszyscy wyglądają jak krasnale).

- Apsik, Płaczek, Gburek, Śpioszek, Mędrek, Chojrak - wyrecytowałam. - Nie... Chojrak to pies.

Na ekranie pojawiły się jaskrawoczerwone litery: „Uwaga dla kobiet w wieku pomiędzy 18 a 65 roku życia”.

- Kobiety w wieku powyżej pięćdziesiątego roku życia nie mogą pamiętać imion Siedmiu Krasnoludków - powiedziałam do pustego pokoju.

- Jesteś smutna? - najuprzejmiejszym tonem zapytał kobiecy głos dochodzący z głośników.

- A jakże - odpowiedziałam.

- Zmęczona?

- Bingo.

- Pobudzona? Doznajesz braku pewności siebie, straciłaś zainteresowanie zajęciami, które kiedyś sprawiały ci przyjemność? Masz problemy ze spaniem?

- Wielki Brat na mnie patrzy - wymamrotałam w kierunku telewizora, wpychając sobie do ust kolejną garść krakersów i tęsknie myśląc o maśle orzechowym.

- Uprawnieni uczestnicy mogą otrzymać opiekę medyczną, leki i badania laboratoryjne bez dodatkowych kosztów. Prosimy o telefony pod ten numer.

Wzięłam słuchawkę telefonu i wstukałam połowę numeru zaczynającego się od 800, gdy usłyszałam, że tylne drzwi się otwierają, a po minucie Mickey wszedł do pokoju, tyczkowanym krokiem, lekko zgarbiony w sposób typowy dla zbyt wyrosniętych nastolatków. Przytłoczeni własnym wzrostem moi chłopcy chodzili tak przez kilka lat, aż wiek męski pojednał ich z długimi kośćmi i zaokrąglił im ciała.

- Jestem w domu. - Rzucił plecak w drzwiach, w miejscu, gdzie łatwo mogłam się o niego potknąć, wsunął do kieszeni kluczyki od samochodu i klapnął obok mnie, zwalając cały ciężar na zamszową otomanę.

- Co oglądasz?

- Historię krakersów.

- Znowu program kulinarny? Skinęłam głową.

- Jak ci minął dzień?

- Dobrze. - Wziął ode mnie z kolan pogięte pudełko krakersów. - Obiad?

- Nie. Na obiad miałam owocowe płatki śniadaniowe z dziurką.

- Dobrze się czujesz?

- Doskonale. A ty?

- Też. - Uniósł pudełko i wsypał sobie do ust jego zawartość. Żuł przez minutę, a potem powiedział: - Zgłosili mnie jako prymusa do wygłoszenia mowy na koniec szkoły.

Potrzebowałam dobrej chwili, żeby to do mnie dotarło. Mickey był podejrzanie przejęły zajęciami w szkole, choć z drugiej strony nigdy nie musiałam zbyt wiele się o niego martwić. Był jedynym z naszych dzieci, które wrodziło się we mnie, uczennicę, która zawsze miała odrobione lekcje i na ochotnika brała sobie na głowę dodatkowe zajęcia. Uganiałam się za innymi, zmuszając ich do zajęć pozalekcyjnych, żeby odrobili własną głupotę, przez którą zaniedbywali prace domowe.

Myślę, że może dlatego Mike był tak często sfrustrowany z powodu Mickeya. Poniechanie studiów byłoby czczym zmarnowaniem naszego najmłodszego dziecka.

- To cudownie. - Mocno go uścisnęłam, a potem roześmiałam się, bo zwiesił głowę i próbował ukryć szeroki uśmiech. Trzepnęłam go w ramię.

- Auć! - krzyknął i też się roześmiał.

- Teraz musisz jedynie wybrać uczelnię - powiedziałam do niego z nadzieją w sercu, że nie będzie się upierał przy zawodowym uprawianiu sportu.

- Mam na oku południową Kalifornię albo Kolorado. Odetchnęłam z ulgą.

- Blisko domu albo blisko gór - zauważyłam, świadoma jego procesu myślenia.

Wzruszył ramionami. Robił wrażenie, jakby się trochę dystansował ode mnie.

- Zawsze możesz ze mną pogadać o swoich wyborach, wiesz przecież.

- Muszę ci coś powiedzieć. Zadzwoił do mnie Ron Wilson.

- Nasz szef pracowni graficznej?

- No. W któryś weekend byłem w firmie z Phillipem, ale on zajął się jakąś robotą, więc pobawiłem się trochę na komputerze w dziale projektowym i tak jakby wyszło mi logo.

- Co?

- To ja narysowałem obrazki, które ci się spodobały. Ron chciał, żebym ci o tym powiedział. Słyszałem, jak wszyscy mówili o nowej serii, nudziłem się, więc trochę porysowałem dla zabawy.

Wybuchnęłam śmiechem, nie wiedząc, czy mam go uściskać, czy palnąć się w głowę.

- Te projekty są idealne.

- Pewnie mam to po tobie - odparł i uśmiechnął się. Był znacznie lepszy niż ja w jego wieku. - Dlatego właśnie zastanawiam się nad University of California, Los Angeles - wyjaśnił po chwili.

- Wydział graficzny - dopowiedziałam.

- No.

Czekała go długa droga, ale ja byłam taka zadowolona, że nie uciekał, żeby zostać zawodowym snowboardzistą. Nie z potencjałem, jaki dostrzegłam w tych projektach. Bez wiedzy kogokolwiek z nas mój najmłodszy syn był już gotów do pracy w rodzinnej firmie i któregoś dnia, mając dyplom i doświadczenie, mógłby przejąć moje obowiązki. Mike'owi bardzo by się to spodobało. Nie musiałby kupować kolejnej sportowej firmy-filii dla ostatniego syna, żeby wszystko było sprawiedliwie i równo pomiędzy braćmi. Bo tak właśnie by postąpił. Sprawiedliwość i równość była dla niego szalenie ważna.

- No tak, kochanie. - Zmierziłam mu włosy. - Coś ci powiem. Tego lata popracujesz w dziale graficznym, a nie w magazynach, nie będziesz też marnował talentu, biegając jako goniec starszych braci.

- Naprawdę? Obiecujesz?

- Tak, obiecuję. Ale będziesz robił też inne rzeczy oprócz projektowania. Musisz zacząć od samego początku.

- To wspaniale, mamó.

- I możesz wybrać uczelnię bez żadnych nacisków z mojej strony. Masz rację, ojciec chciałby, żeby tak właśnie się to odbyło.

Spojrzenie, które wymieniliśmy, powiedziało wszystko, były w nim pozytywne emocje, duma i moja wiara w syna, że zrobi to, co uważa, że powinien, a co nie było złe; miał prawie osiemnaście lat - upłynął czas naszej bliskości, a ja zostałam ze świadomością, że moje ostatnie dziecko odejdzie z domu.

15

- Wstawaj, leniwa suko!

- Ellie! Nie mów tak do March.

- A jak mam do niej mówić? Popatrz na nią. Nawet się nie ruszyła. - Bariella Crocker Hutchenson stała w nogach mojego łóżka, z dłońmi na szczupłych biodrach światowej kobiety, równie władcza jak w 1964 roku, w pełni zasługując na opinię, którą się cieszyła.

- Spójrz. Otwiera oczy. Cześć, March. Przyszliśmy, żeby cię ocalić. - Mariclare Davis stała tuż przy Ellie i wyglądała na jej przeciwieństwo: zaniepokojona, słodka i troskliwa.

Naciągnęłam kołdrę na głowę. Moje dwie najlepsze przyjaciółki zjawily się w sypialni i przerwały mi poranną drzemkę. Harrie, doktor Harriet Fortis, była „zaginiona w akcji”.

W tej właśnie minucie żałowałam jednak, że w ogóle je poznałam. Wiele lat wcześniej wpadłyśmy na siebie na początku pierwszej klasy liceum i do tej pory przyjaźniłyśmy się mimo chłopaków, studiów, karier, rodzin, rozwodów i teraz śmierci. Gdy zaczęłyśmy naukę w liceum w Sierra, była to zupełnie nowa szkoła państwowa i każda z nas przyszła tam z innego miejsca: prywatnego gimnazjum, katolickiego gimnazjum, z innego stanu, z innej dzielnicy. Nasza czwórka nie miała przyjaciół jeszcze z piaskownicy i nie mogła wkroczyć do środka kampusu tamtego pierwszego dnia jako grupa nastolatków buzujących estrogenem w minispódniczkach w kontrafałdy i stanąć przy maszynie, żeby złożyć ślubowanie.

Prawda była taka, że odnalazłyśmy się wzajemnie przez buty. Wszystkie miałyśmy na sobie takie same: czarne skórzane pantofle znane jako „Capezio Baby Janes”, dostępne jedynie w małych butikach albo sklepach baletowych w okolicy zatoki. Jednym słowem, z powodu butów i naszej samotności, a także naglej wzajemnej sympatii, połączył nas zupełny przypadek przy pustym stole w stołówce.

Nazywałyśmy się Bariella, Mariclare, Harriet i March. Ale już w chwilę potem, jak po raz pierwszy zapaliśmy w następny weekend, zdaliśmy sobie sprawę, że trzy z nas powinny się nazywać Bari, Mari i Harrie, co brzmiało jak żeńskie odpowiedniki imion siostrzeńców Kaczora Donalda. Po głupawym chichotaniu i mówieniu głosami kaczek przez pięć minut wymyśliłyśmy dla siebie inne przydomki, trochę mniej wzorowane na świecie Walta Disneya.

Niemal czterdzieści lat później Ellie, MC, Harrie i ja byliśmy ciągle takie same, starsze co prawda i nie zawsze mądrzejsze, ale z historią przyjaźni, której można nam było pozazdrościć. Nasze nazwiska się zmieniły przez te lata, jako że mężczyźni pojawiali się w naszym życiu i z niego znikali... w przypadku Ellie było to trzy razy i nic nie zapowiadało, że to już koniec... ale przezwiska przyłgnęły do nas na dobre.

- Jakżeście obie tu weszły? - Leżałam w łóżku na plecach, nadal rozespana.

- Tylne drzwi nie były zamknięte - powiedziała MC. - Naprawdę powinnaś być ostrożniejsza. Nigdy nie złapali zodiakowego mordercy.

Mariclare była kiedyś uroczą katolicką dziewczyną, która przyszła tamtego pierwszego dnia do szkoły bardzo podekscytowana, bo nie musiała już nigdy zakładać spódniczki w szkocką kratę i bluzki z zaokrąglonym kołnierzykiem. Nawiasem mówiąc, tamtej jesieni spódniczki w kontrafałdy i zaokrąglone kołnierzyki stały się modne.

Śmiałyśmy się z tego kilka lat wcześniej, bo w liceum wszystkie i tak ubierałyśmy się mniej więcej podobnie: w obcisłe sukienki bez rękawów i pantofle na płaskim obcasie, dwurzędowe jesionki w kurzą stopkę i trzewiki o obcasach jak końskie kopyto, włochate krótkie kurtki, biodrówki z szerokimi pasami i kozaczki. Z wyjątkiem tamtych czterech lat, wszystkie ubierałyśmy się już zupełnie inaczej.

- Tu jest jak w kostnicy. - Ellie podniosła rolety na wszystkich oknach i przeszklonych drzwiach. - Ty nie umarłaś, March. To Mike umarł. A teraz ubieraj się. Zabieramy cię na lunch.

- Mogłabyś mówić do niej trochę taktowniej. Ellie, kobieta z misją, przeszła obok MC.

- Niby dlaczego?

Po prostu jęknęłam. Słońce jasno świeciło, zbyt jasno. Zakryłam oczy ranieniem.

- Idźcie beze mnie. Nie jestem głodna.

- Musisz jeść...

- Zjadłam tyle płatków śniadaniowych z dziurką, jak nikt inny.

- ...a nam dobrze robi poczucie, że ci pomagamy, choć bez Harrie; nie mogła się dzisiaj wyrwać, ma za dużo pacjentów. Nie wciskaj nam więc żadnego kitu. Za dobrze cię znam - głos Ellie zaczął się oddalać.

Powoli uniosłam głowę. MC stała sama przy łóżku z przepaszającym wyrazem twarzy. Rozejrzałam się po pustym pokoju i szeptem zapytałam:

- Gdzie ona jest?

- W ściennej szafie - odpowiedziała MC ruchem warg.

- Wybieram dla ciebie jakieś ciuchy... jeśli rzecz jasna znajdę coś pomiędzy tymi torebkami! - zawołała Ellie. - Wstawaj.

Opadłam na poduszki i ziewnęłam.

- Nie mogę. Muszę upiec ciastka na kiermasz w szkole Mickeya. Szkolna orkiestra wybiera się do stolicy. Zgłosiłam się już w styczniu. Przed... - Urwałam, szukając odpowiednich słów.

Moje nowe życie było definiowane tym, co było przed i po. Szczęściem i żałobą. Przed, wtedy i teraz. Przed Mike'em i po Mike'u, niczym w komentarzu do niedzielnego meczu futbolowego.

- Przed - powtórzyłam, dochodząc do wniosku, że w tym przypadku jedno słowo wystarczy. Usiadłam i odgarnęłam włosy z twarzy.

- Za odpowiedź masz „nie”. Dokonujemy interwencji. - Ellie wyszła z szafy energicznym krokiem, niosąc na jednym ramieniu czerwony kaszmirowy sweter i szare spodnie w prążki, z klasyczną szarą apaszką w kratę Burberry zarzuconą na barki i z parą zamszowych pantofli na płaskim obcasie w drugiej ręce. - Będziesz miała mnóstwo czasu na pieczenie ciastek po południu. No dalej. Migiem! - Rzuciła mi ubranie na ramiona i pociągnęła do góry. - Nie mam na to całego dnia.

- No to możesz po prostu sobie iść.

- Akurat.

- Która godzina? - Obróciłam się do budzika.

- Wpół do dwunastej. - Ellie wzięła mnie za ramiona i wpatrywała się we mnie przez trzy sekundy z większą niż zwykle uwagą. - Wyglądasz okropnie.

- Dziękuję - odpowiedziałam z największym oburzeniem, na jakie było mnie stać.

- Cóż, to prawda. Rozczulasz się nad sobą. Nie patrz tak na mnie, MC. Wiem, że ona ma do tego ważne powody, ale co za dużo, to niezdrowo. I nie ma potrzeby, żeby wszyscy obchodzili się z nią jak z jajkiem, a zwłaszcza my.

- Nawet przez jeden dzień w życiu nie obchodziłaś się z nikim jak z jajkiem - gderałam. - I nie mów o mnie, jakby nie było mnie w pokoju. „Ona” tu jest, wiesz?

- Jeszcze trochę i bym się na to nabrała. Kochanie, nie jesteś nawet w tym samym wszechświecie, co reszta z nas. - Ellie zaprowadziła mnie do łazienki. - Umyj się.

- Ale ja... - Obróciłam się, lecz ona zamknęła mi drzwi przed nosem.

- I umaluj się trochę. - Już zza drzwi doszedł mnie okropny, władczy głos.

W niewielkiej restauracji z frontem od ulicy, w dzielnicy Sunset San Francisco podawano najlepsze meksykańskie jedzenie na północ od Veracruz. Codziennie nowe menu pisano tam ręcznie na papierze pergaminowym i wsuwano w plastikowo-skórzane okładki w kolorze jalapeños. Słynna papryka, faszerowana soczystą wieprzowiną i suszonymi owocami, niezapomniana paella z owocami morza, pełna krewetek z Guymas, małże z Manili i halibut pływający w cudownie doprawionym ziołami morzu wyczarowanym z pomidorów rosnących na tyczkach w niewielkim ogródku na tyłach budynku.

Tego dnia podawano zapiekane enchilady ze śmietaną i szpinakiem w sosie z homara i pieprzu. Znane z ręcznie robionych tortilli, zawsze mięciutkich i pełnych pęcherzyków, to miejsce chlubiło się również chrupiącymi frytkami, które wręcz domagały się ogromnej miseczki dipu, będącego specjalnością domu: pikantnej salsy ze smażonego chili, mango i awokado.

W mieście znanym z zadziwiających przybytków serwujących jedzenie, gdzie istniała ostra konkurencja, gdzie ciągle napływający kulinarni artyści tworzyli nową kalifornijską kuchnię na najwyższym poziomie, jedynie niezawodne, tradycyjne przepisy zapewniały sukces restauracjom. W konsekwencji, rzeczy takie jak parking, niewielkie dodatki i uczciwa obsługa odróżniały miejsca lubiane przez rdzennych mieszkańców od pułapek czyhających na turystów.

Po prawej stronie przy każdym nakryciu leżały na oddzielnych talerzykach parujące tamale z kukurydzianego ciasta i pysznego mięsa. Już sam zapach unoszący się nad stołem mógł sprawić, że przeciętny czło-

wiek był gotów zamienić świeży biały chleb (nawet słynny wypiek na zakwasie od Boudina) i ziemniaki z masłem na zmielone złociste ziarna zwykłej kolby kukurydzy.

Przez nazbyt wiele lat, by je liczyć, spędziłyśmy w tej knajpce mnóstwo czasu, wpadając na lunch i właściwie byłam zadowolona, że znowu się tam znalazłam.

- Wszystko cudownie pachnie. - Od razu zrobiłam się głodna. Jedzenie stało się moim najlepszym przyjaciелеm już jakiś czas temu.

- Od jak dawna nie wychodziłaś gdzieś z domu?

- Wychodziłam? - Zaczęłam rozwijać tamale.

- Tak. No wiesz... do restauracji.

- Byłam na lunchu z synami - odpowiedziałam, ale to było kilka tygodni wcześniej i obaj przekonywali mnie wtedy, że bym nie przychodziła do pracy, co zrujnowało moje ego podobnie jak moje plany, by z pełną energią iść dalej przez życie.

Domyślałam się, co powiedzą przyjaciółki, kiedy wyznam im prawdę: w ogóle nie wychodziłam od prawie dwóch tygodni. Podejrzywały, że Ellie i tak o tym wiedziały. Prawdopodobnie jedno z moich dzieci kapusiów zadzwoniło do niej i napuściło ją na mnie.

Najwyraźniej stałam się nudziarą i balastem. Molly mnie nienawidziła, synowie nie chcieli, żebym z nimi pracowała, a mój najmłodszy zachowywał się jak dorosły mężczyzna i sam chciał wybrać uczelnię. Nikomu nie byłam potrzebna.

- Innymi słowy stanowczo za długo gniłaś w czterech ścianach - podsumowała Ellie z irytującą zdolnością do wyniuchania wszystkiego, co chciało się przed nią ukryć. - I przez cały ten czas nas zbywałaś. Wiedziałam, że potrzebny ci taki lunch. Potrzebny ci lunch z czymś konkretnym do picia. Ja, twoja przyjaciółka od prawie czterdziestu lat... Boże, to zabrzmiało, jakbym była stara... jestem tu po to, żebyś się kompletnie uchłala.

Jakby idealnie wyczuwając moment, zjawił się kelner, który postawił trzy kieliszki na środku stołu, dodał wielką drewnianą solniczkę i niebiesko-żółtą misę z pokrojonymi limonkami. Nalał nam do kieliszków ze zdobionej na srebrno-niebiesko butelki.

- Wygląda na to, że będę dzisiaj piła - powiedziałam sucho.

- Narzekasz?

- Nie. Ale nie zauważyłam, kiedy to zamówiłyście.

- Uprzedziłam ich telefonicznie. A teraz przynieś nam jeszcze dzbanek z margaritą, Tomas, potem będziemy zamawiać. - Ellie zaczęła, aż kelner odszedł i uniosła kieliszek, patrząc na mnie bez cienia współczucia, które widziałam w oczach wszystkich innych ludzi. Nastąpiła jednak chwila milczenia, zanim powiedziała: - Za Mike'a.

Było już wpół do szóstej, kiedy wygramoliłam się z limuzyny Ellie i chwyciłam drzwiczek, zataczając się trochę. Włosy opadały mi na twarz, potargane przez wiatr, bo kiedy jechałyśmy ulicami w godzinach szczytu, stałam w otworze szyberdachu i śpiewałam na całe gardło *We Built This City*.

Obróciłam się i pochyliłam, zaglądając do środka. W samochodzie pachniało skórą i meksykańskim jedzeniem.

- Dziękuję wam obu... za uroczy lunch. - Wyprostowałam się, odwróciłam i spróbowałam iść w stronę domu, ale na szczęście szofer Ellie stał już obok i pomagał mi w tym.

Eugene miał wspaniałą twarz, podobną do Ernesta Borgnine'a, jednocześnie surową i ojcowską.

- Kocham moje przyjaciółki - powiedziałam do niego.

MC chichotała jak nastolatka, przez tequilę rzecz jasna. Ellie przyciszyła muzykę i pełzała po tylnym siedzeniu niczym Kobieta-Kot.

- Pamiętaj. Znajdź sobie jakieś zajęcie. Żyjesz w próżni. Nie pozwalaj dzieciom, żeby zabraniały ci pracować. Nie potrzebujesz żadnej opieki. Musisz się czymś zajmować.

- Twoja szefowa jest stanowczo zbyt despotyczna, Eugene.

- Pomogę pani, pani Cantrell - rzekł łagodnie. Zawisłam na jego ramieniu i spojrzałam na niego.

- Nie jestem już panią Cantrell. - Więc kim jestem?

- Przepraszam, madame. Jestem madame? Brrr.

- Boże... jestem stara - skostatowałam z obrzydzeniem.

- Nie jesteś stara, a jeśli nawet, nigdy się do tego nie przyznawaj, a co gorsza nie używaj słowa „stara”. Jesteś po prostu zalana - odezwała się Ellie. - Odprowadź ją do drzwi, Eugene.

- Mogę iść sama - upierałam się. W gardle mnie drapało od głośnego śpiewania. Zrobiłam dwa kroki po podjeździe i musiałam chwycić się jego ramienia. - Może podprowadzisz mnie, Eugene. Możesz być moim osobistym GPS-em. - Roześmiałam się.

Wyjął klucze z mojej najnowszej torebki, perłowszarej, skórzanej, od Vuittona, otworzył frontowe drzwi, podczas gdy ja opierałam się o ścianę domu i twierdziłam, że nic mi nie jest, że sama bez trudu otworzyłabym zamek i weszła do domu, na pewno się przy tym nie przewracając.

- Ostatecznie jestem przecież kobietą „w pewnym wieku” - powiedziałam.

Udało mi się go pozbyć, a potem zamknęłam drzwi i przywarłam do nich plecami, trzymając się jednocześnie klamki. System alarmowy popiskiwał w moim lewym uchu. Miałam trzydzieści sekund na wprowadzenie kodu. Zezując w bok, wstukałam cyfry i obróciłam się zbyt szybko, bo pokój zawirował. Powtarzałam sobie jednak, że dobrze się czuję... trochę dezorientowana, ale w doskonałej formie. Dobrze się czułam, bo wyluzowałam. Dobrze się czułam, bo sporo wypilałam mimo własnych zahamowań, i dlatego, że jadąc przez miasto, śpiewaliśmy jak dawniej, w szkole.

Głupi alarm ponownie zaczął popiskiwać, zaświeciła się żółta alarmowa lampka.

- Chyba się to nie popsuło...

Ponownie wprowadziłam kod, światelko zmieniło się na zielone, więc przeszłam po kamiennej posadzce holu, zaskakująco równo, biorąc pod uwagę mój stan.

On tam był... siedział w salonie, z głową pochyloną nad książką, siwe pasemka znaczyły dobrze mi znane ciemne, gęste włosy.

- Mike? - Krew zaczęła mi szybciej krążyć. Skóra stała się gorąca.

Za sobą usłyszałam, że alarm ponownie się włączył.

- Mike? - Nie podnosił głowy. Podbiegłam do niego. - Mike! - To wszystko było jedną wielką pomyłką. To był zły sen. Żart. - Ty żyjesz! - krzyczałam, dobiegając do niego i oczekując, że będzie się ze mnie śmiał. - Mike!

Nie spuszczałam oczu z jego postaci, bałam się zamrużyć albo odwrócić wzrok.

Alarm nie przestawał popiskiwać ostrzegawczo.

- Mike! - krzyknęłam rozpaczliwie, pragnąc go dotknąć.

Coś mnie zatrzymało, o coś się potknęłam, coś blokowało mi dostęp do niego i nagle zaczęłam upadać.

Jakby nie słyszał, że wykrzykiwałam jego imię, siedział dalej w fotelu i spokojnie czytał, ubrany w czerwone polo z granatową plamą z tuszu na kieszonce.

Nigdy nie udało mi się wywabić tej plamy.

Uderzyłam głową o niewielki stolik i w tej samej chwili obraz męża zmienił się w zupełną czerń.

16

Okazało się, że firma ochroniarska zadzwoniła do Molly, która w domu zastała już policję i karetkę pogotowia. Mimo że wszystko było zachlapanie krwią, a ja trochę się potłukłam i miałam siniaki, niczego nie musieli mi zszywać ani nawet zawozić mnie do pobliskiego oddziału pomocy doraźnej. Rana, z której popłynęła krew, znajdowała się przy linii włosów, a skaleczenia na głowie zawsze wyglądają najgorzej. Kiedy jednak ratownicy pakowali torby i sprzęt, jeden z nich wspomniał, że nie powinnam zostać sama w domu i że nie wolno mi spać przez kilka godzin.

Wiedziałam, co miał na myśli, mogłam przecież doznać wstrząśnienia mózgu, ale z jego słów wynikało coś jeszcze. „Nie powinna zostać sama”. Kryła się w tym prosta prawda o mnie samej. Byłam załamana. Byłam w rozsypce. Nienawidziłam siebie takiej, jaką się stałam, ale wszystko wskazywało na to, że nie potrafię tej zmiany powstrzymać, tak samo jak nie umiałam przestać widzieć Mike'a w całym domu.

Leżałam na sofie, w głowie mi pulsowało, starałam się wyglądać, jakby nic mi nie było, ale miotałam się między zażenowaniem i frustracją. Jakimś cudem zgubiłam but, a na podłodze obok mnie ktoś zostawił zakrwawiony ręcznik.

Molly odprowadziła do drzwi załogę karetki i podniosła ręcznik. Szukałam na jej twarzy wyrazu nienawiści, który widziałam wcześniej, ale na szczęście tym razem go nie dostrzegłam. Córka spuściła oczy, wpatrując się w gruby ręcznik w kolorze kości słoniowej dla gości. Był uszyty z drogiej, importowanej bawełny, obszyty na końcach satyną i koronką, ozdobiony niewielką perełką, a kupiony w ekskluzywnym sklepie z włoską bielizną pościelową w okolicy Union Square.

Bez przerwy rugałam jednego lub drugiego ze starszych synów, ilekroć korzystali z łazienki dla gości i wycierali „brudne” ręce w porządne ręczniki. „Mamo, wiesz, że jestem grzeczny” - Phillip drażnił się ze mną, albo mówił: „Jestem gościem”. Scott za to się wyklócał: „Nie mieszkam tu już od ponad dziesięciu lat!”.

- Zaniosę go do pralni - powiedziała Molly pośpiesznie i wyszła z pokoju, zostawiając mnie samą.

Ponownie położyłam głowę i zamknęłam oczy. Słyszałam córkę w drugim pokoju.

- Na blacie stoi odplamiacz w sprayu! - zawołałam.

- Wiem, mammo.

Kiedy wróciła, spróbowałam usiąść. Skrzywiłam się. Ale przynajmniej nie czułam się już pijana. Bolało mnie po prostu, dlatego odruchowo dotknęłam dłońmi głowy.

- Nie wstawaj - odezwała się Molly. - Leż sobie i tyle. Coś jest ci potrzebne?

- Mocniejsze ego. Dobry Boże... Widziałas, jak na mnie patrzyli? Myślę, że jestem pijaczką.

Roześmiała się.

- Prawdę mówiąc, nie odważyłabym się zapalić zapalki w odległości mniejszej niż dwa kroki od ciebie.

- Żartujesz sobie? - Zamknęłam oczy, nagle znowu bardzo zawstydzona. - Naprawdę jestem aż w tak kiepskim stanie?

- Mam kłamać?

- Tak... nie. Ellie i MC zabrały mnie na lunch. Och, Boże... jakże boli mnie głowa.

- Musiałaś się przewrócić prosto na głowę.

- Upadłam na kolana, na biodro i na głowę. Wszystko mnie teraz boli. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak będzie jutro - mówiłam za głośno i ponownie się skrzywiłam. - Rozumiesz... - obniżyłam głos. - Myślę, że już mam kaca. Ten głupi alarm nie chciał się wyłączyć. Wydawało mi się, że zobaczyłam... - Urwałam w pół zdania, przypominając sobie obraz Mike'a. Bałam się powiedzieć prawdę urażonej i skłonnej do szybkiego sądu córce. - Zobaczyłam coś dziwnego. Nigdy nie przypuszczałam, że po tequili można mieć halucynacje. Chyba wpadłam w panikę. - Zapadłam się głębiej w poduszki, czując się mniejsza niż kiedykolwiek w życiu.

Zakryłam oczy ramieniem, bo czułam, że zbiera mi się na płacz, a naprawdę bardzo bym się upokorzyła, gdybym rozsypała się przy Molly. Nie ośmieliłabym się teraz wyluzować. Przywołując resztki uporu, jakie we mnie zostały, stłumiłam w sobie łzy.

- Mam wrażenie, jakby oczy miały mi wystrzelić z czaszki w każdej sekundzie - wymamrotałam.

- Przyniosę ci coś od bólu głowy.

Machnęłam dłonią w kierunku drugiej części domu.

- W kuchni. Szuflada przy zlewie. Dwie poproszę. Excedrin. - Przerwałam. - I wodę. Z pokruszonym lodem.

- Wiem, mammo.

Kiedy Molly wróciła do pokoju, powoli uniosłam głowę.

- Dzięki, kochanie. Przepraszam, że musiałaś tu przyjeżdżać na sygnale. Czuję się jak idiotka. Nie powinienam była pić ostatniej margarity. - Odstawiłam szklankę z wodą.

Córka włożyła do niej plasterki ogórka i cząstkę cytryny. Kiedy jeszcze studiowała, poleciałam w czasie ferii do Los Angeles i zabrałam ją do spa nad morzem na weekend „matki i córki”. Na wszystkich stołach, we wszystkich pokojach spa stały dzbanki z wodą, w której pływały krystaliczne kostki lodu oraz kawałki ogórka i cytryny. Smak tego zestawu zmienił na zawsze moje przyzwyczajenia dotyczące picia wody.

To oczywiste, że moja córka tak mi ją podała - miała oko do szczegółów. Ale co takiego jej bystre oczy widziały w moich, co chciałabym ukryć?

- Ile margarit wypijaś?

- Nie mam pojęcia. Podawali je w... - rozstawiłam dłonie na około trzydzieści centymetrów - ...dużych dzbankach.

- Mogłabym zaparzyć ci kawy. - Molly zerknęła na zegarek.

- Nie chcę po prostu tak leżeć.

- Masz odpoczywać.

- Ale nie wolno mi zasnąć - powiedziałam, naśladując głos sanitariusza dającego instrukcje ratowania March Cantrell, wariatki. Obląkanej, pijanej kobiety.

- Racja. Zaraz wrócę. Pozwól działać aspirynie. Przyniosę ci kawę. - Molly poszła najkrótszą drogą do kuchni.

- Ziarna są w lodówce! - zawołałam za nią cicho.

- Kiedyś tu mieszkałam, mam.

- Kona. Lubię konę. Twój ojciec też uwielbiał konę. Ciotka Mary przysłała ją nam, kiedy była na Hawajach. Pięknie pachnie w czasie mielenia. Zastanawiam się, dlaczego kawa nigdy nie smakuje tak, jak pachnie?

Żadnej odpowiedzi.

- Znalazłaś ją?

- Tak! - usłyszałam wreszcie razem z terkotem młynka do kawy w odległej kuchni.

Odczekałam minutę, a potem wstałam. Znacznie pewniej czułam się na nogach niż w chwili, gdy wróciłam do domu.

Stałam w drzwiach kuchni. Molly rozmawiała przez telefon komórkowy, odwrócona tyłem do mnie.

- Może będę musiała odwołać dzisiejszy wieczór. Wiem. Spróbuję, ale niezależnie od wszystkiego i tak się spóźnię. Naprawdę muszę zostać tutaj, z matką. - Przerwała. - W porządku, zadzwonię do ciebie.

Cofnęłam się o parę kroków, żeby wyglądało na to, że dopiero weszłam do kuchni. Schowała telefon do kieszeni i obróciła się, wyraźnie zaskoczona.

- Mama. Miałaś leżeć.

- Nie mam zawrotów głowy. I zapomniałam upiec ciastka dla Mickeya do szkoły.

- Ciastka? Przecież on jest w ostatniej klasie liceum. Czy nie jest trochę za stary na klasową imprezę?

- Rodzice będą je sprzedawali na festynie, żeby pomóc sfinansować wycieczkę orkiestry.

- Mickey nie gra w orkiestrze.

- Mickey nie ma z tym nic wspólnego. Szkoła potrzebowała ochotników i ja się zgłosiłam wiele miesięcy wcześniej.

Córka spojrzała na zegarek.

- Kiedy on wraca do domu?

- Na pewno nie przed dziewiątą. Ma trening. - Wzięłam kubek i oparłam się o blat, czekając na kawę. - Posłuchaj, nie musisz zostawać.

Ekspres do kawy zaczął bulgotać. Obróciłam się. Pokój zawirował tak szybko, że kubek wypadł mi z ręki i roztrzaskał się o podłogę.

- Mamo! - Córka otoczyła mnie ramionami.

Jakież to dziwne. To nigdy nie była jej rola, zawsze działo się odwrotnie. Molly podtrzymywała mnie. Widziałam wszystko niewyraźnie, wzrok mnie zawodził, podobnie jak głowa.

- Podejźmy do stołu i usiądziesz.

Czułam się słabo, byłam wystraszona i zbierało mi się na wymioty. Oparłam głowę na dłoni i czekałam, aż mi to przejdzie. Kiedy ponownie mogłam skoncentrować wzrok bez wrażenia, że za chwilę zemdleję, popatrzyłam na nią, krzątającą się wokół mnie. Naprawdę napędziłam jej strachu.

- Przepraszam.

- Upiekę te ciastka. A ty posiedzisz sobie tutaj. - Postawiła przede mną nowy kubek z kawą, zmiotła z podłogi skorupy po starym i spytała: - Dobrze się czujesz, kiedy siedzisz?

- Nic mi nie jest. Kawa mi pomaga. Składniki są w spiżarni. Zmielone płatki owsiane jako baza, wiórki czekoladowe i pekany - powiedziałam, ale ona to wiedziała. Przecież to ulubione ciastka naszej rodziny. - Mikser jest tam.

Kiedy odnawialiśmy kuchnię przed kilku laty, dodaliśmy cały rząd mahoniowych szafek pod marmurowym blatem. Górne szafki miały przeszklone drzwiczki i podświetlenie od spodu i od wewnątrz, dzięki czemu było widać bardzo kolorowe talerze, które Mike mi kupił w czasie podróży do Włoch wiele lat wcześniej. Miedziane rondle, patelnie i miski, wysłużone, lecz nadal lśniące, zwisały niczym małpy z ciężkiego żelaznego wieszaka nad środkową częścią blatu. Molly wzięła największą miskę. Otworzyła jedne drzwiczki, za którymi stał blender, w następnej szafce był robot kuchenny, w kolejnej maszynka do robienia makaronu.

- W ostatniej, po prawej stronie - pokierowałam nią.

Wyciągnęła mikser i przewróciła oczami.

- Kupiony w sklepie Williams-Sonomy.

- To widzę.

Obserwując córkę robiącą ciastka, które przez wiele lat przygotowywałyśmy razem, zorientowałam się, że nadal duchem przebywa gdzieś indziej. Mike zawsze potrafił przywołać ją swoimi czarami z powrotem, niezależnie od tego, w jak mrocznym miejscu przebywała myślami.

Moja córka stała w tej kuchni tyle razy, a mimo to widziałam teraz, że nie czuje się w niej swobodnie.

Szalona myśl przyszła mi do głowy. Wiele, wiele lat temu, gdy w kuchni mojej matki kłóciłam się z nią o mój ślub, byłam śmiertelnie przerażona, bo musiałam jej powiedzieć, że jestem w ciąży. Tamtego dnia uświadomiłam sobie, że dom moich rodziców nie był moim domem. Zastanawiałam się teraz, czy w oczach mojej matki wyglądałam tak samo, jak Molly w tej chwili w moich, jakby buty, które nosiła od wieków, nagle zaczęły ją uwierać.

Kilka godzin później odprowadziłam ją do drzwi. Złapała płaszcz i torebkę, podczas gdy ja oglądałam w lustrze guz na czole.

- Tata?

Serce mi zamarło, przeniosłam wzrok na odbicie córki. Stała za mną. Sama.

- Molly? - Obróciłam się do niej.

Na otwartej dłoni trzymała białe piórko.

- Kot musiał wnieść jakiegoś ptaszka - powiedziałam. - W zeszłym tygodniu dwa razy znajdowałam piórka w domu.

Zwróciła na mnie wzrok i zmarszczyła czoło.

- Co?

- Piórko - wyjaśniłam. - Kot przyniósł.

- Och. Racja.

- Minutę temu powiedziałaś „tata”. - Czy powinnam wyznać jej prawdę? Przyznać się, że widuję go w całym domu? Czy ona też go zobaczyła? Chciałam ją o to zapytać. Ale jak mogłaby zareagować? - Wydawało ci się, że zobaczyłaś tatę?

- Zobaczyłam go? Nie. Nie... Po prostu głośno myślałam. - Jej spojrzenie mówiło mi, że bym się odczepiła. Dzisiaj nie będzie żadnych zwierzeń.

Jej komórka znowu zaczęła dzwonić, brutalnie przerywając tę chwilę.

- Muszę biec - powiedziała szybko i pocałowała mnie w policzek.

- Dzięki za upieczenie ciastek i opiekę nade mną. - Ale ona myślami była całe kilometry ode mnie. - Molly?

- Co?

- Przepraszam, jeśli przyjdzie tutaj zrujnowało ci plany na wieczór.

- Zadzwoń jutro, mamó, i sprawdzę, jak się czujesz.

Schodząc po schodach, wyciągnęła telefon komórkowy.

17

Kalifornijczycy, mężczyźni i kobiety, są bardzo rygorystyczni, jeśli chodzi o ich włosy. Rzadko spóźniają się na wizytę u fryzjera. Jak z zegarkiem w ręku zjawiałam się w salonie fryzjerskim, u tego samego stylisty, na takie samo strzyżenie, rok po roku. Kiedy siedziałam w fotelu i patrzyłam na własne odbicie w lustrze, widziałam tę samą kobietę, jaką zawsze byłam.

- March - odezwał się Rico, przeczesując palcami sięgające mi do ramion włosy, przypominające kolorem pomyje. - Pozwól sobie skrócić włosy.

- Mówisz to za każdym razem. - Wyglądały beznadziejnie.

- Wiem. I za każdym razem się nie zgadzasz. Niczego nie chcesz zmieniać.

- Masz rację. Niczego nie zmieniałam... aż do dzisiaj. Obetnij je na krótko i ufarbuj. Chcę, żeby były blond. Zajmij się tym.

Dwie godziny później, po trzymania na głowie folii i wysłuchaniu instrukcji, jak stosować emulsję modelującą i żel, wyszłam z mnóstwem pasemek jasnoblond i w zmierzwionej krótkiej fryzurze, którą Rico chciał mi zrobić od lat.

I po raz pierwszy od wieków wyszłam stamtąd, czując się inną kobietą.

Mówiłam sobie w myślach, że teraz jestem blondynką, która umie sobie poradzić z własnym życiem. Idąc ulicami ku Union Square, gdzie w sklepach Neiman Marcus i Saks Fifth Avenue eksponowano torebki na wystawach, miałam wrażenie, jakbym się znalazła w jednej ze starych reklam „Clairolu”, z tym wyjątkiem, że nie miałam dość włosów, by opadały mi na plecy kaskadami, i nie założyłam na nie elastycznej opaski.

Mimo to, kiedy przyjechałam do domu z cudowną, ozdobioną perłami torebką od Gucciego, nie żałowałam skrócenia włosów ani zmiany, zauważyłam jednak, że naprawdę krótkie włosy nadają mi wygląd bardziej... kragły.

Dwa tygodnie później odkryłam, że przyczyną tego nie była fryzura, bo stanęłam na wadze w gabinecie lekarskim, gdy przyjaciółka, doktor Harriet Fortis, pisała coś w mojej karcie.

- Trochę przytyłaś, March.

Wpatrywałam się z przerażeniem w srebrzyste znaczki na metalowym ramieniu wagi i na czarny kwadrat jej podstawy, zeskoczyłam z niej i zrzuciłam buty.

- Wagi u lekarzy zawsze dodają kilogramów. Podejrzewam, że to spisek Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich, żebyście mogli pouczać nas o zdrowiu. Jak bardzo jest stara? Spróbuję jeszcze raz.

- Dobrze. Wejdz na nią ponownie, skoro myślisz, że twoje buty ważą dwanaście kilo.

- Ha, ha. Podobno jesteś moją przyjaciółką, Harrie.

- Podobają mi się twoje włosy - powiedziała. - Niewiele heteroseksualnych kobiet może sobie pozwolić na noszenie takiej krótkiej fryzury.

- Bardzo śmieszne - odcięłam się, a potem bawiłam przesuwaniem ciężarków wagi, ale żeby nie wiem jak je ustawiała i nawet po lekkim uniesieniu jednej nogi, nadal musiałam użyć najpierw większego, na którym napisano „75 kg”, a dopiero potem suwać mniejszym - coraz dalej i dalej.

- Prawdę mówiąc, zazdroścę ci.

- Czego?

- Bardzo dobrze ci w tym uczesaniu.

- Dzięki - odpowiedziałam w roztargnieniu. Bez butów straszny wynik obniżył się jedynie o pół kilograma. - Zastanawiam się, o ile więcej ważyłabym z długimi włosami. Brrr. - Przeczesałam krótkie, szorstkie włosy ręką i poczułam, że mam prawdziwą czuprynę. Nie było tam wiele do mierzwienia, przypominało to raczej głaskanie po głowie syna, gdy latem zaczynał mu odrastać jeź. - Ale teraz wiem przynajmniej, dlaczego pomyślałam, że przez tę nową fryzurę wyglądam na tłuściocha - powiedziałam. - I dlaczego wydawało mi się, że w praniu skurczyły mi się sukienki.

Najwyraźniej najłatwiejszym sposobem przytycia o ponad dwanaście kilogramów było życie na diecie składającej się z belgijskich czekoladek, pszennych krakersów, płatków śniadaniowych z dziurką, margarit i pięciu tysięcy ciastek czekoladowych, które Molly upiekła, a ja zjadłam. Stałam się zsympem na węglowodany.

Na dodatek nazajutrz po zderzeniu się głową ze stolikiem i po upieczeniu za mnie ciastek przez Molly odkryłam, że spóźniłam się z ich zrobieniem o całe trzy tygodnie. Na nogach jak z waty wyszłam wolno z sekretariatu szkoły. Płonęłam wstydem, niosąc pudełko wyłożone pergaminem z tuzinami podwójnych, naprawdę pysznych czekoladowo-pekanowych ciastek.

Miałam inne wyjście. Mogłabym zanieść je do biura firmy, co dawałoby mi świetny pretekst do ponownego pojawienia się tam, ale wtedy musiałabym się przyznać synom, że spieprzyłam sprawę... Jeszcze jedna rzecz, z którą ich matka nie mogła sobie poradzić. A gdyby powiedzieli o tym Molly?

Scott ocenił moją nową fryzurę na trójkę z minusem w czasie obiadu u nich w domu, a ze spojrzeń, jakie wszystkie moje dzieci wymieniały, wynikało, że ich zdaniem rozpadam się na kawałki i nie ma co do tego wątpliwości.

- Mamo! Coś ty zrobiła? Nie masz już włosów - powiedział mój syn.

- Scott! Wyglądasz fantastycznie, mamo. - Renee weszła mu w słowo i szturchnęła w żebra.

- Są strasznie krótkie - odezwała się Molly. Najwyraźniej okropnie się jej nie podobały.

- Są cudowne - zachwyciła się Keely.

Phillip zmarszczył czoło, obszedł mnie dookoła i przyglądał mi się jak ktoś kupujący melona na bazarze.

- Czy Indianki nie ścinały włosów na znak żałoby? - zapytał.

Jak mniemam, żałowałam w tamtej chwili, że pozwoliliśmy Phillipowi studiować historię. Dlaczego nie mógł być jak jeden z tych młodych ludzi, z którymi Jay Leno przeprowadzał czasami wywiady, co to nie wiedzieli, jak się nazywa obecny prezydent albo wiceprezydent, i uważali, że cyklamen to choroba weneryczna?

Moja nowa fryzura stała się głównym tematem rozmów podczas całego obiadu, no i wychodząc stamtąd, zostawiłam Scotta w znacznie gorszym nastroju, niż gdy przyjechałam. Nie wiedziałam, czego ludzie chcą ode mnie, zwłaszcza moje dzieci, a co gorsza, sama nie wiedziałam, czego oczekiwać od siebie.

Pożeranie ciastek stało się moją domową terapią, czekoladowo-węglowodanowym azylem, w którym się chroniłam, kiedy byłam sama w domu, kiedy tęsknota za mężem stawała się nie do wytrzymania i sama zaczynałam wątpić we własny zdrowy rozsądek. Dokładnie w chwili, gdy stałam na wadze, nie byłam już pewna, czy choć jeden aspekt mojego życia miałam rzeczywiście pod kontrolą.

Harrie podsunęła na nosie okulary w szybkretowej oprawce. Zawsze zazdrościłam jej nosa. Był jednym z tych klasycznie europejskich nosów, dłuższy i trochę jakby opuszczony w dół na końcu. Sprawiał, że jej twarz upodabniała się do owych wspaniałych piękności sprzed lat, jak de Havilland albo Fontaine.

- Kiedy przestałaś ćwiczyć? - zapytała mnie.

- Około tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego. Roześmiała się.

- W twoim wieku...

- W naszym wieku - poprawiłam ją.

- Ja nie mam z tym problemów. Badania nad kośćmi i starzeniem się dowodzą, że kobiety po pięćdziesiątce powinny wykonywać ćwiczenia siłowe. Zostałaś w tyle, March. Wynajmij trenera. Uprawiaj aerobik, więcej chodź i kup jakieś hantle.

- A ja myślałam, że podnoszenie ciastek do ust wystarczy.

- Mówię poważnie.

- Wiem... wiem... Ale nienawidzę ćwiczyć - wymamrotałam z prawdziwym rozdrażnieniem.

- Następnym razem zbadamy ci gęstość kości. Prawdopodobnie nic ci nie jest, ale włącz ćwiczenia fizyczne do codziennych zajęć.

Jakie miałam codzienne zajęcia? Użalanie się nad sobą, pomyślałam kwaśno.

- Zaczynij od jogi.

- Wolałabym od jogurtu... mrożonego, z gorącym sosem karmelowym. - Uniosłam do góry rękę, zanim zdążyła coś powiedzieć. - No dobra, wiem, to niezbyt ładnie z mojej strony.

Harrie przebadła mnie, a potem się ubrałam i przeszłam z nią do jej gabinetu, gdzie zamknęła drzwi i usiadła przy biurku.

- Będę żyła? - spytałam żartem.

- A chcesz? - Ona nie żartowała.

- Zdarzają się dni, że... nie - odparłam zgodnie z prawdą.

- Scott do mnie zadzwonił i dlatego poprosiłam w przychodni, żeby wyznaczili ci wizytę. Twoje dzieci martwią się o ciebie.

- Moje dzieci uważają, że zwariowałam, bo ścięłam i ufarbowałam włosy. - Przerwałam na chwilę, a potem dodałam: - I upiłam się... I tak jakby się przewróciłam. Ale niepotrzebne były szwy - powiedziałam trochę za wesoło.

- Scott powiedział mi, że wie od Johna Cummingsa o twoim załamaniu nerwowym w sklepie.

Jęknęłam.

- O tym też wie? Cholera...

- Moim zdaniem przeżywasz trudny okres. I masz do tego święte prawo, March. To, przez co przechodzisz, jest najpaskudniejsze z paskudnych rzeczy. Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić. Musisz być w depresji. Z żalobą strasznie trudno jest sobie poradzić. I naprawdę nie ma nic złego w tym, że potrzebujesz czegoś, co pomogłoby ci emocjonalnie, a przynajmniej czegoś innego niż zabójczo margaritowe lunche z Ellie. Mogę ci coś przepisać. Może zolofit.

- Zapisywałaś go Ellie w czasie jej ostatnich dwóch rozwodów.

- I przeżyła je oba, nie zabijając żadnego z byłych mężów.

Roześmiałam się, bo Ellie była prawdziwym wulkanem energii, kiedy akurat nikogo nie odrzucała albo się nie złościła. Rozwody strasznie ją wkurzały.

- Ale ja się nie zloszczę.

- Jesteś pewna?

- Myślisz, że jestem wściekła na Mike'a? Och, na pewno. Wypieranie i izolacja, złość, targowanie się, depresja i akceptacja. To część żaloby. Tak, kupiłam parę książek. Dlaczego miałabym się na niego wściekać? Wierz mi, jestem absolutnie pewna, że Mike wolałby żyć. W żaden sposób nie mogę pogodzić się z jego śmiercią, nigdy - wyrzuciłam z siebie jednym tchem. - Trafiają się dni, kiedy mam wrażenie, że moje życie gwałtownie wymyka mi się spod kontroli. - Zamilkłam i zastanawiałam się nad tym, co właśnie powiedziałam. Harrie nie potępiała ani nie osądzała mnie. Była moją przyjaciółką. - Cóż - dodałam znacznie ciszej - jestem trochę wkurzona na Boga. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby wygarnąć mu to i owo.

- Och, March... współczuję ci. Nielatwo się przyznać do czegoś takiego.

- Właściwie złości mnie, że to wcale nie jest takie trudne - odpowiedziałam i sama byłam zaskoczona goryczą w moim głosie.

Harrie pokręciła głową.

- Nikt, a ja w najmniejszym stopniu, nie ma prawa mówić ci, co powinnaś czuć. To, jak sobie z tym poradzisz, zależy wyłącznie od ciebie. Zrobisz, co zechcesz. Chciałabym jedynie, żebyś wzięła pod uwagę różne możliwości, zwłaszcza gdy czujesz się zagubiona i pozbawiona kontroli. Są środki, które mogą ci pomóc.

Przez długi czas wpatrywałam się we własne, zaciśnięte dłonie.

- Posłuchaj, jeśli ich spróbujesz i nie pomogą ci, nie musisz dalej brać tych pigułek, ale jeśli poczujesz się po nich lepiej, daj sobie przynajmniej szansę, dobrze? Po to te leki zostały wynalezione.

- Nasz prozakowy naród? - powiedziałam z sarkazmem, ale ona jedynie wpatrywała się we mnie. - Sama nie wiem...

- Wizyta u psychologa po stracie bliskich to nie wyrok. Niektórym ludziom potrzebna jest rozmowa, na osobności albo w grupie. Mam tu parę nazwisk. - Podała mi kilka wizytówek. - Uważam, że powinnaś zastanowić się nad szukaniem pomocy u specjalisty. Mówię ci o tym dlatego, bo cię Kocham. I wiesz o tym.

Nie chciałam tego słuchać. Zamknęłam oczy i oparłam się plecami o fotel.

- Nie jestem pewna, czy prochy to coś dla mnie. Ale wiem, że nie poszłabym na terapię grupową. - Siedzieć w pokoju i opowiadać obcym ludziom, co czuję? Aż mnie przeszedł dreszcz. - Wolę myśleć, że mam dość sił, by tego nie potrzebować. A gdybym zaczęła brać proszki, czy nie oznaczałoby to, że poddałam się zupełnie fatalnemu stanowi, w jakim jestem, i przyznała, że nie potrafię iść dalej?

- A czy przyznanie się do tego jest czymś złym?

- Jest, jeśli mogłoby oznaczać, że jestem w gorszej sytuacji, niż uważają moje dzieci.

- Nie staniesz się słabsza tylko dlatego, że postanowisz brać antydepresant. Nikt nie poradzi sobie w życiu w trudnych chwilach bez jakiegokolwiek pomocy. Ten lek nie uzależnia. Ryzyko jest minimalne. Jeżeli nie będzie ci odpowiadał, możesz go odstawić. Ale jego działanie jest najskuteczniejsze po sześciu tygodniach zażywania. Dam ci receptę. Miej go na wszelki wypadek.

Tak więc wyszłam z jej gabinetu jeszcze bardziej zdezorientowana, niż kiedy tam weszłam. Ruszyłam w kierunku samochodu, lecz zatrzymałam się, obróciłam i przyjrzałam ulicy. Zakładając, że potrzebne mi były ćwiczenia fizyczne, równie dobrze mogłam zacząć je od razu. Po spojrzeniu na zegarek - jakby rzeczywiście czekały na mnie jakieś zajęcia - wspięłam się na wzgórze, zeszłam z niego inną trasą, a potem na następne, zjechałam do FAO Schwartz i kupiłam puzzle dla wnuków, a później pomaszero瓦łam Market Street do Nordstroms.

Przymierzałam sukienki z myślą o zakończeniu roku szkolnego Mickeya. Rozmiar czterdzieści cztery okazał się zbyt obcisły, a kilka sztuk w rozmiarze czterdzieści sześć, które jakimś cudem zaistniały w tym nowym świecie, gdzie za bardzo duże uchodzą rozmiary czterdzieści/czterdzieści dwa, pasowało mi na biodrach, ale wisiało na ramionach i biuście. Ekspedientka - rozmiar trzydzieści cztery - zasugerowała, żebym poszła do działu z nietypowymi rozmiarami.

Choć zawsze nosiłam czterdzieści dwa, czasami czterdzieści, nawet ubrania ciężowe, to teraz te rozmiary nie były już dla mnie. W końcu znalazłam bawełnianą, modną, czarną sukienkę-futerał z dekoltem w łódkę, z pięcioprocentowym dodatkiem spandeksu w rozmiarze czterdzieści cztery i czarne body „Spanx”, które zakrywało mnie praktycznie od szyi do kolan.

Moja matka śmiała się z tego i nazwała pasem wyszczuplającym na całe ciało. W wyobraźni słyszałam jej durny śmiech. Gdakała jak kura, kiedy się śmiała. Wszyscy drażniliśmy się z nią z tego powodu, ale ojciec był najgorszy. Mawiał bowiem: „Beatrice, za chwilę jak nic zniesiesz jajko”.

Umarła pięć lat temu, odeszła cicho pewnej nocy mniej więcej sześć miesięcy po ojcu. Na pewno słyszeliście o parach, które zestarzały się razem, a potem, gdy jedno z nich umiera, drugie wkrótce podąża za nim. Oboje po cichu. Kiedyś myślałam, że ja i Mike będziemy jedną z takich par. Nadal bardzo tęskniłam za mamą, zwłaszcza teraz, gdy zabrakło Mike'a. Pomyślałam, że jeszcze tego wieczoru powinnam zadzwonić do siostry, May. Z Randolphów zostałyśmy tylko my dwie, a ja ostatnio nie oddzwaniałam do niej zbyt często, mimo że dzwoniła do mnie regularnie ze Wschodniego Wybrzeża. Wiedziała, jak bardzo się pogubiłam.

Usiadłam w kawiarni, oglądałam babeczki zawierające pięćdziesiąt gramów tłuszczu i sześćset kalorii - czekoladowe i z marchewką, oba rodzaje lukrowane i posypane pekanami - grube panini z serem i mięsem, trójkąty kisu z bekonem, ale zamówiłam jedynie dwie duże szklanki mrożonej herbaty z dodatkową cytryną. Kiedy je wypiałam, zebrałam torby z zakupami i skorzystałam ze srebrzystych schodów ruchomych, by dostać się do działu z pięknie eksponowanymi, naprawdę cudownymi torebkami markowych projektantów.

Zrozumiałam, że stan mojego zdrowia nie jest najlepszy, że Harrie miała rację, więc zaczęłam ćwiczyć. Mówiąc ściśle, zdecydowałam się na chód, zdecydowanie lepszy od biegania po stromych wzgórzach i krętych ulicach miasta. Poza tym nie byłam pewna, czy zajęcie się bieganiem po pięćdziesiątce to dobry pomysł, co z kolei wystarczyło mi za dobrą wymówkę, z której skorzystałam.

W szkole nienawidziłam biegów na czas i unikałam takich lekcji WF-u przy byle okazji. W latach siedemdziesiątych, kiedy jogging zawojował cały naród i zdrowie stało się przewodnim tematem kultury masowej, krążył wspaniały dowcip Henny'ego Youngmana: „Wszyscy biegają. Ja nie mogę biegać, bo papieros mi wtedy gaśnie, a kostki lodu wypadają z drinka”.

Nawet dziś uśmiecham się, gdy o tym pomyślę. Żeby zadowolić Harrie, kupiłam parę hantli - co w sumie było pretekstem do kupienia ślicznej, niewielkiej, różowo-czarnej sportowej torby od Prady - paru książek i DVD z ćwiczeniami siłowymi. Przekonałam się, że mam mięśnie w miejscach, o których nawet nie wiedziałam, że mogą boleć. Zrobiłam sobie zdjęcia aparatem cyfrowym, jak podnoszę ciężarki, a potem zwijam się na podłodze w udawanym bólu i wysłałam je Harrie e-mailem.

Na śniadanie jadłam grejpfruty, biały ser i więcej sałaty niż ktokolwiek bez długich uszu i śmiesznego ogonka. Pogryzałam mrożone winogrona, a gdybym jadła więcej ryb, zwłaszcza tuńczyka, miałabym w organizmie tyle rtęci, że stałabym się szalona jak Kapelusznik i biegała ulicami, wrywając sobie włosy. Nie zapominałam jednak, że zbyt wiele włosów to mi jednak nie zostało.

Pomysł z wynajęciem osobistego trenera nie przemawiał do mnie. Nie wiedzieć czemu słowo trener kojarzyło mi się z treserem - mężczyzną z biczem. Cel miałam jednak ustalony: żadnych pasów wyszczuplających. Zaczęłam zatem maszerować po ulicach San Francisco, rankami i popołudniami, kupiłam nawet wagę łazienkową i ustawiłam ją tak, żeby wskazywała identycznie jak wstrętna waga w gabinecie Harrie, choć nadal uważałam, że jej waga była zepsuta.

Po pierwszych kilku dniach ćwiczeń bardzo zaprzyjaźniłam się z ośmioma setkami miligramów ibuprofenu. W drugim tygodniu przekonałam się, że chodzenie po całym mieście sprawia mi frajdę pod warunkiem,

że unikam zatłoczonych ulic, gdzie śmierdzi spalinami, i trzymam się z dala od linii tramwajowej, bo miałam pokusę, żeby wskakiwać do wagonu.

Lepiej sypiałam. Wkrótce serwis sprząający miał u mnie więcej do roboty. Gdy marszem, podnoszeniem ciężarków i głodem zrzucałam powoli kilogramy, zmienił mi się nastrój i zaczęłam się więcej śmiać.

Mike pojawił mi się jeszcze tylko dwukrotnie, raz w kuchni i potem w naszej sypialni. W obu przypadkach zakładałam od razu adidasy i wychodziłam. Kiedy wracałam do domu i padałam na łóżko, spocona i wyczerpana, bardziej przejmowałam się długim prysznicem niż strachem przed tym, co zobaczę, gdy spod niego wyjdę.

W dniu rozdania świadectw Mickeya mogłam założyć czarną sukienkę bez wyszczuplającego body i cała rodzina przebrnęła przez tę uroczystość, roniąc tylko kilka łez.

Pokazując się publicznie, Cantrellowie trzymali się razem, a duma z Mickeya i jego przemówienie w imieniu uczniów przyćmiły całą resztę. Tamtego dnia wróciłam do domu, myśląc, że wszyscy staraliśmy się zastąpić Mike'a zamiast oplakiwać jego nieobecność. Scott i Phillip dwoili się i troili, żeby wypełnić jego brak i pod koniec tamtego dnia ich dowcipy były trochę ostrzejsze niż zwykle, niemniej moim zdaniem starszy z braci denerwował się tym, co mówił młodszy.

Widziałam, że zmienia się nasz stosunek do życia, i po raz pierwszy zastanawiałam się, czy uda się nam naprawdę zaleczyć rany.

Nadeszło lato i Mickey zaczął pracować w firmie pięć dni w tygodniu. Zaglądałam do biura, mimo że Scott uważał, iż nie robi mi to dobrze, no i ponownie wydawałam niedzielne obiady dla całej rodziny. Teraz jednak rzadko podawałam lasagne, bo zrzuciłam już nadmiar kilogramów i niemal uzależniłam się od ćwiczeń.

W pewne słoneczne popołudnie poszłam na długi spacer i wybrałam trasę obok naszego starego mieszkania. Nie przejeżdżałam tamtędy od dobrych paru tygodni. Ustaliłam tempo marszu i starałam się zmusić serce do szybszego bicia, gdy skręcałam za róg.

Po drugiej stronie ulicy bardzo duży obszar odgrodzono taśmą jako plac budowy i postawiono wielkie żółte bariery. Za nimi stały gigantyczne, pomarańczowe maszyny budowlane. Kilku robotników w kaskach paliło na rogu.

- Dzień dobry, panowie - odezwałam się, rozpraszając dym ręką. - Co się tu dzieje?

- Burzimy stary magazyn.

Poczułam, jak w jednej chwili zacisnął mi się żołądek. Nic nie odpowiedziałam, lecz miałam wrażenie, że coś we mnie pękło. Obróciłam się.

Dźwig zmieniał pozycję, dzięki czemu mogłam przeczytać napis. „Rozbiórki. Złoty Stan, sp. z o.o.”.

Przed oczami miałam miejsce pokryte graffiti, gdzie rozpoczęłam wspólne życie z Mike'em. W jakiś sposób przez minione lata ten budynek urastał w mojej pamięci do rangi symbolu, bo tam mieszkaliśmy i stamtąd pochodziliśmy. Fakt, że dom trwał niezmienny, zwiódł mnie na tyle, że identyfikowałam go z nami. Gdyby to się stało przed śmiercią Mike'a, pewnie byłabym jedynie trochę rozczarowana. Ale teraz chciałam histerycznie krzyknąć.

Zamiast tego jednak obeszłam od niechcienia od barierki, przedostałam się pod taśmą i ruszyłam dziarskim krokiem do naszego dawnego mieszkania.

Więzienie było dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem. Nie wiadomo dlaczego spodziewałam się, że do pewnego stopnia wygląda inaczej niż w programach telewizyjnych o policjantach, ale nie miałam racji. Wygląda tak samo: wszystko jest szare, beton i metal, razem z bardzo dyskusyjnym stanem urządzeń sanitarnych.

Największą różnicę pomiędzy więzieniem z ekranu telewizora i tym w prawdziwym życiu odczuwa się za pomocą zmysłów. Do oglądania telewizji używa się jedynie wzroku i słuchu. Zapach nie wchodzi w grę. A tymczasem dopóki życia nie zapomnę zapachu więzienia. Jest wyjątkowo wredny.

Trochę środków czystości dokonałoby prawdziwych cudów w ciupie San Francisco, choć przecież, jak mi powiedziano, znalazłam się jedynie w celi aresztu, wielkiej, kwadratowej, cztery i pół na cztery i pół metra, gdzie siedziałam zamknięta z innymi kobietami, które złamały prawo. Gdybym nie zaatakowała biednego policjanta, który usiłował wyciągnąć mnie z budynku, dostałabym pewnie mandat za wykroczenie i puszczone by mnie wolno. Różni funkcjonariusze powtarzali mi to przy kolejnych okazjach co najmniej siedem razy.

W celi było nas sześć. Jednakowoż tylko ja miałam wyhaftowane markowe logo na ubraniu sportowym. Kiedy mnie zamknęli, obróciłam się, spojrzałam na inne kobiety i trochę się zdenerwowałam. W tej jednej chwili szczerze żałowałam swojego zachowania. (Cóż, gryzienie policjanta też nie było dobrym pomysłem, bo gdy mnie przywieźli, skutą kajdankami, musiałam się poddać badaniu krwi. Zresztą wcale mocno go nie ugryzłam. Oni z kolei wcale nie uważali za zabawne, gdy powiedziałam im, że niedawno szczepiłam się przeciwko wścieklicznie).

Kątem oka zauważyłam, że jedna ze współwięźniarek przygląda się mojej granatowej kurtce ze złotymi wisiorami przy suwakach, którą miałam na sobie, i pasującym do niej spodniom w paski, w których biegałam. Kobieta nazywała się Suki, była dobrze po czterdziestce, miała długie, układające się w fale włosy poprzetykane siwizną, sięgające jej do połowy pleców.

Ubrana w typową dla lat osiemdziesiątych wielokolorową kurtkę à la Michael Jackson z wатовanymi ramionami, powiedziała mi w czasie rozmowy, że może pod nią zmieścić dwa albo trzy kaszmirowe swetry i nikt w Saks albo u Neimana nie zauważy nawet, że coś ukradła. Suki była zawodową złodziejką sklepową. I Supersprzedawcą na eBayu. No i samotną matką trójki dzieci.

Najmłodsza z nas miała na imię Danica - to studentka prawa, uginająca się pod ciężarem kredytów dla studentów, aresztowana prewencyjnie za niezapłacenie dwudziestu siedmiu mandatów za złe parkowanie. Czeakały ją trzy dni więzienia i grzywna, jeśli nie dałaby rady ich zapłacić.

Cerry i Lola były prostytutkami i żadna nie przypominała z wyglądu Julii Roberts, choć mistrzowsko strzelały z gumy balonowej. Moje dzieci pewnie uznałyby to za karę dla mnie, bo słuchanie, jak ktoś strzela z gumy, wkurzało mnie jak mało co.

Willow okazała się najsmutniejszym stworzeniem między nami. Willow to przybrane imię, którego zaczęła używać w 1963 roku. Urodziła się jako Agnes Willamenia Gunther, była bezdomną pijaczką, bitą i po-

niewieraną przez całe życie, kobietą, która zaczęła od protestowania przeciwko wojnie i zażywała zbyt dużo narkotyków w latach sześćdziesiątych.

Z potarganymi, brudnymi włosami i z cerą przypominającą salami, była starą wariatką, jakie stają na rogach ulic i coś krzyczą albo pchają powoli ulicami miasta wózek ze sklepu, na którym mają cały swój ziemski dobytek. Cuchnęło od niej niemytym ciałem i tanią wodą, bez przerwy też mówiła, niemal bełkocząc niektóre słowa, i zadawała pytania, sepleniąc, bo wiele lat wcześniej jakiś zły mężczyzna wybił jej przednie zęby.

Opowiadała nam historie, które najpewniej nie miały nic wspólnego z prawdą. Gdyby napisała książkę o swoim życiu, mogłaby stawać w szranki z Oprah.

Gdy się dowiedziała, dlaczego ja się tam znalazłam, wstała i zaczęła walić w kraty, wołając raz po raz:

- Śmierć establishmentowi! Ocalcie ten budynek!

Miałam wrażenie, że takie same słowa powtarzała wiele dziesięcioleci wcześniej, może kiedy dopiero zaczynała się jej podróż na dno, do ponurego miejsca, gdzie znalazła się teraz.

Nie wiem, jak długo trzymali mnie w zamknięciu, bo zaraz po przywiezieniu do aresztu zabrano mi zegarek, biżuterię i klucze. Ale kiedy klawiszka przysłała, żeby mnie zabrać, grałyśmy w trzy prawdy i kłamstwo.

Gdy zostałam wyprowadzona, wszystkie te kobiety skupiły się przy kracie i patrzyły na mnie jak dzieci z Kindertransportu.

- Cześć, March!

- Pamiętaj, „Butik Słonecznik” na eBayu! Prask!

- Trzymaj się, dziewczyno!

- Nie daj się znowu allestować, paniusiu!

Drzwi zatrzasnęły się, oddzielając mnie od chóru ich głosów, a ja szłam pustym korytarzem, skąd wypuściła nas następna surowa strażniczka.

Scott, Phillip i Molly stali po drugiej stronie wielkiego pomieszczenia o posępnie szarych ścianach i brudnych oknach, i czekali - moi sędziowie i ława przysięgłych. Miałam wrażenie, że wyrok już zapadł.

Molly trzymała moją dużą torbę od Chanel przyciśniętą do piersi. Musiała wpaść po drodze do domu, żeby ją dla mnie zabrać. Wychodząc bowiem, nie wzięłam ze sobą nic oprócz kluczy i niewielkiej sumy pieniędzy.

- Cześć, mamó. - Phillip otoczył mnie ramionami i przytulił.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Scott, a jego głos bardzo przypominał głos Mike'a, zatroskany, bez cienia krytyki.

- Nic mi nie jest - powiedziałam ostrzej, niż zamierzałam.

Założyłam, że spodziewali się zastać mnie w rozsypce, a tymczasem miałam dość sił, żeby się bronić.

Przy niewielkim kontuarze odebrałam szarą kopertę z rzeczami osobistymi. Założyłam zegarek, ale złote kolczyki w kształcie kólek zostawiłam.

- Wpadłam do ciebie po torbę i zapasowe kluczyki do samochodu - powiedziała Molly uprzejmie. Takim tonem już dawno się do mnie nie zwracała.

Z mieszanymi uczuciami wzięłam od niej torebkę.

- Dziękuję.

Dzieci odwróciły się i zaczęły odchodzić, zakładając, że pójde za nimi.

- Zaczekajcie chwilę, dobrze? - Wyrzuciłam zawartość torby na kontuar, wzięłam portfel i książeczkę czekową.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała Molly.

- Nie twoja sprawa - odparłam spokojnie, przeglądając portfel. - Poczekajcie tam.

Ponieważ nie pobiłam, nie ugryzłam ani nie skopałam gliniarza, który stał w okienku, chętnie dał mi kilka wielkich szarych kopert, w których zostawiłam prezent dla każdej z nowo poznanych kobiet. Napisałam ich nazwiska na każdej kopercie, zanim ją zakleiłam. Dla Willow bon na sto dolarów do sklepu spożywczego, który wygrałam przy płaceniu kilka tygodni wcześniej. Bałam się dać jej pieniądze i miałam jedynie nadzieję, że kupi sobie coś do jedzenia zamiast wody. Ale tak naprawdę najchętniej podarowałabym jej możliwość kąpieli do końca życia.

Złote kolczyki były dla Cherry, a kosmetyczka z zestawem do makijażu od Chanel dla Loli. Dla Daniki wypisałam czek na tysiąc pięćset dolarów, żeby mogła zapłacić mandaty. Jeszcze raz dokładnie przejrzałam torbę i upewniłam się, że czarny certyfikat autentyczności Chanel jest w przegródce zamkniętej na suwak. Podałam ją funkcjonariuszowi i poprosiłam, żeby przekazał ją Suki Collins. Miałam zamiar śledzić jej losy w Internecie i może nawet kupić od niej tę torbę.

Nowy płomień rozgorzał we mnie, coś, czego nie czułam od miesiący. Byłam to winna tym kobietom za wspólnie spędzony, krótki czas w celi. Moja wewnętrzna szarpanina, mój ból okazały się do przewyciężenia. Pograżanie się w żalobie całkowicie zajmowało mi myśli, wypełniało serce, a ja się na to godziłam, trzymałam się tego i nie chciałam iść dalej, a przez to zmieniałam się w kogoś, kto wcale mi się nie podobał. Co bym zrobiła, gdybym znalazła się na miejscu którejs z nich...? Niewykluczone, że dokonałabym tak samo złych wyborów jak one.

Wepchnęłam resztę swoich rzeczy do kieszeni i podeszłam do dzieci.

- Chodźmy. - Już na zewnątrz, zapytałam: - Kto odwiezie mnie do domu?

- Scott - odpowiedziała Molly.

- Ja - odezwał się w tej samej chwili.

- Wspaniale. Zawrzyjmy układ. Popęniłam błąd. Ale zapomnimy o tym wszystkim. Teraz. Może będę potrzebowała jeszcze trochę czasu, ale dojdę do siebie. Kochałam waszego ojca i zawsze będę go kochała, ale od dziś muszę pokochać samą siebie. - Zatrzymałam się i obróciłam do nich przodem. - Rozumiecie?

Pokiwali głowami jak posłuszne dzieci.

- To dobrze. Chciałabym, żebyśmy po drodze zatrzymali się przy aptece, Scott. Mam receptę do wykupienia.

I - pomyślałam - życie, nad którym powinnam się zastanowić.

CZEŚĆ TRZECIA

Pojedyncze wydarzenie może obudzić w nas kogoś obcego, kogo zupełnie nie znamy.

Antoine de Saint-Exupéry

19

Do Święta Dziękczynienia został tylko tydzień. Mickey miał przyjechać do domu po raz pierwszy od końca sierpnia, kiedy wyruszył samochodem do Los Angeles, żeby zamieszkać w kampusie UCLA. W październiku Phillip, Scott, Molly i ja pojechaliśmy się z nim zobaczyć w czasie weekendu dla rodziców. Moje starsze dzieci uważały, że muszą jakoś zastąpić mu ojca.

Wszystkie niepokoje o to, jak Mickey przystosuje się do życia w kampusie, rozwiały się w jednej chwili, gdy go zobaczyłam. Był zadowolony, świetnie sobie radził i uczył się niedaleko od miejsca zamieszkania. Miał grupę przyjaciół spośród współlokatorów i dobre oceny.

Ciężko było mi znieść myśl, że Mike'a to ominęło. Wracałam pamięcią do innych weekendów dla rodziców, na które jeździliśmy razem z Mike'em.

Zastanawiałam się, czy przebywanie z dala od domu teraz, gdy zabrakło w nim ojca, nie było najlepszym rozwiązaniem dla Mickeya, i kto wie, może wcześniej ten fakt też miał wpływ na jego wybór uniwersytetu. Martwiłam się, czy chłopak sobie poradzi, mieszkając poza domem, ale ciągnął jakoś swój wózek, podobnie jak ja od dłuższego czasu.

Naprawdę czułam, że znowu mam kontrolę nad sobą, i przypuszczam, że zawdzięczałam to Harrie. Brałam niewielkie pigułki, które wystarczająco mnie otumaniały, i ku mojemu zaskoczeniu mogłam już nosić ubrania w rozmiarze trzydzieści osiem; miałam też mięśnie. Ciężarki okazały się dobrymi przyrządami, a ja pracowicie ćwiczyłam teraz mięśnie brzucha. Przyjaciółki były zdumione zmianami, jakie we mnie zaszły. Ellie wydała fortunę na przebudowanie jednego z apartamentów dla gości na salę gimnastyczną i często spotykała się ze mną na trasie mojego marszu. Ostatnio potrafiła nawet dotrzymać mi kroku. MC natomiast ciągle czymś się wymawiała.

Kilka tygodni wcześniej wysłałam e-mail do Suki, a potem pocztą czarną sukienkę w rozmiarze czterdzieści cztery razem z kilkoma ubraniami dobrej marki w rozmiarach czterdzieści i czterdzieści dwa. Za moją radą przyjaciółki zrobiły to samo. Postawiłam sobie za cel trzymanie Suki jak najdalej od więzienia i kradzieży w sklepach.

Biorąc pod uwagę, że wszystkie ją wspierałyśmy, miałam nadzieję, że sprzedaż na eBayu wystarczy jej na utrzymanie dzieci, a może nawet na dalsze posyłanie córek na lekcje baletu.

Teraz jednak, w ciągu ostatnich dwóch tygodni, miałam wrażenie, że życie znowu zaczyna rzucać mi kłody pod nogi. Z jakichś powodów Molly nie oddzwaniała do mnie - chociaż nie było to czymś nowym w na-

szych relacjach - co budziło we mnie jędrę, a prawdopodobnie właśnie przez to nie telefonowała. Nigdy nie traktowałam tak własnej matki. Dzwoniłam do domu co tydzień.

Zastanawiałam się, co tym razem zrobiłam, ale ponieważ zażywałam leki przepisane przez Harrie, nie zbyt się tym przejmowałam. Bez wątplenia wywinęłam jakiś straszny numer... jak danie jej życia.

Mimo wszystko nie przestawałam nagrywać wiadomości na automatycznej sekretarce w mieszkaniu Molly, w jej pracy i na poczcie głosowej komórki. Zegar dowłókł się wreszcie do siódmej rano, gdy poczułam, że mogłabym znowu zadzwonić i może ją złapać. Wzięłam słuchawkę bezprzewodowego telefonu i wystukałam domowy numer córki, wychodząc jednocześnie na wyłożony cegłami dziedziniec.

Mieliśmy babie lato, więc na żardynierach nadal bujnie rosły paprocie i fikusy, poza tym miałam tam parę dużych krzaków gardenii, kilka wiszących doniczek z fuksjami i niecierpki, które powoli zaczęły więdnąć. Obrywałam zeschnięte kwiaty i liście, słuchając jednocześnie dzwonka w słuchawce, pierwszego, drugiego, trzeciego, czwartego i piątego, aż rozległa się dobrze mi znana zapowiedź z automatycznej sekretarki:

- „Mówi Molly. Nie mogę w tej chwili odebrać telefonu. Zostaw wiadomość, a ja oddzwonię”.

- Mówi matka Molly, ta sama, która zostawiła już sześć wiadomości na tym urządzeniu. Pamiętasz mnie? Jestem kobietą, która wbrew zaleceniom żywieniowym Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy, dotyczącym azotanów, i ciągłego przynudzania twojej babci, karmiła cię kluskami i serem Krafta, hot dogami, grillowanymi kanapkami z bekonem i serem przez pierwsze siedem lat twojego życia.

Przerwałam, nagle sfrustrowana. To bolało, naprawdę.

- Molly, proszę... Zadzwoń do mnie. - No świetnie, pomyślałam, teraz mój głos zabrzmiał, jakbym czegoś potrzebowała i była zdesperowana. - Posłuchaj - rzuciłam ostrzej ni stąd, ni zowąd. - Chcę wiedzieć, czy przyjedziesz na Święto Dziękczynienia. Zadzwoń do mnie, w przeciwnym razie wyślę policję, żeby cię odszukała! - Rozłączyłam się i patrzyłam na telefon.

Wyśmienicie, teraz Molly na pewno do mnie nie zadzwoni.

Nie tracąc jednak nadziei, czekałam nerwowo przez następną godzinę na jej telefon, zanim w końcu założyłam adidasy i poszłam do pobliskiej siłowni. Miałam teraz trenera o imieniu Rodney, którego ciała nie powstydziliby się Mister Universum.

Jedną z lepszych rzeczy dotyczących Święta Dziękczynienia są wypełniające cały dom zapachy potraw przygotowywanych według przepisów przekazywanych z pokolenia na pokolenie - jabłek i cynamonu, szałwi i tymianku, kielbasy i cebuli, mocny aromat bourbonu w suflecie ze słodkich ziemniaków mojej babci i z ogromnej szklanki koktajlowej w moim ręku.

Dodałam do niego coli light, wrzuciłam ćwiartkę świeżej limonki i z drinkiem w dłoni weszłam do jadalni.

Kiedy budowano podobne rezydencje jeszcze po koniec XIX wieku, jadalnia była jedynym pokojem najczęściej używanym do rozrywki i odpoczynku, dlatego była ogromna w porównaniu z dzisiejszymi standardami amerykańskimi. Nasza miała trzynaście i pół metra długości, wisiał w niej pięcioramienny kryształowy żyrandol, który dotarł do San Francisco, opływając przylądek Horn, sufit zaś, wysoki na prawie cztery metry, wyłożono ręcznie malowanymi kasetonami.

Dekoratorka potrzebowała dobrze ponad półtora roku, żeby znaleźć stół pasujący do tego pomieszczenia. Nie chciałam tam stołu na dwadzieścia lub więcej osób, dlatego musiała szukać solidnego mebla, przy którym mogłaby się pomieścić nasza rodzina, tak by nie krzyczeć do siebie nawzajem z przeciwległych krańców pokoju.

Okazała się bystrą dziewczyną. W odpowiedzi na moje wymagania podzieliła jadalnię na dwie części: w jednej urządziła salon z kanapą i fotelami, na których można było posiedzieć i pogadać, oraz z wielkim, wbudowanym w ścianę, zabytkowym, mahoniowym barkiem i miejscem do serwowania drinków, otoczonym przeszklonymi serwantkami, w których ustawiła lśniące kryształki. Reszta pokoju pozostała jadalnią, zdominowaną przez spory stół wenecki z czterema inkrustacjami przedstawiającymi liście i duże wyściełane krzesła z wysokimi oparciami, obite tkaniną od Scalamandré.

Kiedy skorygowałam rozmieszczenie osób przy stole oraz ustaliłam miejsce dla fotelika dziecięcego Tylera, musiałam przyznać, że ten pokój był chyba najelegantszy w całym domu. Poza sporadycznymi spotkaniami w interesach albo proszonymi obiadami korzystaliśmy z niego swobodnie w czasie naszych comiesięcznych niedzielnych obiadów i raz w roku w Święto Dziękczynienia.

Przypadało nazajutrz. Przetasowałam miejsca przy stole, bo Molly w końcu nagrała mi wiadomość z wymówką, że była zbyt zajęta, by oddzwonić, i poinformowała, że będzie potrzebne dodatkowe miejsce, ponieważ przyprowdzi kogoś na obiad. Nakryłam zatem dla dziesięciu osób.

Molly miała z kimś przyjść. Żywiłam jedynie nadzieję, że przyprowdzi swoją sympatię, a nie przyjaciółkę. Minęło bardzo dużo czasu, od kiedy przychodziła do domu z jakimś chłopakiem, jeszcze w pierwszych latach studiów. Pomyślałam, że moja córka powinna znaleźć dobrego mężczyznę. Chciałam, by przeżyła to, co ja z Mike'em. Byłam szczęściarą, jeśli chodzi o mężczyzn... Trafiłam na najlepszego.

Nigdy nie przepadałam za Świętem Dziękczynienia... Jedyłą przyjemność miałam z picia kawy z kubka w kształcie indyka. (Powinnam nalać sobie bourbonu do tego kubka). W przeciwieństwie do mnie Mike żył w oczekiwaniu na to święto. Puszczal płyty serialu *Przyjaciele*, te z odcinkami ze Święta Dziękczynienia, i śmiał się za każdym razem, gdy Monica albo Joey kończyli z indykami na głowach, ponadto mieliśmy trzy egzemplarze filmu *Wakacje w domu*, na którym indyk ląduje na czyichś kolanach.

Indyk to było jego zmartwienie. Co roku zamawiał świeże ptaki dla wszystkich pracowników i wręczał im je po kolei, niczym odrodzony Scrooge. W tym roku Scott i Phillip rozdawali indyki, ale obawiam się, że to już nie było to samo.

Wszystko, co przez te lata mój mąż wyczyniał z biednymi indykami, byle tylko obiad w Święto Dziękczynienia się udał, stało się pożywką dla dykteryjek w rodzaju „pamiętacie, jak w zeszłym roku tato...” i żartów, które zawsze stanowiły ważną część naszego obiadu - równie ważną jak sama jego tradycja.

Przepalał je i piekł na grillu, wędził, wbijał na rożen, marynował w niemieckim piwie, smażył w głębokim tłuszczu, wstrzykiwał w nie przyprawy z Cajun i podpiekał, moczył w solance. Zaczęłam się uśmiechać. Byłam szczęśliwą kobietą przez bardzo długi czas.

W tym roku Scott usiadł na krześle Mike'a. Przygotowałam karteczki z imionami i trochę zmieniłam miejsca, które zwykle zajmowaliśmy przy stole. Robiąc to, nie rozsypałam się. Kiedy teraz myślę o mężu, bu-

dzi się we mnie smutek lub odrobina wesołości, gdy przypominam sobie jakiś zabawny moment, który uwielbiam albo chciałabym zapamiętać. Czuję wtedy, jakby część Mike'a była nadal częścią mnie.

I nie płakałam już - małe pigułki od Harrie - ale przyznaję, że coś takiego jak poczucie szczęścia omijało mnie zupełnie. Byłam odrętwiała.

Wokół szklanych świeczników i bukietu na środku stołu nasypałam trochę liści z folii w kolorze miedzi oraz garść cukierków w kształcie ziaren kukurydzy, które moja wnuczka bardzo lubiła, wzięłam drinka, obróciłam się i zgasłam światło.

Mickey wyszedł gdzieś tego wieczoru z kumplami z liceum, którzy przyjechali do domu na święta. Nie widział się z nimi od chwili, gdy rozjechali się do różnych uczelni. Spodziewałam się, że wróci dość późno.

Dom ponownie pogrążył się w ciszy, nowej rzeczywistości - ciszy, która teraz stała się dla mnie czymś naturalnym i już mnie nie przerażała. Posprzątałam jeszcze w kuchni i nastawiłam ekspres do kawy, żeby włączył się wcześniej rano, wyłączyłam światło i ruszyłam ku schodom.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Spojrzałam na zegarek. Zbliżała się północ. Podeszłam do drzwi i odruchowo chwyciłam gałkę, ale zaraz się pohamowałam i wyjrzałam na zewnątrz. W głowie mi się zakręciło i niemal zwymiotowałam.

Przed drzwiami stał policjant.

20

- Dałaś Mickeyowi kluczyki do samochodu, który jest wart sto dwadzieścia tysięcy dolarów?! - Scott stał na podjeździe i darł się na mnie. - O czym wtedy myślałaś?!

- Nie ma poważnych obrażeń, Scott - powiedziałam do niego. Nadal jeszcze nie doszłam do siebie po przerażającym, obezwładniającym strachu, jaki poczułam poprzedniej nocy, kiedy otworzyłam frontowe drzwi. Wystarczy, że o tym pomyślę, a już mną trzęsie. - Wypadek nie był z jego winy.

- Ale to porsche taty. - Scott nie ukrywał frustracji. - Samochód jest kompletnie rozbity.

- Jest ubezpieczony. Zawinił tamten kierowca. Najważniejsze jednak, że twój brat wyszedł z tego cało. Ma podbite oko, niewielkie rozcięcie na czole i ramię boli go od pasa bezpieczeństwa. To wszystko.

Scott znowu zaczął grzmieć coś o samochodzie za sto dwadzieścia tysięcy dolarów, a to już mnie rozłościło.

- Odpowiedz sobie na pytanie: gdyby Mickey został poważnie ranny albo jeszcze coś gorszego, nadal byś tak stał i trząś się nad samochodem?

Zamknął oczy i głęboko odetchnął.

- Masz rację. - Zgarbił się, podchodząc do mnie. Objął mnie ramionami. Jego plyn po goleniu pachniał świeżo i korzennie. - Przepraszam, mamó.

Scott żył w dużym stresie. Wiedziałam, że on i Phillip nadal mieli ze sobą problemy, a Renee spóźniła się z porodem już trzy tygodnie i wyglądała, jakby w każdej chwili mogła eksplodować. Lekarka chciała zrobić

jej cesarskie cięcie poprzedniego dnia, lecz moja synowa błagała ją, żeby dała jej przepustkę na świąteczny weekend. Po koniecznych badaniach lekarka się zgodziła.

Sama dobrze pamiętałam, jak trudny jest ostatni miesiąc ciąży. Przypuszczalnie większość obowiązków rodzicielskich wobec pozostałej dwójki spadła teraz na Scotta wraz z prowadzeniem firmy i kłopotami, jakie tam miał, choć najwyraźniej na czas świąt zawarli z Phillipem rozejm. Postanowiłam, że tym razem odpuszczę synowi. Miał co prawda cholerną rację. Dlaczego dałam Mickeyowi kluczyki do porsche Mike'a? Gdzie ja miałam rozum? Zmarszczyłam czoło. Może piguleczki Harrie i ich zamulający efekt miały też wpływ na mój zdrowy rozsądek.

- Samochód zostanie naprawiony i nigdy już nie dam Mickeyowi kluczyków do niego. Popelniłam błąd. Ale jest Święto Dziękczynienia. - Wysunęłam się z jego objęcia. - Chodź do środka i proszę, powiedz bratu, że wszystko jest w porządku. Nadal nie doszedł do siebie.

Scott westchnął, wydając jednocześnie prawie niesłyszalny jęk bólu.

- Zeszłej nocy naprawdę mieliśmy szczęście. - Wzięłam jego twarz w obie dłonie, jak wtedy, gdy był mały. - To tylko samochód. Maszyna. Nie osoba. Pamiętaj o tym, kiedy będziesz z nim rozmawiał. - Wzięłam go pod ramię i razem weszliśmy do domu.

Godzinę później, gdy wszyscy oprócz Molly już przyjechali, w kuchni stało się gwarno od rozmów. Moi chłopcy pokrzykiwali w sąsiednim pokoju, oglądając mecz futbolowy, tylko co jakiś czas wpadali do nas, żeby coś podjeść.

Polałam indyka sosem i zamknęłam piecyk. Nalałam sobie kieliszek dobrego wina. Pamiętałam o otwarciu butelek, żeby wino odetchnęło. Mike byłby ze mnie zadowolony. Oparłam się o blat ze ścierką do talerzy na ramieniu i starałam się odprężyć przez minutę.

Renee i Keely siedziały przy kuchennym stole, Tyler drzemał w moim pokoju, a Miranda wykonywała piruety baletowe na dziedzińcu, nim zajęła się ubieraniem biednego kota w świąteczny strój, zrobiony z pomarańczowych ściereczek, zapinek do torebek i rękawicy kuchennej w kształcie dyni.

- Cześć, ciociu Molly! - krzyknęła.

Obróciłam się w chwili, gdy Molly wchodziła tylnymi drzwiami, roześmiana. Trzymała się za ręce z zabójczo przystojnym i stanowczo dla niej za starym Spiderem Olsenem.

Dopiłam wino, jakby to była woda.

- Jesteśmy! - zawołała.

Po minucie wszyscy w kuchni zaczęli mówić jednocześnie. Synowie witali się z Olsenem jak starzy przyjaciele i nikomu najwyraźniej nie przeszkadzało, że spotykał się z Molly.

Byłam stanowczo innego zdania.

Spider spojrział na mnie ponad rudą głową mojej córki i uśmiechnął się do mnie ujmująco. Odsunął się od niej i ruszył przez pokój.

- March - rzekł, wręczając mi dwa tuziny zdumiewająco pięknych herbacianych róż, których nie potrafiłam znienawidzić. - Dziękuję za zaproszenie.

Musiałam zebrać w sobie wszystkie siły, żeby nie odpowiedzieć: „Ja cię nie zapraszałam”. Zamiast tego jednak uśmiechnęłam się, ale niezbyt szeroko.

- Cóż, to miła niespodzianka.

Molly posłała mi spojrzenie, które niemal zachęciło mnie do powiedzenia czegoś mniej przyjemnego, bo teraz wiedziałam już dokładnie, dlaczego mnie unikała.

- Szczęśliwego Święta Dziękczynienia - odezwałam się na tyle miło, na ile potrafiłam, bo nie chciałam zepsuć tego dnia.

Moja córka straciła właśnie uwielbianego ojca i teraz umawiała się ze starszym mężczyzną? Mężczyzną, o którym wiedziałam, że nie jest dobry dla kobiet. W kasynie przyznał się, że jest już dziadkiem. Molly zaś miała zaledwie dwadzieścia cztery lata.

Odwróciłam się od nich, bo zrobiło mi się niedobrze, gdy szli do pokoju telewizyjnego. Stałam nad zlewem, trzymając się jego krawędzi. Buteleczka z pigułkami tkwiła obok mydelniczki, więc otworzyłam ją, przeszłam do blatu kuchennego, dołam sobie wina i popiłam tabletkę kolejnym kieliszkiem najlepszego wina Mike'a.

Nic jednak nie mogło mi pomóc. Zrozumiałam aż nazbyt dobrze, co się działo, kiedy byłam zaabsorbowana własną rozpaczą. Nie było na świecie dość zolofu, by zagłuszyć we mnie świadomość faktu, że tamtej nocy w domu w Tahoe Molly nie przejmowała się mną - ona pilnowała Spidera.

Wszyscy siedzieli przy stole, głodni i pełni oczekiwań, gdy wkroczyłam do jadalni z półmiskiem, na którym leżał indyk. Phil szybko wstał i wziął go ode mnie.

- O rany, tylko popatrzcie - rzekł, trzymając ciężki półmisek.

- Tak, zadziwiający - odezwał się Scott. - Nie jest wędzony, smażony ani marynowany.

Dzieci roześmiały się, a ja powiedziałam:

- Waszemu ojcu bardzo by się ten ptak spodobał.

Musiałam przyznać, że leżący na wielkim srebrnym półmisku indyk wyglądał cudownie złotobrazowo, był idealnie upieczoną sztuką drobiu, jaką rzadko się widuje. Nawet z pokrojoną jedną połową nadal przypominał zdjęcie z listopadowego wydania „Bon Appétit”.

Phillip postawił półmisek na stole. Długi widelec do nakładania spadł na podłogę, więc pochyliłam się, żeby go podnieść, i zobaczyłam rękę Spidera spoczywającą dość wysoko na udzie mojej córki.

Kiedy się wyprostowałam, niemal czułam, jak w wyobraźni wyrastają mi na głowie czerwone rogi. Trzymałam w zaciśniętej dłoni długi widelec i byłam gotowa skoczyć ponad stołem i wbić go w jego nikczemne serce. Ktoś jednak zaproponował, żebyśmy odmówili modlitwę, dlatego musiałam usiąść i przywołać się do porządku. Nie mogłam przecież zamordować go w trakcie modlitwy, nawet jeśli miałam od jakiegoś czasu na pieńku z Panem Bogiem.

Spróbowałam, co naprawdę rzadko mi się zdarzało, przez sekundę czy dwie rozmawiać z Bogiem. Ocal moją córkę, ocal moją córkę, ocal moją córkę - powtarzałam w myślach. W końcu poprzedniej nocy ocalił mi syna.

Ta chwila szybko się jednak skończyła wraz ze wspólnym „amen” i natychmiast zapanował chaos, gdy zaczęto podawać sobie butelki z winem, a półmiski przechodziły z rąk do rąk. Sosjerki, maselniczki i koszyki z chlebem krążyły wokół stołu. Wszyscy mówili jednocześnie.

- To jest najlepsze. - Phil trzymał niewielki półmisek i nałożył sobie połowę jego zawartości. - Farsz z kielbasy.

- Daj spokój, Phil, nie zjadaj wszystkiego sam - skarciła go Keely.

- Och, Boże... nie! - Renee szybko się podniosła. - Wody mi odchodzą. - Spojrzała w dół, bezradna, potem w górę. Widać było, że jest bliska płaczu. - Och, mamó, zapaskudziłam ci takie piękne krzesło.

- Nie ma o czym mówić - odezwałam się, natychmiast do niej podchodząc. - Masz skurcze?

Skinęła głową.

- Od zeszłej nocy.

- Co?! - wrzasnął Scott.

Renee jeszcze raz potwierdziła, kiwając głową, a potem się rozpląkała. Tyler spojrzał na swoją matkę, później na ojca. Jego buzia stała się mocno czerwona i zaczął ryczeć.

- Wszystko jest w porządku, kochanie - starałam się go uspokoić.

- Od zeszłej nocy? Dlaczego, do cholery, mi o tym nie powiedziałaś? - zdenerwował się Scott.

- Bo jest Święto Dziękczynienia - odpowiedziała przez łzy. Odwróciłam się od Tylera.

- Przestań krzyczeć, Scott - wtrąciłam się. Zrobiłam głęboki wdech i dodałam spokojniejszym tonem: - Nie denerwuj się. Sprawdźmy jej skurcze i zadzwonimy po lekarza.

Renee wydała z siebie jęk, zgięła się wóół i chwyciła oparcia krzesła.

- Ten był niezły. - Scott spojrzał na zegarek, jakby zupełnie zapomniał o żonie.

- Na litość boską, nie zostawiaj tak Renee. Pomóż jej dojść do sofy.

Tyler znowu zaczął głośno płakać, Miranda kazała mu się zamknąć i tańczyła wokół stołu, podbierając cukierki, którymi się zajadała przez całe popołudnie, kiedy rozpierana energią z cukru wirowała po całym pokoju.

Renee chwyciła się za brzuch, a ja spostrzegłam skurcz, który pojawił się na jej wydatnym brzuchu. Och... mimo tylu lat dobrze pamiętałam, jaki to ból.

- Są w minutowych odstępach - stwierdził Scott. - Czy to dobrze? - Podniósł wzrok znad zegarka, podczas gdy żona wbiła paznokcie w jego rękę.

- Mickey - powiedziałam szybko. - Dzwonź po pogotowie.

- Dobra. - Odłożył bułkę, wstał, ale natychmiast zamarł w miejscu i popatrzył na mnie zdrowym okiem.

- I co mam powiedzieć?

- Źe Renee rodzi! - wrzasnęłam do niego. - Wszystko dobrze, Tyler. Wszystko dobrze. Mamusi nic nie będzie. Bab nie chciała krzyczeć. Phillip, przestań się napychać jedzeniem i sprawdź, co z twoją żoną. A ty, Molly, przestań się wpatrywać maślanym wzrokiem w Spidera, który ma tyle lat, że mógłby być twoim ojcem, i zwróć uwagę na to, co się tutaj dzieje. - Miranda wirowała w kierunku rodziców. - Błagam, czy ktoś mógłby zabrać stąd te dzieci?

Wszyscy rzucili się do działania. Kiedy Molly kazała Spiderowi zająć się Mirandą i wyprowadzić ją z pokoju, krzyknęłam:

- Nie! Jest za młoda. - I podałam mu Tylera.

- Mamó! - Córka posłała mi bardzo wymowne spojrzenie. Spider jedynie roześmiał się do mnie.

- Przepraszam - rzekłam w roztargnieniu, machając ręką. Nie byłam jednak roztargniona.

Keely siedziała na krześle i wpatrywała się z uwagą w Renee, przerażona jej wyglądem i zachowaniem, gdy następowały skurcze, a ona poczerwieniała na twarzy i jęczała głośno. Keely pobladła.

Znałam to spojrzenie.

- Zajmij się żoną, Phil. Ona zaraz zemdleje.

- Muszę przeć! - krzyknęła Renee.

- Nie! - wrzasnęli wszyscy jednocześnie.

Usłyszałam zbliżającą się syrenę karetki. Dzięki Bogu stacja pogotowia była zaledwie o kilka przecznic. Już po kilku minutach sanitariusze znaleźli się w domu. Rzucili torby na podłogę i zaczęli zajmować się Renee. A ja stałam po prostu i odbywałam poufną rozmowę z Bogiem. Pomyślałam, że mógł mieć coś wspólnego z faktem, że w ulubione święto mojego męża, o godzinie szesnastej dwadzieścia dwie, Michael David Cantrell trzeci przyszedł na świat.

21

- Musisz mi pomóc w sprawie twojej siostry. - Chodziłam nerwowo przed biurkiem Phillipa.

- Przypominam ci, mamó, że już raz próbowałam ją sprzedać sąsiadom, kiedy miałem dziesięć lat.

- Mówię poważnie. - Mój głos brzmiał ostro i natarczywie.

Był poniedziałek po Święcie Dziękczynienia, zatrzymałam u siebie wnuki, żeby odciążyc Renee i Scotta, a na dodatek niewiele spałam. Wpadłam w panikę z powodu Molly i obudziłam się o trzeciej nad ranem. I znowu widziałam Mike'a. Nerwy miałam w strzępach.

- Nie będę się mieszał do jej życia uczuciowego. - Phillip odwrócił wzrok i zaczął grzebać w papierach.

- Pożarłaby mnie żywcem.

- Nie możesz przecież bać się małej siostrzyczki.

- Och, a ty się jej nie boisz? Rządzi rodziną, od kiedy przywieźliście ją ze szpitala. Poza tym to teraz wielka dziewczucha. Ma prawo do popełniania własnych błędów.

- Widzisz? Ty też uważasz, że popełnia błąd. Spider jest dla niej stanowczo za stary, a ją tak łatwo skrzywdzić. Na dodatek straciła ojca i od dawna nie była w żadnym związku. Naprawdę się tym martwię.

- Spider to dobry facet.

Zignorowałam jego słowa.

- Ojca pewnie by posłuchała, więc może posłucha ciebie albo Scotta.

- Nie, nie posłucha, bo żaden z nas nie będzie z nią rozmawiał o Spiderze Olsenie.

- Scottowi jeszcze o tym nie wspomniałam.

- Za to ja już z nim rozmawiałem. Usiądź, mamó. W głowie mi się kręci, jak tak chodzisz. Zgodziliśmy się ze Scottem, że nie możemy się do tego mieszać. Poza tym, jak mawiał dziadek, ten ogródek jest już uprawiany.

Usiadłam i założyłam nogę na nogę. Zrozumiałam, o co chodziło Phillipowi. Molly sypiała już ze Spiderem.

- Wiem. Tego mogłam się domyślić.

- A niby jak?

- Pomijając fakt, że widziałam, jak obmacywał ją pod stołem przy obiedzie? Matki po prostu wiedzą takie rzeczy.

- Jeśli to prawda, to jakim cudem nie zauważyłaś, że byli ze sobą już w Tahoe?

- Chciałabym móc się założyć, że nie spała z nim, kiedy byliśmy w Tahoe.

Phillip zmarszczył czoło i zapytał:

- Rzeczywiście możesz wyczuć, czy z kimś sypia?

- Zazwyczaj to mi się udawało w przypadku wszystkich moich dzieci.

Wyraz jego twarzy był bezcenny.

- Ty i Julie Gardner... zaraz po balu maturalnym. I z Angelą Winston. I Jenifer Wasinski. Scott i Crystal McCafferty. - Nie wspomniałam o pierwszym razie Molly.

Była w pierwszej klasie szkoły średniej i bez pamięci zakochała się w chłopaku, który złamał jej serce. Nigdy ze mną o tym nie rozmawiała. Zwierzała się Mike'owi, nie mówiła nic o seksie rzecz jasna, tylko o tym, że się zakochała i jak bardzo cierpiała, gdy chłopak rzucił ją dla blond cheerleaderki.

Mike powiedział mi, że jest pewny jednego - drań, który złamał Molly serce, rzucił ją dla dziewczyny, która niczego mu nie odmawiała. Nigdy nie przyznałam mu się, że moim zdaniem to Molly niczego mu nie odmawiała. Nie miałam dowodu, jedynie intuicję i ocenę tego, jak to wyglądało, ale moje przekonanie było niezachwiane.

Przez długi czas, gdy zostawałyśmy same, usiłowałam poruszać z Molly sprawę chłopaków, lecz ona zawsze zmieniała temat, jakby rozmowy ze mną o umawianiu się i seksie były swego rodzaju tabu dla nastolatki.

Zanim skończyła dwanaście lat, pogadałam z nią jak matka z córką, wyjaśniłam, na czym polega seks i jakie niesie ryzyko, a później powiedziałam jej jeszcze o szacunku do samej siebie, o świadomości własnego ciała i dokonywanych wyborach. Ponieważ chciałam, żeby zrozumiała wartość i potęgę kobiety i żeby nie kupczyła ciałem. Ważne było dla mnie, by usłyszała o tych aspektach życia ode mnie i pojęła to, co przekazałam jej o miłości i seksie oraz miłości w opozycji do seksu.

Próbowałam dać jej do zrozumienia, że zawsze może do mnie przyjść ze swoimi problemami, opowiedzieć o chłopakach albo mężczyznach, albo bolącym sercu. Nigdy jednak tego nie zrobiła. Było to dla mnie bolesne i sprawiało, że czułam się, jakbym niechcący w jakiś sposób zawiodła córkę.

Phillip obszedł biurko, stanął za mną i masował mi ramiona.

- Wyglądasz, jakbyś była zupełnie gdzie indziej.

Odchyliłam do tyłu głowę, spojrzałam na niego i po prostu westchnęłam.

- Nic jej się nie stanie, mamó. Na pewno. To prawdopodobnie nic poważnego. Odpuść sobie.

Nie powiedziałam już nic więcej. Synowie nie zamierzali pomóc mi w tej sprawie. Nawet się ze mną nie zgadzali, że jest problem. Miałam wrażenie, jakbym prowadziła walkę z jakimś niepisany seksizmem, z

kodek genetycznym, który był w męskich chromosomach. Z drugiej strony wiedziałam, że Mike by się ze mną zgodził.

Phillip miał rację tylko do pewnego stopnia. Byłam pewna, że Spider nie traktował tego poważnie, ale bałam się, że wręcz przeciwnie sprawy wyglądały w przypadku Molly.

Cała rodzina zjechała do Tahoe na pięć dni przed Bożym Narodzeniem. Trzymaliśmy się razem, jeździliśmy codziennie na deskach, jak zawsze. Ale był to pierwszy raz bez Mike'a.

W dawnych czasach, kiedy firma zaczęła osiągać coraz poważniejsze zyski, Mike zdecydował, że biuro, fabryka i magazyny będą co roku zamknięte od dwudziestego grudnia do pierwszego dnia po Nowym Roku, przy czym pracownicy otrzymają za ten okres pełne wynagrodzenie. To była jego premia dla nich i ich rodzin.

Nasza świąteczna rutyna niewiele się zmieniła i planowaliśmy powrót do domu drugiego stycznia. Ale w tym roku mieliśmy Treya, oficjalnie Michaela trzeciego, najmłodszego Cantrella. Jego wujek Phil zaczął nazywać go Indykiem i początkowo Renee wydawała się tym przerażona, jakby się bała, że przyłgnie do niego na dobre. Trwało to do czasu, aż Scott ostrzegł brata:

- Zemsta bywa słodka, braciszku. Kiedyś ty też zostaniesz ojcem. Lepiej uważaj.

Kiedy jednak chodziło o drażnienie się, nic nie mogło Phila powstrzymać. Miałam przecucie, że biedny Trey pozostanie Indykiem przez wiele następnych lat.

Na dodatek Spider wydawał się nierozłączny z Molly. Żałowałam, że w tym roku nie ma olimpiady, bo wtedy wyjechałby komentować zawody na drugim końcu świata. Zamiast tego jednak został włączony we wszystko, co robiliśmy, wliczając w to Wigilię i pierwszy dzień świąt. Synowie nie przestawali serdecznie go traktować, może nawet serdeczniej niż poprzednio, ale wolałam myśleć, że to z powodu nowej serii nart i reklamy, dzięki którym zyski były wyższe niż ktokolwiek mógł przewidzieć.

Na podsumowującym rok spotkaniu zarządu Scott przyznał, że Mike postąpił mądrze, podpisując długoterminową umowę ze Spiderem, czemu Scott początkowo się sprzeciwiał. Pokłócili się o to w którymś momencie, a poszło im o ogromne honorarium. Teraz, w porównaniu ze sprzedażą i zamówieniami, wyglądało na to, że zapłaciliśmy Olsenowi w sumie marne grosze.

Spider zaś robił wrażenie zdeterminowanego zabiegać o naszą akceptację.

Między najstarszymi synami nadal trwały tarcia, choć obaj z dumą mówili o firmie i z entuzjazmem o jej przyszłości. Zastanawiałam się, czy kiedyś dogadają się jak prawdziwi partnerzy, czy też zawsze będą między nimi różnice, bo tak bardzo byli do siebie niepodobni. Gdyby się wreszcie pogodzili, Mike zyskałby wieczny spokój.

Dzięki wnukom i dzieciom Boże Narodzenie miało sens. Moja rodzina była hałaśliwa, przekorna i uwielbiała dobrze się bawić, gdy przebywaliśmy razem. Śmialiśmy się dużo, graliśmy w głupie gry albo oglądaliśmy filmy do późnej nocy. Dni świątowania przeminęły mi z króciutkimi jedynie mrocznymi chwilami, gdy nocą leżałam w małżeńskim łóżku. Przez resztę czasu udawało mi się zapełniać czarną dziurę mojej samotności dzięki temu, że spędzałam go w górach.

Gdy dojechałam do końca zjazdu i ruszyłam w stronę prawie pustego wyciągu, zaczął prószyć śnieg. Pomyślałam, że mam mnóstwo czasu na kilka kolejnych zjazdów. Warunki były prawie idealne, wiatr zamarł, padał śnieg. Uwielbiam taki rodzaj śniegu - wielkie, szybujące w powietrzu płatki, które zawsze miałam ochotę chwytać w usta, jak ziarna popcornu.

Był sylwester i tłum wcześniej zszedł z góry. Kiedy nadjechało kolejne krzeselko, oprócz mnie w kolejce był tylko facet, więc oboje wsiedliśmy i ruszyliśmy na szczyt.

Siedzieliśmy zaledwie kilkanaście centymetrów od siebie. Otaczała nas niezmacona cisza, wypełniona śniegiem sypiącym na zbocza. Płatki śniegu dryfowały w powietrzu niczym piórka.

- Bardzo tu zacisznie, gdy pada taki śnieg - odezwałam się. - Jakby wszystko, co śnieg zakrywa, traciło dech. - Te słowa po prostu przysły mi do głowy i nie wiedzieć czemu wypowiedziałam je na głos. Dokładnie coś takiego powiedziałabym do

Mike'a, ale nigdy do kogoś obcego. W jednej chwili bardzo się zawstydziłam i czułam, że się rumienię. - Przepraszam - wymamrotałam i nie śmiałam na niego spojrzeć.

- Czytałem gdzieś, że śnieg może zaabsorbować co najmniej dwadzieścia pięć procent dźwięku - odezwał się do mnie tak zdumiewającym głosem, że musiałam na niego popatrzeć. - Ma pani zatem rację, śnieg tłumi odgłosy ziemi. - Jego głos był dla mnie niespodzianką, mówił powoli i z południowym akcentem. Takiego brzmienia można by się spodziewać po kowboju, który zwraca się do kobiety per „złotko”.

Byłam mu wdzięczna, bo dzięki temu nie wyszłam na idiotkę, dlatego uśmiechnęłam się.

Ubrany cały na niebiesko, nosił na ciemnych włosach wełnianą czapkę. Wydawał mi się dziwnie znajomy, jak to się zdarza w przypadku obcych ludzi, coś w rodzaju déjà vu, kiedy szuka się w myślach konkretnych wspomnień.

Miał bladoniebieskie oczy z kurzymi łapkami w kącikach, pewnie od śmiechu, ciemny zarost na mocnych szczękach, wydatny nos i naprawdę, ale to naprawdę był przystojny, choć w trochę irytujący sposób, bo przywodził na myśl twardego faceta z reklamy papierosów Marlboro. Wyglądał na dobre dziesięć lat młodszego od Spidera i jakby odruchowo pomyślałam, że biorąc pod uwagę jego wygląd i wiek, wołałabym, żeby to on spotkał moją córkę pierwszy.

- Śnieg jest idealny - odezwałam się, żeby podtrzymać rozmowę, a może dlatego, że znowu chciałam usłyszeć jego głos.

- No pewnie, ale najwyraźniej niewiele osób to dzisiaj obchodzi.

Za nami, daleko na parkingu ludzie schodzili się w grupy, pakowali rzeczy do samochodów i odjeżdżali. Dosłownie garstka narciarzy i boardzistów zjeżdżała głównym szlakiem.

- I niech sobie jadą, barany - powiedziałam. - Wolę kilka zjazdów od imprezowania przez całą noc. To mam już za sobą.

- Zgadza się z panią - rzekł. - Kiedy miałem dwadzieścia dwa lata, świętowałem sylwestra tak, że zupełnie nie pamiętam całego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego.

Roześmiałam się i szybko policzyłam. Miał czterdzieści jeden lat. Molly niedługo kończyła dwadzieścia pięć. Szesnaście lat starszy? Przed pojawieniem się Spidera Olsena pomyślałabym, że jest dla niej za stary. Teraz jednak, w porównaniu z lowelasek starszym od niej o dwadzieścia pięć lat, który został już dziadkiem, ten facet wydawał się młodzieniaszkiem. I mówiąc szczerze, mogłabym całymi dniami słuchać jego głosu.

- Jestem tu z rodziną - poinformowałam go, chcąc dowiedzieć się czegoś o jego żonie lub dziewczynie. Kłopot ze sportami zimowymi polega na tym, że rękawiczki zakrywają serdeczny palec.

- A ja zupełnie sam - odparł, przeciągając ostatnie słowo, jakby w piosence.

Przyjrzałam mu się przez sekundę - miał naprawdę najcudowniejsze oczy - i powiedziałam:

- Wie pan co, mam bardzo ładną dwudziestoczworoletnią, no, prawie dwudziestopięcioletnią córkę.

- W to nie wątpię.

Odchyliłam się odrobinę i zmierzyłam go spojrzeniem.

- Poważnie.

- Poważnie? - odrzekł, patrząc mi w oczy. - W takim razie dziękuję. Wolę kobiety mniej młode i z większym doświadczeniem.

- Och, rozumiem. - Roześmiałam się. - Lubi pan trochę przechodzone, ustabilizowane starsze typy, prawdopodobnie w wieku... Ilu? Trzydziestu lat?

Uśmiechnął się łagodnie, z wyrozumiałością.

- Niech mi pani zdradzi, dlaczego chce pani swatać córkę z obcym facetem, który może się okazać sporym kłopotem.

- A jest pan sporym kłopotem?

- Żyje wielu ludzi, którzy przysięgliby, że kiedyś byłem. Ale nie znają mnie teraz. Już dawno temu przestałem sprawiać problemy.

Podobała mi się jego szczerść, dopóki nie dodał:

- Nie odpowiedziała mi pani na pytanie o córkę.

- Moja biedna córka spotyka się ze starszym mężczyzną... starym jak Matuzalem. - Nie potrafiłam ukryć obrzydzenia w głosie.

Roześmiał się.

- Więc jest pani tym zrozpaczona.

- Nawet nie ma pan pojęcia, jak. I jest coraz gorzej. On jest trzykrotnym rozwodnikiem.

- Niektórzy ludzie nie przestają próbować, mając nadzieję, że w końcu wezmą ślub z właściwą, nową osobą. Zwykle jednak najprawdopodobniej problem nie leży po stronie tej nowej osoby.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, domyśliłam się, że nie uogólniał. Ten mężczyzna sam się pomylił niejeden raz w życiu.

- A co na to jej ojciec? - zapytał.

- Jestem wdową. - Mogłam to powiedzieć bez przejmującego bólu. Miałam już wystarczające doświadczenie.

Na jego korzyść przemawiało to, że nie posłał mi spojrzenia z rodzaju tych, jakich nienawidziłam.

- To raczej ciężko pani tak siedzieć samej i patrzeć - rzekł łagodnie.

Spuściłam wzrok na rękę.

- Pewnie ma mnie pan za wariatkę. Założyłam, że nie jest pan z nikim związany. Usiłuję wyswatać pana z moją córką. A nawet nie wiem, dlaczego mówię panu to wszystko.

- Bo chciała pani przy mojej pomocy ratować córkę, która jak przypuszczam, bardzo by się cieszyła, gdyby usłyszała naszą rozmowę.

Zaśmiałam się cicho.

- Zabiłaby mnie. - Polubiłam go. Wyciągnęłam rękę. - Jestem March Cantrell.

Uśmiech zniknął mu z twarzy, lekko zmarszczył czoło, ale wziął moją dłoń i uważnie przyglądał się logo firmy Cantrellów, widoczne na wszystkim, co miałam na sobie, począwszy od wełnianej czapki po odbla-skową grafikę na desce, na której jeździłam. Byłam chodzącą reklamą firmy mającej w nazwie nasze nazwisko.

- Cantrell Sports?

Potrząsnęłam jego ręką.

- Przyznaję się bez bicia.

- Pani mężem był Mike Cantrell - skonstatował suchym tonem.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, krzeselko gwałtownie się zatrzymało, a ja zamiast za drążek, chwyciłam go za ramię.

- O raju!

Wisielśmy, lekko się kołysząc. Wyciągi krzeselkowe czasem się psują i stają w miejscu, i dopóki nie ruszą znowu, człowiek tkwi w pułapce. Znajdowaliśmy się nad najbardziej stromą, skalistą częścią góry.

Pochyliłam się lekko na bok, żeby lepiej widzieć niewielką łąkę śniegu pod nami i otaczające ją poszar-pane skały.

- Jesteśmy wysoko. Ale przynajmniej nie ma wiatru.

Zaczął do mnie mówić, początkowo cicho, swobodnie. Hodował konie, co mnie nie zdziwiło, biorąc pod uwagę jego akcent. Zastanawiałam się, czy w którymś momencie życia nie brał udziału w rodeo, ujeżdżając lub chwytając na lasso. Miał kombinezon do jazdy na desce, nie džinsy, ale przypuszczałam, że poza górami nosi wysokie buty i pas z kłamrą, którą trudno przeoczyć.

Opowiedział mi o synu, dwudziestodwuletnim muzyku i gitarzyście, który studiował muzykę za granicą i objeżdżał teraz Europę z zespołem country. Znowu szybko policzyłam. Młodo został ojcem.

- Co go skłoniło do wyjazdu za granicę?

- Królewska Akademia Muzyczna. Jego matka jest Brytyjką. Chłopak dzwoni do mnie, kiedy może, ale... - zaśmiał się lekko - ...ma dwadzieścia dwa lata. Nie jestem na czele jego listy. Letnie wakacje spędza na ranczu - mam trochę ziemi niedaleko Sparks - choć zwykle to ja muszę go namierzyć, żeby zobaczyć się z nim w czasie wakacji.

- Bardzo źle bym się czuła, gdybym nie mogła spędzić Bożego Narodzenia z moimi dziećmi - wtrąci-łam. - Choć w tym roku jesteśmy bez Mike'a i nie jest już tak samo. Zostało puste miejsce, które przypomina, że kogoś brakuje.

- Pani mąż - zaczął i urwał na chwilę, jakby nie mógł znaleźć właściwych słów. Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a potem dokończył: - Pisali coś w gazetach w Reno, że umarł. Czytałem w jakimś artykule o zawodach deskowych w zeszłym roku.

- Doszło do strasznego wypadku samochodowego. Znalazł się dokładnie w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie. To czasem mnie prześladuje, wie pan? Tak sobie myślę, że gdyby jego samolot przyleciał wcześniej albo miał spóźnienie, albo gdyby zatrzymał się na kilku więcej czerwonych światłach... - Nie mogłam powiedzieć nic więcej, ale obróciłam się i spojrzałam na niego.

Zastanawiałam się, o czym myślał, bo wzrok miał nieobecny i jakby pełen bólu, niemal żalości, jakby to, co usłyszał, otworzyło również jego stare rany.

Przyglądałam mu się, aż w końcu zwrócił na mnie oczy, i pomyślałam wówczas, że dobrze się rozumiemy. Był tam, skąd ja wracałam. Podobnie jak on, nie musiałam już nic mówić.

- Syn woli spędzać Boże Narodzenie z rodziną matki. - Zmienił temat i wzruszył ramionami. - I rozumiem go. To bardzo przyzwoici ludzie.

- Pańscy byli teściowie?

- Nie ożeniłem się z jego matką.

- Och - bąknęłam cicho, żalując, że go o to zapytałam. Nie chciałam wydać się staroświecka lub skora do osądów i nie byłam pewna, jak z tego wybrnąć.

- Przypuszczam, że teraz nie bardzo nadam się dla pani córki. - Roześmiał się, najwyraźniej drażniąc się ze mną.

- To zależy - powiedziałam. - Od tego, jak traktuje pan kobiety.

Wyznał mi, że dawno temu dostał bolesną lekcję życia, i brzmiało to szczerze. Powiedział mi, kim była matka jego syna; natychmiast rozpoznałam nazwisko, bo była supermodelką, której zdjęcia zamieszczano na okładkach najlepszych magazynów przez piętnaście lat, poza tym była twarzą w kampanii reklamowej drogiej firmy kosmetycznej.

- Widziałam ją raz, kiedy byliśmy w Aspen - przyznałam się mu. - Jest urocza. Czy ona nie wyszła za jakiegoś brytyjskiego rockmana?

Skinął głową i roześmiał się.

- Mam do końca życia zapewnione bilety na dobre koncerty.

- Pan nie wygląda mi na człowieka, który biega na koncerty rockowe. Nie mylę się, prawda?

- Słusznie powiedziane - odezwał się z miękkim akcentem. - Jestem wiejskim chłopakiem w każdym calu.

Wisieliliśmy na wyciągu bardzo długo, temperatura się obniżała. Szczyt góry przed nami zasnuwała biała chmura, od kilku minut śnieg padał coraz gęstszy. Strząsnęłam z siebie trochę płatków i uderzyłam stopami o deskę, żeby strącić gromadzący się na nich śnieg.

Nadal tkwieliśmy w miejscu. Przeszedł mnie dreszcz, oplotłam się ramionami, a potem zaczęłam rozcierać dłonie.

- Dochodzę do wniosku, że te ostatnie zjazdy, które miałam w planie, to nie był najlepszy pomysł.

- Zimno pani? - zapytał. - Proszę. - Owinął mnie swoim kaszmirowym szalikiem, przysunął się bliżej i objął ramieniem. Nie mam pojęcia, czy źródłem natychmiastowego ciepła, które poczułam, było jego ciało, czy moje zażenowanie, ale nie było mi już tak zimno i rumieniec zniknął mi z twarzy.

Pachniał korzennie, jak cynamon i mężczyzna. Z wyjątkiem Mike'a nigdy nie znajdowałam się wystarczająco blisko mężczyzny na tyle długo, by zwrócić uwagę na jego zapach. Odczuwałam go jako coś dziwnego i prowokującego jednocześnie, moja reakcja jednak niespecjalnie mi się podobała.

- Lepiej? - zapytał, a ja ponownie zdałam sobie sprawę z tembru jego głosu i lekkiego zaśpiewu, z ciepła, którym emanował, siedząc obok mnie, i ze skrępowania, które czułam albo może tylko myślałam, że powinnam je czuć... nie wiedziałam, co o tym sądzić. Niemniej reagowałam na zupełnie elementarnym poziomie, kiedy dziwnie słodko robi się w żołądku.

Patrzyłam wszędzie, byle nie na niego.

- Ciekawe, jak długo każą nam tu wisieć - zastanawiałam się.

- Wyczytałem gdzieś, że w jakimś kurorcie narciarskim na Wschodnim Wybrzeżu operatorzy wyciągu poszli do domu i zostawili dwoje ludzi w powietrzu na całą noc.

- No to ładnie. - Trzepnęłam go w ramię. - Bardzo pocieszające. Szczęściem znam kogoś z obsługi, a poza tym patrol narciarski sprawdza przed zamknięciem każde krzesło i gondole wyciągów na tej górze.

Roześmiał się, a potem siedzieliśmy przytuleni do siebie w milczeniu, śnieg rozpadał się na dobre, ograniczając widoczność do około piętnastu metrów.

Zauważyłam narciarza w czerwonej kurtce patrolu, który wyłonił się z chmury śniegu i stanął tuż pod nami.

- Wyciąg się zepsuł! - krzyknął do nas. - Szykujemy ewakuację! - Później mówił coś przez minutę do krótkofalówki.

- Świetnie - powiedziałam, patrząc w dół. - Ewakuacja. Tyle lat tu jeżdżę i jeszcze nigdy mnie nie ewakuowano. Mamy szczęście, jesteśmy w najwyższym miejscu wyciągu.

- Wiele lat temu byłem ewakuowany. Przerzucili piłeczkę tenisową z jakimś sznurkiem nad kablem...

- Sznurkiem? Nie wydaje mi się. Ważę na to za dużo.

- Nie ma się pani czym denerwować. I proszę pozwolić mi skończyć - rzekł, a ja słyszałam uśmiech w jego głosie. - Za pomocą sznurka wciągnęli grubą linę nad wyciąg z przymocowanym do niej siodełkiem w kształcie litery T. Wpełzaliśmy na nie, a oni opuścili nas na dół. Bułka z masłem.

Odezwało się moje ego i przysła mi do głowy przerażająca myśl, że aby opuścić mnie na dół, potrzeba będzie grupy mężczyzn. Jakbym już słyszała Phillipa... Pamiętacie, jak musieli użyć całego składu patrolu narciarskiego, żeby opuścić mamę na dół z zepsutego wyciągu? Stanę się tematem jego kpiny na dobry miesiąc - i słowo kpiny jest tu jak najbardziej odpowiednie.

Ponownie spojrzałam w dół na ziemię.

- Ciocia March? To ty?

- Jared? - Syn Roba wchodził w skład patrolu. Był dla mnie jedynie powinowatym dzięki mojemu małżeństwu, a teraz chyba już nim nie był. Ale rodzina to rodzina, a wiek i obyczaje Cantrellów skazały nas na rolę

cioci March i wujka Mike'a od chwili, gdy nasze dzieci zaczęły mówić, poza tym spędzaliśmy razem mnóstwo czasu i niekończące się wakacje.

- To ja.

- Chcesz, żebym połączył się z tatą przez radio?

- Boże, nie! Nic mi nie jest. Ściągnij mnie tylko z tego krzeselka. Tu w górze jest zimno.

Już po kilku minutach patrol był gotów do zajęcia się mną. Zrzuciłam deskę.

- Niech pani posłucha - przyjaciel z Południa zwrócił się do mnie z pewnością siebie, jakiej można oczekiwać od kowboja. - Nie będzie tak źle.

Przede mną znajdowała się lina z przywiązany do niej siedziskiem, przypominająca zupełnie dziecięcą huśtawkę. Uniosłam drążek. W tej samej chwili poczułam wokół siebie jego ramiona.

- Mam panią. - Jego usta znalazły się tuż obok mojego ucha. Miał ciepły oddech.

Chwyciłam linę, wgramoliłam się na krzeselko i zapięłam pas. Kiedy opuszczali mnie na zbocze, poma-chałam do niego i natychmiast przypomniałam sobie, że choć opowiedział mi o synu i niektórych wydarzeniach z własnego życia, nie wiedziałam, jak się nazywał.

Biorąc pod uwagę okoliczności, opuścili mnie na dół całkiem sprawnie. Byłam bardzo wdzięczna obu mężczyznom, którzy się tym zajmowali, a gdy tylko dotknęłam stopami ziemi, uściskałam Jareda.

- Dziękuję. Przez jakiś czas nie będę tego chciała przeżywać ponownie.

- Jak długo tam byłaś? Spojrzałam na zegarek.

- Ponad godzinę. - Patrzyłam, jak ponownie wciągali krzeselko ratunkowe do góry.

- Musisz podpisać uwolnienie z zablokowanego wyciągu - odezwał się Jared. - Laurie je ma, o tam.

Wolałabym porozmawiać z przyjacielem kowbojem, ale poszłam do dziewczyny trzymającej deseczkę z przypiętymi dokumentami, podpisałam uwolnienie, a ona wręczyła mi darmowy bilet.

Zanim wróciłam, kowboj podnosił swoją deskę. Pokazałam mu bilet.

- Mamy bilety na cały sezon. Chce pan?

Spojrzał na mnie i mignął biletem sezonowym przypiętym do kieszeni kurtki.

- Może dla przyjaciela? - zapytałam. Wziął go ode mnie.

- Dzięki.

- Czy mogę postawić panu coś do picia? Żeby podziękować - dodałam szybko.

Zerknął na zegarek i rzucił deskę na śnieg.

- Muszę gdzieś być. Wiadomo, sylwester - rzekł, stając na desce. - Jeśli mam panią zabrać na tego drinka, może to być dość późno.

- W porządku - odparłam wesoło. - Dzięki.

Wziął mnie za rękę i trzymał ją dłużej, niż zwykle to trwa przy pożegnaniu.

- W każdym innym czasie poszlibyśmy na drinka od razu - powiedział i puścił do mnie oko.

Założył gogle i ruszył w kierunku zjazdu.

Po sekundzie czy dwóch zawołałam za nim:

- Niech pan zaczeka!

Zahamował tuż przed początkiem trasy zjazdowej i obejrzał się na mnie, nie podnosząc gogli.

- Nie wiem, jak się pan nazywa.

- Rio! - zawołał i pomachał do mnie, zanim runął przed siebie, a echo niesło ku mnie teksański zaśpiew:

- Rio Paxton.

Patrzyłam, jak zniknął mi z oczu za zakrętem, i stałam po prostu jak idiotka, którą замуrowało, z deską zatkniętą pod pachą, z ręką na jego szaliku nadal owiniętym wokół szyi. Rio Paxton. Nic dziwnego, że wyglądał znajomo.

23

Rio Paxton napisał swój pierwszy numer jeden na liście przebojów muzyki country, gdy miał siedemnaście lat. W wieku osiemnastu lat występował na scenie Grand Ole Opry. Kiedy skończył dwudziestkę, Country Music Association - stowarzyszenie muzyki country - przyznało pięciu różnym gwiazdom muzyki country, duetom i zespołom upragnione nagrody za nagrania piosenek, których autorem był Paxton. Niemal dokładnie w czasie, gdy świętował dwudzieste trzecie urodziny, zakończył długą turę koncertów po Stanach i prawie całej Europie, grając przy pełnych salach, gdzie biletów brakowało na długo przed jego występem.

Gwiazdorstwo zupełnie zawróciło mu w głowie. Kilka następnych, hulaszczych lat minęło mu w pijanym widzie, pełnym wódy, narkotyków i kobiet - trafił nawet kilka razy do aresztu za burdy w miejscach publicznych, zaczął też mieć problemy z podatkami. Jego kariera fatalnie ucierpiała przez silny wpływ kiepskich naśladowców i pochlebców, którzy go nie odstępowali, nurzając się w jego sławie i darmowych narkotykach, wykorzystując go do tworzenia własnych wizerunków, aż do chwili, gdy jego reputacja rozsypała się w proch, równie suchy i drobny jak czerwona glina z zachodniego Teksasu.

Rio Paxton był za młody, żeby to wszystko przewidzieć, zbyt zielony, by dostrzec fałsz w jasnych światłach, blasku sławy i hipnotyzującym, uwodzicielskim blichtrze popularności. Krwiożerczy przemysł muzyczny zaś pożerał naiwnych i wysysał talent z ich każdej komórki, zostawiając za sobą pusty ludzki kadłub.

Tuż przed trzydziestką Rio otrząsnął się jakoś - upadła gwiazda, która bardzo szybko się wypaliła, prawie już nie człowiek - i znowu przypominał trzynastolatka z zachodniego Teksasu, który pewnego dnia, gdy czuł się samotny, wziął gitarę i odkrył, że lubi śpiewać.

Jego upadek był na tyle upubliczniony, że pamiętałam go bardzo dobrze, do tej pory czując coś w rodzaju współczucia z powodu zmarnowanego życia - jakbym stała i patrzyła na tornado pustoszące miasto. Takie nieszczęścia się zdarzają i nic nie można zrobić, żeby je powstrzymać.

Urzekająca niewinność, jaką miał, gdy od razu wspiął się bardzo wysoko, zniknęła boleśnie szybko. Kiedy jego piosenki trafiły do wykonawców muzyki popowej i były grane przez wszystkie stacje radiowe, zdobył Grammy i American Music Awards, poza tym jego utwory nagradzało Country Music Association.

Razem z Mike'em widzieliśmy występ Rio w jednym z kasyn, kiedy był u szczytu popularności, i pamiętałam go, jak wszedł na scenę z gitarą zawieszoną na ramieniu, ubrany w kowbojskie buty i obcisłe dżinsy, prostą koszulę w kratę z podwiniętymi rękawami i czarny kapelusz nasunięty nisko na oczy, jakby miał coś do ukrycia.

W odróżnieniu od wielu innych piosenkarzy, kapelusz nie zasłaniał jednak długo jego twarzy przed publicznością. Śpiewając kilka pierwszych piosenek, zanim dołączył do niego zespół, siedział na drewnianym stołku na środku sceny, z jednym obcasem zaczepionym o szczebel łączący nogi stołka, zsunawszy kapelusz na tył głowy i pokazując się wszystkim, którzy tłoczyli się na sali.

Na scenie zmieniał się w nieśmiałego młodego człowieka o głosie niczym masło stopione z brązowym cukrem, pomiędzy piosenkami rozmawiał z widownią i potrafił wyciskać łzy z oczu, gdy śpiewał o Teksasie lub matce.

Kiedy siedzieliśmy z rodziną, zajmując trzy stoliki w sali widowiskowej kasyna w oczekiwaniu na przedstawienie o dwudziestej drugiej, przypominało mi się wszystko, co wiedziałam o Rio Paxtonie. Szczerze mówiąc, nawet nie wiedziałam, że miał występować tego wieczoru. Na pomysł, żeby iść na spektakl, wpadli moi synowie, gdy dość późno skończyliśmy obiad w Cierze, a ja, niczym owca prowadzona na rzeź, poszłam za nimi do drugiego kasyna i sali za barem, gdzie ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyłam wielki plakat przed aksamitnymi sznurami, na którym było zdjęcie Rio Paxtona i szczegóły występów w noc sylwestrową. Pierwsze przedstawienie odbywało się dość wcześnie, potem następowała trzygodzinna przerwa. Wtedy też zrozumiałam, dlaczego musiał wracać z gór.

Kelnerka roznosząca koktajle postawiła przed nami drinki w momencie, gdy światła na sali zaczęły przygasać, pojaśniały zaś na scenie. Rozsunęła się jedna z czerwonych kurtyn, odsłaniając drewniany stółek, a on wyszedł zza kulis z gitarą zawieszoną na ramieniu, w wysokich butach i dżinsach, w koszuli z podwiniętymi rękawami - starsza, trochę podniszczona wersja mężczyzny, którego występ widziałam w pewien wieczór wiele lat wcześniej.

Może nie poznałam go z powodu kombinezonu narciarskiego. Był bez kowbojskiego kapelusza i dżinsów, ale przecież, kiedy się odezwał, od razu pomyślałam, że właśnie tak powinien być ubrany.

Chyba owładnęła mną starcza demencja, bo według mnie śpiewał tak samo, jak zapamiętałam, aksamitnym, słodkim głosem, piosenkę o światłach miasta i młodym kowboju, który szturmem wziął listę przebojów, pobił rekordy sprzedaży płyt i sprawił, że nazwisko Rio Paxton stało się wszystkim znane.

Śpiewając, omiół publiczność spojrzeniem, a potem spuścił oczy i patrzył na gitarę opartą o kolano. Zaczął nową zwrotkę, podniósł wzrok i popatrzył w naszą stronę. Wiedziałam, w którym momencie mnie spostrzegł, bo zatrzymał wzrok na mnie. Uśmiechnęłam się do niego. On się nie uśmiechnął.

Serce podeszło mi do gardła. Och... nie... A jeżeli pomyśli, że go podrywam? Uważałam, że nie jestem aż tak stara, żeby być jego matką, lecz to nie zmieniało faktu, że byłam starszą panią, z którą przypadkiem dzielił krzeselko na wyciągu, heterą, która usiłowała wyswatać go ze swoją córką i miała już kłopoty z pamięcią, ponieważ go nie rozpoznała.

Czułam, że zaczynam stąpać w myślach po niebezpiecznym gruncie, dlatego piłam drinka i usiłowałam słuchać muzyki, by zapomnieć o moich emocjach, myślach i zamartwianiu się, jak wyglądałam w jego oczach. Był w końcu jedynie kimś, kto okazał się wobec mnie uprzejmy, choć go nie znałam. Uroczy mężczyzna. Szczerze, chyba jednak robiłam się za stara, żeby przejmować się tym, co inni o mnie myślą.

Muzyka trwała i w końcu tylna kurtyna się rozsunęła, ukazując grający z nim zespół. Molly, Keely i Renee klaskały w takt muzyki, w miarę jak piosenka przyśpieszała i stawała się głośniejsza. Wkrótce cała sala

włączyła się do zabawy. Ja też kołysałam się i klaskałam, choć potrzebowałam jeszcze kilku drinków, żebym zupełnie się wyluzowała.

Po krótkiej przerwie zestaw następnych piosenek rozpoczął się od ballad, piosenek rozbudowanych, które zespół wykonywał z przejęciem. Rio i jego muzycy przeciągali instrumentalne wstawki, przechodząc od gitar rytmicznych do gitary basowej i perkusji, a potem do keyboardu. Kolejne piosenki stawały się żywsze, zakończył prawdziwym przebojem o spelunkach i gorących kobietach. Tłum oszalał, gdy skończyli i zeszli ze sceny.

Wszyscy stali, bili brawo i czekali na bis. Zespół wrócił, nagrodzony żywszym aplauzem, a potem widownia znowu usiadła. Zauważyłam, że Rio zrobił coś w rodzaju gestu do muzyków, zanim rozpoczęli przygrywkę do jego największego przeboju, *It Feels Like Crazy Sometimes*.

Rio zaczął śpiewać, schodząc po schodach ze sceny między publiczność, i ruszył w naszym kierunku, zanim do mnie dotarło, co się dzieje. Obrócił krzesło stojące obok mnie, usiadł na nim okrakiem, kładąc ramię na oparciu i trzymając w ręku mikrofon, i śpiewał dla mnie.

Oszołomiona, wpatrywałam się w czarne włosy na jego przedramieniu, a kiedy odważyłam się spojrzeć mu w twarz, jego oczy mnie usidliły i nie mogłam już uciec wzrokiem, podczas gdy on śpiewał:

*To jest jak oblęd czasami,
Bo kochałem kogoś tak długo.
Owinęłaś się wokół mnie,
Brakuje mi oddechu, gdy odeszłaś.
W życiu, które teraz mam,
Radzę sobie ze światem bez ciebie,
W niektóre dni nawet nie wiem jak.
To jest jak oblęd czasami,
Gdy budzę się i ciebie nie ma.
Chodzę po pokoju i myślę,
Jakiego mężczyznę teraz całujesz.
To jest jak oblęd czasami,
Kiedy wspominam dawne czasy,
Dni, zanim cię poznałem,
Gdy w sercu pustkę miałem.
To jest jak oblęd czasami,
Bo znam dziś cenę moich błędów.
I mogę winić tylko siebie,
Bo przegrany facet to ja.
To jest jak oblęd czasami,
Wiem, że nic na to nie poradzę,
Nie mogę cofnąć czasu i przeżyć go znowu,
I znaleźć drogi do ciebie.*

To jest jak oblęd...

Samotność w życiu

To jest jak oblęd...

Wiem, że odeszłaś. To jest jak oblęd,

To jest jak oblęd, Czasami to po prostu oblęd.*

* Przekład Krzysztof Oltak.

Rio skończył ostatnią długą nutę i wstał z krzesła, zaraz potem wziął mnie jednak za rękę i uniósł ją do ust. Kiedy ją puścił, mrugnął do mnie, obrócił się i wskoczył z powrotem na scenę.

- Dobranoc, przyjaciele! - Wziął gitarę i zszedł ze sceny przy entuzjastycznym aplauzie publiczności. Kurtyna się zsunęła, światła na sali rozbliły.

Publiczność wstawała z miejsc, a z nią moje dzieci, które śmiały się i żartowały. Phil wziął Scotta pod rękę i obaj zaczęli kpić na całego z serenady do ich starej matki.

Ja z kolei usiłowałam wrócić na ziemię i zacząć myśleć normalnie, lecz po minucie zdałam sobie sprawę, że cały czas się uśmiecham.

- Aż nie mogę uwierzyć, że śpiewał dla ciebie - odezwała się Molly, ponownie siadając. - O rany... - Najwyraźniej była pod wrażeniem, czego nie dało się powiedzieć o mnie, gdy zobaczyłam, jak ramię Spidera ponownie wpełza na jej barki. Zastanawiałam się, czy jest jakiś sposób, żeby na jego miejscu znalazł się Rio.

Ale Paxton też nie był mężczyzną dla mojej córki. Po prostu wolałabym, żeby spotykała się z kimś innym niż Spider. Z kimś pewniejszym, powtarzałam sobie, a Rio Paxton definitywnie do takich mężczyzn nie należał.

- Boże... jakież on miał oczy - odezwała się Renee z rozmarzeniem.

- I ten głos - Keely dodała tym samym tonem.

- Topnieję... - Renee westchnęła.

- Hej - Scott się naburmuszył.

- Och, przestań! - powiedziała na to, oburzona. - Urodziłam ci dzieci. Pozwól, że czasem sobie pofantazuję, dobrze? Po raz pierwszy od dobrych kilku miesięcy nie chodzę jak kaczka i nie jestem wykończona, pierwszy raz od tygodni nie drepczę w tę i z powrotem i nie zajmuję się dziećmi, cała w zasypce i wyplutym jedzeniu.

- No, ty debilu - wtrącił się Phil, denerwując go jeszcze bardziej. - Pozwól żonce pomarzyć.

- Marzyłabym, żebyś ty umiał tak śpiewać - odezwała się Keely.

- Phil? - Scott się roześmiał. - Ależ on umie śpiewać, wystarczy, że zacznie, a już wszystkie psy w okolicy wyją.

- Zastanawiam się, dlaczego zaśpiewał właśnie dla ciebie - spekulowała Molly.

- Jest piękną kobietą - odezwał się Spider, co niemal mnie do niego przekonało, zaraz jednak potem uświadomiłam sobie jego pobudki.

- Ze strony mamy nic mu nie grozi - ocenił Scott. - To już starsza pani. Nie jest jakąś tam zwariowaną fanką. Nie będzie czekała na niego przy wyjściu dla artystów.

- Ani rzucała majteczek na scenę - dodał Phil.

Szczęka mi opadła, popatrzyłam na synów i zapytałam się w duchu, kiedy stali się tak niewrażliwi, a potem policzyłam do trzech.

- Odczepcie się, proszę, od mojego wieku i mojej bielizny, chłopcy - obruszyłam się i dokończyłam ostatniego drinka, zagryzając go wisienką, żebym nie musiała mówić nic więcej.

Nie mieli zielonego pojęcia, co się naprawdę działo. Chociaż, prawdę mówiąc, ja sama nie byłam pewna, czy - jeśli w ogóle - cokolwiek się działo.

Już po kilku dniach od powrotu do domu odkryłam, że Mike też wrócił albo moje przywidzenia czy też mój obłęd wywołany żalobą. Coś powróciło. Z Tahoe przyjechałam dość późno, wzięłam długą kąpiel i wśliznęłam się do łóżka. Kiedy sięgałam ręką, żeby zgasić światło, ponownie zauważyłam, że zdjęcie zniknęło.

Sfrustrowana zamknęłam oczy. Przestraszyłam się, bo w głębi ducha myślałam, że od kilku miesięcy całkiem dobrze sobie radzę.

Czy znowu zaczynałam mieć zaburzenia umysłowe?

To wydawało się niemożliwe, bo dobrze spałam, byłam zdrowa i czułam się tak, jakby każdy nowy dzień niósł ze sobą jakąś obietnicę. Wstawałam rano z łóżka i robiłam to, co musiałam zrobić, wcale nie mając już ochoty na leżenie w betach i zakrywanie głowy kołdrą, jak to się działo przez długi czas. Wydawało mi się, że odzyskałam pełną kontrolę nad własnym umysłem.

Ponieważ sprawy zdjęcia i przywidzeń musiały tkwić w mojej głowie - nie ma czegoś takiego jak duchy - kto inny oprócz sprzątaczek mógł schować tę fotografię? A one nie miały do tego żadnego powodu. Już wiele miesięcy wcześniej wypytałam je o to, gdy zniknięcie zdarzyło się po raz pierwszy. Te kobiety pracowały dla mnie od lat i nigdy nie bawiłyby się ze mną w podobne gierki. Były kompletnie załamane, kiedy straciliśmy Mike'a.

Przez długi czas wpatrywałam się w szufladę szafki nocnej. Niewiele brakowało, żebym jej nie otworzyła. Ale otworzyłam. Zdjęcia tam nie było. Nie leżało również na podłodze ani za łóżkiem, ani za szafką. Teraz to była dla mnie konieczność, która zabrała mi kilka minut. Fotografię znalazłam w szufladzie toaletki, w której trzymałam trzy pozostałe koszule Mike'a.

Gdy patrzyłam w dół na szufladę, zrobiło mi się niedobrze, krew napłynęła mi do twarzy, serce zaczęło walić jak młotem, zanim rozejrzałam się po zupełnie normalnie wyglądającym pokoju. W poszukiwaniu czego?

Drzewo rosnące za oknem nie rzucało cienia.

Czy to możliwe, żeby on był tutaj?

- Mike? Błagam...

Nic. Musiało istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie. Postanowiłam znowu wypytać sprzątaczkę.

Dwa dni później wyszłam z pralni z wielkim koszem pełnym czystych rzeczy Mickeya i zobaczyłam męża siedzącego przy stole w kuchni.

Krzyknęłam, upuściłam kosz. Poukładane ubrania rozsypały się po podłodze. Kiedy podniosłam wzrok, już go nie było.

Krzesło stało puste. Wiedziałam już, że z tym, co się tu dzieje, sprzątaczkę nie mogą mieć nic wspólnego.

Chciało mi się rzygać. Te zwidy przyprawiały mnie o zawroty głowy.

Mike miał na sobie czerwony sweter w serek i koszulę w kratkę. Pamiętałam, że nosił je w ostatnie Boże Narodzenie, gdy biegał wkoło i robił zdjęcia nowym, bardzo dobrym aparatem cyfrowym, który dostał od Molly i chłopców. Za każdym razem, kiedy się człowiek obrócił, Mike stał za nim i cykał zdjęcia. Byłam wtedy bardzo zirytowana, słysząc godzinami „uśmiech, proszę”, i w duchu klęłam na czym świat stoi dużą pojemność gigabitową karty w aparacie.

Rzeczy, które miał na sobie tamtego dnia, przepadły i nie było ich już w domu od dawna. Usiadłam ciężko na pustym krześle i pomachałam ręką nad miejscem, gdzie przed chwilą siedział, bo wizja była taka realna - tak prawdziwa, że serce mi pękało.

- Mike? - wyszeptałam. - Mike, proszę... - Gardło zacisnęło mi się od łez, które piekły mnie w oczach. Nie mogłam oderwać wzroku od jego krzesła i po prostu siedziałam i patrzyłam w pustkę, płacząc rzewnie i beznadziejnie, a krótki oddech uniemożliwiał mi robienie czegokolwiek innego.

Myślę, że przydałaby mi się wtedy papierowa torba, w którą bym oddychała, ale nigdy wcześniej nie poddawałam się hiperwentylacji. Tkwiłam zatem na krześle, z trudem łapałam powietrze i szlochałam, spanikowana, aż w końcu udało mi się zrobić głęboki wdech.

I już wiedziałam. Nie wytrzymam tego dłużej. Musiałam sprzedać dom.

24

Nazajutrz rano maszerowałam energicznie w górę wzgórza, wracając do domu, gdy zobaczyłam zbliżającą się, znaną mi limuzynę, której przyciemnione okna zaczęły się opuszczać.

- Wskakuj. Jedziemy na śniadanie - powiedziała Ellie władczy tonem.

Zatrzymałam się i pochyliłam, żeby zajrzeć do środka. W samochodzie siedziały wszystkie dziewczyny, nawet Harrie, która jako jedyna nie trzymała koktajlu w ręce.

- Strasznie wyglądam.

- O tak nieludzkiej porze każdy strasznie wygląda - odparła Ellie, odrzucając do tyłu idealnie proste, równiuteńko przycięte ciemne włosy, makijaż miała nieskazitelny, a na sobie sportowe ubranie St. John oraz tenisówki od Prady, które jak przypuszczałam, wyśle potem Suki.

Ja z kolei ubrałam się w jasnoróżowe adidasy, czarne spodnie do jogi i podkoszulkę, a jasnozieloną wiatrówkę z logo Cantrell Sports miałam przewiazaną w pasie. Byłam spocona, czerwona na twarzy i zdyszana, bez makijażu i z włosami przypominającymi prawdopodobnie miotłę, w którą strzelił piorun.

Ellie otworzyła drzwiczki limuzyny.

- Daj spokój. Wsiadaj. Eugene zaparkował na dwóch miejscach. I tak szukałyśmy się przez dwadzieścia minut.

Wgramoliłam się do środka, a ona naląła mi koktajlu. Uniosłam do góry dłoń.

- Nie. Jest siódma rano. Właśnie skończyłam chód dla zdrowia, zalecony mi przez Harrie.

Moja lekarka i bliska przyjaciółka od dziesięcioleci trzymała w rękach wielki kubek z logo Starbucks.

- A co ty pijesz?

- Podwójną venti, waniliową latte bez cukru z chudym mlekiem.

- Posłuchaj mnie - odezwała się Ellie. - Jeśli wszystkie kobiety w tym mieście straciłyby jajniki, nasza doktor Harrie spokojnie znajdzie pracę jako baristka.

- Mowy nie ma - odpowiedziała Harrie. - Widziałyście, jakie są tam rano kolejki? Wołałabym zajmować się miednicami.

Eugene zakrztusił się i zaczął kasłać, a ja się roześmiałam, widząc przerażenie na twarzy MC.

- Masz. - Ellie podała mi szklankę zwykłego soku pomarańczowego. - Kiedy byłaś gruba, byłaś zabawniejsza.

- Ellie. March nie była gruba. - MC spiekła raka. Wypiłam połowę soku.

- Ma rację. Nie byłam chuda.

Niemniej przez ostatnie kilka dni byłam zupełnie wytrącona z równowagi. Po zobaczeniu Mike'a w kuchni zjadłam całe pudełko lodów pistacjowych Häagen Dazs. To przez te lody wstałam tak wcześnie i wyszłam pochodzić tego ranka.

Domyślałam się, że jedziemy do Sears na ich boskie naleśniki i kiełbaski z jabłkiem, bo zawsze jadłyśmy tam razem, bez nich też tam jadłam... Lody, naleśniki, kiełbaski.

Później, czując się jak Jabba the Hutt, odsunęłam talerz, na którym została połowa posiłku.

- Będę musiała znowu pochodzić, cholera. Choć może to lepsze od wracania do domu - przyznałam.

Spojrzałam na przyjaciółki i opowiedziałam im o swoich problemach.

- Mam halucynacje. Cały czas widuję Mike'a.

- Co rozumiesz przez widywanie go? - zapytała Ellie.

- Wchodzę do pokoju albo mimochodem podnoszę wzrok i on tam jest, przez sekundę. Te przywidzenia ustały już dawno temu, ale wczoraj znowu go widziałam, siedzącego w kuchni.

- Jak duch? A to dopiero! Chyba żartujesz - odezwała się Ellie. - Mówił do ciebie?

- Nie. Jego tak naprawdę tam nie ma. Tylko mnie się tak wydaje. Mózg płata mi figle.

- Mieszkaliście w tym domu oboje bardzo długo. Nic dziwnego, że wchodząc do pokoju, spodziewasz się go zobaczyć. - Harrie wzięła mnie za rękę. - Myślę, że to, czego doświadczasz, zdarza się bardzo często. Może z czasem to minie.

- Sama nie wiem - odpowiedziałam trochę za głośno.

- Widujesz go w innych miejscach, gdzie chodzisz, albo w domu w Tahoe? Widziałas go w czasie świąt?

- Nie - odrzekłam, uświadamiając to sobie po raz pierwszy. - Widuję go tylko w tym domu. Nigdzie indziej.

- Ja widziałam moją mamę w dniu, kiedy umarła - cicho powiedziała MC. - Stała w salonie. Wątpię, żeby mi się to tylko przywidziało. Słyszałam ją. „Żegnaj, kochana Maridare”. Wiecie dobrze, że tak mnie nazywała. I potem zniknęła.

Wszystkie spojrzaliśmy na MC.

Dłubała widelcem w resztkach naleśnika na talerzu.

- Nikomu o tym nie mówiłam.

- Świetnie rozumiem dlaczego. Myślałaś, że rozum ci odjęło. Przynajmniej ja mam takie wrażenie. Mike nie żyje. I wiem, że nie żyje. - Wypiłam łyk kawy. - I najprawdopodobniej znowu robię przez sen dziwne rzeczy, bo nasze wspólne zdjęcie cały czas gdzieś znika. Stoi na szafce nocnej i nagle jest w szufladzie. Nigdy nie schowałabym tej fotografii.

- Może to sprzątaczk.

- Rozmawiałam z nimi, kiedy zdarzyło się to wcześniej. Wątpię, żeby to były one. Nie mam pojęcia, co się dzieje, ale podjęłam trudną decyzję. Mam zamiar sprzedać dom.

- Jesteś gotowa do takiej decyzji, March? Należy do rodzaju tych najważniejszych - zapytała Harrie.

- Stawką jest moje zdrowie psychiczne.

- Ależ ty kochasz ten dom - odezwała się MC. - Ten dom zawsze był dla ciebie tym jedynym.

Miała rację. Kochałam ten dom. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że ktoś inny będzie mieszkał tam, gdzie spędziłam większość życia, gdzie dorastały moje dzieci. Byłam rozdarta między przywidzeniami i ogromem wspomnień - te pierwsze chciałam przerwać, te drugie chciałam zachować albo o nich zapomnieć.

- To chyba dobry pomysł. Zbyt wiele łączy cię z tym miejscem - oceniła rzeczowo Ellie.

- Jak twoim zadaniem dzieci na to zareagują? - zapytała Harrie.

- Dzieci? Nic nie wiedzą. Pomyślałam o tym dopiero wczoraj. Szczerze? Nawet mi oni nie przyszli do głowy. Boże... - jęknęłam głośno i ukryłam twarz w dłoniach. - To jedyny dom, jaki Molly i Mickey znają.

- Na ile znamy Molly, spodziewam się, że będzie wściekła jak cholera... gówniara - powiedziała Ellie.

- Ellie! - MC i Harrie krzyknęły jednocześnie.

- Cóż, to prawda - wymamrotała.

- Mickeyowi też pewnie nie spodoba się sprzedaż domu zaraz po tym, jak wyjechał na studia. Nie wiem teraz, co robić.

- Kiedy Mickey wraca do szkoły? - zapytała MC.

- Dziś po południu odwożę go na lotnisko.

- Pogadaj z nim, March - doradziła Harrie.

- Powie mi, że nie ma nic przeciwko temu, nawet jeśli będzie wręcz odwrotnie. Zgodzi się tylko dlatego, że jego zdaniem tego właśnie będę chciała. Jest bardzo opiekuńczy.

- Wybadaj go trochę. Zapytaj, jakie ma wrażenia, gdy po mieszkaniu w kampusie wrócił do domu. Czy dom wydaje mu się taki sam? - podsunęła Harrie. - Coś w tym rodzaju. Usłyszysz, jakie jest jego zdanie, zanim ostatecznie podejmiesz decyzję albo przynajmniej zanim powiesz im wszystkim.

- Chyba nie mogę już dłużej tam mieszkać. Kompletnie się rozsypuję.

- Mogłabyś zrobić remont - odezwała się MC. - Pozbyć się wszystkiego, co było wasze wspólne, i kompletnie zmienić wygląd tego miejsca.

- Myślisz, że duch Mike'a przestałby się pokazywać, gdybym zmieniła meble? - zapytała Ellie żartem, ale zaraz za to przeprosiła. - Jestem dzisiaj nie w sosie - dodała. Patrzyła na mnie przez chwilę i powiedziała: -

Wiesz, MC ma prawdopodobnie rację. Za każdym razem, kiedy się rozwodzę, remontuję cały dom. Zawsze potem czuję się lepiej. - Uniosła do góry dłoń, widząc, że inne chcą się odezwać. - Wiem, że rozwód to nie to samo co strata męża, ale to działa. Nowe otoczenie na pewno ci nie zaszkodzi.

- Coś w tym jest, March - przyznała Harrie. - Może przestaniesz go widywać, gdy pokoje przestaną wyglądać tak jak wtedy, gdy w nich mieszkał.

Tak więc moje postanowienie o sprzedaży domu trwało czternaście godzin. Zamiast tego po powrocie ze śniadania zadzwoniłam do dekoratorki. Chciałam zacząć od naszej sypialni.

W pokoju wielkości naszej głównej sypialni, gdy jest pusty, rozlega się okropne echo. Mój głos zdawał się odbijać od gołych ścian i drewnianej podłogi, jakbym krzyczała. Nie został w nim nawet jeden mebel, zaślony zniknęły, podobnie jak obrazy, a nawet dywan został zrolowany przez robotników z firmy przeprowadzkowej i wyniesiony do ciężarówki.

Dekoratorka przyniosła metrówkę, laptop, wydruki i portfolio z zamiarem, że wejdzie zaraz po wyniesieniu wszystkiego przez firmę przewozową, ale zatrzymała się w drzwiach.

- Jesteś pewna, że chcesz tych zmian, March? Pamiętam, jak bardzo ten pokój ci się podobał.

- Jestem absolutnie pewna - odpowiedziałam i wręczyłam jej klucze do domu i numer kontaktowego telefonu do mnie - przenosiłam się na jakiś czas do Tahoe.

Zaczęłyśmy zaledwie dwa dni wcześniej, gdy wróciłam ze śniadania z przyjaciółkami i zakomunikowałam jej, że chcę zupełnie przerobić sypialnię, i to od razu. Zawiozłam potem Mickeya na lotnisko i zanim dotarłam stamtąd do domu, ona zdążyła już umówić firmę przewozową na dzisiaj i przystąpiła do tworzenia projektu, który w założeniach pomijał kolory, użyte poprzednio.

Główna sypialnia miała być całkowicie przerobiona, ściany, całe wyposażenie wymienione, punkty świetlne zastąpione zupełnie nowymi. Wszystko miało być inne z wyjątkiem podłogi, kominka, który był tam od początku, oraz okien i drzwi.

Teraz, gdy w pokoju niczego już nie było, podejmowanie decyzji przychodziło mi łatwiej i wydawało się czymś właściwym, jakbym stała przed wielkim czystym płótnem z pędzlem w ręku. Czułam jedynie dziką wolność. Mogłam robić, cokolwiek zechciałam. Kiedy obracałam się powoli dookoła i patrzyłam na puste pomieszczenie, nic w nim nie kojarzyło mi się już z naszą sypialnią.

Niczym scenografia usunięta ze sceny po ostatnim przedstawieniu, to, co było tu wcześniej, wydawało się imitacją, czymś nierealnym i istniało tylko w mojej pamięci. Przepelniła mnie tak ogromna ulga, że aż usiadłam na twardej podłodze i rzewnie się rozplakałam.

A może to nie ulgę czułam. Może tak właśnie się pożegnałam.

Do Tahoe dojechałam, nie wiedząc, czy przed czymś uciekam, czy może odwrotnie, ku czemuś zmierzam. Początkowo myślałam, że pobyt w górach zapewni mi rodzaj spokoju. W górach, na śniegu, na dużej wysokości, odczuwałam zazwyczaj niczym nieskazoną bliskość z majestatycznością życia. Zjeżdżanie z największą prędkością ze szczytu mierzącego trzy tysiące metrów było sprawdzianem moich umiejętności kontrolowania sytuacji, techniki i równowagi. Jazda na desce zawsze sprawiała mi przyjemność i nie wykluczam, że dawała poczucie władzy. Teraz pozwalałam sobie na więcej, jechałam szybciej, ryzykowniej.

Wiele lat wcześniej powtarzano slogan - marnowanie umysłu to straszna rzecz. Cóż, mój umysł był najwyraźniej marnowany, bo kiedy postanowiłam jechać do Tahoe, wyobraziłam sobie świetlany obraz mnie samej w nowym wcieleniu na szczycie góry - trawersującej najważniejsze miejsca w naszym życiu i w ten sposób wymazującej przeszłość. Oczyszczająco. Uzdrawiająco. Czyli zaczynam wszystko od początku.

W którymś momencie jazdy do Tahoe policzyłam nawet w myślach, jaką część życia spędziłam w górach, i wyszło mi, skromnie licząc, ponad trzydzieści siedem lat, dwa tysiące pięćset dni jeżdżenia na snowboardzie w Heavenly Valley.

Teraz jednak, spędzając cały pierwszy dzień na stoku, nie odnajdywałam w górach spokoju. Samotna jazda była czymś innym. Brakowało mi kogoś, z kim mogłabym wymieniać się opowieściami przy lunchu. Nie miałam z kim dzielić dreszczu emocji i upadków. Po prostu nie było nikogo.

Uparcie próbowałam wykorzystać góry do otrząśnięcia się, ale po zjechaniu każdą trudną trasą, zarówno po stronie Kalifornii, jak i Nevady, po wykonaniu sztuczek, które byłyby sprawdzianem umiejętności kogoś o połowę ode mnie młodszego, przekonałam się jedynie, że jestem przerażająco samotna i wszystko, co robię, jest nieprzyjemnie inne.

Samotność, bezmierna i przepastna, wzięła mnie w swoje objęcia. Początkowo czułam się jak złapana w pułapkę innego wymiaru - jakbym stała przy szklanej ścianie, przytykała do niej ręce i patrzyła, jak cały świat mnie mija - zobaczyłam wszystkich. Stałam się muchą, która utknęła pomiędzy roletą a szybą okna.

Wokół siebie widziałam całujących się kochanków, na wyciągu i w czasie lunchu, żony i matki, nastolatków i małe dzieci. Kiedyś grałam wszystkie te role. Moje bajkowe życie przepadło bezpowrotnie, a ja zadawałam sobie pytanie, czy doznając teraz nowych doświadczeń jako starsza osoba, zawsze już będę traktowała je jako przypomnienie radości, które kiedyś były moim udziałem?

Depresyjna myśl. W tym momencie uświadomiłam sobie, że jednak zrobiłam jakiś postęp. Byłam pewna, że mam serdecznie dość powrotów do dawnego czasu i zmęczyło mnie już ciągle uzalanie się nad sobą i poczucie zagubienia.

Może przygotowywałam się do przegranej, bo jeszcze niedawno bardzo się bałam nowego życia, zostając sama po tylu latach wypełnionych ludźmi, ale w sumie pomogło mi to w odkryciu, że tak naprawdę nie wiedziałam, co ze sobą począć.

Jedna dobra rzecz wynikająca z wieku to doświadczenie, dzięki któremu mogłam bawić się myślami i pozwalać im się prowadzić. Wiedziałam, że człowiek najlepiej sobie radzi, kiedy przejmuje nad sobą kontrolę - nie daje się wciągnąć w wir samoużalania... Co powinnam zrobić?

Byłam sama. W porządku. Mike nigdy już nie wróci. I co teraz? Musiałam znaleźć własną drogę.

Ze szczytu góry, który tak dobrze znałam, ścieżki zbiegały zygzakami we wszelkich kierunkach - to tak wiele możliwości kryła dla mnie przyszłość. Zamknęłam oczy i na oślep wskazałam palcem miejsce na mapie zjazdów, wierząc, że Wielki Plan Wydarzeń zaprowadzi mnie tam, gdzie powinnam się znaleźć.

Postanowiłam jedno: będę codziennie metodycznie zjeżdżała z góry wszystkimi szlakami, a potem, już na dole, będę wymagała od siebie czegoś nowego - miał to być sprawdzian, który musiałam przeprowadzić sama, zupełnie sama.

Pierwsza próba, której się poddałam, była najłatwiejsza. Następnego wieczoru poszłam do kina. Siedzenie samej w ciemnej sali wydawało mi się do zniesienia i nie pomyliłam się. Zjadłam małe pudełko popcornu z masłem i obejrzałam uroczy film o nastoletniej dziewczynie, która odważnie decyduje się oddać swoje dziecko do adopcji. Kiedy patrzyłam na tę zbeletryzowaną historię, gdzie rodzina i przyjaciele w pełni akceptują sytuację, w jakiej znalazła się ta dziewczyna, i jej wybór, fascynujące okazało się dla mnie, jak bardzo zmieniły się obyczaje przez ostatnie dziesięciolecia.

Film zabrał mnie w przeszłość, do czasów, kiedy byłam w zaawansowanej ciąży i wychodziłam za męża, co graniczyło z łamaniem zasad moralności, podczas gdy dziś gwiazdy i celebrytki z dumą ogłaszają w brukowcach, że są w ciąży, a te, które mają dobre serca, sprzedają zdjęcia własnych dzieci na cele charytatywne, zanim ktokolwiek będzie mówił o ślubie.

Nawet Rio Paxton i jego modelka nie wzięli ślubu, ale nie wiedziałam przecież, jaka wtedy była ich sytuacja poza tym, że on musiał mieć około dwudziestu jeden lat, czyli był młody, i nie przypominam sobie, by jego syn trafił wtedy na pierwsze strony gazet.

Moi rodzice woleliby, żebyśmy z Mike'em zrobili wszystko we właściwej kolejności, zgodnie ze starą wyliczanką przy skakaniu na skakance:

*Najpierw miłość, potem wesele,
a potem March chrzci dziecię w kościele.*

Mimo że minęło tyle lat, pamiętam doskonale, jak bardzo byłam wstrząśnięta tamtego dnia po wyjściu z kliniki, gdy po raz pierwszy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Kolana się pode mną uginały, w głowie miałam zamęt. Nie wiedziałam, co czułam, oprócz zwykłego strachu, dlatego potrzebowałam trochę czasu, żeby pogodzić się z tym i uporządkować jakoś myśli, zanim powiedziałam o wszystkim Mike'owi.

Usiadłam pod tym samym drzewem, pod którym tak rozpaczliwie chciałam wziąć ślub w parku Golden Gate. To właśnie pod tym drzewem pogodziłam się z poczęciem mojego pierwszego dziecka i przyjąłam do wiadomości, że Mike będzie chciał się ze mną ożenić. Cała moja przyszłość zapuściła korzenie pod tym drzewem.

Zdarzało się, że przed ślubem czułam się nieswojo z powodu ciąży - nie z powodu rodziców, którzy zaakceptowali tę sytuację, chociaż ojcu zajęło to znacznie więcej czasu. Zdecydowałam się wtedy ignorować reakcje innych: szok, zakłopotanie, potępienie, i nadrabiając miną, starałam się być dzielna, choć w środku czu-

łam coś wręcz przeciwnego. Dużo kosztowało mnie udawanie, że niczego się nie boję, i złe traktowanie przez innych ludzi nie robi na mnie wrażenia.

Tamtego dnia w parku ustaliłam dla siebie jedno: dziecko było dla nas darem, a nie miernikiem moralności lub widocznym dowodem, że zrobiłam coś, czego powinnam się wstydzić. Kochałam Mike'a znacznie wcześniej, zanim nowe życie zaczęło się we mnie rozwijać. Nie zamierzałam pozwolić, żeby opinia innych ludzi miała wpływ na to wszystko, co było dobre w Mike'u, we mnie i w naszym dziecku.

Jako dwudziestolatka miałam wybujałe marzenia, które wydawały mi się absolutnie możliwe do realizacji. Wszystko, czego chciałam, czekało w zasięgu ręki i wystarczyło jedynie to wziąć. Miałam pewność siebie typową dla młodości. Małżeństwo i dzieci wydawały się czymś tak romantycznym, ale nie w tradycyjnym znaczeniu. Nie miało to nic wspólnego z wizerunkiem kury domowej z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Myślałam, że zrobimy to po naszymu. W nowy sposób.

Tylko my dwoje i dzieci w naszym własnym miejscu, z całą wolnością i wyjątkowością, jaką dawało nam San Francisco rozciągające się przed nami niczym gra planszowa z mojego dzieciństwa. Wierzyłam, że będziemy rzucali kostki, wybierali własne ścieżki, tak jak wybieraliśmy kolory pionków, gdy byliśmy dziećmi, a potem będziemy ciągnęli karty i przez cały czas zgarniali nagrody.

Biorąc pod uwagę, że zarówno małżeństwo, jak i macierzyństwo trafiło mi się niczym przysłowiowej ślepej kurze ziarno, miałam szczęście, nie tak jak wiele innych kobiet, kobiet podobnych do Suki. Mike i ja przetrzymaliśmy jakoś te wszystkie lata i wyszliśmy z nich zwycięsko, potrafiliśmy się pozbierać, gdy gra nie była fair i świat wydawał się walić nam na głowę. Oboje głęboko wierzyliśmy, że niezależnie od tego, jak ponury obraz malował się przed nami, wszystko dobrze się skończy.

Mike i ja po prostu pasowaliśmy do siebie i niemal od chwili, gdy się poznaliśmy w Fillmore, tworzyliśmy rodzaj rzadko spotykanego, nienaruszalnego partnerstwa. Wyzwania, którym stawialiśmy czoło, nie były sprawdzianami naszej miłości i wzajemnego szacunku, ale wspólnym braniem się z życiem za bary, żeby wychować dzieci i rozkręcić interes - firmę bazującą na czymś, w co nikt oprócz Mike'a nie wierzył. Ta firma była naszym polem walki.

I tak, tamte, początkowe, lata zaprzętały mi myśli, gdy wróciłam do domu z kina, stanęłam na frontowej werandzie i otrzepywałam buty ze śniegu - który zaczął padać, gdy oglądałam film - a potem, już w domu, powiesiłam palto, rzuciłam rękawiczki na stolik i od razu zadzwoniłam do Scotta.

- Wszystko w porządku, mamó? - zapytał zaraz po odebraniu telefonu. W jego głosie słychać było rodzaj paniki, typowej dla niego w minionym roku.

- Dzwonię jedynie po to, żeby porozmawiać z pierworodnym - oświadczyłam trochę poirytowana, gdyż ostatnimi czasy zbytnio przejmował się roztaczaniem opieki nade mną. Gdybym teraz zaczęła mu wyjaśniać, że film, który obejrzałam, cofnął mnie w czasie i sprawił, że miałam ochotę usłyszeć jego głos, uznałby pewnie, że jestem afektowana i niespełna rozumu. - Przysięgam, że mnie nie aresztowano.

Roześmiał się, a ja zapytałam go o rodzinę i interesy i tak pogadaliśmy sobie przez kilka minut.

- Dajesz sobie tam radę sama?

- Oczywiście - odpowiedziałam wesoło. - Właśnie śnieg się rozpadał, w górach było wspaniale, zjazdy są idealne. Gdyby popadało przez kilka dni, stoki byłyby jeszcze lepsze. Powinniście przyjechać.

- Tak wielu pracowników chce być na zawodach w przyszłym miesiącu, że przesunęliśmy tydzień wyjazdowy na koniec miesiąca, bliżej tej imprezy. Ale może Phil i ja jakoś się wyrwiemy. Molly nie może. Wylatuje w piątek, żeby spotkać się ze Spiderem na imprezie w Vermont.

Między nami zapadło milczenie.

- Powiedziałem coś, o czym się nie mówi, prawda? Wspomniałem imię, którego nie można wymawiać?

- Tracę poczucie humoru, jeśli chodzi o Spidera i twoją siostrę - przyznałam ponuro.

- Ona ma na imię Molly, mamó. Im bardziej będziesz się starała odciągnąć ją od tego związku, tym bardziej ona będzie chciała w nim zostać.

- Nie ma już siedemnastu lat. Myślałam, że wyrosła już z tego etapu rozwoju. - Przerwałam i wzięłam głęboki wdech. - Nienawidzę tego.

- Wiemy. Ona wie. Spider wie. Ukrywanie uczuć nie idzie ci najlepiej. Posłuchaj, jeśli dzięki temu trochę lepiej się poczujesz, myślę, że jemu na niej zależy.

- Jestem pewna, że w którymś momencie zależało mu na wszystkich kobietach, które rzucił. Co powinnam robić? Stać i czekać, aż się to zawali?

- Ona jest dorosła, mamó. Wszyscy popełniamy błędy. Ona też musi coś schrzanić w życiu.

- Ale jej się wydaje, że jest w nim zakochana, Scott.

- Niemniej myśli za siebie. I musimy to uszanować.

- Nic nie mogę na to poradzić. Chciałabym chodzić za nią krok w krok z rozłożonymi ramionami, żeby ją złapać, kiedy on ją rzuci.

- A skąd ta pewność, że ją rzuci?

- Jego dotychczasowe osiągnięcia. Trzy rozwody. Rozstania z młodzietkami starletkami i modelkami pokazywane w telewizji. Czy on nie brał udziału w takim durnym programie randkowym, gdzie dziewczyny musiały szczekać jak psy i głośno domagać się jego obecności?

Syn śmiał się ze mnie.

- To był przygłupi piłkarz, który został prezenterem telewizyjnym, a nie Spider. Grasz nie fair. On jest świetnym facetem.

- W to nie wątpię, tylko nie chcę, żeby spotykał się z moją córką, Scott. Twój ojciec też by tego nie zaakceptował.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że tato miał słabość do Molly. Nie przypuszczam, żeby na nią naciskał.

- Ale porozmawiałbyś ze Spiderem. Czy ty rozmawiałeś z nim o niej?

- Nie jestem tatą - odpowiedział Scott takim głosem, że teraz zaczęłam niepokoić się o niego.

- Stało się coś złego? - zapytałam.

- Nie.

Cisza zaległa między nami, zanim się odezwał:

- Chodzi o pracę, nie jestem po prostu pewny, czy podjąłem słuszne decyzje.

- Stało się coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Nie. Widzisz, staram się myśleć tak, jak myślałby ojciec, lecz bywają dni, kiedy zupełnie nie wiem, co robić. Tato zawsze wiedział, co robić. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Przepraszam, mamó. Jestem sfrustrowany, to wszystko.

- Możesz mi wierzyć, że ojciec nie zawsze wiedział, co robić. Nie spał całymi nocami i zastanawiał się, czy podjął słuszne decyzje. Zanim jednak nabrał doświadczenia, pomagał sobie intuicją. Zaufaj własnej intuicji, synku.

Coś jeszcze go gnębiło i pomyślałam, że może wyjechałam z miasta w nie najlepszym czasie. Ale widziałam przecież sprzedaż i zamówienia, wyniki finansowe. Pod tym względem sprawy wyglądały dobrze.

Niewykluczone, że powinnam porozmawiać ze Scottem sam na sam, kiedy tu przyjedzie. Został zmuszony do przejęcia wszystkiego w tak krótkim czasie, gdy wszyscy byliśmy pogrążeni w żałobie. Wejście w rolę głowy rodu stało się dla niego sposobem na poradzenie sobie ze śmiercią ojca, ale był młody i miał własną rodzinę. Brakowało mu doświadczenia Mike'a w wyważaniu decyzji. Zbyt wiele spadło na jego barki i teraz robiłam sobie wyrzuty, że tego nie zauważyłam.

- Nie martw się o Spidera i Molly, mamó - rzekł Scott, zmieniając temat.

- On ją skrzywdzi.

- Jeśli nawet, to ona jakoś to zniesie. Jest silna. Ja się o nią nie martwię. - Zawahał się, a potem dodał: - Bardziej martwię się o ciebie.

Ugryzłam się w język i nie odpowiedziałam, że martwi się nie o tego Cantrella, co trzeba, ale był taki przygnębiony, więc nie chciałam dołować go jeszcze bardziej.

Ani Phil, ani on nie zamierzali kiwnąć palcem w sprawie Molly. Nie chcieli rozmawiać z siostrą o Spiderze, a mając podpisany z nim kontrakt reklamowy, woleli się nie wtrącać, niezależnie od tego, jak bardzo mi na tym zależało. Może zachowywałam się nie w porządku, oczekując, że zajmą miejsce Mike'a.

- Wynajduję sobie zajęcia - powiedziałam mu, zresztą zgodnie z prawdą. - Dziś wieczorem byłam w kinie, w tym tygodniu wybieram się też na obiad do restauracji i planuję obejrzeć przedstawienie w kasynie. - Te punkty były na mojej liście przedsięwzięć, które chciałam podjąć sama, ponadto miałam zająć się drewnem do kominka, zjeść śniadanie w ulubionej restauracji Mike'a i iść na dansing - tylko jak iść na tańce w pojedynkę, z dala od zacisza mojego własnego domu i nie czuć zażenowania, naprawdę nie wiedziałam.

- W ciągu dnia jeżdżę - kontynuowałam. - Ale jeśli jutro śnieg będzie nadal padał, zostanę w domu. Tu zawsze jest coś do zrobienia. Mogę zejść na dół i ćwiczyć na Wii, żeby dać ci popalić, jak następnym razem się zobaczymy. Zawsze też mogę odwiedzić piwniczkę z winami, nalać sobie kieliszek i dopełnić go seven-up.

Roześmiał się. Drażniliśmy się z Mike'em bez przerwy, że z jego drogocennych win będziemy robili napoje chłodzące.

Wkrótce potem rozłączyliśmy się ze Scottem, a ja pomyślałam o starym zdjęciu, które widziałam na jego biurku - mój syn jako mały chłopiec idący w butach ojca - i zdałam sobie sprawę, jak bardzo się starał je wypełnić, co było dla niego zadaniem niewykonalnym. Zawiodłam go i to było powodem, dla którego stał się tak opiekuńczy wobec mnie, może zawiodłam wszystkie swoje dzieci, pogrążając się we wdowieństwie.

Wszystkie zmiany, które zupełnie wytrąciły mnie z równowagi, dotyczyły również moich synów, poza tym Scott wziął na siebie wszystkie obowiązki związane z firmą, a choć był bystry i ściśle współpracował z

Mike'em, nie dane mu było zbyt długo uczyć się od ojca. Aż do swojej śmierci Mike cały czas był arbitrem między chłopcami i dwoma oddziałami firmy.

Nic dziwnego, że Scott czuł się teraz zagubiony.

Chodziłam przez chwilę po pokoju, a potem położyłam się do łóżka z postanowieniem kontynuowania mojego planu nauczania się życia w samotności. Biorąc na siebie odpowiedzialność za własne życie, zdjęłabym brzemię z barków moich dzieci. Musiałam znaleźć sposób, by znowu poczuć się szczęśliwa.

Było dla mnie jasne, że dbanie o moje dobre samopoczucie nie jest obowiązkiem dzieci. Jeśli nauczyłabym się panować nad swoimi emocjami, odnalazła spokój i zadowolenie, to nie tylko udowodniłabym moim dzieciom, że ze mną jest wszystko w porządku, ale też może odwróciłabym od siebie ich uwagę.

26

Nazajutrz rano poszłam na śniadanie do knajpki, gdzie piekli gofry, które wszyscy uwielbialiśmy, i usiadłam przy stoliku dla dwóch osób. Zawsze zamawiałam tam sok pomidorowy i omlet z warzywami i awokado.

Kelnerka, która wyszła z kuchni i podeszła do mnie z tacą, postawiła przede mną sok. Odłożyłam gazetę.

- Przepraszam, ale zapomniałam zamówić dodatkowo śmietanę i salsę do omletu.

Wyraz jej twarzy był zagadkowy, gdy w dalszej kolejności postawiła na stoliku gofry z masłem orzechowym i bananami. Najwyraźniej zamówiłam ulubiony zestaw Mike'a.

- Coś nie tak?

- Nie - odpowiedziałam. - Przepraszam. Zapomniałam, co zamówiłam. Czy mogę prosić o trochę więcej kawy? - I nowy mózg, nieobciążony pamięcią.

Gdy kelnerka ponownie zniknęła w kuchni, zaśmiałam się cicho i pokiwałam głową nad tym, co robiłam. Gdzieś tam, w górze, Mike na pewno też się śmiał.

Kiedy wyszłam z restauracji kompletnie przejeżdżona, ze słodkim smakiem syropu klonowego i orzechowego masła w ustach, śnieg znowu na dobre się rozpadał, a odśnieżone pługami ulice pokrywały się świeżym, miękkim puchem. Nasz dom znajdował się z dala od głównej trasy, i tam śnieg zwykle padał obficie, ale mając napęd na cztery koła, przy niewielkim ruchu w ciągu tygodnia, ponieważ burza zniechęcała ludzi do wyruszania w drogę, dotarłam do domu, zanim zasy stały się naprawdę wysokie.

Na końcu podjazdu czekały na mnie dwa bezładne stosy drewna, tamaryszkowego i dębiny, które przywieziono przed moim powrotem.

Mając męża i trzech synów, przez lata wydawało mi się oczywiste, że zapas drewna do kominka zjawia się w jakiś cudowny sposób, ułożony w sztaple. Nie przyszło mi do głowy, że trzeba płacić dostawcy za ułożenie drewna, aż do tego pierwszego razu, gdy wróciłam z miasta i voilá! Oto miałam je przed sobą, wielkie stosy, czekające na ułożenie, ja zaś byłam sama i zdezorientowana.

Może część mojego problemu polegała właśnie na tym, że podobnie jak to drewno, zostałam rzucona na byle jaki stos, bez ładu i składu, i sama sobie blokowałam drogę naprzód.

Co gorsza, siedziałam po prostu z założonymi rękami i czekałam, czekałam, aż moje życie się zmieni, czekałam, czekałam i czekałam na wszystko, żeby samo zaistniało. Nigdy nie byłam aż tak pasywną osobą.

Kiedy stałam się tak zadowolona z siebie i tak łatwo akceptowałam świat? Kiedy przestałam być sobą? Zastanawiałam się nad tym, gdy weszłam do domu, przebrałam się, a potem odgarniałam śnieg z werandy i ścieżki prowadzącej do zadaszenia, gdzie składowaliśmy drewno.

Posiłkując się taczka z szopy, zaczęłam przewozić polana. Pracowałam ciężko wiele godzin, oddech mi zamarzał, traciłam powoli czucie w nosie, gdy popijałam z termosu gorącą kawę i ładowałam porąbane drwa. Zaczęłam zjeżdżać na miękkie śnieg i zostawiać za sobą wymyślne ślady. Zataczałam bezsensowne kręgi jedynie po to, by osiągnąć efekt pętli zostawianej przez koło taczki na śniegu. Nie potrzebowałam wiele czasu, żeby namalować cały pejzaż na podwórzu, podpisałam się nawet na dole i obok podpisu narysowałam stokrotkę, jak na lekcjach wychowania plastycznego w szkole, gdy miałam trzynaście lat.

Śnieg nie przestawał padać i graffiti na podwórzu znikają powoli, ale drewno pod dachem leżało ułożone w imponująco równe rzędy, przypominając mi, że takie było kiedyś moje życie, i budząc we mnie pragnienie, żeby i teraz tak wyglądało. Zabawiłam się w grę „co by, gdyby” z samą sobą i układałam każde polano jak kawałek puzzla.

Jeśli ułożę całe to drewno w idealne rzędy, wtedy moje życie znowu stanie się idealne.

Kiedy skończyłam, twarz miałam zeszywniałą z zimna, pod czapką i ubraniem byłam zupełnie mokra, mięśnie mnie bolały, ale poziom endorfiny nadal utrzymywał się wysoki. Zrobiłam kilka kroków do tyłu i spojrzawszy na sztapel, poczułam się wspaniale. Stan moich ud, które były teraz jak z gumy, przedstawiał się zgoła odwrotnie, więc powlokłam się do domu, żeby solidnie odpocząć w saunie i wziąć długą kąpiel. Stłumiłam potem wewnętrzną ochotę, by włożyć flanelową pidżamę o czwartej po południu, i zjadłam po prostu miseczkę zimnych płatków przy kominku.

Zamiast pidżamy włożyłam dzinsy i sweter, po czym zajęłam się przygotowaniem pełnego obiadu dla siebie. Tak dla nastroju puściłam płytę Deana Martina i śpiewałam razem z nim, podczas gotowania i nakrywania do stołu, nie zapominając o płóciennej serwetce w srebrnym kółku i otwarciu butelki dobrego czerwonego wina ze słynnej włoskiej winnicy. Podałam sobie obiad równie wykwintnie, jak to czyni szef kuchni z programu kulinarnego, i zasiadłam do stołu w kuchni, na którym postawiłam przystawkę z sałaty rzymskiej, rigatoni w sosie bolognese z dodatkiem wina Marsala i podwójnie opiekany chlebem czosnkowo-serowym.

Z ogromnego okna wykuszowego miałam wspaniałą widok na kotlinę Tahoe i welon z płatków śniegu (przypominających białe kropki na starej emaliowanej brytfannie mojej matki), jezioro stało się owalnym szarym ziarenkiem w oddali, otoczonym przez góry wyglądające jak cienie ostrza piły na krańcu burzy śnieżnej.

Od lat nie myślałam o tamtej starej brytfannie. Od jakiegoś czasu nie myślałam też o mamie, a kiedy ją wspominałam, tęskniłam za nią tak bardzo, że aż bolało. Nie wiem, czy May czuła to samo.

Siostra wyjechała studiować na jednym z prestiżowych uniwersytetów i została na Wschodnim Wybrzeżu. Już jako dziennikarka wyszła za fotografa z „National Geographic” i spędzała życie na podróżowaniu

po świecie, nigdzie nie zatrzymując się wystarczająco długo, by mieć dzieci, nigdy też nie spędzała świąt z rodziną.

Przed śmiercią Mike'a May kontaktowała się ze mną epizodycznie. Dzwoniła, dowiadywała się, że u nas wszystko w porządku, porozmawiała ze mną pięć minut i znowu przepadała na wiele miesięcy.

Powinam do niej zadzwonić. Kiedy ostatni raz ją słyszałam, wybierała się do Ameryki Południowej. Może mają tam pociągi i pięciogwiazdkowe hotele, ale wątpię, czy telefon komórkowy ma zasięg w okolicach Machu Picchu.

Dziwne, jak czas wszystko zmienia i moja doskonała, układna pod każdym względem starsza siostra, modelka z „Glamour”, oddaliła się od naszej matki, podczas gdy ja, zbuntowana i niedostosowana, zbliżyłam się do niej. Najsilniejsze więzi nawiązałam z matką mniej więcej w czasie, gdy urodził się Scott. Prawie od razu zrozumiałam, że dopiero oczekiwane macierzyństwo, a potem posiadanie własnych dzieci pozwoliły mi docenić i wczuć się w matkę, którą niesprawiedliwie, w zaślepieniu aroganckiej młodości postrzegałam jako staroświecką i beznadziejnie szarą.

Głos rozsądku i opanowanie podczas niemal każdej burzy, silny kręgosłup naszej rodziny... to właśnie moja matka. Kiedy dzieci były małe, całymi godzinami grałyśmy w kanastę. Nie grałam w karty od jej śmierci.

Za oknami zrobiło się zupełnie ciemno i nic już nie było widać. Pozmywałam naczynia i przeszłam do salonu, gdzie na kominku paliło się drewno, lizane czerwopomarańczowymi płomieniami; zgasłam światło i opadłam na sofę, podciągając nogi i sadowiąc się w rogu. Polana trzaskały i wyrzucały z siebie iskry.

Siedząc tam z kieliszkiem wina, oparłam głowę o poduszki i zamknęłam oczy. Jedynym dźwiękiem było bicie mojego serca.

Burza trwała przez następne dwa dni. Z powodu śnieżycy w górach i nazbyt krótkich przerw między kolejnymi nawałnicami synowie nie przyjechali na weekend. Molly wyjechała ze Spiderem (miałam zamiar popracować nad sobą, żeby zaakceptować tę sytuację), a Mickey z radością znowu znalazł się w kampusie, chodził na ulubione zajęcia z grafiki i miał własne plany - wypad w pobliskie góry i szaleństwo na desce.

Od czasu, gdy wyjechał na studia zeszłej jesieni, dzwonił do domu regularnie we wtorki i piątki. Przekonałam się, że słoneczne dni w Westwood stały się dla niego idealnym pretekstem do dobrej zabawy, zwłaszcza że miał góry w jednym kierunku i plażę w drugim.

Poniedziałkowy ranek wstał mroźny i pogodny. Jak okiem sięgnąć, widać było biały puch albo błękitne niebo. Wyszłam w zupełną ciszę, jaka zawsze panuje po śnieżycy. Co takiego usłyszałam od Rio? Dwadzieścia pięć procent dźwięków jest absorbowanych przez śnieg. Stojąc w śnieżnej głuszy, uświadomiłam sobie, że czuję się świetnie. Zapowiadał się cudowny dzień.

Stoki w Heavenly nie były zatłoczone i mknęłam po nich, jakby mi przypięto skrzydła. W czasie lunchu w schronisku spotkałam nawet starych przyjaciół, parę, którą znaleźliśmy z Mike'em od dwudziestu pięciu lat. Pod koniec dnia poszliśmy razem czegoś się napić i pojeść nachos w pobliskim gwarnym barze.

Wróciłam do domu kilka godzin później, obmyłam się, założyłam dzinsy i ciepły sweter, a potem poszłam do kuchni, żeby zjeść miseczkę lodów. Na automatycznej sekretarce pobliskiwało światelko, przypominające sygnalizację przed skrzyżowaniem. Nacisnęłam guzik odtwarzania.

Na małym wyświetlaczu zobaczyłam liczbę dwadzieścia dwa z czerwonych cyfr. Dwadzieścia dwie wiadomości? Serce podeszło mi do gardła.

- Cześć, March. Mówi Harrie. Dzwonię, żeby spytać, jak się czujesz. Oddzwoń, jeśli znajdziesz chwilę na rozmowę. Ciesz się śniegiem! - Nastąpiła długa przerwa. - Jeżeli chciałabyś pogadać, jestem tu.

- Cześć, mamó. Tu Scott. Tylko sprawdzam, jak się masz dzisiaj.

Potem byli Phillip, brat Mike'a z Vancouveru, Ellie, MC, May z Peru i nawet Molly. Słuchając, spojrzałam na kalendarz i miałam ochotę zwymiotować. Zupełnie zapomniałam albo wyparłam tę datę z pamięci. Dokładnie rok temu Mike miał wypadek.

Usiadłam na najbliższym krześle, a potem zadzwoniłam do dzieci, zapewniłam je, że świetnie sobie radzę i z każdym z nich porozmawiałam o ich ojcu, przypominałam im chwile, o których wiedziałam, że są dla nich wyjątkowe, że je rozśmieszą. Dopiero gdy miałam pewność, że z nimi wszystko w porządku, kończyłam połączenie.

Kiedy miałam to już za sobą, w głowie czułam kompletny chaos, myśli biegingi mi we wszystkich kierunkach. Stałam pośrodku domu, pogrążonego w ciszy i wiedziałam, że nie wytrzymam w nim ani chwili dłużej.

Pawie krzyczały, azteccy bogowie jęczeli z długich rzędów automatów do gry ustawionych niczym neonowe pionki domina, dzwonki ogłaszały najwyższą wygraną, śmiech podnieconej kobiety rozlegał się z jednego z zatłoczonych kątów. Kelnerki przemieszczały się, lawirując wśród gości kasyna, i wołały „Koktajle, napoje!”, znad stolików, gdzie temperatura gry była najwyższa, dochodziły pokrzykiwania mężczyzn, przesywające powietrze jak wystrzały ze śrutówki. Wokół mnie panował hałas, głośny, błogi, zgiełkliwy, cudowny gwar.

Przez mniej więcej pierwszą godzinę wygrałam w oczko kilkaset dolarów, potem przez dwie następne przegrywałam je na automatach ze śpiewającym Elvisem, a jeszcze później zaczęłam się nudzić.

W sali widowiskowej zespół z lat siedemdziesiątych zakończył już występ, dlatego usiadłam w pobliskim barze i piłam koktajl z tequili z trzema oliwkami, gawędząc z rozmownym barmanem, który chętnie częstował mnie dodatkowymi oliwkami.

Wcześniej, w ramach „testu samotnych wyjść do kasyna”, planowałam, że obejrzę występ magika, który miał się pojawić później w tym tygodniu, ale tego wieczoru muzyka zapowiadała się ciekawie. W poniedziałki nigdy nie było tu zbyt tłoczno, więc kiedy zaczął się występ o północy, usiadłam przy pustym stoliku w loży w najciemniejszym kącie, z nadzieją, że trochę się rozerwę. To mogła być dla mnie kolejna lekcja. Może też nauczę się pić w samotności.

Gdy występ dobiegł końca, wypiłam co najmniej trzy koktajle. Spojrzałam w dół na kolorowe wykałaczki do oliwek, tworzące na niewielkim stoliku stos przypominający kupkę bierek. Czas na taksówkę. Wokół mnie sala powoli pustoszała, zza opuszczonej kurtyny dochodziło pobrzękiwanie instrumentów, które zespół pakował po koncercie. Nie podniosłam się jednak od razu.

W końcu wstałam, ale sufit się zakołysał, a ja ciężko usiadłam z powrotem, zamknęłam oczy, żeby powstrzymać zawroty głowy, którą oparłam o skórzane obicie loży. W tequilowym oszołomieniu pomyślałam, że to nie był dobry pomysł.

Nie wiem, jak długo pozostawałam w takim stanie, i nie wykluczam, że chrapałam, kiedy wydało mi się, że słyszę swoje imię. Zamknęłam usta i przełknęłam, choć w gardle mi zaschło. Miałam wrażenie, że mój język to plac defilad dla oliwek nadziewanych pimento.

- March?

Nie musiałam otwierać oczu, bo dobrze znałam ten głęboki głos.

- Aha?

- Dobrze się pani czuje?

- Aha.

Cisza. Pstryk, pstryk, pstryk! Pstrykał mi palcami przed twarzą?

- Jestem tutaj - powiedziałam, marząc, by zostać tu, gdzie jestem.

- To ja, Rio.

- Wiem.

- Otwórz oczy.

- Nie mogę.

- Otwórz oczy.

Przytknęłam palec do ust i szepnęłam:

- Ciiiiii.

- Nie możesz tu spać. Ochrona cię wyprowadzi. Chodź. Pomogę ci wstać.

- Ja nie śpię.

- Daj spokój, kochana. Wstawaj.

Uśmiechnęłam się i uniosłam powieki. Twarz Rio znajdowała się o kilka centymetrów ode mnie. Był tak cholernie przystojny, że jego urodą można by oddzielić kilku facetów.

- Cześć - powiedziałam zachrypniętym głosem. Dlaczego brzmiał niczym u Marilyn Monroe?

- Wstawaj, kochana.

- W porządku. Ale tylko dlatego, że mówisz do mnie kochana.

W jego głosie słyszałam uśmiech, kiedy ponownie mnie przekonywał i otoczył ramieniem.

- Moja torebka. - Obróciłam się i niemal straciłam równowagę.

- Prrrr. Trzymaj się mnie.

- Nie jestem koniem - oburzyłam się.

- Wiem. Przepraszam. Wymknęło mi się. Co w głowie, to na języku.

- Język masz ze złota.

Usłyszałam, że się roześmiał.

- To znaczy złoty głos.

- Stój prosto. Sięgnę po twoją torebkę.

- Ale zapomniałam jeszcze o palcie.

- Masz numerki?

- W tylnej kieszeni. - Obróciłam się i poczułam, że dotyka mojego tyłka.

Wyciągnął rzeczony numerki.

Wziął mnie za ramiona i posadził.

- Zostań tu. Nie ruszaj się. Nie wychodź. Zaraz wrócę.

- Zdrzemnę się przez chwilę. - Odchyliłam głowę i ponownie zamknęłam oczy.

- March? Mam twoje palto. - Już wrócił.

- Dziękuję, ale śpię - odparłam, nie ruszając się. - Przedtem kłamałam.

- Musisz się podnieść, kochana. - Śmiał się.

Wzięłam głęboki wdech i pomyślałam, że jakoś powinnam się w sobie zebrać, więc jednym zamasy-
stym ruchem wstałam i od razu skierowałam się do wyjścia.

- Nie tędy - powstrzymał mnie, kładąc rękę na moim ramieniu i jednocześnie obracając mnie ku scenie.

- Potrzebna mi taksówka. O tam. - Odwróciłam się i wskazałam na frontowe drzwi do kasyna.

- Nie pozwolę ci samej jechać taksówką. Odwiozę cię do domu.

- W porządku - zgodziłam się, wzdychając na bezdechu i marszcząc czoło na dźwięk własnego głosu. -

Naprawdę mam głos jak Marilyn Monroe. - Zrobiłam kilka kroków. - *Happy Birthday, Mister President...* Masz
wystarczająco dużo lat, żeby wiedzieć, o czym mówię? Prawdopodobnie nie - sama odpowiedziałam sobie na
to pytanie. - Wiesz, co miałam na myśli?

- Jestem przekonany, że ty wiesz to z pewnością - odparł wesoło.

Całkiem sprawnie udało mi się wejść schodami na scenę, ale lepiej utrzymywałam równowagę, kiedy
Rio otaczał mnie ramieniem. Zerknęłam na niego do góry, gdy szliśmy zygzakiem za kulisami i korytarzem w
kierunku drzwi z czerwonym napisem „Wyjście”. Tej nocy miał na głowie granatową baseballówkę.

- Wolałam kowbojski kapelusz - powiedziałam.

- Założyłem ją do pokera. Zakrywa oczy, nie zwracając na to niczyjej uwagi.

Razem doszliśmy do tylnego wyjścia - wysoki mężczyzna, wyglądający na twardziela i obejmujący
mnie ramieniem, pachnący kawą i mówiący głosem, który kojarzył się z bardzo słodkim, kremowym deserem, i
ja. Na jego ramieniu wisiała moja wielka czerwona torebka.

- Czapkę masz w porządku, ale bardziej podoba mi się twoja torba - powiedziałam i jego śmiech był
ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam.

27

Obudził mnie snop jasnego światła i po raz pierwszy świadomie nabrałam powietrza. Śmierdziałam
tequilą. Jęknęłam, obróciłam się na brzuch, zakryłam poduszką głowę, w której mi dzwoniło z bólu, jakbym
miała w niej tysiące kościelnych dzwonów. Pościel wydawała się jedwabista w dotyku - miałam na sobie tylko
stanik i majtki - i niejasno pamiętałam, że w środku nocy ściągałam niewygodne dzinsy i porozciągany sweter,
które potem rzuciłam gdzieś na podłogę.

Nawet teraz, choć głowę rozsadzał mi kac, byłam całkowicie świadoma, że nie leżę we własnym łóżku.

Rio Paxton.

Przybranie pozycji siedzącej wymagało sporego wysiłku, zanim mogłam skoncentrować wzrok na otoczeniu. Przetarłam oczy z pulsującymi powiekami. Naprzeciwko mnie w ścianie było ogromne okno, przez które wpadało jasne, żółte, słoneczne światło, przebijające się przez pociemniałe niebo, zapowiadające kolejną śnieżycę. Na zewnątrz domu grube zwały zbyt białego śniegu sięgały części szyb.

Przesunęłam się. Widok był zdumiewający. Dech zaparła mi południowa panorama rozciągająca się przede mną: chmury, wznoszące się białe szczyty Sierra, krągławe pasma pogórzy w Nevadzie i całe kilometry pokrytej śniegiem prerii w północnej Nevadzie, przerywane jedynie w dali ogrodzeniami i z rzadka pojedynczym drzewem.

Złote promienie słońca były jedynym żywszym kolorem, wszystko inne wyglądało jak w oczach Anselada Adamsa: było czarne, szare i białe.

Sądząc po charakterystycznym ukształtowaniu terenu, domyśliłam się, że jestem na ranczu, o którym Rio wspominał, gdy siedzieliśmy na wyciągu. Okapy nad oknami o ostrych łukach na górze wykonano z prawdziwego cedru, wykończono je ciemnozielonymi listwami. Dostrzegłam, że ściany są z drewnianych bali, a kiedy spojrzałam bardziej w prawo, zobaczyłam płaską ścianę z kamieni, najprawdopodobniej tył kominka znajdującego się w sąsiednim pokoju. Dom był długi i najwyraźniej kończył się nagim kamiennym dziedzińcem, którego róg widziałam. Moje wyobrażenie „domu na ranczu w Sparks w Nevadzie” okazało się dokładnym przeciwieństwem tego, w którym byłam. To miejsce wyglądało na wielki, zbudowany z rozmachem, uroczy dom.

W pokoju, na brzegu długiej toaletki wykonanej z sosnowego drewna, leżały moje dżinsy i sweter ładnie złożone, a biały kąpielowy szlafrok położono - jakże zapobiegliwie - w nogach ogromnego sosnowego łóżka o czterech okazałych, z grubą ciosanych kolumnach. Ku mojej wielkiej uldze otwarte drzwi po drugiej stronie pokoju ukazywały przyległą łazienkę. Zczołgałam się z łóżka i włożyłam szlafrok.

Kilka minut później oparłam się rękami o marmurowy blat w łazience i mrużąc oczy, popatrzyłam na ohydłą prawdę oddawaną przez wielkie lustro. Na białkach miałam siatki żyłek przypominające mapy samochodowe, a zagniecenia pościeli odcisnęły mi się na policzku. Wyglądałam na to, kim byłam: kobietą w średnim wieku, która poprzedniej nocy za dużo wypila.

W apteczce stała ogromna butelka excedrinu, jakie kupuje się w hurtowniach, wzięłam zatem trzy tabletki, a potem grzebałam w zawartości koszyka pełnego niewielkich pudełeczek z hotelowymi czepkami pod prysznic, miniszamponów, mydełek, balsamów do ciała, maszynek do golenia, buteleczek z płynem do płukania ust, minitubek pasty do zębów i z całą paczką bardzo kolorowych szczotek do zębów.

Długo brałam gorący i cudowny prysznic, a kiedy skończyłam, w głowie przestało mi pulsować i zmyłam z siebie tequilowy pot i smród, zaczęłam pachnieć czystością, staroświeckim lawendowym mydłem z motelu. Camay, chyba tak się nazywało. Twarz bez makijażu nie była już taka obrzmiała, ale mocno zaróżowiona od gorącego prysznica i wilgotna od warstwy kremu Nivea. Po porządnym wytarciu kilkucentymetrowych blond włosów, przeczesanych potem palcami, znowu stałam się prawie podobna do człowieka.

Drewniana taca zjawiła się w cudowny sposób na brzegu łóżka, ze szklanką soku pomarańczowego i kubkiem gorącej kawy, z namalowanym na nim tańczącym, czerwonym łosiem. Na samoprzylepnej karteczce obok była wiadomość napisana męskim charakterem pisma:

Serce zaczęło mi mocno bić w sposób, jakiego nie chciałam analizować. Zastanawiałam się, co mam mu powiedzieć - oprócz podziękowania. Oczywiście jakaś część mnie była straszliwie zawstydzona, bo tak bardzo się upiłam, ale to już przeszłość i powinnam o niej zapomnieć, podobnie jak o lunchu z margaritą, który tak bardzo wkurzył Molly Nic już na to nie mogłam poradzić - nie da się cofnąć życia.

Zdrowy rozsądek, który najwyraźniej ostatnio traciłam, podpowiadał mi, że w pierwszej, dość niezręcznej chwili powinnam jakoś sobie poradzić. Wypiłam łączywie sok pomarańczowy, a potem sączyłam kawę.

Ostatni raz nosiłam majtki na lewą stronę, kiedy linie lotnicze zgubiły mi bagaż. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że dzinsy są wyprane, miękkie i czyste, i przy tym ładnie złożone. Kaszmirowy sweter też wyglądał na odświeżony i uprasowany, pachniał płynem do zmiękczenia tkanin.

Wyszłam z sypialni i ruszyłam korytarzem, przemknęłam obok dwóch kolejnych sypialni i wielkiej biblioteki z regałami z ciemnego drewna i ogromnym kominkiem z kamieni.

Okazały, pięknie urządzone, jakoś tak po męsku, pokój miał wielkie, ręcznie kute lampy z miedzi o kwadratowych abażurach z juki, kinkiety z miedzi i kutego żelaza, drewniane, inkrustowane stoły i gigantyczny zestaw wypoczynkowy obity skórą, jakiej używa się na siodła, ustawiony pośrodku pomieszczenia na importowanym dywanie w kolorach złota, zieleni i czerwieni.

Szybko zerknęłam na korytarz i weszłam do tego pokoju.

Jedyna ściana wolna od regałów z książkami była wyłożona boazerią, na jej środku wisiał oryginalny remington. Na półce nad kominkiem stała antyczna przeszklona gablota z parą bardzo starych pistoletów.

Kiedy rozglądałam się po pokoju, podobało mi się to, co widziałam. Wśród książek na półkach nie dostrzegłam klasyki oprawnej w skórę ze złotymi tłoczeniami, którą ludzie stawiają w domowych bibliotekach na pokaz.

Na półkach Rio były prawdziwe książki, zaczytane, o połamanych grzbietach, porwanych okładkach, w broszurowej oprawie, autorów, których rzeczywiście się czyta - całe serie popularnych pisarzy: Ludluma, Hailya, Shawa i Mitchnera, Wilbura Smitha, Pattersona i McMurtry'ego, Grishama i Cusslera. Książki McCarthy'ego, Vonneguta i Phillipa Rotha stały obok długich rzędów starych broszurowych westernów i kryminałów, i grubych tytułów fabularyzowanej historii. Zobaczyłam ustawione razem wszystkie tomy Harry'ego Pottera, ale też półkę z poezją, klasyczną i współczesną.

Na końcu korytarza ujrzałam wejście do kuchni, ale żeby do niej dojść, musiałam przejść przez niewielką część ogromnego salonu, mającego prawdopodobnie dziewięć na dwanaście metrów, o suficie z belek, z barem i oknami od sufitu do podłogi. Łupkowa podłoga była podgrzewana.

Usłyszałam głos Rio, mówiącego coś w kuchni, gdy znalazłam się parę kroków od niej, więc przywołałam uśmiech na twarz i weszłam.

Opierał się swobodnie o kamienny blat. Miał mokre włosy. Był ubrany w sprane dzinsy, długie nogi skrzyżował w kostkach. Stał bosy. Nagle poczułam się mniej skrępowana.

Pił kawę z drugiego kubka z tańczącym łosiem i rozmawiał przez telefon. Jego głęboki głos pobrzmiewał powagą, ale podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się, wskazując mi jednocześnie stół z desek opartych na krzyżaku, przy którym stały tapicerowane krzesła o wygodnych, wysokich oparciach, nakryty do śniadania. Był tam i sok pomarańczowy, i metalowy dzbanek z kawą. Stół nakryto na dwie osoby, z podkładkami pod talerze w kolorze identycznym jak tapicerka i adamaszkowymi serwetkami w odcieniu czerwieni i starego złota. Nawet szklanki do soku były bursztynowe.

Rio Paxton miał najwyraźniej wspaniałego dekoratora i sprawną gosposię. Uniosłam ceramiczną pokrywkę naczynia w kształcie sosnowej szyszki.

Jajecznica ze szpinakiem, świeżymi pomidorami i serem.

Rio miał również kucharza.

Usiadłam przy długim stole, z dala od kolejnego kominka, w którym płonęły polana, trzaskając i iskrząc, i sprawiając, że w kuchni było aż za ciepło. Nalałam sobie soku pomarańczowego.

Rio skończył rozmowę o interesach - coś o usterce w sprzęcie nagrywającym - i odłożył telefon.

Słyszałam, jak krew pulsuje mi w uszach, a chwila krępującej ciszy, jaka zaległa w kuchni, była dowodem, że nie ścigaliśmy się, kto odezwie się pierwszy.

Postawiłam kubek na stole.

- Muszę panu podziękować za to, co pan dla mnie zrobił zeszłej nocy. Właściwie, dlaczego nie mówimy sobie po imieniu, skoro wczoraj to nam nie przeszkadzało? Jestem naprawdę okropnie zawstydzona. Byłam taka pijana. - Odwróciłam wzrok. - Chyba niewiele mogę powiedzieć na swoją obronę poza tym, że wczoraj przypadła rocznica bardzo, bardzo niedobrego dnia.

Popatrzył na mnie z zaciekawieniem, a potem podszedł do stołu, dolał sobie kawy i dopełnił mój kubek.

- O niektórych rzeczach nie chce się pamiętać - dodałam głosem, którego nie lubię.

- Tłumaczysz się przed niewłaściwą osobą, kochana. Wczorajsza noc w porównaniu z moją przeszłością to niewinna wizyta w barze.

Objęłam kubek dłońmi.

- Próbujesz poprawić mi samopoczucie.

Roześmiał się, a potem rzekł:

- Na dowód mam wycinki z brukowców, a smutne jest to, że nie wiedzieli nawet połowy.

Przypomniałam sobie stare artykuły o jego hulankach, o traceniu kontroli nad sobą, demolowaniu pokoi hotelowych. Dochodziło do bójek w barach. W wiadomościach pokazywali jego zdjęcia. Ale to było dawno, dawno temu. Mężczyzna, na którego patrzyłam, zdawał się nie mieć nic wspólnego z tamtym, nie-równoważonym młodziakiem. Prawdę mówiąc, był jego przeciwieństwem.

Sama dolałam sobie więcej kawy, podczas gdy on jadł kawałek bekonu.

- Naprawdę śpiewałam *Happy Birthday, Mister President!*

- Naprawdę. Całą drogę przez parking, gdy szliśmy do mojego wozu - odparł ze śmiechem. - I bardzo ładnie śpiewałaś.

- Powinieneś wsadzić mnie do taksówki.

- Kochana, nie potrafiłaś powiedzieć mi, gdzie mieszkasz, z wyjątkiem tego, że mam skręcić w prawo z Grade, więc taksówkarzowi chyba też by ci się nie udało tego powiedzieć. Ale dzięki temu wiem teraz, że od szosy dwieście siedem odchodzi co najmniej dwadzieścia pięć prywatnych dróg i podjazdów, bo wszystkie sprawdziliśmy. Jęknęłam.

- Nasza droga jest tuż za słupkiem kilometrowym, po prawej stronie. Ale trudno go zobaczyć, gdy jest tyle śniegu. Zwykle wieszamy niewielką niebieską flagę na drzewie, niestety, zapomniałam to zrobić. - Przerwałam na chwilę. - Naprawdę bardzo cię przepraszam za ten kłopot.

- Żaden kłopot. Poza tym spałaś całą drogę.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Cóż, przynajmniej nie śpiewałam.

- Pewnie ci się wydaje, że sporo wypiałaś, ale powinnaś wiedzieć, że barman lał ci podwójnie. Znam Nicka. Kiedy cię zauważyłem, zapytałem go, co piłaś.

Spojrzałam na niego, zaskoczona.

- Nic dziwnego, że tak się skatowałam.

- Dwa razy więcej gorzały za te same pieniądze. Przypuszczam, że jego zdaniem robił ci przysługę.

- Dobry Boże, na pewno nie zrobił jej tobie. Jakim cudem miałam tyle szczęścia, że się tam pojawiłeś?

- Grałem w pokera z kumplami i wychodziłem przez salę widowiskową. Zawsze parkuję na prywatnym miejscu z tyłu kasyna. No i cię zobaczyłem, głośno chrapiącą w rogu na końcu sali.

- Jak to dobrze się stało, że mnie zauważyłeś. Jego długie milczenie sprawiło, że skrzywiłam usta.

- Och, Boże... - Oparłam głowę na dłoniach. - Chrapałam, prawda?

- Nikt się o tym ode mnie nie dowie - odpowiedział, unosząc do góry rękę i z trudem zachowując powagę na twarzy. - Słowo harcerza.

Roześmiałam się.

- Byłeś harcerzem?

- Nie. Należałem za to do koła naukowego. Hodowałem cielaki i woziłem je na wystawy i pokazy. W każdym razie przez kilka lat, zanim muzyka i imprezowanie stały się celem mojego życia. No i lepiej, że to ja cię znalazłem, a nie ochroniarze.

- To prawda. W zeszłym roku już raz mnie aresztowano. Moje dzieci dostałyby szału - przyznałam i podniosłam wzrok, a potem machnęłam ręką. - To długa historia.

Siedział naprzeciwko mnie, z wyciągniętymi przed siebie długimi nogami. Wypił łyk kawy i rzekł:

- Cóż, mamy cały dzień i wieczór, i prawdopodobnie jutro na wzajemne opowieści. Drogi są zamknięte, zbliża się następna śnieżycy, więc rozgość się u mnie na dobre.

W chwili gdy dotarła do mnie treść jego słów, żołądek mi się zacisnął, a serce zaczęło walić jak młotem. Zdałam sobie sprawę, że się pocę. Włosy stały się mokre na skroniach, twarz miałam rozpaloną i zaczerwienioną.

Zrzuciłam to na karb płonącego ognia i kaca, ale kiedy spojrzałam w jego jasnoniebieskie oczy, miałam to samo wrażenie, że się rozpuszczam, jak wtedy, gdy siedział blisko mnie i śpiewał.

- Szach i mat.

Rio bez trudu wygrał ze mną w szachy trzy razy, ale za to ja wygrywałam w warcaby.

- No dobra, wystarczy. Poddaję się. Nie został mi nawet ślad po ego.

Wykrzywiając się w uśmiechu, Rio wstał i przeciągnął się, a potem przykucnął przed kominkiem i podsycił ogień, pomagając sobie pogrzebaczem. Za oknami śnieg padał nieprzerwanie, widać było jedynie kilka cieni w dali i białe płatki, jakby w niebie trwała walka na poduszki.

Znowu popatrzyłam na niego.

- Mogłeś pozwolić mi wygrać choć raz. Spojrzał na mnie przez ramię.

- Myślałem, że lubisz wyzwania.

- Lubię, ale bardziej lubię wygrywać - odpowiedziałam, chowając szachy do szuflady. Graliśmy przy uroczym antycznym stoliku do gry wykonanym z różanego drewna, w rogu salonu, naprzeciwko wspaniałego fortepianu, pomiędzy oknami a kominkiem, blisko baru.

Jedno spojrzenie na ten stół wystarczyło, żebym zaczęła mu zazdrościć tego zestawu, począwszy od nóżek zakończonych szponami trzymającymi kule, a skończywszy na obitych brunatnoczerwoną skórą fotelach, które miały kółka, obracały się i bujały do tyłu. Kiedy zwróciłam uwagę na te meble, powiedział mi, że pochodzą z klubu dla mężczyzn w Nowej Anglii, gdzie trafiły prawdopodobnie z Wielkiej Brytanii. Podejrzywałam, że przy tym stoliku często grano w pokera, zwłaszcza że bar znajdował się o kilka kroków.

- Jesteś mi winien coś na pociechę po zdeptaniu mojej dumy. Opowiedz najlepszą historię, której nikt nie słyszał.

- Wygląda na to, że wspominając ci o komentarzach z brukowców, obudziłem stare duchy.

Roześmiałam się.

- Opowiedz mi coś śmiesznego.

- Pomyślmy... wydaje mi się, że najlepsza jest opowieść o wyczynie mojej byłej żony. - Uśmiechał się, ale wzrok miał spuszczone i byłam pewna, że myślał o tamtych czasach z żalem. - Niełatwo było wtedy ze mną żyć. Właśnie wróciłem z trasy, po niezłym balangowaniu, nachlany, i zignorowałem ją. Pokłóciliśmy się, wyszedłem z domu i nie wracałem przez trzy dni. A kiedy wreszcie się pojawiłem, padłem na łóżko i straciłem przytomność. Krista już tak miała tego dość, że przez wiele godzin igłą z nitką zszywała pościel nade mną i pode mną. Kiedy się obudziłem następnego dnia, byłem zaszyty w pościeli.

Wybuchnęłam śmiechem.

- To zabawne. Musiała naprawdę się rozżłościć.

- O, tak, ale była dobrą kobietą i zasługiwała na kogoś lepszego ode mnie. - Pokręcił głową. - Piękna, o ślicznym głosie. Krista śpiewała chórki dla Reby McEntire. Związek ze mną jej nie służył. Wyszła za mnie, chcąc więcej, niż wtedy mogłem jej dać. Mama właśnie mi umarła i pogubiłem się. Ożeniłem się z nią z powodów, jakimi w ogóle nie powinienem się kierować.

- Współczuję ci.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Po dwóch latach małżeństwa chciała uciec jak najdalej ode mnie i estrady. Od piętnastu lat jest żoną adwokata, ma gromadkę dzieciaków, chłopców, i myślę, że wychowa ich na lepszy materiał na mężów niż ja.

- Ja mam trzech synów i córkę. A pochodzę z rodziny, gdzie były same dziewczynki, moja starsza siostra i ja. Wychowywanie chłopców bardziej przypomina próbę zapanowania nad żywiołem. Przysięgam, że w chwili, gdy wydałam ich na świat, byli gotowi skakać na meble, odbijać się od ścian, włączyć na sufit i przerażać mnie na śmierć. Mike miał brata, więc rozumiał rywalizację i bójki między naszymi synami. Moi chłopcy byli odkrywcami i naprawdę robili sobie nawzajem różne świństwa. Przez kilka lat wydawało mi się, że nie opuszczamy pogotowia ratunkowego, bo ciągle trzeba było zakładać szwy i gipsować połamane kości.

Opowiedziałam Rio kilka zabawniejszych historyjek o synach i mojej rodzinie, a on robił wrażenie, jakby chciał usłyszeć więcej o chaosie i żywiołowości licznej rodziny, zwłaszcza takiej z silnymi osobowościami, gdzie różnica wieku między najstarszymi dziećmi była niewielka.

- A teraz?

- Mickey jest na pierwszym roku UCLA. Wydaje się zadowolony, ale zawsze był towarzyski. Moja matka mawiała, że dla niego wszyscy są znajomymi. Dwóch starszych się ożeniło. Jeden ma dzieci. Prowadzą firmę i czasami próbują wtrącać się w moje życie. - Zamilkłam, niezbyt pewna, z jakiego powodu przyznałam mu się do tego.

Najwyraźniej zastanawiał się nad tym, co powiedziałam.

- Przypuszczam, że mogłem być taki sam w stosunku do mojej mamy. Mężczyzn uczy się opieki nad matkami. Może teraz, gdy zabrakło ich ojca, tym poważniej traktują ten obowiązek.

- Wiem. - Patrzyłam na własne dłonie. - Wszystko wskazuje na to, że od pewnego czasu wszyscy bardziej się o siebie nawzajem martwimy.

- Opowiedz mi o córce.

- Och, Molly... Molly... Gdzie powinnam zacząć? - Szukałam odpowiednich słów. - Molly była oczkiem w głowie tatusia od chwili urodzenia.

- Przypuszczam, że owinęła go sobie wokół małego palca.

- Tak myślę. Zresztą Mike był dobry dla wszystkich dzieci. Bracia Molly twierdzą, że terroryzowała ich i zmuszała do posłuszeństwa.

Rio się roześmiał.

- Byłem jedynakiem. Tylko ja i mama. Chyba chciałem mieć siostrę, a może nie.

- Molly to utalentowana dziewczyna. Zajęła się fotografią, skończyła UCLA, już od dziecka ma wspaniałe oko i jest zadziwiająco fotograficzką.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie jej reakcji, gdy któregoś dnia zabrałam ją do parku Golden Gate i pokazałam, jak działa soczewka i światłomierz.

- Jej wzrok zawsze przyciągały najsubtelniejsze rzeczy, takie, których reszta świata zdawała się w ogóle nie dostrzegać. Wszyscy uznali, że oszalałam, kiedy kupiłam bardzo drogiego nikon dla dziesięciolatki. Ale ja wiedziałam, że tak będzie dobrze dla niej i nie dała mi nawet jednego powodu, żebym kiedykolwiek tego żałowała. Pracuje w Stone Morgan, agencji reklamowej prowadzącej marketing dla naszej firmy. Przez to poznała Spidera Olsena. Robiła zdjęcia do reklam.

- Twoja córka to ta ruda, która siedziała z Olsenem.

- Zauważyłeś ją.

- Tamtego dnia próbowałaś mnie z nią wyswatać, jeszcze zanim wiedziałaś, kim jestem. No i, kochana, poza kolorem włosów, wygląda dokładnie jak ty.

- Wszyscy to mówią. Jestem strasznie zadowolona, że ma włosy po mojej matce.

- Kiedy powiedziałaś, że twoja córka umawia się z kimś starszym, pominęłaś milczeniem fakt, że chodzi o Spidera Olsena.

- Wiem... wiem... To dlatego, że od kiedy ten mężczyzna spotyka się z Molly, wolę myśleć, że on w ogóle nie istnieje.

- Z jakim skutkiem dla ciebie?

- Nie za dobrym - powiedziałam i roześmiałam się. - Chyba będę musiała się z tym pogodzić.

- Przypomnij mi, ile ona ma lat?

- Dwadzieścia cztery, prawie dwadzieścia pięć. Jesteś nią teraz zainteresowany?

- A chciałabyś tego, znając moją przeszłość? - Uśmiechnął się i oboje znaleźliśmy odpowiedź na to pytanie.

- Nie - odparłam ze śmiechem. - Ale żyję po to, żeby zatruwać życie moim dzieciom i żeby je chronić. Zapytaj ją. Ona ci to potwierdzi.

- Jak już wspominałem, jest dla mnie za młoda i wygląda na zbyt zaangażowaną.

Jęknęłam i oparłam czoło o wewnętrzną stronę dłoni.

- Tego się właśnie obawiam... że jest zbyt zaangażowana. Rio wstał i wyciągnął ku mnie rękę.

- Chodź. Śnieg przestał padać. Oprowadzę cię po tym miejscu. Z wdzięcznością przyjąłam możliwość przerwania rozmowy o Molly i Spiderze Olsenie. Podałam mu dłoń, a on pociągnął mnie za sobą przez kuchnię, korytarzem, na tyły domu, aż do wielkiego przedpokoju z kamienną posadzką, oddzielną łazienką i pralnią, zakończonego drzwiami prowadzącymi na zewnątrz.

- Będiesz ich potrzebowała. Śnieg jest głęboki - powiedział i wręczył mi wysokie buty na po nartach. Moje palto, czapka i kaszmirowy sweter wisiały na wieszaku.

Tuż za zadaszeniem rozciągała się otwarta równina pokryta świeżym śniegiem, przerywana jedynie wystającą gdzieś skałą lub fragmentem drewnianego płotu, a dalej stała wielopiętrowa budowla, wyglądająca na stajnię, z dwoma niższymi budynkami po obu stronach.

Śnieg był głęboki i brnęliśmy przez niego razem, w mroźnym powietrzu nasze oddechy zmieniały się w kłęby białej pary. Rio prowadził mnie, trzymając za rękę w rękawiczce.

Otworzył drzwi stajni i rzekł:

- Oprócz stajni mam tutaj studio nagraniowe i biuro. - Wskazał na jeden z bocznych budynków. Była to mniejsza wersja domu i stajni - z kamienia, drewna i szkła. - To w pełni wyposażony dom dla gości. Artyści i muzycy mogą mieszkać w obu domach.

Weszliśmy na górę, gdzie znajdowały się trzy pomieszczenia biurowe, ostatnie i największe z szerokim biurkiem recepcji ze lśniącego wiśniowego drewna i obitymi skórą wołową fotelami wokół stołu konferencyjnego. Jedna ściana była tam w całości przeszklona i odsłaniała przed patrzącymi widok na północne równiny i wznoszące się nad nimi szczyty gór Sierra, teraz zupełnie białe od śniegu.

- To twoje biuro - powiedziałam z rodzajem podziwu, podchodząc do szerokiego okna i podziwiając widok zapierający dech w piersi. Uśmiechnęłam się do siebie, obróciłam i oparłam od niechcienia o kredens. - Kiedy mówiłeś mi o ranczu, wyobraziłam sobie drewnianą chatę z gankiem, ogrodzone pastwiska i niewielką oborę. Tak, raczej coś takiego.

- Myślisz, że moje ranczo jest lepsze od jednorodzinnego domku? - zapytał i roześmiał się. - Nie przetrwonilem wszystkich pieniędzy, tylko reputację i karierę piosenkarza.

- Tylko to przetrwonileś, co?

Śmiał się dalej, a ja uświadomiłam sobie, że jestem odprężona i całkiem łatwo mi to przyszło. Miałam doskonały nastrój. Dobrze było nie być sobą, matką, March, na którą patrzyłam dzień po dniu, zranioną kobietą, której odbicie widziałam w lustrze i której widoku miałam już serdecznie dość.

Sądząc po nagrodach, plakietkach i dyplomach na pergaminie oprawionych w ramki i wiszących na ścianach, nie było wątpliwości, że odniósł ogromny sukces jako producent muzyczny. Nie miałam pojęcia, ile platynowych i złotych płyt sprzedał, ale sama miałam ich kilka. W grze „Co masz w iPodzie?” przynajmniej dwa z wyprodukowanych przez niego albumów byłyby na topie listy u większości ludzi.

Zaprowadził mnie do studia, które wyglądało jak ośrodek dowodzenia NASA, a potem, żartując, wepchnął mnie do kabiny nagraniowej.

- Usiądź - powiedział. - To będzie zabawne.

- Och, tak... zabawne, jak kanałowe leczenie zęba. Nie słyszałeś, jak śpiewam.

- Ależ słyszałem - odparł, zamykając drzwi.

- Nie słyszałeś, jak śpiewam do mikrofonu! - krzyknęłam za nim. - Dzieci nie pozwalają mi nawet zbliżyć się do urządzenia do karaoke.

Rio był już w pokoju nagrań. Przez szybę widziałam, jak coś naciskał.

- Zaśpiewaj coś - powiedział przez system nagłośnienia.

- Będiesz tego żałował - ostrzegłam i usłyszałam własny głos w głębiach systemu mikrofonowego.

- No dalej, kochana.

Siedząc na stołku przed profesjonalnym mikrofonem, zrobiłam głęboki wdech i zaśpiewałam lekko chropawo, a cappella, *Happy Birthday, Mister President*, czym go rozśmieszyłam. Kiedy skatowałam tę piosenkę, jak zdaniem Phillipa katowałam wszystkie piosenki, Rio zawołał mnie do pokoju nagrań, dzięki czemu mogłam patrzeć, jak dodawał podkład, miksował i zmieniał ścieżki, a gdy puścił nagranie, nie rozpoznałam własnego głosu.

- Czegoś takiego potrzebuję do karaoke - powiedziałam, zdumiona, kręcąc się radośnie w wielkim skórzanym fotelu i przyglądając się jednocześnie masie elektronicznego i cyfrowego sprzętu zgromadzonego w pokoju. - Dzięki czemuś w tym rodzaju nie zawstydzalabym dzieci i nie kompromitowałam siebie.

Wyszliśmy. Rio zaprowadził mnie do samej stajni, w pełni funkcjonującej, z boksami, z własnym wyposażeniem weterynaryjnym i dentystycznym dla koni. Duma w jego głosie, gdy pokazywał mi to miejsce, była czymś, co znałam. Po latach mieszkania z mężczyznami, z Mike'em i synami, aktywnego uczestniczenia w rodzinnym interesie i rozumienia go, nabrałam przekonania, że większość mężczyzn definiuje samych siebie po-

przez własną pracę, mierzy swoje sukcesy i porażki w kategoriach pracy i zawodu, zupełnie inaczej niż robią to kobiety.

Nie wiem, czy mnie to onieśmielało, czy budziło mój podziw, pewnie jedno i drugie po trochu. W postawie Rio nie było chępliwości ani wynoszenia się ponad innych. Co więcej, dzielił się ze mną entuzjastyczną miłością, jaką żywił do tego, czego dokonał, pozwalając mi wejrzeć w duszę prawdziwego Rio Paxtona. Bliskość między nami, która dzięki temu powstała, obudziła we mnie ciepłe uczucia, których nie potrafiłabym wyjaśnić i, szczerze mówiąc, nie chciałam się nad nimi zbyt długo zastanawiać. Byłam po prostu samotna...

Dziesięć minut później, śmiejąc się tak, jak od dawna mi się to nie zdarzyło, siedziałam na tylnym miejscu skutera śnieżnego, z czapką naciśniętą mocno na głowę, i obejmowałam ramionami Rio w pasie, z dłońmi wsuniętymi do kieszeni jego kurtki obszytej futrem, gdy mknęliśmy przez otwarte pola z nietkniętym śniegiem. To była przejażdżka mojego życia, skręcaliśmy pod ostrym kątem, zataczaliśmy kręgi, rysowaliśmy ósemki, silnik warczał jak oszalały i pędziliśmy tak szybko, że musiałam przycisnąć głowę do ramienia Rio i trzymać się, jakby od tego zależało moje życie.

Przejechaliśmy jak wariaci po kilku niskich wzgórzach, po torze przeszkód, jak je nazywał, wjeżdżaliśmy pod górę i pędziliśmy w dół, i w poprzek zbrocza na bardziej stromych stokach, zanim zakręcił i zabrał mnie z powrotem tą samą trasą, tylko szybciej, by na ostatnim wzgórzu, które pokonywaliśmy, osiągnąć największą prędkość.

Bez zwalniania choćby na chwilę przelecieliśmy nad szczytem, ja piszczalam i śmiałam się, na wpół przerażona, nie wiedząc, co miał zamiar zrobić dalej. Nigdy nie przypuszczałam, że można się tak świetnie bawić na skuterze śnieżnym: wszystkie te podjazdy i zjazdy, pęd i niespodziewane zwroty beztroskiej jazdy były cudowne.

Kiedy zbliżaliśmy się do domu, przystanął obok ławki prawie całkowicie zakrytej śniegiem, zbudowanej pod rozłożystym, samotnym dębem na wzniesieniu, skąd rozciągał się widok na wzgórza i góry.

- To zdumiewająco piękne - szepnęłam.

- Postawiłem tę ławkę dokładnie tutaj, bo to moje ulubione miejsce. Stała tu, zanim jeszcze powstały budynki. Kiedy źle mi się dzieje albo zapominam, kim jestem, przychodzę do najlepszego miejsca, o jakim można pomyśleć, miejsca, skąd widać pola, góry i niebo, ich ogrom. Siedzenie tu przypomina mi o tym, jaki jestem maleńki wobec stopnia skomplikowania świata, i o tym, że moje problemy, jakiegokolwiek by były, są nawet jeszcze mniejsze.

Chłonełam jego słowa i widok, który mnie otaczał. Rozumiałam go.

- Widzę, jak bardzo może to być inspirujące. Czy tu przychodzą ci do głowy pomysły na muzykę?

Pokręcił głową i odparł cicho:

- Tu przychodzą do mnie słowa.

Żadne z nas nie powiedziało już nic więcej. Pomyślałam, że moglibyśmy tam siedzieć godzinami i nie odezwać się do siebie. Było to jedno z tych miejsc, gdzie dwojgu ludziom wystarcza jedynie to, że są razem, miejsce, które można dzielić między sobą, coś pięknego bez słowa.

To samo milczenie ogarnęło nas w drodze powrotnej do stajni. Czułam się cudownie, wyciszona po całych godzinach świetnej zabawy i nie miałam nic do powiedzenia. Nic nie musiało być głośno wypowiedzane.

Około trzystu metrów od domu stanęliśmy. Skuter śnieżny utknął, bo Rio próbował przejechać przez zbyt wysoką zasne. Zaklął pod nosem, oparł stopę o ziemię i walczył z silnikiem, aż ruszyliśmy ponownie. Stanożczo za szybko. Rio i skuter pomknęli do przodu.

Beze mnie.

Leżałam plackiem na plecach w śniegu i wpatrywałam się w ciężkie, szare, śniegowe chmury na niebie nade mną. Zaczynało padać, płatki spadały mi na twarz.

- March!

Usłyszałam skrzypienie śniegu pod jego butami, kiedy biegł do mnie. Zamrugałam powiekami, gdy znalazł się nade mną w zasięgu mojego wzroku.

- Nic ci się nie stało? - Był naprawdę zaniepokojony i dlatego nie zauważył garści śniegu, którą nagle rzuciłam mu prosto w twarz.

Roześmiana, odtoczyłam się na bok, ale zaraz mnie dopadł i leżał na mnie, krzycząc, że „się do mnie dobieże i zapłacę mu za to”. Śmiejąc się, wpychał mi policzki w śnieg, a ja ciskałam śniegiem na niego, gdzie się dało, najczęściej na twarz i uszy. Tarzaliśmy się niczym dwa szczeniaki labradory, aż krzyknęłam: - Podda się! - I naprawdę się poddałam, on zaś przyszpilił mnie do śniegu swoim długim ciałem, leżącym na mnie.

Nasz śmiech ustał, a ja znalazłam się w poważnym kłopotie, patrząc na niego do góry, czując rzeczy, o jakich nie myślałam, że będę je czuła do niego, gdy nasze oddechy krzyżowały się we wspólnym rytmie. Przesunęłam spojrzenie z jego oczu na usta i wtedy zupełnie zapomniałam o oddychaniu. Cisza szybko przemieniała się w coś innego, potężną falę emocji, napiętych między nami jak struna gitary.

Zapomniałam już, jak to się dzieje między mężczyzną i kobietą, kiedy mężczyzna patrzy na ciebie, dając jasno do zrozumienia, że cię pragnie, a ty topisz się jak śnieg pod ciepłym ciałem. Chciałam tego. Chciałam, żeby tak na mnie patrzył, lecz coś we mnie powtarzało, że mam problem i robię coś złego.

Z drugiej strony nie byłam w stanie myśleć, gdy patrzył na mnie w taki sposób. Miałam ochotę zażartować i zepsuć tę chwilę, ale otworzyłam usta i wszystko, co się z nich wydobyło, ograniczało się do jego imienia.

28

Rio wciągnął mnie po prostu za sobą do domu przez frontowe drzwi, zatrzasnął je, przycisnął mnie do nich swoim ciałem. Wziął moją twarz w obie dłonie, obrócił ją ku swoim ustom i w tym momencie zamarł, jego spojrzenie się zmieniło, wzrok mówił, że uświadomił sobie, co się dzieje. Wpatrywał się we mnie z nateżoną uwagą.

- March... przepraszam. - Odsunął ode mnie ręce, wziął głęboki wdech i cofnął się, lekko kręcąc głową.

Przepraszał mnie. Nie chciałam przeprosin. Chciałam jego. Nagle nic poza tym nie miało znaczenia, ani wiek, ani czas czy cokolwiek. Oddychałam szybko i czułam przerażającą pustkę, gdy nie stał blisko mnie.

- Nie powinienem tego robić - rzekł. - Przywiozłem cię tutaj, żebyś była bezpieczna. Nie po to. Nie jestem... - Przerwał, szukając nieporadnie słów. - Posłuchaj. Nie chciałbym cię wystraszyć.

Wyciągnęłam ręce, chwyciłam w garście poły jego kurtki z owczej skóry i przyciągnęłam go do siebie.

- Kto się boi?

Wyjęczał moje imię i pochylił głowę, aż nasze wargi się spotkały, jego język lizał moje usta. Smakował kawą i mężczyzną, a ja byłam tak bardzo wygłodniała tych smaków.

- Pragnąłem tego. Chciałem cię tak bardzo, że aż bolało - powiedział tuż przy moich ustach, trzymając mnie jednocześnie władczo za tył głowy.

- Ja też - wyszeptałam, wzdychając. - Ja też... - Moje słowa ucichły.

Zapłonęliśmy razem jak pożar w lesie, szybki, gwałtowny i intensywny. Rozpinaliśmy sobie nawzajem ubrania, on na wpół ciągnąc mnie za sobą. Rozbieraliśmy się wzajemnie po drodze.

Koszula poleciała tam. Sweter tu. Spodnie zostały odpięte, suwaki się rozsunęły. Mój stanik zniknął. Jego ręce znalazły się w moich dzinsach na moich nagich pośladkach. Uniósł mnie do góry, przytulając do siebie, siedł do tyłu, nie przerywając pocałunku. Znaleźliśmy się na łóżku, szarpiąc się przy zrzucaniu butów i ściąganiu dzinsów, dotykając się nawzajem, smakując skóry, ust, ciała.

Pozbycie się ubrań było bardziej niezdarne niż wspólnota naszych ciał - ta nastąpiła w sposób naturalny, instynktowny i żywiołowy.

Minęło tyle czasu. Myślałam, że nigdy już nie będę tego doświadczała, ust mężczyzny na mnie, we mnie, intymnie. Namiętności tak potężnej, że nie pragnęłam już niczego, tylko żeby nie przerywał, żeby wypełniał mnie jak najgłębiej i ruszał się nade mną i we mnie, kołysał mną, aż osiągnęłam ekstazę, której doświadczyliśmy oboje. Takiej jazdy nie przeżyje się na żadnym skuterze śnieżnym ani w parku rozrywki... jakby wszystkie gwiazdy wszechświata roztańczyły się we mnie, a ja frunęłam i frunęłam, i byłam w pełni świadoma, że nie jestem z mężczyzną, z którym kiedyś tak się kochałam. To Rio Paxton zabierał mnie w tę podróż.

Przez całą noc i następny dzień padał śnieg, a potem śnieżycą przesunęła się dalej. Wyjechały pługi śnieżne, drogi zostały oczyszczone, ale ja nie wróciłam do domu w Tahoe jeszcze przez trzy dni. Dobrze się czułam u Rio, gdy byłam w jego ramionach i jego łóżku, i w jego wannie spa, i pod jego prysznicem, na dywanie przed kominkiem i przy blacie w kuchni.

Gorzej się czułam, kłamiąc dzieciom, a zwłaszcza synom, do których dzwoniłam regularnie z komórki. Po uprzednim sprawdzeniu automatycznej sekretarki i poczty głosowej łączyłam się z nimi i gadałam jakby nigdy nic, utrzymując w tajemnicy moje życie w górach. Nie chciałam też, żeby się o mnie martwili, bo o śnieżycach nad Tahoe było głośno w lokalnych wiadomościach.

Jak do tej pory wszystko dobrze się układało.

Z jednej strony sypialni Rio znajdował się pokój do muzyki, miejsce, gdzie pisał piosenki. Od początku dał mi jasno do zrozumienia, że mogę wchodzić wszędzie w całym domu. Więc kiedy któregoś dnia poszedł wcześniej do biura, a ja się nudziłam, postanowiłam tam zajrzeć. Były tam dwa miękkie fotele, rząd gitar na metalowych stojakach, na podłodze orientalny dywan i piękny fortepian czarny jak heban.

Usiadłam przy fortepianie i zagrałam nuty nabazgrane ołówkiem na papierze nutowym. Na ławie leżał otworzony notes. Wzięłam go i przeczytałam zapisane w nim słowa, linijki kolejnej piosenki o złamanych sercach i straconej, a potem odnalezionej miłości, o mężczyźnie, który nie potrafił jej znaleźć. Piosenki Rio przypominały wiersze, słowa miały głębię, były naznaczone strachem.

Momentami, gdy czytałam jakąś zwrotkę, musiałam przerwać i głęboko odetchnąć. Robiło mi się smutno na sercu i bardzo współczułam mężczyźnie, który poznał ten rodzaj bólu, i było dla mnie zupełnie jasne, że Rio jak mało kto potrafił oddać słowami mroczne emocje i czystą radość miłości.

Wyczułam jego obecność i podniosłam wzrok. Stał w cieniu przy drzwiach, oparty o framugę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i patrzył na mnie. Nie miałam pojęcia, od jakiego czasu tam był, a wyraz jego oczu zaniepokoił mnie do pewnego stopnia.

To wszystko było dla mnie takie nowe. Wpadłam w pułapkę najróżniejszych uczuć... nie chciałam znowu pokochać mężczyzny, ale zaczynałam zdawać sobie sprawę, że się zakochałam.

Wiedziałam też, że on zaczyna mnie kochać, bo wcale tego nie ukrywał. Powiedział to wprost. I nie chciałam skrzywdzić mężczyzny, który wcześniej wiele cierpiał.

Czy naprawdę mogłabym zacząć wszystko od nowa? Czy to możliwe, żeby czekał mnie początek czegoś nowego?

Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że powinnam się od tego odwrócić, i to jak najszybciej, bo nie miałam pojęcia, czy to, co ze mnie zostało, wystarczy dla kogoś, by mnie kochać. Ale nie ruszyłam się. Nie mogłam uciec, gdy spojrzałam na niego i zobaczyłam, że patrzył na mnie tak, jak patrzył.

Pragnęłam jedynie podbiec i wpaść mu w ramiona, a nie od nich uciekać.

Coś równie wszechmocnego jak dłoń Boga przytrzymało mnie w miejscu - i to spojrzenie kowboja. Odłożyłam notes.

- To cudowne słowa, bardzo klarowne. Opowiedz mi o tej piosence.

- Jest o kobiecie, która swoją miłością leczy złamane serce mężczyzny.

Przysiadł obok mnie na ławie przy fortepianie, zaczął grać i śpiewał z pamięci słowa, które napisał. Kiedy skończył i zagrał ostatnią nutę, oparłam mu głowę o ramię, przez minutę niezdolna do spojrzenia na niego, bo płakałam. Moje imię znalazło się w tej piosence.

Uniósł mi głowę za podbródek, żeby zobaczyć moją twarz.

- To wszystko dzieje się tak szybko - powiedziałam.

- Bo tak już jest w życiu. Poszczególne elementy układanki muszą trafić na swoje miejsce. Nie myśl zbyt wiele o tym, co jest między nami. Nie kwestionuj tego, kochana. Pogódź się z tym i pozwól mi się kochać.

Usiłowałam nie myśleć, jak mam wytłumaczyć dzieciom istnienie Rio Paxtona. Wcześniej nie zastanawiałam się nawet, jak mogłabym powiedzieć im, że chodzę na randki. Oddzieliłam od siebie po prostu te dwie sfery mojego życia, co nie było trudne, kiedy mieszkałam w domu w Tahoe. Łgarstwo stało się moim przyjacielem. Niemówienie dzieciom wszystkiego dawało mi swobodę widywania Rio, odkrywania się z nim nawzajem, i stwarzało mojemu sercu drugą szansę.

Wychodziliśmy razem, dwa razy jedliśmy obiad w restauracji i raz byliśmy w kinie. Coraz więcej wiedziałam o tym, kim był, jak myślał. Dowiadywałam się o nim rzeczy ważnych i błahych. Wołał wrzucać do popcornu całe pudełko rodzynek w czekoladzie zamiast masła, wybierał w kinie miejsce w samym środku sali i nie uznawał napojów gazowanych.

Ponownie zabrał mnie na przejażdżkę skuterem śnieżnym. Było to coś, co polubiłam niemal tak bardzo jak jazdę na desce i tym razem każde z nas jechało na własnej maszynie. Ścigaliśmy się po polach zasłanych śniegiem. Obiecał mi, że kiedy śnieg stopnieje, będziemy robić to samo na koniach.

Przy najbliższej okazji zatem nadmieniłam mimochodem, że nie umiem jeździć konno.

- Nauczysz się. Ty masz to we krwi, March. Z tego, co widziałem, w ogóle dobrze jeździsz i wiem, że potrafisz niezłe zaciskać te czarujące uda - powiedział i wyprzedził mnie ze śmiechem.

No dobrze, pomyślałam, każdy mężczyzna, który używa słów „czarujące uda” z czasownikiem „zaciskać”, gdy mówi o moim ciele, jest facetem dla mnie. Ale prawda o moich emocjach nie miała nic wspólnego z czarującymi udami, za to mnóstwo z tym, co do mnie mówił, z tym, czego się o nim dowiedziałam, i zwykłą radością, jaką przy nim czułam, i z namiętnością, jaka zaistniała między nami, która zdawała się coraz silniejsza i głębsza, i z cudownymi wrażeniami, jakie miałam, gdy mnie kochał, i poczuciem bezpieczeństwa, jakby nic nigdy nie mogło mnie już skrzywdzić, kiedy on trzymał mnie w ramionach.

Nazajutrz śnieg w górach wydawał się idealny, więc spędziliśmy cały dzień po stronie Nevady w Heavenly, razem zjeżdżając z góry na deskach. Dochodziła czwarta po południu, gdy weszliśmy do schroniska na kieliszek wina. Siedzieliśmy przy dwuosobowym stoliku, kiedy jakiś cień zwrócił moją uwagę.

Spostrzegłam starych przyjaciół naszej rodziny, Baileyów.

- March?

Szybko wyjęłam dłoń z ręki Rio.

- Linda. Jeff. Jak miło was widzieć. - Wstałam i uścisnęliśmy się, a potem zapadło krępujące milczenie. Jak miałam przedstawić Rio? Czy znali jego nazwisko? Myśli kłębiły mi się w głowie niczym płatki śniegu w czasie śnieżycy.

Rio wyciągnął rękę i wymienił uścisk dłoni z Jeffem.

- Jestem Rio Paxton - rzekł bez zająknięcia.

Jeff rozpoznał go, zanim usłyszał jego nazwisko. Rozmawialiśmy zażenowani przez kilka minut. Spytałam o dzieci: ich syn przyjaźnił się ze Scottem w liceum, a córka nadal widywała się z Molly.

Wkrótce jednak skończyły się nam tematy, a Baileyowie wyszli. Wpadłam jednak przedtem na doskonały pomysł, by odegrać scenę, dzięki której odnieśli wrażenie, że ja i Rio jesteśmy jedynie znajomymi.

Patrząc w zamyśleniu za nimi, napiłam się wina.

- No dobrze - odezwał się Rio, odstawiając kieliszek. - To nie było dla ciebie łatwe.

Pomyślałam, że dla niego było to jeszcze trudniejsze.

- Nie wiedziałam, co powiedzieć - przyznałam, czując, jak żołądek zaciska mi się ze wstydu. Czy byłam zakłopotana?

Odchylił się w krześle i spojrzał mi prosto w oczy.

- Musimy coś postanowić, jak się zachowywać wobec przyjaciół.

- Przepraszam. Masz pełne prawo być na mnie zły. Byłam okropna.

Roześmiał się.

- Zaskoczyli cię, gdy byłaś na to nieprzygotowana.

- Tak myślisz? - bąknęłam bez przekonania, bardzo z siebie niezadowolona. Napiłam się więcej wina.

- Zdradziło cię kompletnie wypłoszone spojrzenie.

- Nie usprawiedliwiaj mnie. Powinieneś się na mnie złościć.

- Dlaczego? Rozumiem, March. Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe. Byłaś żoną Mike'a przez trzydzieści lat.

- Trzydzieści lat? - Te słowa zjeżyły mi włosy na karku. Spojrzałam na jego twarz i zdałam sobie sprawę, że drażnił się ze mną. Roześmiałam się jedynie, bo co innego mogłam zrobić?

Rio milczał przez minutę. Wpatrywał się w kieliszek z winem, a ja nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy.

- Czy to, kim byłem, jest dla ciebie problemem? Czy różnica wieku między nami?

- Rio, kocham to, kim jesteś, i nie obchodzi mnie twoja przeszłość. Już dawno nie zostało po niej nawet śladu.

- Nie. Nadal trwa w ludzkiej pamięci.

- A mnie to guzik obchodzi. Dzięki temu, przez co przeszedłeś, stałeś się dobrym człowiekiem. Taki jesteś teraz. Kocham to w tobie i żałuję jedynie, że nie potrafisz tego sobie wybaczyć. - Przerwałam. Starłam się dobrze dobrać słowa. Nie chciałam, żeby mnie źle zrozumiał. - Kiedy jestem z tobą, nie myślę o naszym wieku. Ale szczerze? W tamtej chwili pomyślałam.

- I teraz się nad tym zastanawiasz?

To, co usłyszałam w jego głosie, powiedziało mi, że nie mogę już dłużej się wstrzymywać. Poczułam, jak bardzo jest bezbronny. Rozplakałam się, gdy ponownie spojrzałam na niego.

- Kocham cię.

- Och, kochana... - Pokręcił głową, uśmiechnął się lekko, trochę się odprężył.

Wstał i pociągnął mnie za sobą. Wziął mnie w ramiona.

- Chodźmy stąd - powiedział.

29

Cztery dni później wróciliśmy z Rio z jego rancza nad jezioro i poszliśmy na obiad do restauracji w kasynie, a potem przyjechaliśmy do mnie. Gdy wjeżdżaliśmy na podjazd, zauważyłam zaparkowane przed domem dwa samochody moich dzieci. Biały land rover Scotta i srebrne bmw SUV Molly. Żołądek mi się skurczył i musiałam głęboko odetchnąć. Nie było dobrze.

- Nie uprzedzili mnie telefonem.

- Czy to jakiś problem?

- Tak mi się wydaje - odparłam. Wyglądało na to, że w domu paliły się wszystkie światła. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli wejdę sama.

- Nie uważam tego za dobry pomysł - zaprotestował Rio. - Kiedyś i tak będę musiał się z nimi poznać.

- Pozwól, że najpierw sama z nimi porozmawiam.

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową.

- Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała.

Uścisnęłam mu rękę i wysiadłam z półciężarówki, zabierając niedużą torbę z rzeczami, i ze ściśniętym żołądkiem modliłam się, żeby była to jedynie niezapowiedziana wizyta. Poczekałam, aż odjechał, i dopiero wtedy weszłam do środka.

Scott, Phillip i Molly siedzieli w salonie. Chłopcy wyglądali na zatroskanych i złych. Zastanawiałam się, czy nadal ze sobą wojowali. Moja córka za to aż się rwała do działania i była gotowa do ataku. Zerwała się z fotela, czerwona na twarzy. Zaciśnęła usta, kiedy na mnie spojrzała.

- Masz teraz idealną sposobność, żeby nam powiedzieć, gdzie byłaś.

Upuściłam torbę na podłogę.

- Przepraszam, co?

Phil, zachowując rozsądek, chwycił ją za ramię.

- Molly, przeciągasz strunę...

Wyrwała mu się.

- Nie będziesz mnie strofował żadnym „Molly, przeciągasz strunę”. Ona nas okłamuje.

- Postanowiłam nie mieszać was w tę część mojego życia, która jest nowa i tylko moja. Szczerze mówiąc, z niczego nie muszę się wam tłumaczyć - odezwałam się, podchodząc do stołu i kładąc na nim torebkę

- A więc się przyznajesz.

- Przyznaję się do czego, Molly?

- Że związałaś się z tym piosenkarzem. Rio Paxtonem. Baileyowie widzieli was razem. Kiedy złapałam cię na komórce, udawałaś, że jesteś tutaj, w tym domu. Ale cię tu nie było, mamó. Wiem, bo stałam dokładnie w tym miejscu, gdy do ciebie dzwoniłam.

Byłam winna kłamstwa i zostałam na nim przyłapana.

- Masz rację. Nie było mnie tu. Nie było mnie tutaj przez kilka dni. I tak, równie dobrze możecie to usłyszeć ode mnie, byłam z Rio. Spotykam się z nim.

- Och, Boże!... - Molly złapała się rękami za głowę. - Nasza matka jest kobietą pumą.

- Kim? - zapytałam.

- Pumą, jedną z tych starszych kobiet... - Phillip zaczął mi wyjaśniać.

- Wiem, co to kobieta puma, i na pewno nie jestem kimś takim! Nie uganiam się za młodymi mężczyznami. Rio i ja poznaliśmy się przez przypadek.

Żadne z nich nie odezwało się słowem.

- Byliście ze mną w kasynie tamtej nocy, kiedy dla mnie śpiewał. - Popatrzyłam na synów. - Pamiętam, że obaj uznaliście to za szalenie zabawne i niegroźne, prawda? Nie wiedzieliście jednak, że już wtedy go znałam. I jak wiecie, wiązanie się z kimkolwiek, o nim nie wspominając, było ostatnią rzeczą, o której wtedy myślałam. - Chciałam powiedzieć Molly, że próbowałam go z nią wyswatać, ale córka była za bardzo na mnie wkurzona. Przerwałam zatem i spojrzałam na nich. Znaczenie moich słów docierało do nich powoli i jednocześnie zastanawiali się nad odpowiedzią. - Należę sobie kieliszek wina.

Poszłam do kuchni, nalałam wina do kieliszka i spostrzegłam, że ręce mi się trzęsą. Upiłam spory łyk, stałam tam przez kilka sekund, biorąc się w karby, zanim wróciłam do pokoju. Staralam się wyglądać na spokojniejszą, niż byłam w rzeczywistości. Usiadłam na fotelu przy kominku.

Ponieważ żadne z nich się nie odzywało, zaczęłam pierwsza:

- Musieliście przecież być świadomi tego, że w którymś momencie w przyszłości zacznę się z kimś spotykać. W końcu jeszcze nie umarłam.

- Mamo. - Scott powiedział łagodnie.

Martwiło mnie to, że wyglądał na aż tak zatroskanego, ale tylko do chwili, gdy przypomniałam sobie, iż nazbyt chętnie chciał się trzymać z dala od związku Molly. Ja też chciałam, żeby się do mnie nie wtrącał, zwłaszcza że moja znajomość była taka nowa i jeszcze krucha. I bez tego miałam zamęt w głowie, gdy trzymałam się kurczowo uczucia do Rio.

- Nie chodzi o twoje chodzenie na randki.

- Naprawdę?

- On jest od ciebie znacznie młodszy. - Phillip wychylił się do przodu, położył łokcie na kolanach, dłonie trzymał złożone razem. Kiedy na mnie patrzył, był bardzo poważny. - Nie uważasz, że to pewien problem?

- Wiek Rio? Przypuszczam, że to może być pewien problem. Sama z pewnością nie zainteresowałabym się młodszym mężczyzną.

- Od śmierci taty jesteś zupełnie niepozbita. Nie możesz wierzyć własnemu osądowi.

Czy Phillip naprawdę uważał, że straciłam zdrowy rozsądek do końca? Przed oczami widziałam ostatni rok, pamiętałam złe chwile, bezsenne noce... incydent, przez który trafiłam do więzienia. On też musiał pamiętać to wszystko.

Ale nawet jeśli byłam w takiej rozsypce, to, co powiedział, strasznie mnie rozżłościło.

- Dziękuję panu, doktorze - odgryzłam się z głęboką urazą w głosie, wywołaną moją sytuacją i poczuciem winy za wszystkie popełnione błędy.

Nienawidziłam tego. Nienawidziłam własnej reakcji. Nienawidziłam ich reakcji. Chciałam pobiec z powrotem na podjazd i wpaść w ramiona Rio, żeby znowu poczuć odrobinę spokoju i radości, których w ostatnim roku miałam tak mało. Odczekałam chwilę i dodałam:

- Posłuchajcie, kochałam waszego ojca i to nie ma nic wspólnego z tym, co razem z nim przeżyłam przez te wszystkie lata, albo z tym, co do niego czułam. Tak, przez ostatni rok bardzo się szarpałam. Tak, czułam się samotna. Tak, popełniałam błędy. Ale to nie jest błąd. A nawet jeśli, to mój błąd. Nie wasz.

- Ale z Rio Paxtonem, mamo? - Molly najwyraźniej chciała się pokłócić.

- Doskonale rozumiem, dzieci, że z kimkolwiek bym się umawiała, nie będziecie tego pochwalać.

- To nieprawda - powiedział Scott zbyt rzeczowo, z czego domyśliłam się, że jednak to była prawda.

- Cóż, prawda czy nie, to dla mnie bez znaczenia. Domyślam się, że tego nigdy się nie dowiemy, mam rację? Bo spotykam się z Rio - odpowiedziałam stanowczym tonem.

- Widzicie? - Molly zwróciła się do braci. - Mówiłam wam, że sama sobie z tym nie poradzę. Ona jest taka uparta.

- Molly. Ona tu jest. Nie mów o mnie, jakby mnie tu nie było.

- Dobrze, zgoda, mam. Ale co masz do powiedzenia? Między wami jest ogromna różnica wieku.
- Przyganiał kociół garnkowi? Spider jest starszy od ciebie o dwadzieścia pięć lat.
- A ty mogłabyś być matką tego kowboja.
- Niezupełnie - wycedziłam przez zaciśnięte zęby.
- Co może was łączyć? - zapytała mnie.
- Co może łączyć ciebie ze Spiderem?
- Seks, mam. Spider jest świetny w łóżku.
- Rio podobnie - odpaliłam.
- Och, Boże... - Zrobiła minę i uniosła do góry ręce. Scott jęknął, a Phil powiedział:
- Za dużo mówisz, mam.
- A gdzie, do cholery, byłam waszym zdaniem przez ostatnie dwa dni? Trzymałam się z nim za ręce?

Wasze pokolenie nie wynalazło seksu.

- Przecież prawie go nie znasz i już z nim spałaś? - Molly wydawała się oburzona.
- Z waszym ojcem poszłam do łóżka tej samej nocy, kiedy go poznałam.

Popatrzyli na mnie oszołomieni, moja córka również z mieszaniną przerażenia, szoku i podziwu - nie byłam tego pewna, jeśli chodzi o chłopców.

- To było w latach sześćdziesiątych - wyjaśniłam, trochę zażenowana, bo w rzeczywistości nie chciałam się im do tego przyznawać. - Żeby to zrozumieć, musielibyście sami je przeżyć. A szczerze mówiąc, to, z kim sypiam, nie powinno was obchodzić, zwłaszcza teraz, kiedy jesteście dorośli. Jedynie Mickey mógłby się tym przejmować, bo on nadal mieszka w domu, ale moim zdaniem jest zbyt wcześnie na odgrywanie „narady rodzinnej”.

- Z kim się spotykasz, to twoja sprawa, mam - odezwał się Scott. - Jesteś zamożną kobietą.
- Która może sama za siebie decydować - dopowiedziałam.
- I się upijać, rozbijać sobie głowę i pakować się do więzienia - wymamrotała Molly.

Obróciłam się do niej.

- I spotykać się z niewłaściwym mężczyzną - dokończyłam za nią.
- Dokładnie - potwierdziła.
- Miałam na myśli ciebie.
- Skoro do siebie pasujemy - usłyszałam w odpowiedzi. - Poza tym my nie chodzimy ze sobą.
- Zerwał z tobą? - Przeniosłam wzrok z niej na chłopców.

- Jesteśmy zaręczeni. - Molly wyciągnęła przed siebie rękę i obróciła palcami drugiej dłoni obrączkę na serdecznym palcu. Zobaczyłam wielki różowy brylant otoczony bardziej iskrzącymi kamyczkami.

Miałam ochotę wymiotować.

- Ależ on był już żonaty trzy razy. - Spojrzałam na jej braci w nadziei, że przynajmniej teraz dostrzegą ryzykowność jej sytuacji. Nie słuchali niczego, co o niej mówiłam, podobnie jak poprzednio. - Nie widzisz w tym problemu?

- Posłuchaj, mam, wiemy, kim jest Spider. - Phil mówił bardzo spokojnie. - Ale prawie nic nie wiemy o tym, kim jest ten... Rio.

- Bo nie ma takiej potrzeby. Odczepcie się ode mnie i spróbujcie przemówić siostrze do rozumu. To jej całe życie. To bardzo poważna decyzja. Ja tylko spotykam się z Rio, nie wychodzę za niego.

Im dłużej na nich patrzyłam, tym bardziej byłam przekonana, że w żaden sposób nie zdołam zmienić ich raz zajętego stanowiska.

- Sprawdziłem go w Internecie - odezwał się Scott.

- Zgooglowałeś Rio?

- Tak - potwierdziła cała trójka jednocześnie. Cofnęłam się, trochę zaskoczona.

- Prowadził zupełnie szalone życie, mamó. - Phil popatrzył na mnie z troską, a Scott pokiwał głową.

Ze smutkiem pomyślałam, że chyba po raz pierwszy od śmierci Mike'a są w czymś zgodni.

- I miał nieudane małżeństwo - dodała Molly.

- Jedno nieudane małżeństwo, a nie trzy - odcięłam się, a ona zachowała się na tyle przyzwoicie, że odwróciła wzrok.

- W jego życiorysie jest ogromna przerwa - zauważył Phil.

- Tak - Scott znowu się z nim zgodził. - Od lat nic o nim nie słyhać.

- Może z powodu życia, jakie teraz prowadzi. Nie pomyśleliście o tym? Rio był młody, kiedy bardzo szybko stał się sławny. Woda sodowa uderzyła mu do głowy. Mój Boże, był właściwie jeszcze dzieckiem, gdy dotarł na sam szczyt. Pomyślcie o Mickeyu. Pomyślcie o sobie w tym wieku. Nie potrzeba było dużo czasu, żeby życie mu się rozpadło, a teraz ciężko pracuje, żeby to odwrócić. Jeśli czegoś mogę być pewna, to tego, że jest dobrym człowiekiem.

Wkurzyłam się, że muszę bronić Rio, który nie potrzebował obrony, a nawet gdyby, mógłby sam to zrobić. Nigdy wprost nie przeprosił za błędy, które popełnił, choć był tego bliski, gdy byliśmy w schronisku. Niemniej jego żarty z dawnego życia zawsze miały w sobie coś z ubolewania.

Jego pokora była prawdziwa, nie miała w sobie nic z kokieterii ugrzecznionego Południa, narodziła się po sięgnięciu najgłębszego dna, ze zrozumienia, jak łatwo można dokonać złego wyboru i zrujnować sobie życie. Wierzyłam, że głęboko w sercu nosił w sobie mroczne wspomnienia i potępiał sam siebie, i tak miało być już na zawsze. Wierzyłam też, że przydarzające mu się spojrzenie, którym odsyłał ludzi do wszystkich diabłów, było odruchowe, stanowiło obronę przed przeszłością, której tak bardzo żałował, ale wiedział, że nie uda mu się jej zmienić.

- Rio przynajmniej wyciągnął jakieś wnioski - dodałam. - Czego nie można powiedzieć o Spiderze, który w ogóle się nie zmienia i nawet nie próbuje. - Popatrzyłam na synów. - Zresztą żaden z was nie miał najmniejszego problemu z zaakceptowaniem związku Spidera i Molly, a czepliście się mnie z powodu Rio? Nie wychowałam was na takich hipokrytów.

- Jesteś naszą matką - rzekł Scott.

- Ona jest waszą siostrą - odcięłam się.

Zanim ktokolwiek z nas zdążył dodać coś jeszcze, rozległ się dzwonek przy drzwiach. Spojrzałam w ich stronę przestraszona. Choć się go nie spodziewałam, wiedziałam, kto stoi za nimi.

- Pójdę otworzyć. - Poszłam do drzwi i wpuściłam Rio do środka.

Pochylił się ku mnie i wziął mnie za rękę.

- Nie musisz sama stawiać im czoła, kochana.
- To nie będzie ani zabawne, ani łatwe - uprzedziłam go cicho.
- I wcale się tego nie spodziewałam - oświadczył i uściśnął mi dłoń.

Razem weszliśmy do salonu.

- Scott, Phil, Molly, to jest Rio.

Podszedł do moich synów, którzy wstali i wymienili z nim uścisk dłoni. Zauważyłam, że nawiązał kontakt wzrokowy z każdym z nich, powtórzył głośno ich imiona po kolei i każdemu skinął głową, zanim obrócił się do mojej córki, siedzącej nieruchomo na sofie.

- Molly - powiedział uprzejmie, ale ona uparcie milczała.

W przypadku Molly nie chodziło o niego, nie do końca w każdym razie. Sprawa dotyczyła jej ojca, mnie i dokonanych przeze mnie wyborów, z którymi starała się nie zgadzać ze wszystkich sił. Zbyt późno zdałam sobie sprawę, że ze wszystkich moich dzieci to ona właśnie czuła się przeze mnie zdradzona, więc żałowałam teraz, iż tak na nią naskoczyłam, żałowałam, że kiedykolwiek chciałam ją uderzyć.

- Ostrożnie - odezwałam się, żeby przerwać ciszę pełną napięcia. - Zdążyła już nazwać mnie kobietą pumą.

- Ciebie? - Rio wybuchnął śmiechem i otoczył mnie ramieniem w talii. Za chwilę jednak spoważniał na twarzy, gdy popatrzył na moją latorośl. - Prawda jest taka, że czekała na mnie przy tylnym wyjściu z majtkami w ręku.

Roześmiałam się, zasłaniając usta ręką. W tej chwili wyraz twarzy moich dzieci był dla mnie bezcenny.

- On żartuje. Opowiedziałam mu, co mówiliście, chłopcy, w sylwestra.

- Przepraszam. Ale nie mogłem się powstrzymać - sumitował się Rio, choć nie wyglądał, by za cokolwiek chciał przeproszać. - Właściwie to ja uganiam się za waszą mamą. Czyli jest zupełnie odwrotnie.

- I dlatego właśnie tu jesteśmy - odparł Scott, patrząc mu prosto w oczy. Był w tym momencie bardzo podobny do ojca. - Z powodu mamy. - Scott jakby narysował linię graniczną w piasku, bardzo głęboką.

- W porządku. - Rio był zupełnie swobodny. - Strzelajcie. Pytajcie, o co chcecie, o cokolwiek, co chcecie o mnie wiedzieć, a ja szczerze wam odpowiem.

Usiadłam i sączyłam wino, podczas gdy troje moich dzieci zasypywało Rio pytaniami dosłownie o wszystko, zadawało pytania, jakich ja mu nie postawiłam, i dostawało odpowiedzi, które i dla mnie były nowością. Scott, Phil i Molly interesowali się jego pochodzeniem i szkołami, w których się uczył, chcieli dowiedzieć się czegoś o czasie, gdy był gwiazdą country, pytali o wszystko, od kokainy po wielkość posiadanego majątku - wymieniona liczba sprawiła, że Molly zachłysnęła się powietrzem, Phil zakrztusił się piwem, a Scott zadał mu jeszcze bardziej szczegółowe pytanie o to, po jakie licho, w jego sytuacji, występuje w kasynie.

Prawda była prosta: Rio kochał śpiewać. Jego koncerty nie miały nic wspólnego z show-businessem.

- Muzyka musi być słyszana, historie opowiedane w piosenkach powinno się dzielić z tyloma ludźmi, z iloma to będzie możliwe - powiedział moim synom. - W swoich piosenkach mam coś do przekazania.

Za każde odtworzenie w radio każdej z bardzo długiej listy piosenek Rio Paxtona, za każdym razem, gdy ktoś śpiewał jego teksty w telewizji, on dostawał pieniądze. W ostatnich latach stał się bardzo aktywny za kulisami, nagrywał i produkował płyty kilku największych zespołów grających muzykę country, niektóre al-

bumy trafiały na szczyty list przebojów i na tym też zarabiał cholernie dużo pieniędzy. Ale liczyła się dla niego sama praca, nie zajmował się nią dla sławy, lecz po prostu dlatego, że kochał muzykę.

Kiedy dzieci z nim skończyły, zrobiło się bardzo późno. Zostawiliśmy je same. Siedziały w krępującym milczeniu, spięte i nie wykluczam, że trochę bardziej mi przychylnie. Tego jednak nie byłam do końca pewna.

Na dworze podeszłam z Rio do samochodu od strony kierowcy. On oparł się o karoserię, przyciągnął mnie do siebie, oplótł ramionami i otulił ciepłą kurtką, wsuwając mi ręce do tylnych kieszeni dżinsów.

Poczułam jego usta na czole, gdy staliśmy tak w czasie, który zdawał się nie mieć końca, nasze serca biły zgodnym rytmem, a ja czułam się niewiarygodnie bezpieczna. Było około siedmiu stopni mrozu, księżyc świecił wielki i biały, niemal w pełni, miał rozmazane krawędzie, jakby oprawiono go w ramę z suchego lodu.

Zaczerpnęłam w płuca mroźnego powietrza i patrzyłam na kłęby białej pary, które unosiły mi się z ust.

- Zastanawiam się, czy masz pojęcie, jak bardzo cię uwielbiam za to, przez co dla mnie właśnie przeszedłeś.

- Jestem egoistycznym draniem, kochana. Chcę cię, więc zrobiłem to dla siebie.

- Gadaj zdrów... - odparłam, a on kostkami dłoni uniósł mój podbródek i pocałował mnie tak czule, że prawie się rozplakałam. Nie potrafiłam opanować reakcji mojego ciała, przytulonego do Rio, ani namiętności, która wybuchła między nami tak szybko i z taką siłą, namiętności i czegoś więcej, czegoś, co jedynie czułam i nadal miałam problem z zaakceptowaniem tego i myślałam o tym z niepokojem. To wszystko było takie niespodziewane i nowe, i cudowne. A ja się bałam.

Odsunął się ode mnie po minucie i przesunął kciukiem po moich ustach.

- Będę za tobą tęsknił dziś w nocy.

- Wiem. Ja też.

Już w samochodzie, opuścił szybę i zapuścił silnik.

- Zadzwoń do mnie, jak zajedziesz do domu. Chcę wiedzieć, że bezpiecznie dotarłeś - powiedziałam, w ogóle się nad tym nie zastanawiając, i wtedy zrozumiałam, do kogo należało moje serce. Bałam się, że mogłabym stracić kolejnego mężczyznę, którego pokochałam.

Ruszyłam z powrotem do domu. Usłyszałam dochodzące ze środka podniesione głosy synów. Kiedy otworzyłam drzwi, przypominali dwa buldogi, siedzące naprzeciwko siebie nos w nos. Obaj mieli taki sam wyraz twarzy. Molly nie było w pokoju.

- Straciłeś więcej pieniędzy firmy w tym roku przez swoje gówniane decyzje niż ja kiedykolwiek w SkiStar.

- Pewnie, najłatwiej jest krytykować, Phil. Ty nie musiałeś podejmować tych decyzji. Wiesz, co ojciec by zrobił? Takie to dla ciebie proste?

- O, tak, dla mnie to takie proste. Ty i twoja żona robicie dzieciaki jak króliki... w cholernej jadalni. Niepotrzebny wam nawet pieprzony szpital, a ja niemal straciłem żonę, gdy próbowała jedynie donosić jedną ciążę. Płacze co noc, bo nie może mieć dziecka. Tak, nie jeżdżę samochodem i pewnie nie umiem też ruchać jak trzeba.

- Łatwo jest patrzeć w przeszłość i mówić, że powinienem się dogadać z American Express w sprawie reklamy albo wynegocjować nową polisę ubezpieczeniową dla firmy. Że moglibyśmy zarobić więcej pieniędzy,

gdybym poszerzył asortyment ubraniowy. Ta cholerna lista ma długość całych kilometrów! - Scott przecesał palcami gęste włosy, obrócił się i stanął twarzą do brata. - I kim, do cholery jesteś, żeby nazywać mnie tchórzem, zarzucać mi, że boję się ryzyka? Za to ty, jak mniemam, jesteś wizjonerem, ryzykantem, hazardzistą. Braciszek luzak, nie ten konserwatywny. Powiedz mi w takim razie, Panie Luzaku, dlaczego nie jeździsz samochodem od śmierci taty?

Molly zeszła po schodach, bez wątpienia zaskoczona kłótnią braci.

- Pieprz się, Scott! - krzyknął Phillip.

- Przestańcie! Obaj! - Weszłam między nich. - Czy to prawda, Phil? - Usiłowałam przypomnieć sobie, czy widziałam go za kierownicą. Przychodziły mi na myśl tylko dwa przypadki, kiedy wykręcił się od prowadzenia, jeden w Boże Narodzenie, a drugi w Święto Dziękczynienia, wtedy przyjechali samochodem Keely i to ona prowadziła. - Nie jeździsz samochodem?

- Phil nie prowadzi samochodu? - zapytała Molly.

- Nie - odburknął ze złością.

- To przez wypadek taty? Dlatego już nie jeździsz?

- Wtedy to się zaczęło. - Scott nie miał dla niego litości. Kamienne milczenie Phila potwierdziło, że to była prawda.

Molly przyglądała się bratu z zaciekawieniem i można by pomyśleć, że jej niechęć do niego trochę złagodniała.

Stojąc pomiędzy trójką moich najstarszych dzieci, z których wszystkie miały problemy, czułam, że zawodłam. Nie poświęcałam im wystarczająco dużo uwagi. Scott o tym wiedział, ale ja byłam tego nieświadoma.

Chwyciłam średniego syna za rękę.

- W porządku, Phil. Jest dobrze. - Zrobiłam głęboki wdech i powiedziałam stanowczym tonem: - Wy dwaj macie się przestać kłócić, i to w tej chwili. Żaden z was nie wyjdzie stąd, dopóki się nie pogodzicie. Chodź, Molly. - Ujęłam ją za sztywne ramiona i zaczęłam prowadzić w stronę mojego pokoju. - Musimy porozmawiać. Ty i ja. W mojej sypialni. - Zatrzymałam się i obróciłam. Popatrzyłam na synów. - Mówiłam poważnie. Znajdźcie jakieś rozwiązanie. - W porządku. Siadaj - powiedziałam do Molly już w sypialni.

Posłuchała mnie.

- Więc chcesz wyjść za Spidera?

Skinęła głową i obróciła na palcu zaręczynowy pierścionek.

- Wiesz, co o tym myślę.

- Ale to nie ty za niego wychodzisz. Tylko ja.

- To prawda - potwierdziłam. Nie chciałam się z nią kłócić. - Małżeństwo to trudna sprawa, Molly. Uwierz mi. Wchodzisz w nie, mimo że wszystko przemawia przeciwko temu. Nawet jeśli różnica wieku nie stanowi problemu, to jego poprzednie małżeństwa nie są bez znaczenia. Zawiódł trzy razy. Dlaczego uważasz, że w twoim wypadku będzie inaczej?

Wzruszyła ramionami, ale nie patrzyła mi w oczy.

- Nikt nie jest w stanie przewidzieć przyszłości. Mogłabym wyjść za kogoś, kto wcześniej nigdy nie był żonaty, i mielibyśmy wtedy trzydzieści trzy procent szans na rozwód.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

- Tak - potwierdziła stanowczo. - Bierzemy ślub za trzy miesiące.

- Co? Za trzy miesiące? Tak szybko?

- Podjęliśmy już decyzję. Nie chcę długiego narzeczeństwa.

- Nie jestem pewna, czy uda się nam uszyć sukienkę w tak krótkim czasie.

- Znam cię, mamó, potrafisz dokonywać cudów. Możesz sprawić, że wszystko będzie zrobione. - Molly przerwała na chwilę, a potem spojrzała na mnie tak, jak nie robiła tego już od bardzo dawna. Potrzebowała mnie. - Myślałam, że jak wrócisz do domu, będziemy mogły zacząć wszystko planować.

Popatrzyłam na nią, moją jedyną córkę, zdecydowaną wyjść za nieodpowiedniego mężczyznę z zupełnie chybionych powodów, czego byłam pewna. Mike mógłby przemówić jej do rozsądku. Ale go nie było, a ona potrzebowała mnie. Zaplanowanie ślubu było ważne - to rzadka chwila w relacji matki z córką. Nasz kruchy, powikłany związek wymagał odwołania się do wszystkich więzi, jakie nasz łączyły.

- Możemy jutro wrócić do domu - powiedziała.

Jutro. Pomyślałam o Rio i serce mi się kroilo, ale dzieci potrzebowały mojej obecności. Może to okaże się dla nas dobre. Trochę dystansu mogło zmniejszyć moje zdezorientowanie faktem, że tak szybko zaangażowałam się całym sercem.

Synowie nadal wrzeszczeli na siebie w drugim pokoju. Molly spojrzała na mnie.

- Kupiłam kilka magazynów ślubnych. Może przejrzysz je ze mną?

Usiadłam obok niej i objęłam ją za ramiona.

- Jasne.

Uściskała mnie. A było to coś, czego nie robiła od bardzo dawna.

- Pobiegnę po nie.

Patrzyłam w ślad za nią, w pełni świadoma, że moja córka nie była pewna tego małżeństwa. Robiła dobrą minę do złej gry, ale zwyczajnie się bała.

- Molly?

- Tak, mamó?

- Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. - W głębi ducha jednak, słysząc dochodzące z sąsiedniego pokoju krzyki, nie miałam wątpliwości, że się mylę.

- Mój Boże, mamo - powiedziała Molly. - Pokój jest zupełnie inny!

Następnego wieczoru postawiłam bagaże na podłodze w sypialni.

- I o to chodziło. Skoro miałam go zmienić, to musiałam iść na całość. Prawdę mówiąc, strasznie było mi trudno w nim wytrzymać.

- Myślałam, że mi się nie spodoba - powiedziała Molly.

- A podoba ci się?

- Tak, podoba.

Usłyszałam, jak wstrzymała oddech, i obróciłam się.

- Co to?

Pochyliła się i podniosła coś z podłogi. Na jej dłoni leżało białe piórko.

- Musiało wypaść z poduszki albo pościeli - stwierdziłam, idąc w stronę łóżka zasłanego kremową, grubą pościelą, z pękatymi poduszkami. W nogach leżała kaszmirowa narzuta. - Wszystko jest nowe. Nowe zasłony, nowe poduszki i jaśki, nowa pościel, nowy materac, nowy pokój.

Stojąc na środku sypialni, obracałam się powoli. Pokój został wykończony, z wyjątkiem fotela, który wymagał jeszcze zmiany tapicerki. Ze wszystkich rzeczy właśnie fotel Mike'a.

- Muszę biec. - Molly dała mi szybkiego buziaka. Była w świetnym nastroju, wesoła. Wpatrywałam się w nią przez chwilę. - Jutro zaczniemy robić harmonogram zajęć - dodała pogodnie i wybiegła przez drzwi.

Moja grymaśna córka...

W pokoju królowały odcienie bieli. Wszystkie listwy, drzwi, framugi okien zostały przemalowane na białe, ścianę przy kominku postarzano złamaną bielą, po ręcznym oskrobaniu, żeby pasowała do niektórych mebli. Po obu stronach łóżka stały długie, fasetowe lustra, odbijające światło wysokich, ręcznie malowanych lamp na obu szafkach nocnych - jedną z nich był okrągły stolik z Francji na giętych nogach, drugą zaś niewielka komoda z lustrem i marmurowym blatem.

Wszędzie stały palmy i inne ciemnozielone rośliny, a każdy mebel i sprzęt został idealnie wkomponowany. Wiele mebli miało wkomponowane lustra, które odbijały światło i nadawały pokojowi lekkość i przestronny wygląd. Zawsze uważałam, że moja dekoratorka powinna mieć własny program w telewizji.

Przylegająca do sypialni łazienka została wyłożona biało-srebrnymi kafelkami, było w niej jeszcze więcej dużych lusterek, ręcznie malowane szafki i umywalki z kutej stali. Wyglądała na ogromną. I bardzo zacisną. Żadnego szaleństwa kolorów, które panowało w niej tak długo. Stała się elegancka i połyskliwa jak najczystszy kryształ.

Podeszłam do przeszklonych drzwi i spojrzałam na drzewo. Gałęzie zostały równo przycięte. Odwróciłam się od niego i w samotności napawałam się nowym pokojem.

Nie był już nasz. W pokoju nie pozostało nic, co wspólnie dzieliliśmy. Teraz był mój. Ogarnęło mnie najdziwniejsze poczucie spokoju. Kochałam męża bardziej niż cokolwiek, niż kogokolwiek. Ale nie chciałam już żyć naszym wspólnym życiem. Chciałam mieć swoje.

Wróciłam do łazienki i wzięłam kąpiel. To był sprawdzian. Gdy wydawało mi się, że widzę Mike'a, często działo się to, kiedy wychodziłam z łazienki owinięta ręcznikiem.

Nie zobaczyłam go jednak. Wcześniej poszłam do łóżka i wśliznęłam się pod kołdrę. Nasze zdjęcie stało na stoliku obok łóżka w nowej, lśniącej i ładnej, srebrnej ramce. Nie zniknęło w szufladzie ani nie zostało wepchnięte pod łóżko. Nie było przede mną schowane. Odrzuciłam kołdrę i wstałam. Z fotografią w ręku poszłam do regału z książkami, przesunęłam kilka rzeczy i postawiłam ją tam. Na półkach regału stały inne rodzinne zdjęcia. Teraz tu było jej miejsce, a ja wróciłam do łóżka i pogrążyłam się we śnie.

Przez następne siedem nocy spałam jak suseł. I nigdy więcej nie zobaczyłam Mike'a, nawet w pokojach na dole, które dopiero planowałam odremontować.

To było nasze ostateczne pożegnanie.

W ciągu trzech tygodni, wypełnionych obowiązkami, rozmawiałam z Rio przez telefon niemal co wieczór. Opowiadaliśmy sobie o tym, jak mijały kolejne dni, z których moje okazywały się idealną pożywką dla żartów, bo w tamtym czasie zarezerwowałyśmy z Molly ceremonię i kościół, wynajęłyśmy firmę organizującą przyjęcia, wybrałyśmy tort i kwiaty, zamówiłyśmy zaproszenia i czekała nas jeszcze wizyta w salonie sukien ślubnych, bo dzisiaj był najwcześniejszy dostępny termin, na jaki można się było umówić z tak krótkim wyprzedzeniem. Za dwa dni Rio miał przyjechać, żeby się ze mną zobaczyć, a mnie ogarnęły w związku z tym mieszane uczucia. Jakaś część mnie nie mogła się go doczekać, inna zaś odnosiła się do tego z niechęcią. Zastanawiałam się, czy tutaj będę się z nim czuła równie dobrze, jak u niego w domu. Postanowiłam jednak nie martwić się tym na zapas. Czekало nas zamówienie sukni ślubnej.

Dwie godziny później Molly stała na podeście otoczona ze wszystkich stron lustrami i ekspedientkami, jedwabną organzyną i satyną, drobnymi perłami i koronką, i siateczkami.

- Wyglądam jak ponton - stwierdziła, obracając się. - Wszystko jest jak napompowane. - Chwyciła bufiasty rękaw i zmarszczyła czoło.

Rzeczywiście wyglądała jak ponton, a ja nie potrafiłam powstrzymać śmiechu. Ona i ta suknia byłyby w stanie wojny już w chwili, gdyby zrobiła w niej pierwszy krok... nie mówiąc o przejściu nawą kościoła. Molly spóźniała się na przymiarki przez cały tydzień i przychodziła do salonu, wyglądając jak nieboskie stworzenie. Podkoszulka i dzinsy, klapki, bez makijażu, z włosami związanymi w koński ogon. Najwyraźniej ślub wytrącił ją zupełnie z równowagi, bo nigdy wcześniej nie widziałam, żeby tak o sobie nie dbała. Tłumaczyła się tym, że nie jeździ samochodem, tylko tramwajem.

Teraz wróciła do przebieralni, a suknia zawisała na wieszaku; wyglądała tak, jakby niezbędna była do niej karoca w kształcie dyni. W chwilę później usłyszałam jakieś zamieszanie. Jedna z ekspedientek zawołała mnie.

- Pani Cantrell!

Wstałam i poszłam do przebieralni. Molly leżała na obitej adamaszkim sofie, twarz miała prawie tak samo bladą, jak jej suknia.

- Co jest nie tak, kochanie?

Jęknęła, popatrzyła na mnie, jakby chciała coś powiedzieć, ale nagle zerwała się z miejsca i pobięła do łazienki. Poszłam za nią, czując się równie fatalnie, jak ona wyglądała. Wymiotowała w jednej z kabin. Trwało to bardzo długo, a kiedy przestała, zapytałam ją:

- Mogę ci jakoś pomóc?

Płakała, gdy wyszła z kabiny, ocierała dłońmi usta i łzy.

- Jestem w ciąży.

31

Stałyśmy na czerwonym świetle niedaleko domu. Molly ciągle płakała.

- Tak mi wstyd - powiedziała, zakrywając twarz dłońmi.

- Dlaczego? - Światło się zmieniło, więc ruszyłam, a potem skręciłam w naszą ulicę.

- Widziałas, co się tam działo - odpowiedziała. - Niewiele brakowało, żebym narzygała na sukienkę za dwa tysiące dolarów.

- Na ponton za dwa tysiące dolarów - poprawiłam ją w nadziei, że wywołam u niej uśmiech. - Poza tym zdążyłaś do łazienki.

- Mimo wszystko i tak się wstydzę.

Zahamowałam na podjeździe, nacisnęłam guzik w pilocie do garażu i czekałam, aż drzwi się otworzą. Spojrzałam na córkę, która wyglądała teraz gorzej niż tylko na zaniedbaną. Wyglądała żałośnie, z twarzą w czerwonych plamach.

- Wstydzilaś się ludzi z salonu z sukniami ślubnymi?

Skinęła głową.

Staralam się nie roześmiać z jej zbolalej miny.

- Kochanie, możesz mi wierzyć, że nie jesteś pierwszą panną młodą w ciąży, jaką tam widzieli, która miała poranne nudności. Daj spokój. - Wyciągnęłam do niej rękę i pogłaskałam po ramieniu. - Wejdziemy do domu i porozmawiamy.

- Dobrze...

Poszłyśmy do kuchni i tam się zatrzymałam.

- W twoim pokoju, moim pokoju czy w salonie?

- U ciebie - powiedziała i stanęła w pół kroku. Wyglądała, jakby ktoś wymierzył jej policzek. - Wszystko jest tam nowe, a co będzie, jeśli znowu zwymiotuję?

Otworzyłam puszkę z piwem imbirowym, nalałam je do szklanki z pokruszonym lodem i wzięłam trochę słonych krakersów ze spiżarni.

- To ci pomoże. I nie przejmuj się moim pokojem. - Poprowadziłam ją po schodach do mojej sypialni i położyłam do łóżka. Obok postawiłam szklankę. - Piwo imbirowe i krakersy. To nadal najlepsze lekarstwo na poranne nudności. Napij się piwa i zjedz kawałek krakersa. Od razu lepiej się poczujesz. - Położyłam się obok niej. Opierałyśmy się obie o wielkie puchowe poduszki.

Odchyliła głowę do tyłu na poduszce. Oddychała płytko.

- Cały czas okropnie się czuję.

- Przez pierwsze trzy miesiące rzygałam co rano, gdy tylko sięgnęłam szczotką do zębów głębiej, poza kły.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Okropnie się krztusiłam. W nocy też chorowałam, nawet częściej niż rano. Kiedy zbliżała się pora obiadu... około wpół do siódmej, szłam do łóżka, kładłam się i spałam aż do następnego ranka. - Przerwałam, bo napiła się piwa imbirowego, a potem zadałam jej pytanie: - Od jak dawna wiesz?

Znowu zaczęła płakać.

Objęłam ją ramionami, oparłam brodę na czubku jej głowy i po prostu tak ją trzymałam.

- Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. - W środku byłam wściekła, że dopiero coś tak trudnego wróciło mi córkę.

Lata jakby przestały istnieć i przypomniałam sobie czas, gdy siadywałyśmy tak razem. Molly miała wtedy może dwa latka, a ja ją przytulałam, kołysałam do snu niemal każdej nocy. Była córką, którą bardzo chciałam mieć w domu pełnym chłopaków, urodzoną z rudymi włosami po mojej matce.

Kiedy to wszystko się zmieniło? Kiedy ode mnie odeszła?

- Spider poprosił mnie, żebym za niego wyszła, dopiero jak mu powiedziałam, że jestem w ciąży.

Co za fiut, pomyślałam i w tej chwili najchętniej bym go udusiła.

- Co dokładnie powiedział?

- Że powinniśmy się pobrać dla dobra dziecka.

- Żadnego „Kocham cię, Molly”? Żadnego „Chcę, żebyś za mnie wyszła”?

Pokręciła przecząco głową.

- Rozumiem - przyznałam przez zaciśnięte usta. - W porządku, powiedz mi, dlaczego ty chcesz wyjść za Spidera. Kochasz go?

Molly zastanawiała się przez jakiś czas, co samo w sobie dużo mi wyjaśniło.

- Myślę, że chyba tak - odpowiedziała w końcu.

- To nie jest odpowiedź dodająca otuchy, placuszku. Małżeństwo jest wystarczająco trudne dla tych, którzy kochają się do szaleństwa. Jeśli tak nie jest w twoim wypadku, nie bardzo wiem, co będzie trzymało was razem, nie wspominając o tym, żebyście wszyscy byli szczęśliwi. Bo i dziecko jest w tym układzie.

- Dlaczego go nie lubisz, mamó? On twierdzi, że jesteś po prostu zazdrosna.

- Co? Och, Boże... Mike, Mike, Mike, jak strasznie żałuję, że cię tu nie ma i nie możesz znowu go znokautować.

- Opowiadał mi, że flirtowałaś z nim w Calgary.

- Tak mówił, co?

- I tato miał o to do niego pretensje.

- Twój ojciec przywalił mu tak, że stracił przytomność w Calgary.

Jadła krakersa i popijała piwem imbirowym.

- Więc nie zaprzeczasz.

- A po co? Czy twój ojciec zachował się kiedykolwiek nie fair?

- Boże... nie. - Molly niemal się roześmiała. - Aż przesadzał z tym pilnowaniem się, żeby wszystkich traktować równo i sprawiedliwie, a zwłaszcza nas. Pamiętasz, jak odmierzał i ważył tort urodzinowy i równo dzielił cukierki, które dostaliśmy na Halloween? Pamiętam, tak się kiedyś na niego zdenerwowałam, nazywając go Karolem Marksem. - Teraz naprawdę się śmiała i ja też.

- Nie musisz aż tak bardzo śpieszyć się do ołtarza - powiedziałam spokojnie. - Ja wzięłam ślub w czerwcu, a Scott urodził się w październiku.

- Byłaś w ciąży, kiedy wychodziłaś za męża?

- Miałam już solidny brzuch. Szłam przez trawnik do ojca, a twój braciszek kopał mnie po żebrach przez całą drogę.

- Ale jednak zdecydowałaś się na ślub.

- Razem się zdecydowaliśmy. Oboje bardzo się kochaliśmy. Dla wszystkich, którzy nas znali, byliśmy March i Mike, Mike i March, zresztą i tak planowaliśmy się pobrać. Twój brat był po prostu dodatkową niespodzianką. Szaleliśmy za sobą. Byliśmy nierozłączni od chwili, gdy się poznaliśmy.

- Od tamtej nocy, kiedy się z nim przespałaś? Zaśmiałam się cicho.

- Jeszcze długo będę żałowała, że wam to powiedziałam, prawda?

- Sprowokowałam cię do tego. Byłam zła z powodu taty - wyznała z opuszczoną głową.

Naśladując Rio, ujęłam ją za podbródek i zmusiłam, by na mnie spojrzała.

- Rozumiem więcej, niż ci się prawdopodobnie wydaje.

- Baileyowie byli bardzo mili, mamó. Myśleli, że wiem, iż się z kimś spotykasz. Powinam ci o tym powiedzieć. Jeff wspomniał nawet, że lubi Rio.

- I ja lubię Rio. Pewnie będziesz musiała przywyknąć do jego obecności, bo nie wydaje mi się, żebym chciała z niego zrezygnować. To naprawdę dobry człowiek, a dobrych ludzi niełatwo znaleźć. Twój ojciec był taki sam.

Zastanawiała się nad czymś w milczeniu. Niemal widziałam, jak jej szare komórki pracują. Moja córka była mądra. Potrafiła dwa dodać do dwóch, żeby otrzymać cztery. Zwróciła się twarzą do mnie.

- Więc co twoim zdaniem powinnam zrobić?

Nie wychodź za niego! - pomyślałam. Zamiast tego jednak starannie dobrałam słowa.

- To twoja decyzja, nie moja. Podobnie jak zatrzymanie i wychowanie tego dziecka jest wyłącznie twoją decyzją. Powiem ci jedno. Nie potrzebujesz mężczyzny, żeby wychować dziecko, które w tobie rośnie, i nie musisz wychodzić za jego ojca. Masz całą rodzinę złożoną z kobiet i mężczyzn, którzy będą kochali ciebie i twoje dziecko. Zrobią dla ciebie wszystko. Możemy razem wychowywać twoje dziecko, a rodzina zawsze będzie w pobliżu, żeby cię złapać, gdybyś miała upaść albo coś miało się stać dziecku. Jeżeli nie kochasz Spidera, radziłabym, żebyś naprawdę poważnie się zastanowiła nad tym, jakiego małżeństwa byś chciała, w atmosferze jakiego małżeństwa chcesz wychować swoje dziecko, a może dzieci?

Molly ponownie oparła się o poduszkę, powieki miała ciężkie. Była wyczerpana, a niewesołe myśli stanowiąły dodatkowe obciążenie.

- Nie śpiesz się i przemyśl to. W tej chwili jednak przede wszystkim potrzebujesz snu. - Zaczęłam się podnosić, ale nie chciałam jej zostawiać, dlatego położyłam się z powrotem i zasnęłam obok niej.

Nazajutrz rano weszłam bez zapowiedzi do gabinetu Scotta w Cantrell Sports.

- Mama? A co ty tu robisz? - zapytał, wstając. Zamknęłam za sobą drzwi i powiedziałam:

- Muszę z tobą porozmawiać... a może ty chcesz ze mną porozmawiać. Siadaj. - Machnęłam do niego ręką i usiadłam na rogu biurka. Obok mojego biodra stała fotografia zrobiona wiele lat wcześniej w mieszkaniu na poddaszu, gdzie początkowo mieszkaliśmy. Scott miał wtedy prawdopodobnie półtora roku i człapał w butach ojca. Podniosłam zdjęcie i cicho się zaśmiałam. - Pamiętam je. Twój ojciec trzymał to zdjęcie na biurku przez lata. - Wpatrywałam się w nie przez długą chwilę, a potem podniosłam wzrok na syna i obróciłam fotografię, żeby też ją zobaczył. - Widzisz? Skinął głową.

- Siedzisz tutaj i patrzysz na nią codziennie. Myślę, że w tym tkwi problem. Przez to właśnie masz wątpliwości. Uważasz, że jeśli nie będziesz myślał dokładnie tak, jak twój ojciec, nie dasz sobie rady z zarządzaniem firmą.

Scott zmarszczył czoło.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Synku, nie jesteś twoim ojcem. Był cudownym człowiekiem, to prawda, ale popełniał błędy... duże błędy. Pamiętasz ten rok, kiedy zlecił fabryce w Chinach szycie odzieży?

- I ponad połowa haftowanych logo firmy na kurtkach miała błąd ortograficzny. - Scott uśmiechnął się.

- I złe rozmiary. Przypuszczam, że ten błąd kosztował około miliona dolarów, a może więcej.

- Zapomniałem o tym.

- Dlatego właśnie tu jestem. Żeby ci o tym przypomnieć. By odnieść sukces, nie musisz być nim. - Wskazałam na zdjęcie. - Schowaj je albo inaczej odczytuj. Jeśli chcesz, niech będzie twoim przewodnikiem, ale w dobrym, a nie złym kierunku. Rozmawiałam z Renee. Mówi, że nie sypiasz po nocach. Wygląda mi na to, że za bardzo się martwisz tym, jak nosić te buty, że nie podejmujesz decyzji z właściwych powodów. On by nie chciał, żebyś usiłował być nim. Chciałby, żebyś pozostał sobą. Pamiętam, jak wracał do domu dumny niczym paw i opowiadał mi, że zrobiłeś dla firmy coś fantastycznego, na co sam nie zwróciłby uwagi.

- Tak mówił?

- Tak. Na przykład: otwieranie naszych sklepów w większej liczbie ośrodków narciarskich. To był twój pomysł, prawda? Tworzenie sklepów we wszystkich górskich wioskach.

- No, mój. - Scott wyglądał znowu na mojego najstarszego syna. Było w nim coś, co mi mówiło, że zmusiałam go do myślenia i może popchnęłam trochę na drodze do ponownego uwierzenia we własne siły.

- Nie zapominaj o tym. Wiesz, co robić. I nie jesteś nawet w połowie tak konserwatywny, jak Phillip ci wmawia. - Wstałam, obeszłam biurko i położyłam mu ręce na ramionach. - Powinniście, chłopcy, zmienić tę firmę na waszą. Wasz ojciec ją założył, bo ciągle go do tego namawiałam, przekonywałam i błagałam o to. Ale możecie nadać tej firmie inny wymiar.

Popatrzył na mnie, jakby wreszcie zrozumiał.

- Co z tego, że przegapiłeś reklamę American Express i Burton ją przejął? To Burton, nie twój tato. Co miałeś zamiar im powiedzieć? „Mój ojciec, Mike Cantrell zrobił to, mój ojciec zrobił tamto”? Daj spokój... Pierwsze pokolenie jest lepsze. Dałabym głowę, że i tak woleli Burtona od ciebie.

Roześmiał się.

- Masz rację.

- Dobrze, ale chciałabym porozmawiać z tobą o czymś jeszcze. - Podałam mu czek.

- Sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów? Na co?

- To z mojego prywatnego konta.

- Widzę. Po co mi to dajesz?

- Chcę, żeby wszyscy byli traktowani tak samo i sprawiedliwie, tak chciałby twój ojciec. - Przerwałam na chwilę i potem dodałam: - Mam zamiar dać Philowi porsche taty. - Skinęłam głową w stronę czeku. - To powinno wystarczyć, żebyś kupił sobie taki sam samochód.

- A co z Molly i Mickeyem?

- Tymczasem nic. Nawet ich to nie obejdzie. Phil potrzebuje kuracji. Przyszło mi do głowy, że to mogłoby mu pomóc.

Podniósł na mnie wzrok.

- Nie musisz mi tego dawać. - Chciał oddać mi czek.

- Weź go. To twoje pieniądze i wiesz równie dobrze jak ja, że ojciec postąpiłby tak samo.

Scott skinął głową i schował czek do portfela. Pochyliłam się i pocałowałam go w policzek.

- Bądź sobą. Nikt nie jest lepszy od ciebie.

Ponownie się roześmiał.

- A teraz wychodzę, żeby ucieszyć twojego brata... albo wystraszyć go na śmierć.

- Powodzenia - powiedział Scott.

Opuściłam gabinet najstarszego syna i przeszłam do skrzydła zajmowanego przez SkiStar. Zapukałam do drzwi Phillipa.

- Wchodź, mamó! - Kiedy zamknęłam drzwi, dodał: - Widziałem, jak szłaś korytarzem.

- Możesz zrobić sobie trochę wolnego, może godzinę? Potrzebuję twojej pomocy.

Zerknął na zegarek.

- Nie ma sprawy. Czekałem na telefon z Londynu, ale już jest za późno. Zadzwoń dopiero jutro. Zajrę tylko do Rachel i powiem jej, kiedy będę z powrotem.

Kilka minut później Phil i ja staliśmy na parkingu.

- Jeździsz porsche ojca?

Podeszłam do drzwiczek po stronie pasażera i rzuciłam mu kluczyki.

- Musisz mnie gdzieś podwieźć.

- Ale, ma...

- Jedź. Zawsze uwielbiałeś ten samochód.

Phillip otworzył mi drzwiczki, pomógł wsiąść do środka i sam zajął miejsce za kierownicą. Siedział tam przez chwilę, z obiema rękami na kierownicy, rozciągał palce. Wrzucił luz, zapuścił silnik, zmienił bieg i puścił sprzęgło.

- Ojciec by to uwielbiał. Czy całą drogę ze wzgórza chcesz przejechać na wstecznym?

- Zamknij się, mamó. - Jego ręce na kierownicy stały się białe jak kreda.

- Czy tak się mówi do własnej matki?

- Nienawidzę tego - burknął przez zaciśnięte zęby.

- Wiem o tym. Jedź, synku.

Słuchał co do słowa moich instrukcji i nie zgasł mu silnik, nie wciskał też ponownie sprzęgła.

- Zjedź tutaj i zaparkuj - poprosiłam go w pewnej chwili.

Siedzieliśmy przez jakiś czas w kompletnej ciszy. Obróciłam się i wskazałam na ślady poślizgu na jezdni.

- To stało się tutaj.

Phillip wpatrywał się w ulicę i powoli zamknął oczy.

- Nie miałam odwagi tu przyjechać czy choćby zbliżyć się do tej ulicy, synu.

W następnej minucie zaczął płakać - głośne, chrapliwe dźwięki wydobywały się z głębi jego piersi. Chwyciłam go, a on przywarł do mnie, jego błyszcząca ogolona głowa była czerwona i gorąca od emocji, gdy wyrzucał z siebie ból utraty ojca. Objął mnie ramionami, przytulił się jeszcze mocniej i płakaliśmy oboje.

32

Podniosłam wzrok znad pasjansa w chwili, gdy Molly weszła tylnymi drzwiami.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze. - Postawiła torebkę na granitowym kuchennym blacie, podeszła do lodówki, wyjęła colę light i nalała ją do szklanki pełnej lodu.

- Co powiedział, kiedy oddałaś mu pierścionek?

Obróciła się i położyła na blacie dłoń już bez pierścionka zaręczynowego z różowym brylantem od Spidera.

- Zapytał, czy jestem tego pewna. Nie wydawał się zaskoczony. - Upiła kolejny łyk coli. - A może po prostu wszystko mu jedno.

Wstałam od stolika do kart obok kominka, w którym miałyśmy spalić zaproszenia, podeszłam do niej i objęłam ją ramionami.

- Tak mi przykro, kochanie. Wolałabym się mylić. Gdybym mogła zamienić się z tobą miejscami, przejąłabym od ciebie wszystkie lęki i wątpliwości, naprawdę.

- Wiem, mamó, że tak byś zrobiła. Głupio mi, że byłam aż taką egoistką. Wolałabym być podobna do ciebie. Miałam ci za złe, że masz rację. Bo masz... no wiesz, rację. Strasznie to wkurzające i trudno z tym wy-

trzymać. Zdarzały się dni, kiedy nienawidziłam cię za to, że wiedziałaś, co byłoby dobre, podczas gdy ja dokonywałam złych wyborów.

- Pomagał mi przypadek i trochę doświadczenia w podejmowaniu fatalnych decyzji. - Roześmiałam się głośno.

- Rozmawiałam z nim o dziecku. Spider ma zlecić adwokatowi spisanie umowy alimentacyjnej, ustanawiającej mnie główną opiekunką. Nie odżegnuje się od opieki, ale nie będzie się narzucał. Myślę, że pod tym względem nie będzie z nim żadnego problemu.

- Nasi adwokaci mogą się tym zająć. - Ja nie byłam taka ufna i zdążyłam już porozmawiać z dobrym prawnikiem od spraw rodzinnych. Chciałam, żeby Molly i jej dziecko mieli zapewnioną przyszłość i żeby nigdy nie doszło do walki o prawa rodzicielskie.

- Są w domu lody?

- Czekoladowe, miętowe, waniliowe, karmelowe i neapolitańskie. Och, są jeszcze inne na patyku.

Molly się roześmiała.

- Chyba wezmę wszystkich po trochu.

- Chcesz coś marynowanego?

- Jeszcze nie teraz.

Przyłączyłam się do niej i wyjęłyśmy pojemniki z lodami.

- Pochłaniałam fasolę z szynką, jak byłam w ciąży ze Scottem, zapiekanekę ziemniaczaną z Phillipem, piwo korzenne z lodami i pizzę z tobą, a omlet z serem z Mickeyem. Wiele jeszcze przed tobą, placuszku. Całe życie, mówiąc szczerze. Dzieci zostają dziećmi na zawsze.

- Powiedziałam dzisiaj Keely.

Jęknęłam.

- Biedna dziewczyna.

- Wiem. Wszyscy wokół niej mają dzieci.

- Są jeszcze inne możliwości. Spodziewam się, że Keely i Phillipowi wszystko dobrze się ułoży.

- Phil znowu jeździ samochodem do pracy. Sztuczka z porsche zrobiła swoje. Miałaś świetny pomysł, mamo.

Tylko on i ja wiedzieliśmy, jak było naprawdę, i to była nasza tajemnica. Nie chodziło o samochód. Auto zabrało nas jedynie do miejsca, gdzie oboje chcieliśmy się znaleźć.

Usiadłyśmy przy stoliku do kart z miseczkami w rękach.

- Hm. To jest pyszne.

- Więc dobrze się czujesz?

- Dobrze. Nie jestem już taka zmęczona. Tak się cieszę, że odwołaliśmy ślub. Bardzo się cieszę.

- Ellie będzie świetnie się bawiła przy paleniu zaproszeń.

- W to nie wątpię - powiedziała Molly.

- Tak, my, matki, często się naprzykrzamy. Sama się przekonasz.

- Dlaczego tak się dzieje?

- Ponieważ chciałabym, żeby niczego ci nie brakowało. Chcę, żebyś miała wszystko. Choć był czas, kiedy czułam, że zmieniam się we wstrętą, nadopiekuńczą matkę, której się wydaje, że wie, co jest dla ciebie najlepsze. - Przerwałam.

Zjadła kolejną łyżkę lodów.

- No dobrze, teraz powinnaś zaprzeczyć: „Och, nie, nie, nie! Mamo, nigdy nie mogłabyś stać się kimś takim”.

Roześmiałyśmy się obie. Molly wzięła mnie za rękę.

- Wiem, że zawsze chciałaś dobrze, i kocham cię za to.

- Cóż, ja też nie słuchałam własnej matki - przyznałam. - Pamiętam, jak siedziałam w kuchni i myślałam, że ona nie ma o niczym pojęcia. Nie mogła zrozumieć, co dla mnie oznacza wyjście za męża. Byłam pewna, że zapomniała już o rzeczach, które dla mnie były takie ważne.

- Brakuje mi babci.

Uśmiechnęłam się, wzięłam talię kart i powiedziałam:

- Odstaw miseczkę, to nauczę cię grać w kanastę.

- Nalej mi następny cosmopolitan, March. - Ellie uniosła do góry rękę z kieliszkiem do martini, a ja pochyliłam się ku przyjaciółkom i uzupełniłam zawartość ich kieliszków. - Muszę się jeszcze napić, zanim niewielka fortuna wydana na druk zaproszeń pójdzie z dymem.

- Harrie? Jesteś lekarzem - dodała po chwili. - Biorąc pod uwagę ilość tłuszczu w moim ciele, ile alkoholu mogę wypić, zanim można mnie będzie uznać za pijaną zgodnie z literą prawa?

- O jakim tłuszczu mówisz, Ellie? Dzięki liposukcji nie masz go prawie wcale, od kiedy byłaś żoną chirurga plastycznego.

- Jak duży powinnyśmy zrobić? - MC wzięła pogrzebacz, przykucnęła przy kominku, pogrzebała w ogniu, a potem dorzuciła trochę drewna. Podniosła się, cofnęła i przyglądała płomieniom dłużej, niż to było potrzebne... grała na zwłokę.

Cztery wielkie białe pudła z logo Crane stały na podłodze pośrodku pokoju telewizyjnego, a MC, Harrie i Ellie przyszły rzekomo pomóc mi się ich pozbyć. Ale to było trzy i pół godziny wcześniej i jak do tej pory nie spłonęło nawet jedno zaproszenie.

Wieczorem miał przyjechać Rio.

- Podaj mi pudło. Spalmy je. - Ellie sączyła koktajl. - Powinnam była spalić zaproszenia na wszystkie moje śluby i odwołać same ceremonie.

- Może gdybyś stanęła bliżej ognia, Ellie, wyparowałaby z ciebie chamka - powiedziała Harrie. - Wyszłoby taniej niż rozwód.

- Przypomnij mi, jaką akademię medyczną kończyłaś?

- Pieprz się.

- Harrie! - pisnęła MC. Ale reszta z nas głośno się śmiała.

- To było dobre, Harrie. Niech ci naleję kolejnego. - Ellie wzięła shaker i chlusnęła z niego do kieliszka przyjaciółki. - Im więcej pijesz, tym stajesz się zabawniejsza.

- To dlatego, że ona bardzo rzadko pije - odezwała się MC. - Chciałabyś, żeby twoja lekarka była pijaczką?

- Dlatego rozeszłam się z chirurgiem plastycznym - odpowiedziała Ellie i wrzuciła pół pudła zaproszeń do ognia. Zajęły się w jednej chwili.

MC odskoczyła do tyłu.

- Może to nie jest najlepszy pomysł. Oddajmy je na makulaturę.

Wzięłam pudła i wyniosłam do garażu. Oddanie ich na makulaturę było moim pierwotnym zamysłem. Ellie i pozostałe dziewczyny potrzebowały pretekstu, żeby poznać Rio.

Kiedy kopnięciem zamknęłam drzwi, usłyszałam dzwonek przy frontowym wejściu. Gdy szłam przez pokój telewizyjny, przyjaciółki biegły na palcach do salonu, bo był bliżej frontowych drzwi. Śmiałam się, gdy je otworzyłam.

- Cześć, kochana.

Usłyszałam, jak Ellie głośno wciąga powietrze.

Rio wziął mnie w ramiona i pocałował zupełnie bez sensu. MC zachichotała.

Odsunął się ode mnie i spojrzał mi w oczy.

- Nie jesteśmy sami?

Pokręciłam przecząco głową.

Obrócił się. Moje najlepsze przyjaciółki stały w szeregu w salonie niczym piechurzy na musztrze.

Ellie wystąpiła do przodu pierwsza, z koktajlem w ręku.

- Więc to ty jesteś tym śpiewającym kowbojem? Roześmiałam się, bo to była cała Ellie.

- Jestem tym śpiewającym kowbojem - potwierdził Rio. - A ty musisz być osławioną Ellie. - Zanim zdążyła choćby mrugnąć, uklęknął na jedno kolano i zaczął śpiewać pełnym głosem, strasznie fałszując, o starym oborowym na Rio Grande.

Ellie przegrała ten pojedynek. Od trzydziestu lat nie widziałam, żeby tak się śmiała.

Przedstawił się pozostałym i przez chwilę rozmawialiśmy. Co jakiś czas każda z przyjaciółek pokazywała mi na migi, że jest w porządku.

W końcu Rio poszedł do łazienki, a ja wstałam.

- No dobra. Musicie już iść. On jest mój.

- Dobrze, dobrze... Wcale nie jesteś zabawna, March.

- Czy Eugene czeka przed domem?

- Oczywiście. Piłyśmy przecież, co nie? Zaczekałam na Rio.

- Moje przyjaciółki muszą już iść - powiedziałam znacząco i razem wyszliśmy z domu.

Rio zostawił torbę i futerał z gitarą przed drzwiami. Miał je zabrać, gdy wrócimy do środka. Kilka minut później byliśmy już sami w domu przy zamkniętych drzwiach.

Od razu oplotłam go ramionami za szyję i poszliśmy na górę.

Około jedenastej w nocy, kiedy już zmieliśmy pościel i wzięliśmy prysznic, wyszłam z łazienki, susząc włosy. Rio leżał na łóżku oparty o wielkie poduszki. Miał na sobie jedynie dzinsy i trzymał gitarę. Jego włosy były nadal mokre po prysznicu, a ja po prostu na niego patrzyłam. Stroił gitarę.

Dobrze się czułam. Moje łóżko było jego łóżkiem, niezależnie od tego, gdzie się znajdowało.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział. - Chodź i siadaj. - Poklepał pościel.

Wgramoliłam się na łóżko i usiadłam po turecku.

- Ma tytuł *Bo on cię kochał*.

Myślałam, że się rozplaczę. Położyłam rękę na jego udzie. Uśmiechnęłam się do niego. Patrzył na mnie czule, w sposób, który jak wiedziałam, był przeznaczony tylko dla mnie. Rysy jego twarzy trochę się rozmazały przez łzy w moich oczach. Zaczął śpiewać:

Spotkałaś go zbyt młoda, miałaś w oczach gwiazdy

Nigdy nie kłamał i nauczył cię prawdy

Jego miłość była szczerą, nie dla wybiegu

Miał marzenie, chciał śmigać po śniegu

Razem jego marzenie spełniliście

Bo on kochał cię

Bo on kochał cię

Lata młodości straciłem szaleńczo, nieprzytomnie

Szukałem kogoś, kto zobaczy prawdziwego mnie,

Dla ciebie inne miejsce i inny czas były ostoją

Miejsce, gdzie nigdy nie mogłabyś być moją

Poznałaś, co to serce kute w szczerym złocie

Bo on kochał cię

Bo on kochał cię

Świat powiedział, że moja miłość to grzech

Kochałem i traciłem raz po raz, mój pech

Zapłaciłem za to ceną własnego imienia

Nie zapomną mi tej sławy złej istnienia.

Ale ty i on wiedzieliście, co robicie

Bo on kochał cię

Bo on kochał cię

Myślałem, że nie pokocham już potem

Ale wtem, ale wtem, ale wtem...

Siedziałaś oto tuż obok mnie

I chciałaś zobaczyć, co jest we mnie

Nagle nie jesteśmy sami, ale w duecie

Bo on kochał cię

Bo on kochał cię.*

* Przekład Krzysztof Oltak.

Epilog

Wiosną w Sparks w stanie Nevada wszystko zmienia się jak w kalejdoskopie. Można było zmarznąć w śnieżyca, wiatr mógł człowieka przewiać na wylot, deszcz zmoczyć do suchej nitki, a ciepłe słońce opalić twarz na czerwono. Dzisiaj świętowaliśmy. Trzy pokolenia rodziny połączone wspólną tragedią trzymały się razem dzięki prostemu, czasem zwodniczemu uczuciu nazywanemu miłością.

Siedziałam na ławce pod rozłożystym dębem i patrzyłam na rodzinę mającą w tle góry Sierra i wysoką błękitną kopułę nieba nad Nevadą, w rok od chwili, gdy stałam tu i brałam ślub z czterdziestopięcioletnim śpiewającym kowbojem. Były tu wszystkie nasze dzieci ze swoimi rodzinami, Scott i Renee, Phil i Keely, ponownie w ciąży z następną parą bliźniąt, Molly, Mickey i syn Rio - Duncan, i wnuczeta, Miranda, Tyler i Trey (Indyk), bliźniaczki Phila, Lola i Eva, córeczka Molly Bea, która dostała imię po mojej matce - wszyscy tworzyli szczęśliwy, serdeczny krąg wokół nas, a przyjaciele stali tuż obok. Nie wiedziałam, że jeszcze kiedyś zaznam w życiu podobnej radości, niemniej cała rodzina świętuje ten dzień, bo chce być razem.

Nazywam się March Randolph Cantrell Paxton i moje imię to nazwa miesiąca, w którym przyszłam na świat. Pewnej nocy moje serce pękło na jednej z jednokierunkowych ulic San Francisco, w jego miejscu zaś pojawił się kamień, twardy i bolesny, z którym prawie nie mogłam żyć. Nie wiedziałam, jak mam sobie dalej radzić. Więc mozolnie wlokłam się przez każdy dzień, upadałam i wstawałam, bez wiary, bez myśli, że znowu odzyskam uczucia.

Niespodziewanie przekonałam się, że w jednym życiu jest miejsce na ponowną miłość, a wiem to, bo dopisało mi ogromne szczęście i los postawił na mojej drodze dwóch wspaniałych mężczyzn. Zawsze wydawało mi się, że prawdziwa miłość zdarza się w życiu tylko raz. Jeden raz. Tylko on. I nikt inny. Że zestarzejemy się razem, tak jak razem byliśmy młodzi.

I choć wówczas kochałam tylko jego, dowiedziałam się o czymś najcudowniejszym: można zakochać się w kimś innym. Jest wtedy inaczej. Moja nowa miłość różni się od dawnej miłości, którą przeżyłam. Choć nie jest wcale słabsza. Ani mniej głęboka.

Ale jest też prawdziwa tajemnica, prawdziwy cud, który jej dotyczy: każda miłość jest pierwsza.